

DETEKTYW Z DYPLOMEM Z PSYCHOLOGII  
TROPI DWÓCH SERyjNYCH ZABÓJCÓW

JAMES PATTERSON

---

KOLEKCJONER

---





**PATTERSON JAMES**  
**Alex Cross 02 - Kolekcjoner**

# **JAMES PATTERSON**

## **PROLOG**

### **ZBRODNIĘ DOSKONAŁE**

### **CASANOVA**

*Boca Ra ton, Floryda;  
czerwiec 1975 roku*

Młody morderca przez trzy tygodnie mieszkał w ścianach niezwykłego, piętnastopokojowego domu na plaży. Dosłownie – w ścianach. Docierał do niego szept Atlantyku, lecz ani razu nie poczuł pokusy, by popatrzeć na ocean albo prywatną plażę o białym piasku, rozciągającą się sto czy więcej metrów wzdłuż wybrzeża. Tyle jeszcze rzeczom chciał się przyjrzeć ze swej kryjówki w ścianach tej oszalałej willi, tyle chciał zbadać, tyle osiągnąć... Od rana do wieczora czuł przyspieszone bicie serca.

W tym wielkim, zbudowanym w stylu śródziemnomorskim domu w Boca mieszkały cztery osoby: Michael i Hannah Pierce'owie z dwiema córkami. Morderca podglądał rodzinę Pierce'ów w ich najbardziej intymnych chwilach. Kochał wszystkie związane z nimi drobiazgi, a najbardziej kolekcję delikatnych muszli Hannah i tekowe modele żaglowców, których cała flotylla wisiała pod sufitem w jednym z pokoi gościnnych.

Starszą córkę, Coty, obserwował za dnia i w nocy. Chodziła z nim do Liceum Świętego Andrzeja. Była fantastyczna. Żadna z dziewcząt w szkole nie dorównywała jej urodą oraz inteligencją.

Nie spuszczał też oka z Karrie Pierce. Miała dopiero trzynaście lat, ale już się zapowiadała na niezłą laskę.

Mimo metra osiemdziesięciu wzrostu, bez problemu mieścił się w kanałach klimatyzacji. Był mordercą przystojnym, szczupły jak niteczka, wyglądał jak świeżo upieczony absolwent którejś uczelni ze Wschodniego Wybrzeża.

Zabrał ze sobą do kryjówki w ścianie parę świńskich książek, ostrych erotycznych powieści, które zdobył w czasie gorączkowych wypadów po zakupy do Miami. Szczególnie przywiązał się do „Historii O.”, „Uczennic w Paryżu” i „Rozpustnych inicjacji”. Miał też przy sobie rewolwer smith and wesson.

Wchodził do domu i wychodził przez okienko od piwnicy, które miało złamaną zasuwkę. Czasem nawet tam sypiał, schowany za starą, cicho mrużącą lodówką westinghouse, w której Pierce'owie trzymali zapas piwa i napojów gazowanych na – większe imprezy, kończące się często fajerwerkami na plaży.

Prawdę powiedziawszy, czuł podczas tej czerwcowej nocy trochę większe napięcie niż przedtem, ale nie przejmował się tym wcale. Żaden problem. Wcześniej tego wieczora pomalował całe ciało w jaskrawe smugi i plamy – wiśniowe, pomarańczowe i żółte. Był teraz wojownikiem, myśliwym. Wcisnął się, zabierając ze sobą chromowany rewolwer kaliber 22, latarkę i książki, które go podniecały, na strop nad sypialnią Coty. Wlazł na nią, można by rzec.

Dziś była to najważniejsza noc. Początek wszystkiego, co się naprawdę w jego życiu liczyło.

**Usadowił się wygodnie i zaczął czytać ulubione fragmenty „Uczennic w Paryżu”. „Kieszonkowa latarka rzucała przyćmione światło na kartki. Był to niewątpliwie ostry pornos, ale kompletna bzdura. Opowiadał o „szanowanym” francuskim prawniku, który płacił pewnej hożej dyrektorze szkoły, żeby mu pozwalała zostawać na noc w bardzo przyzwoitym internacie dla dziewcząt. Co strona trafiało się na sztuczne i drętwe wyrażenia typu: „jego zakończona srebrną skuwką feruła”, „jego bezbożna buława” albo „emablował nieodmiennie chutliwe uczennice”.**

**Czytanie zmęczyło go dość szybko i zerknął na zegarek. Była już prawie trzecia rano; nadszedł czas. Kiedy odkładał książkę, by wyrzeć przez kratę wy – I wietrznika, trzęsły mu się ręce.**

**Przyglądał się leżącej w łóżku Coty i prawie nie mógł złapać tchu. Miał przed sobą prawdziwą przygodę. Tak jak sobie wymarzył.**

**Teraz dopiero zacznę żyć, myślał z zachwytem. Ale czy na pewno chcę to zrobić? Tak, chcę!...**

**On naprawdę mieszkał w ścianach domu Pierce'ów. Już niedługo ten niesamowity, koszmarny fakt trafi na czołówki wszystkich największych gazet w Stanach. Nie mógł się już doczekać, kiedy przeczyta o tym w „Boca Raton News”.**

## **CHŁOPAK UKRYTY W ŚCIANIE!**

**MORDERCA MIESZKAŁ DOSŁOWNIE W ŚCIANACH JEDNORODZINNEJ WILLI!  
MANIAKALNY, OBLĄKANY MORDERCA MÓGŁBY SIĘ UKRYWAĆ TAKŻE W  
TWOIM DOMU!**

**Coty Pierce spała jak śliczna, mała dziewczynka. Miała na sobie za dużą koszulkę z napisem „University of Miami Hurricanes”; koszulka się podwinęła i widać było różowe jedwabne majteczki.**

**Leżała na plecach, jej opalone nogi były skrzyżowane. Wydatne, lekko rozchylone usta układały się w malutkie „o”. Z jego stanowiska obserwacyjnego na suficie wyglądała jak ucieleśnienie niewinności.**

**Wyrosła już prawie na kobietę. Zaledwie parę godzin temu patrzył, jak się wdzięczy przed lustrem. Widział, jak zdejmuje koronkowy różowy biustonosz. Widział, jak ogląda swoje doskonałe piersi.**

**Wyniosłość Coty była nie do zniesienia. Ale on to dziś zmieni. Dziś ją posiadzie.**

**Ostrożnie, cicho odsunął metal ową kratkę z sufitu. Potem przeczołgał się przez otwór i wylądował na podłodze błękitno – różowej sypialni. Czuł ucisk w piersiach, oddychał szybko, z wysiłkiem. W jednej chwili robiło mu się gorąco, a za moment trząśnięcie z zimna.**

**Na stopy założył dwa małe worki na śmieci, które zawiązał w kostkach. Na rękach miał gumowe niebieskie rękawice, używane przez gosposię Pierce'ów do sprzątania.**

**Czuł się zupełnie jak wojownik Ninja, a z pomalowanym, nagim ciałem wyglądał jak uosobienie terroru. Zbrodnia doskonała. Kochał tę chwilę.**

**Czy to może sen? Nie, wiedział, że to nie sen. To historia prawdziwa. Za moment naprawdę to zrobi! Odetchnął głęboko i poczuł, jak go coś zapiekło w płucach.**

**Przez krótką chwilę przyglądał się leżącej spokojnie dziewczynie, którą tak podziwiał w Liceum Świętego Andrzeja. A potem cichutko wśliznął się do łóżka jedynej – w – swoim – rodzaju Coty Pierce.**

**Ściągnął gumowe rękawiczki i delikatnie pogłaskał idealną, opaloną skórę. Wyobrażał sobie, że smaruje kokosowym olejkim do opalania całe jej ciało. Stwardniał już na dobre.**

**Miała długie blond włosy, pojaśnione od słońca i miękkie jak futro królika. Były gęste i piękne; pachniały balsamiczną, leśną czystością.**

**Tak, marzenia naprawdę się spełniają, ucieszył się.**

**Wtem Coty otworzyła szeroko oczy. Lśniły jak szmaragdowe klejnoty, jak bezcenne drogie kamienie z jubilerskiego sklepu Harry'ego Winstona w Boca.**

**Bezgłośnie wypowiedziała jego imię – to, pod którym знаła go w szkole. Ale on nadał już sobie nowe imię, nazwał siebie, stworzył na nowo.**

**–Co ty tu robisz? – wydyszała pytanie. – Jak się tu dostałeś?**

**–A to niespodzianka. Jestem Casanova – szepnął jej do ucha. Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. – Spośród wszystkich pięknych dziewcząt w Boca Raton, wszystkich na całej Florydzie, wybrałem właśnie ciebie. Nie cieszysz się?**

**Coty zaczęła krzyczeć.**

**–Ciii – powiedział i miłosnym pocałunkiem zamknął jej piękne usteczka swoimi.**

**Tej niezapomnianej nocy rzezi w Boca Raton pocałował też Hannah Pierce. A zaraz potem trzynastoletnią Karne.**

**Nim postanowił, że na razie ma dość, był już pewien, że naprawdę jest Casanovą – największym kochankiem świata.**

# DŻENTELMEN

*Chapel HM, Karolina Północna;*

*maj 1981 roku*

Był Dżentelmenem doskonałym. Dżentelmenem w każdym calu. Zawsze skromnym i uprzejmym. Rozmyślał nad tym podsłuchując dwoje zakochanych, którzy spacerowali nad Jeziorem Uniwersyteckim rozmawiając szeptem. Jak w romantycznym marzeniu. W sam raz dla niego.

Usłyszał, że Tom Hutchinson pyta Roe Tierney:

–To fajny pomysł czy kompletna bzdura?

Pakowali się właśnie do zielonkawoniebieskiej łodzi wiosłowej, kołyszącej się łagodnie przy pomoście. Tom i Roe mieli zamiar „pożyczyć” łódkę na parę godzin. Taki cichy, studencki wybryk.

–Mój pradziadek mawia, że jeśli dryfujesz łodzią w dół rzeczki, to życie nie upływa – powiedziała Roe. – To świetny pomysł, Tommy. Chodźmy.

Tom Hutchinson zaczął się śmiać. – A jeśli we wspomnianej łodzi robi się coś jeszcze? – No, jeśli to aerobik czy coś w tym stylu, to nawet możesz je sobie przedłużyć. – Roe skrzyżowała nogi i spódnica otarła się z szelestem o jej gładkie uda.

–Jednym słowem: wymknięcie się na przejażdżkę przy księżycu łódką takich miłych ludzi jest dobrym pomysłem – podsumował Tom.

–Świetnym pomysłem – powtórzyła swoje Roe. – Najlepszym. Chodź.

Kiedy łódź odbijała od pomostu, Dżentelmen wśliznął się do wody. Bezgłośnie. Chłonał każde słowo, każdy ruch, każdy niuans fascynującego rytuału zalotów zakochanych.

Księżyc był prawie w pełni; wyglądał łagodnie i pięknie, gdy Tom i Roe powoli wiosłowali przez lśniące jezioro. Przedtem, wystrojeni poszli na romantyczny obiad do miasta. Roe miała na sobie czarną, plisowaną spódniczkę, srebrne klipsy i naszyjnik z pereł pożyczony od koleżanki z akademika. Na łódkę jak znalazł.

Dżentelmen był pewien, że swój szary garnitur Tom Hutchinson również pożyczył. Tom, syn mechanika samochodowego, pochodził z Pensylwanii. Udało mu się zostać kapitanem drużyny futbolowej Uniwersytetu Duke w pobliskim Durham, a także utrzymać średnią ocen w okolicach czwórki.

Roe i Tom byli „złotą parą”. To chyba jedyna rzecz, co do której studenci Uniwersytetu Duke i Uniwersytetu Karoliny Północnej się zgadzali. „Skandal”, za jaki uważano fakt, że kapitan drużyny Duke chodzi ze zwyciężczynią konkursu piękności, „Królową Azalii” z Karoliny, dodawał ich romansowi pikanterii.

Dryfowali powoli po jeziorze, zmagając się z upartymi guzikami i zamkami błyskawicznymi. W końcu Roe została tylko w kolczykach i pożyczonych perłach. Tom nie zdjął białej koszuli, ale rozpiął ją od góry do dołu tak, że stworzyła jakby namiot, kiedy wchodził w Roe. Zaczęli się kochać pod baczynym okiem księżyca.

Ich ciała poruszały się łagodnie, a łódź kołysała lekko jak zabawka. Roe wydawała cichutkie jęki, które mieszały się z przenikliwym odgłosem grających w oddali cykad.

Dżentelmen czuł, jak podnosi się w nim fala szału. Mroczna strona jego natury



wyrywała się na wolność: brutalne, gnębione zwierzę, współczesny wilkołak.

Nagle Tom Hutchinson wysunął się z Roe Tierney z cichym „mlask”. Coś bardzo silnego ściągało go z łodzi. Zanim wpadł do wody, Roe usłyszała jego krzyk. Był to dziwny odgłos, jakby „aarrghhh”.

Tom nałykał się wody z jeziora i zakrztusił boleśnie. Poczuł w gardle straszny ból i kłucie; ból tylko w jednym miejscu, ale mocny i przerażający.

A potem ta potężna siła, która wciągnęła go do wody, nagle rozluźniła uścisk. Duszący chwyt zelżał. Tak po prostu. Tom był wolny.

Jego duże, silne ręce, ręce rozgrywającego, powędrowały do szyi i dotknęły czegoś ciepłego. Z gardła tryskała mu krew, mieszając się z wodami jeziora. Opadł go straszliwy lęk, uczucie bliskie paniki.

Przerażony, jeszcze raz sięgnął do gardła i trafił na tkwiący w nim nóż. Och, Boże! – pomyślał, ktoś mi wbił nóż. Zginę na dnie tego jeziora i nawet nie wiem dlaczego.

Roe Tierney, siedząca nadal w rozkołysanej, dryfującej łodzi, była zbyt zszokowana, żeby choć krzyknąć.

Serce waliło jej tak gwałtownie i dziko, że ledwie mogła oddychać. Wstała, wpatrując w oszołomieniu jakiegoś znaku od Toma.

To chyba jakiś chory żart, pomyślała. Nigdy już nigdzie nie pójdę z Tomem Hutchinsonem. Nigdy za niego nie wyjdę. Nawet za milion lat. To w ogóle nie jest śmieszne. Zrobiło jej się zimno i próbowała wymacać swoje rzeczy na dnie łódki.

Tuż obok niej ktoś, lub coś, wyprysnęło błyskawicznie z ciemnej wody. Jakby na skutek wybuchu pod powierzchnią.

Roe zobaczyła wynurzającą się głowę. Głowę mężczyzny... ale nie Toma.

–Nie chciałem cię wystraszyć. – Dżentelmen mówił spokojnym tonem. – Nie bój się – szepnął, chwytając za burtę kołyszącej się łodzi. – Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Mówiąc szczerze, obserwuję cię od ponad dwóch lat.

Nagle Roe zaczęła krzyczeć tak strasznie, jakby za chwilę miał nastąpić koniec Świata.

I dla Roe Tierney nastąpił.

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## SCOOTCHIE CROSS

### ROZDZIAŁ 1

*Waszyngton, D.C.,  
kwiecień 1994 roku*

Kiedy to wszystko się zaczęło, siedziałem na przeszklonej werandzie naszego domu na Fifth Street. Z nieba „leciały żaby”, jak mawia moja córeczka Janelle, i na werandzie było świetnie. Moja babcia nauczyła mnie kiedyś modlitwy, której nigdy nie zapomnę: „Dzięki Ci za wszystko to, co jest”. Pasowała do tego dnia – prawie.

Na ścianie werandy wisiał rysunek satyryczny Gary Larsona z cyklu „Far Side”. Przedstawiał doroczny bankiet „Lokajów Świata”. Jeden z lokajów został zamordowany. W jego piersi tkwił wbity po rękojeść nóż. Któryś z obecnych tam detektywów mówi: „O Boże, Collings, jak ja nienawidzę zaczynać poniedziałku od takich spraw”. Powiesiłem ten rysunek, by mi przypominał, że życie to coś więcej niż tylko praca detektywa w wydziale zabójstw policji w DC. Obok przyczepiłem szkic Damona sprzed dwóch lat, podpisany: „Najlepszemu tatusiowi wszech czasów”. To też miało mi o czymś przypominać.

Grałem na naszym starym pianinie kawałki Sarah Vaughan, Billie Holiday i Bessie Smith. Wolałem ostatnio bluesa, z tym jego skradającym się smutkiem, niż cokolwiek innego. Myślałem o Jezzcie Flanagan. Czasem, kiedy zagapiłem się w przestrzeń, pojawiała mi się przed oczami jej piękna, zapadająca w pamięć twarz. Staralem się nie zagapiać w przestrzeń zbyt często.

Dzieciaki, Damon i Janelle, siedziały przy mnie na niezawodnej, choć nieco rozklekotanej ławeczce do pianina, Jannie objęła mnie rączką za plecy, tak daleko jak mogła sięgnąć, czyli mniej więcej do jednej trzeciej. W drugiej, wolnej ręce miała paczkę gumowych miśków. Jak zwykle chętnie częstowała przyjaciół. Żułem więc sobie powoli czerwonego miśka.

Pogwizdywali z Damonem melodię, którą grałem, choć w przypadku Jannie gwizdanie przypomina raczej plucie, w pewnym z góry ustalonym rytmie.

Zniszczony egzemplarz „Green Eggs and Ham”, ulubionej książki wszystkich amerykańskich dzieci, leżał na klapie pianina, podrygując do taktu.

Zarówno Jannie, jak i Damon wiedzieli, że ostatnio, przynajmniej przez parę miesięcy, miałem trochę życiowych problemów. Starali się mnie rozweselić. Graliśmy i pogwizdywaliśmy bluesa, soul, trochę fusion, ale też śmialiśmy się i żyliśmy sobie dalej – jak to dzieci.

Uwielbiałem te chwile z dziećmi i spędzałem z nimi coraz więcej czasu. Robiłem im zdjęcia, pamiętając, że już drugi raz nie będą miały siedmiu i pięciu lat. Nie chciałem uronić nawet jednego momentu.

Przerwał nam odgłos ciężkich kroków na drewnianych kuchennych schodach, potem zadzwonił dzwonek – raz, drugi, trzeci. Ktokolwiek to był, bardzo mu się spieszyło.

–Pif – paf, czarownica zabita! – krzyknął Damon. Miał ciemne, motocyklowe okulary na nosie, bo tak sobie wyobrażał fajnego faceta. I naprawdę był świetnym

małym facetem.

–Nie, nie zabita – sprzeciwiła się Jannie. Zauważyłem ostatnio, że stała się zagorzałą obrończynią swojej płci.

–To chyba nie w sprawie czarownicy – wtrąciłem, trafiając w odpowiedni moment i ton. Dzieci się roześmiały. Łapią większość z moich dowcipów, co mnie zresztą trochę przeraża.

Ktoś zaczął łomotać we framugę; słyszałem, jak woła mnie przerażonym, płaczącym głosem. Cholera jasna, zostaw nas, pomyślałem, akurat teraz niepotrzebne nam do życia ten płacz i trwoga.

–Doktorze Cross, proszę przyjść! Proszę! Doktorze Cross! – krzyk nie ustawał. Nie poznawałem głosu tej kobiety, ale kiedy wołają cię per doktor, twoje prawo do prywatności i tak się chyba nie liczy.

Przytrzymałem dzieci, kładąc ręce na ich główkach.

–To ja jestem doktor Cross, a nie wy. Mruczcie melodię i zajmijcie dla mnie miejsce. Zaraz wracam.

–Zaraz wracam – powtórzył Damon udając Terminatora. Uśmiechnąłem się. Cwaniak z drugiej klasy.

Pobiegłem do drzwi, łapiąc po drodze służbowy pistolet. Southeast to dzielnica czarnych, dość podła, nawet dla gliniarza takiego jak ja. Wyjrzałem przez zamglone i brudnawe szybki, próbując dojrzeć, kto stoi na ganku.

Spostrzegłem młodą kobietę, znałem ją. Mieszkała w Langley, osiedlu slumsowatych bloków. Rita Washington była dwudziestotrzyletnią ćpunką i snuła się po naszych ulicach niczym jakiś upiorny cień. Nieglupia i dość miła, ale słaba dziewczyna, łatwo ulegała wpływom. Bardzo źle sobie ułożyła życie, straciła urodę i już chyba nie miała na nic szans.

Otworzyłem drzwi i uderzył mnie w twarz zimny, wilgotny podmuch wiatru.

Ręce dziewczyny i jej zielona kurtka z dermy ociekały krwią.

–Cholera, Rita, co ci się stało? – zapytałem. Myślałem, że ktoś ją postrzelił albo dźgnął w sprzeczce o narkotyki.

–Niech pan idzie ze mną, błagam pana – łkała i kaszlała jednocześnie. – To mały Marcus Daniels – i zaczęła płakać jeszcze głośniej. – Dostał nożem! Bardzo źle z nim! Wymawiał pana nazwisko. Wołał pana, doktorze Cross.

–Dzieci, zostańcie tu! Ja zaraz wracam! – zawołałem, przekrzykując histeryczny płacz Rity. – Nana, pilnuj dzieci, proszę! – wrzasnąłem jeszcze głośniej. – Nana, ja muszę wyjść! – Chwyciłem płaszcz i wybiegłem za Ritą Washington w zimną ulewę.

Starłem się omijać ślady krwi, która ściekała jak jasnoczerwona farba po schodach naszego ganku.

## ROZDZIAŁ 2

Biegłem Fifth Street co sił w nogach. Czuję, jak serce mi wali i pomimo obrzydliwego, monotonnego, zimnego wiosennego deszczu pociełem się obficie. Krew łomotała mi wściekle w skroniach. Wszystkie mięśnie i ścięgna miałem napięte z wysiłku, a żołądek mocno ściśnięty.

Trzymałem jedenastoletniego Marcusa Daniela w ramionach, przytulając go mocno do piersi. Chłopczyk bardzo krwawił. Rita Washington znalazła Marcusa w jego bloku, zwiniętego na śliskich, ciemnych schodach do piwnicy i zaraz przybiegła po mnie.

Pędziłem jak wicher, powstrzymując wewnętrzny szloch.

Ludzie, którzy w tej dzielnicy zwykle za niczym się nie oglądają, patrzyli za mną, gdy waliłem naprzód jak sunący na oślep przez centrum dziesięcioosiowy tir.

Wyprzedzałem wszystkich, wrzeszcząc żeby mi zeszli z drogi. Mijałem kolejne sklepy – widma o witrynach zasłoniętych pociemniałą, gnijącą sklejką zasmarowaną graffiti.

Biegłem przez potłuczone szkło, przeskakując butelki po taniej whisky „Irlandzka Róża”, przez gruz i ponure splachetki chwastów i kurzu. O! o nasza dzielnica, nasza część Amerykańskiego Snu, nasza stolica.

Słyszałem kiedyś takie powiedzonko o Waszyngtonie: „Schyl się, to cię rozdepczą; wstań, to cię zastrzelą”.

Gdy tak biegłem, z biednego Marcusa tryskała krew jak woda ze zmokniętego, otrząsającego się szczeniaka.

–Trzymaj się, dziecinko – mówiłem do chłopca. – Trzymaj się – powtarzałem jak w modlitwie.

W połowie drogi Marcus zawołał słabym głosem:

–Doktor Alex, człowieku!

Tylko to do mnie powiedział. Wiedziałem dlaczego. Wiedziałem wiele o małym Marcusie.

Wbiegłem na stromy, świeżo wyasfaltowany podjazd Szpitala Świętego Antoniego. W slumsach nazywają czasem ten szpital „Spaghetti – barem Świętego Antka”. Minęła mnie „erka” skręcająca w stronę L Street.

Kierowca miał czapeczkę Chicago Bulls, założoną daszkiem w bok, jakby wskazywała na mnie. Z karetki wydobywało się głośnie dudnienie rapu, w środku nożna chyba było ogłuchnąć. Kierowcy ani sanitariuszowi nie przyszło nawet do głowy, żeby się zatrzymać. Tak to już czasem jest w naszej dzielnicy. Nie jesteś w stanie przystawać na widok każdego morderstwa czy napadu, które widzisz na trasie.

Znałem drogę do izby przyjęć. Bywałem tu aż nazbyt często. Pchnąłem ramieniem znajome, przeszklone wahadłowe drzwi z napisem: NAGŁE WYPADKI; litery się złuszczały, a szkło było porysowane.

–Już jesteśmy, Marcus. Jesteśmy w szpitalu – wyszeptałem do chłopca, ale on mnie nie słyszał. Był już nieprzytomny.

–Niech mi ktoś pomoże! Ludzie, pomóżcie mi, mam tu dziecko! – zawołałem.

**Prędzej by chyba zwrócili uwagę na posłańca z Pizza Hut.**

**Znudzony strażnik rzucił w moją stronę swoje wypróbowane, nie widzące spojrzenie. Przez przybytek medycyny przejechały z łoskotem rozklekotane nosze na kółkach.**

**Spostrzegłem znajome pielęgniarki: Annie Bell Waters i Tanyę Heywood.**

**–Daj go tutaj – Annie Waters szybko oceniła sytuację i zrobiła mi przejście. Nie pytała o nic, odpychając z drogi pracowników szpitala i spacerujących rannych.**

**Minęliśmy recepcję z napisem w trzech językach – angielskim, hiszpańskim koreańskim: WPISZ SIĘ TUTAJ. Wszystko pachniało antyseptykami.**

**–Próbował podciąć sobie żyły sprężynowcem. Chyba zahaczył o tętnicę szyjną – wyjaśniłem, gdy pędziliśmy zatłoczonym, pomalowanym na sraczkowaty kolor korytarzem, pełnym wyblakłych napisów: RENTGEN, CHIRURGIA URAZOWA, KASA.**

**W końcu dotarliśmy do pokoju wielkości szafy na ubrania. Pojawił się młody lekarz, który kazał mi wyjść.**

**–Ten dzieciak ma jedenaście lat – powiedziałem. – Nigdzie nie wyjdę. Ma przecięte przeguby. To próba samobójstwa. Nie daj się, dziecińko – szepnąłem do Marcusa. – Tylko się nie daj.**

## ROZDZIAŁ 3

Klik! Casanova otworzył klapę bagażnika i spojrzał w szeroko otwarte, wilgotne i błyszczące oczy dziewczyny. Jaka szkoda. Jaka strata, pomyślał, gdy tak na nią patrzył.

–A kuku – powiedział. – Widzę cię.

Już nie był zakochany w tej dwudziestodwuletniej studentce, związanej teraz w bagażniku. Był na nią zły. Nie przestrzegła regulaminu. Zepsuła mu jego dzisiejszy pomysł.

–Wyglądasz jak diabeł wcielony – powiedział.

Dziewczyna nie mogła odpowiedzieć, bo zakneblował ją mokrą szmatą, ale wpatrywała się w niego bez przerwy. W ciemnobrązowych oczach widział strach i ból, ale dostrzegł też, że jest uparta i nie straciła do końca ducha.

Najpierw wyjął swą czarną torbę, a potem bezceremonialnie wyciągnął ważącą jakieś sześćdziesiąt kilogramów dziewczynę. Nie silił się w tym momencie na delikatność.

–Witamy – powiedział, stawiając ją na ziemi. – Zapomnieliśmy o dobrych manierach, tak? – Nogi jej się trzęsły, ale Casanova podtrzymywał ją bez wysiłku jedną ręką.

Miała na sobie szorty do joggingu w ciemnozielonych barwach Uniwersytetu Wake Forest, biały podkoszulek bez rękawów i nowiutkie adidasy marki Nike... Typowe, zepsute studenckie byle co, był tego pewien, ale jakże piękne. Spętał jej smukłe kostki długim na niecały metr rzemieniem. Ręce związał na plecach.

–Idź przede mną. Nie skręcaj, dopóki ci nie powiem. No, idź już – rozkazał. – Rusz te swoje długie, piękne giry. Raz, raz, raz.

Poszli przez gęsty las, który gęstniał i ciemniał z każdym kijkiem. A skóra cierpła mu i cierpła. Casanova wywijał torbą jak dziecko workiem z kapciami. Kochał ciemny las. Od zawsze.

Był wysoki, atletyczny, dobrze zbudowany i przystojny. Wiedział, że mógłby mieć wiele kobiet, ale nie tak jak lubił. Nie w ten sposób.

–Prosiłem, żebyś słuchała, czy nie? A ty nie słuchałaś – mówił łagodnym, obojętnym tonem. – Wytłumaczyłem ci regulamin. Ale ty chciałaś być cwana. To proszę, bądź sobie cwana. Zbieraj, coś posiada.

Przedzierając się przez zarośla młoda kobieta czuła narastający lęk, niemal panikę. Las był bardzo gęsty i nisko zwisające gałęzie zostawiały na jej nagich ramionach długie zadrapania. Już wiedziała, jak się nazywa jej gnębiel: Casanova. Wyobrażał sobie, że jest słynnym kochankiem, i rzeczywiście potrafił utrzymać erekcję dłużej niż którykolwiek ze znanych jej mężczyzn. Stwarzał pozory rozsądku i opanowania, ale nie wątpiła, że to szaleniec. Choć czasem oczywiście zachowywał się normalnie. Jeśli się tylko uznało jego jedyną zasadę, którą powtórzył jej kilka razy: „Mężczyzna urodził się, by polować... na kobiety”.

Dał jej regulamin i wyraźnie ostrzegł, żeby się zachowywała jak należy. Ale ona nie usłuchała. Była uparta i głupia, i popełniła poważny, taktyczny błąd.

Usiłowała nie myśleć o tym, co z nią zrobi, w tej dziczy, w lesie jak ze „Strefy

mroku”. Ona i tak na pewno dostanie zawału. Nie da mu tej satysfakcji, żeby widział, jak się załamuje i płacze.

Gdyby tylko wyjął jej knebel. Miała spieczone usta i niewyobrażalne pragnienie. Może nawet dałaby radę jakoś go zagadać, odwieść go od tego, co tu dla niej szykował.

Zatrzymała się i spojrzała mu w twarz. Czas się postawić.

–Chcesz tu zostać? Świetnie – zgodził się. – Ale i tak nie pozwolę ci mówić.

ładnych ostatnich słów, serduszko. Żadnego ułaskawienia przez gubernatora, spieprzyłaś to strasznie. Jeśli tu zostaniemy, może ci się nie spodobać. Chcesz iść dalej – też dobrze. Ja po prostu kocham te lasy, a ty?

Musi z nim porozmawiać, jakoś się przebić. Zapytać go dlaczego. Może odwołać się do jego inteligencji. Próbowwała wymówić jego imię, ale spod mokrego knebla wydobył się tylko stłumiony jęk.

Był teraz bardziej zadufany w sobie i spokojniejszy niż zwykle. Szedł pusząc się jak kogut.

–Nie rozumiem ani słowa. I tak by to zresztą nic nie zmieniło – oznajmił.

Na twarzy miał jedną z tych swoich dziwnych masek, które cały czas nosił. Tę akurat zwano maską pośmiertną i używano jej w szpitalach i kostnicach do rekonstrukcji twarzy.

Maska miała niemal idealnie cielisty kolor i była przerażająco realistyczna w każdym szczególe. Wybrał sobie młodą i przystojną, typowo amerykańską twarz. Jak on naprawdę wygląda? Kim on, u diabła, jest? Dlaczego nosi maski?

Jakoś chyba uda mi się uciec, powtarzała sobie w myśli. A potem załatwi, żeby go skazali na tysiąc lat. Nie na karę śmierci – niech cierpi.

–Skoro taki twój wybór, to świetnie – powiedział i kopnięciem w stopy zwałił ją z nóg. Rąbnęła plecami o ziemię. – Umrzesz tutaj.

Ze sfatygowanej czarnej torby lekarskiej wyjął igłę. Wymachiwał nią jak małym mieczykiem. Żeby dziewczyna widziała.

–Ta strzykawka została napełniona tiopentalem sodu, który jest barbiturałem. I działa bardzo barbituranowato. – Wycisnął kropelkę brązowego płynu, wyglądającego jak mrożona herbata. Za nic nie chciała zastrzyku w żyłę z czegoś takiego.

–Co to mi robi?! Co chcesz zrobić?! – krzyczała w mokry knebel. – Wyjmij ni tę szmatę z ust, błagam!

Była złana potem, oddychała z wysiłkiem. Całe ciało miała sztywne, ścierpięte, znieczulone. Dlaczego on jej daje ten barbituran?.

–Jeśli mi coś nie wyjdzie, umrzesz od razu – powiedział. – Więc się nie ruszaj.

Kiwnęła głową, że się zgadza. Tak bardzo chciała mu wyjaśnić, że już teraz będzie grzeczna, że potrafi być bardzo grzeczna. Proszę, nie zabijaj mnie, błagała milcząco. Nie rób tego.

Wkłuł się w żyłę w zgięciu jej łokcia; poczuła bolesne szczypanie.

–Nie chciałbym ci zostawić jakichś brzydkich siniaków – mruknął. – To nie potrwa długo. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, jaka, ty, jesteś, piękna, zero.

**Skończone.**

**Płakała. Nie mogła się powstrzymać. Łzy płynęły jej po policzkach. To świr. zacisnęła mocno powieki, nie chciała już na niego patrzeć. Boże, proszę, nie daj mi tak umrzeć, modliła się. Nie tutaj, tak bez nikogo.**

**Narkotyk zadziałał szybko, niemal natychmiast. Przeniknęło ją ciepło, ciepło i senność. Czowała bezwład w całym ciele.**

**Zdjął jej koszulkę i zaczął bawić się piersiami, jak żongler kulami. Już nie mogła mu w tym przeszkodzić.**

**Rozłożył jej nogi rozciągając rzemień na całą długość i układając je, jakby była ludzką rzeźbą jego dziełem sztuki. Sięgnął ręką między uda, pomacał. Nagłe pchnięcie kazało jej otworzyć oczy, spojrzeć na okropną maskę. Wpatrywał się w nią. Oczy miał puste, bez wyrazu, jednak jego wzrok jakoś dziwnie ją przenikał.**

**Casanova wszedł w nią i poczuła silny wstrząs, jakby poraził ją prąd. Był bardzo twardy, w pełnym wzwodzie. Zagłębiał się w nią a narkotyk zwolna ją zabijał. Oprawca przyglądał się, jak umiera. Właśnie o to w tym wszystkim chodziło.**

**Jej ciało wiło się, rzucało, drgało. Chociaż już tak słaba, próbowała krzyczeć. Nie, proszę, proszę, proszę. Nie rób mi tego!**

**Aż ogarnęła ją litościwa ciemność.**

**Nie wiedziała, na jak długo straciła przytomność. Ale nieważne. Obudziła się i żyje.**

**Zaczęła płakać; spod knebla wydobywały się przepelnione udręką stłumione dźwięki. Po policzkach ciekły jej łzy. Uświadomiła sobie, jak bardzo chce żyć.**

**Stwierdziła że jest w innej pozycji. Ręce miała teraz wykręcone do tyłu i związane za pniem drzewa. Nogi skrzyżowane i skrępowane. Zdjął z niej całe ubranie, ale nigdzie nie widziała swoich rzeczy.**

**Za to on wciąż tu był!**

**–Twoje krzyki wcale by mi nie przeszkadzały – oznajmił. – I tak absolutnie nikt cię nie usłyszy. – Pod podobną do twarzy maską błyszcząły jego oczy. – Nie chciałbym tylko, żebyś wystraszyła głodne ptaszki i zwierzęta. – Spoglądał chwilę na jej piękne ciało. – To bardzo źle, że mnie nie posłuchałaś, że złamałaś regulamin – powiedział.**

**Zdjął maskę, pierwszy raz odsłaniając twarz. Utrwalił sobie w pamięci wizerunek dziewczyny. Potem pochylił się i pocałował ją w usta.**

**Całuj dziewczęta.**

**A potem sobie poszedł.**



## ROZDZIAŁ 4

Cała wściekłość wyparowała ze mnie, kiedy biegłem jak szalony do Szpitala Świętego Antoniego z Marcusem Danielsem w ramionach. Adrenalina opadła, a ja czułem się nienaturalnie znużony.

Poczekalnia izby przyjęć dla nagłych wypadków to był jeden wielki zgiełk i bezsensowne zamieszanie. Dzieci płakały, rodzice zawodzili swoje żale, głośniki bez przerwy wywoływały lekarzy. Jakiś ranny menel mamrotał w kółko: „Ale gównno, ale gównno”.

Wciąż widziałem piękne, smutne oczy Marcusa Daniela. Wciąż słyszałem jego cichy głosik.

Trochę po wpół do siódmej pojawił się niespodziewanie w szpitalu mój partner od łapania bandytów. Coś mi w tym nie grało, ale na razie nie zastanawiałem się co.

John Sampson i ja byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, odkąd jako dziesięciolatki biegaliśmy po tych samych ulicach waszyngtońskiego Southeastu. Jakoś udało nam się przetrwać, nie kończąc z podciętym gardłem. Ja poszedłem na psychologię patologiczną i w końcu zrobiłem doktorat na Uniwersytecie Johna Hopkinsa. Sampson wybrał wojsko. Z jakichś dziwnych, niewyjaśnionych powodów obaj wyładowaliśmy w policji D.C.

Siedziałem na nie przykrytych noszach na kółkach, zaparkowanych pod chirurgią urazową. Obok stał wózek pierwszej pomocy, którym przywieźli Marcusa. Gumowe opaski uciskowe zwisały z jego czarnych poręczy jak proporce.

–Jak chłopak? – spytał Sampson. Wiedział już o Marcusie. Skądś zawsze wszystko wiedział. Deszcz spływał strużkami po jego czarnej pelerynie, ale nie zwracał na to uwagi.

Pokręciłem ponuro głową. Nadal czułem się wypluty.

–Jeszcze nie wiem. Nic mi nie powiedzieli. Lekarz się pytał, czy jestem najbliższym krewnym. Zabrali go na urazówkę. Naprawdę nieźle się pociął. Co cię sprowadza w tej radosnej chwili?

Sampson wydostał się z peleryny i usiadł obok mnie na uginających się noszach. Pod peleryną miał swój typowy ekwipunek detektywa w terenie: czerwono – srebrny dres marki Nike, dobrane pod kolor adidas z wysoką cholewką na rękach cienkie złote bransoletki i sygnety. W teren jak znalazł.

–A gdzie twój złoty ząb? – zdobyłem się na uśmiech. – Powinieneś mieć złoty ząb, aby uzupełnić ten strój tajniaka. Albo chociaż złotą gwiazdkę na zębie. Może kilka warkoczyków?

Sampson parsknął śmiechem.

–Usłyszałem. Przyjechałem – wyjaśnił bez ceregieli swoją obecność w szpitalu. – Z tobą w porządku? Wyglądasz jak ostatni wielki, zły mamut.

–Mały chłopiec chciał się zabić. Słodki chłopczyk, taki jak Damon. Miał jedenaście lat.

–Mam przetrzepać tę ich melinę? Zastrzelić jego rodziców? – spytał Sampson. Spojrzenie miał twarde jak gład.

–Później to zrobimy – odparłem.

I chyba miałem na to ochotę. Dobrą stroną całej historii mogło okazać się jedynie to, że rodzice Marcusa Danielsa mieszkali razem. Złą natomiast fakt, że ich mieszkanie w blokach Langley Terrace, gdzie musiał żyć chłopiec i jego cztery siostry, było meliną w której sprzedawano kompot. Dzieci miały od pięciu do dwunastu lat i wszystkie pracowały w interesie. Były „biegaczami”.

–Ale co ty robisz w szpitalu? – zapytałem ponownie. – Chyba nie znalazłeś się tu przypadkiem? Co jest grane?

Sampson wystukał papierosa z paczki cameli. Jedną ręką. Taki szpan. Zapalił... A naokoło pełno lekarzy i pielęgniarek.

Wyrwałem mu papierosa i zdusiłem go pod podeszwą mojego czarnego adidasa firmy Converse, tuż przy dziurze pod dużym palcem.

–Lepiej ci? – Sampson przyjrzał mi się uważnie, a potem szeroko się uśmiechnął odsłaniając wielkie białe zęby. Koniec sztuczki. Wypróbował na mnie swoje czary, bo to były czary, włączając numer z papierosem. Czuję się lepiej. Sztuczki skutkują. W rzeczy samej, miałem się, jakby mnie właśnie wyściskało z pół tuzina krewnych, a na końcu moje dzieci. Nie bez powodu Sampson jest moim najlepszym przyjacielem. Potrafi mnie pozbierać do kupy jak nikt inny.

–Oto nadchodzi anioł miłosierdzia – powiedział, wskazując w głąb długiego, ogarniętego chaosem korytarza.

Annie Waters szła w naszą stronę z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie szpitalnego fartucha. Twarz miała ściągniętą, ale zawsze ma taką.

–Naprawdę mi przykro, Alex. Chłopiec nie przetrzymał – powiedziała. – Pewnie już dogorywał, kiedy go przyniosłeś. Trzymał się chyba tylko dzięki tej nadziei, której zawsze masz tyle w sobie.

Wróciły do mnie z całą siłą obrazy i uczucia z tych chwil, kiedy biegłem ulicami z Marcusem w ramionach. Potem wyobraziłem sobie, jak go przykrywają szpitalnym prześcieradłem. Prześcieradła dla dzieci są takie małe.

–Ten chłopiec był moim pacjentem. Zgłosił się do mnie tej wiosny – wyjaśniłem tamtym dwojgu przyczyny mojego szału, braku opanowania i nagłej depresji.

–Może ci coś dać, Alex? – spytała Annie z zatroskanym wyrazem twarzy. Pokręciłem głową. Musiałem to powiedzieć, wyrzucić z siebie właśnie teraz.

–Marcus dowiedział się, że czasami pracuję społecznie w szpitalu, rozmawiam z ludźmi. Zaczął przychodzić popołudniami. Gdy już mnie przetestował, opisywał swoje życie w melinie. Wszyscy, których znał, to ćpuny. Dzisiaj też przyszła mi o nim powiedzieć ćpunka. Rita Washington. Nie matka Marcusa, nie ojciec. Chłopiec sam podciął sobie gardło i przeguby. Jedenaście lat.

Miałem mokre oczy. Kiedy umiera mały chłopiec, ktoś powinien zapłakać. A psychiatra jedenastoletniej ofiary samobójstwa powinien wyc wniebogłosy. W każdym razie tak mi się zdawało.

Wreszcie Sampson wstał i położył mi łagodnie rękę na ramieniu. Znów miał dwa metry z hakiem.

–Chodźmy do domu, Alex – powiedział. – Chodź, chłopie.: Już czas. Wszedłem do sali, by spojrzeć na Marcusa po raz ostatni.

**Trzymałem jego małą dłoń i myślałem o rozmowach, jakie prowadziliśmy, o niewypowiedzianym smutku zawsze obecnym w jego oczach. Przypomniało mi się piękne, mądre, afrykańskie przysłowie: „Żeby wychować dziecko, potrzebna jest cała wioska”.**

**W końcu przyszedł Sampson, odciągnął mnie od chłopca i zabrał do domu. Gdzie zrobiło się jeszcze gorzej.**

## ROZDZIAŁ 5

Zupełnie mi się nie podobało to, co tam zobaczyłem. Przed domem parkowało bezładnie mnóstwo samochodów. Dom jest biały i ma dwuspadowy dach; wygląda jak wszystkie w okolicy. Większość aut wydała mi się znajoma – należały do przyjaciół i członków rodziny.

Sampson zaparkował obok powgniatanej dziesięcioletniej toyoty, którą jeździła żona mojego zmarłego brata, Aarona. Cilla Cross to dobry kumpel. Twarda i energiczna, lubię ją nawet bardziej niż brata. Co tu robi Cilla?

–Co tu się, cholera, dzieje w tym domu? – zapytałem Sampsona. Zacząłem się denerwować.

–Zaproś mnie na zimne piwo – odparł, wyjmując kluczyk ze stacyjki. – Tyle chyba możesz zrobić.

Zdążył już wysiąść z auta. Gdy chce, jest szybki jak wichur zimą.

–Wejźmy do środka, Alex – powiedział. Otworzyłem drzwiczki, ale wciąż siedziałem w samochodzie.

–Ja tu mieszkam. Wejść, kiedy mi się będzie chciało – odparłem. A nagle przestało mi się chcieć. Poczulem na karku zimny pot. Paranoja detektywa? Może. A może nie.

–Nie utrudniaj życia! – zawołał Sampson przez ramię. – Chociaż ten jeden raz.

Przez ciało przebiegł mi dreszcz. Wzięłem głęboki oddech. Wspomnienie ludzkiej bestii, którą pomogłem niedawno wsadzić za kratki, wciąż wracało jak koszmar. Naprawdę się bałem, że kiedyś uda mu się uciec. Ten wielokrotny morderca i porywacz już kiedyś się zakradł na Fifth Street.

Co się, do diabła, dzieje w moim domu? – pomyślałem.

Sampson nie zapukał do drzwi ani nie użył dzwonka, zwisającego na niebiesko – czerwonym kablu. Po prostu wlaź do środka, jakby tam mieszkał. Jak zwykle zresztą. *Mi casa es su casa*, mój dom jest twoim domem. Wszedłem za nim do własnego mieszkania.

Mój synek, Damon, rzucił się w jego rozpostarte ramiona, a John uniósł go, jakby dzieciak nic nie ważył. W moją stronę sunęła Jannie, wołając wbiegli: Wielki Tatuś! Była już w swojej śpioszcowatej piżamce i pachniała świeżym talkiem po kąpiel. Moja mała dama. W jej brązowych oczach zauważyłem coś niedobrego. Wyraz jej twarzy mnie zmroził.

–Co ci jest, serduszko? – spytałem, pocierając nosem jej gładki, ciepły policzek. My dwoje często się pocieramy. – Co się stało? Powiedz Wielkiemu Tatusiowi, co cię gnębi i gryzie.

W dużym pokoju dostrzegłem trzy ciotki, dwie szwagierki i jedyne żyjącego brata, Charlesa. Ciotki płakały, wszystkie miały czerwone, napuchnięte twarze. Tak samo szwagierka Cilla, a ona nigdy nie beczy bez powodu.

W pokoju panowała nienaturalna, klaustrofobiczna atmosfera, jak na stypie. Ktoś umarł, pomyślałem. Ktoś, kogo wszyscy kochaliśmy, umarł. Ale wszystkich; których kochałem, mogłem policzyć, bo siedzieli tutaj.

Nana Mama, moja babcia, podawała kawę, mrożoną herbatę i kawałki kurczaka na

zimno, których nikt chyba nie tknął. Nana mieszka ze mną i z dziećmiakami. Uważa, że nas wychowuje, całą trójkę.

Po osiemdziesiątce Nana zmalala do mniej więcej metra pięćdziesięciu. Wciąż jednak jest osobą, która w całej stolicy naszego kraju robi na mnie największe wrażenie. A znam tych osób sporo: Reaganów, ludzi Busha, teraz Clintonów.

Oczy babci, kiedy się tak krzątała, były suche. Bardzo rzadko widziałem ją płaczącą, choć jest osobą niezwykle ciepłą i opiekuńczą. Po prostu już nie płacze. Mówi, że niewiele jej życia zostało i nie będzie go marnować na łzy.

Wszedłem wreszcie do pokoju i zadałem pytanie, które tłuło mi się pod czaszką:  
–Miło was wszystkich widzieć, Charlesie, Cillo, ciociu Tio, ale czy ktoś mógłby mi wreszcie powiedzieć, co się stało?

Wszyscy patrzyli na mnie.

Wciąż trzymałem przytuloną Jannie, a Sampson Damona, który wcisnął mu się pod potężne ramię jak włochata piłka.

Nana przemówiła za wszystkich zebranych. Jej ledwie słyszalne słowa przejęły mnie dotkliwym bólem.

–To Naomi – powiedziała. – Scootchie zginęła, Alex. – I Nana Mama po raz pierwszy od wielu lat rozplakała się rzewnie.

## ROZDZIAŁ 6

Casanova krzyczał, a wydobywający się z głębi jego gardła odgłos przechodził w chrapliwe wycie.

Przedzierał się przez gęsty las, myśląc o dziewczynie, którą zostawił za sobą. O tym, co straszliwego uczynił. Znowu.

Jego drugie ja pragnęło wrócić do niej – uratować – w akcie litości.

Wstrząsało nim teraz poczucie winy i biegł coraz prędeziej i prędeziej. Jego mocny kark i klatka piersiowa zlane były potem. Czuł się słaby, nogi miał jak z waty.

Uświadamiał sobie w pełni, co zrobił. Ale po prostu nie mógł się powstrzymać.

Poza tym, tak było lepiej. Zobaczyła przecież jego twarz. Byłby idiotą myśląc, że mogłaby go kiedykolwiek zrozumieć. Widział ten lęk i obrzydzenie w jej oczach.

Gdyby tylko chciała słuchać, kiedy próbował z nią rozmawiać, naprawdę rozmawiać. W końcu przecież różnił się czymś od innych wielokrotnych morderców – wszystkim jego uczynkom towarzyszyło uczucie. Miłość... i cierpienie utraty...

Gniewnie zerwał z twarzy swoją maskę śmierci. To dziewczyna zawiniła. Teraz znów będzie musiał zmienić osobowość. Nie będzie już Casanovą.

Stanie się sobą. Swoim żalonym, drugim, ja”.

## ROZDZIAŁ 7

To Naomi. Scootchie zginęła, Alex.

Odbywaliśmy najpoważniejszą z dotychczasowych nadzwyczajnych narad? rodziny Cross w naszej kuchni, gdzie zawsze się one odbywały. Nana zrobiła jeszcze kawy, a dla siebie ziołową herbatę. Przedtem położyłem dzieci do łóżka. Następnie otworzyłem butelkę black jacka i nalałem każdemu po ostrym drinku.

Dowiedziałem się, że moja dwudziestodwuletnia siostrzenica zaginęła cztery dni temu w Karolinie Północnej. Tamtejsza policja czekała tak długo, nim się skontaktowała z naszą rodziną w Waszyngtonie. Jako policjant naprawdę nie mogłem tego zrozumieć. Dwa dni to standard w wypadku zaginięcia. Cztery to bezsens.

Naomi Cross studiowała prawo na Uniwersytecie Duke w Durham. Publikowała już w *Law Review* i była jedną z najlepszych na roku. Stanowiła dumę całej naszej rodziny, łącznie ze mną. Kiedy miała trzy czy cztery lata, wymyśliliśmy dla niej przydomek. Scootchie, „skoczek”. Bo zawsze na wszystkich „skakała”. Uwielbiała „skakać” i przytulać się. Kiedy zmarł mój brat Aaron, pomagałem Cilli ją wychowywać. Nie było to trudne ze słodką, zabawną, chętną do współpracy i taką inteligentną Scootchie.

Scootchie zginęła. W Karolinie Północnej! Cztery dni temu, tłuło mi się po głowie.

–Rozmawiałem z detektywem Ruskinem – mówił Sampson do zgromadzonych w kuchni. Starał się nie zachowywać jak gliniarz. Już prowadził sprawę. Beznamiętny i poważny. Sampsonowska twarz.

–Detektyw Ruskin wydawał się zorientowany w sprawie zaginięcia Naomi – ciągnął Sampson. – Przez telefon mówił jak normalny, przyzwoity glina. Coś mi tu jednak nie pasuje. Powiedział, że zniknięcie Naomi zgłosiła jej koleżanka z roku.

Nazywa się Mary Ellen Klouk.

Znałem tę przyjaciółkę Naomi. Studiowała prawo i pochodziła z Garden City na Long Island. Naomi kilka razy przyjechała z Mary Ellen do domu. Kiedyś na Boże Narodzenie byliśmy razem na „Mesjaszu” Handla w Kennedy Center.

Sampson zdjął ciemne okulary i nie zakładał ich z powrotem, co rzadko mu się zdarza. Naomi była jego ulubienicą i doznał, tak samo jak my wszyscy, wstrząsu. Nazywała go „Wasza Ponurość” albo „Pan Darth” a on uwielbiał, gdy się z nim przekomarzała.

–A dlaczego ten detektyw Ruskin nie zadzwonił do nas wcześniej? Dlaczego nikt z uczelni do mnie nie zadzwonił? – dopytywała się moja szwagierka. Cilla ma czterdzieści jeden lat. Mierzy chyba poniżej metra sześćdziesięciu, ale waży prawie sto kilo. Powiedziała mi kiedyś, że nie chce się już wydawać mężczyznom atrakcyjna.

–Nie potrafię jeszcze tego wyjaśnić – odpowiedział Sampson. – Zakazali Mary Ellen Klouk dzwonić do nas.

–Ale co dokładnie Ruskin mówił na temat tego opóźnienia? – zapytałem.

–Że są okoliczności łagodzące. Nie chciał jednak wchodzić w szczegóły, nawet mimo mojego daru przekonywania.

–Powiedziałaś, że możemy z nim porozmawiać osobiście? Sampson skinął powoli głową.

–Uhm. Odparł, że rezultat będzie ten sam. Ja na to, że śmiem wątpić. A on, że okey. Facet chyba niczego się nie boi.

–Czy to czarny? – spytała Nana. Jest rasistką i szczyci się tym. Twierdzi, że w jej wieku już za późno na polityczną poprawność. Nie tyle nie lubi białych, co im nie ufa.

–Nie, ale chyba nie w tym sęk, Nana. Chodzi o coś innego. – Sampson zerknął na mnie ponad stołem. – Myślę, że on nie mógł mówić.

–FBI? – zapytałem. To było najbardziej prawdopodobne, gdy sprawy stawały się zanadto tajne. FBI rozumie, lepiej niż Bell Atlantic, *Washington Post* i *New York Times* razem wzięte, że informacja to władza.

–Bardzo możliwe. Ruskin nie przyznałby tego przez telefon.

–Chyba sam z nim pogadam – oświadczyłem. – Tak będzie najlepiej, jak uważacie?

–Myślę, że masz rację, Alex – odezwała się Cilla ze swojego końca stołu. – A ja się chyba przyłączę – dodał Sampson, szczerząc się jak drapieżny wilk. Potem wszyscy mądrze kiwali głowami i co najmniej jedno „alleluja” rozległo się w zatłoczonej kuchni. Cilla obeszła stół i mocno mnie uściskała. Moja szwagierka trzęsa się jak wielkie, rozłożyste drzewo podczas burzy. Sampson i ja jechaliśmy na Południe. Jechaliśmy po Scootchie.

## ROZDZIAŁ 8

Musiałem powiedzieć Damonowi i Jannie o Cioci Scootch, jak ją nazywają. Dzieci wyczuły, że stało się coś złego. Umiały to rozpoznać, tak jak umiały rozpoznać moje najskrytsze i najbardziej wrażliwe miejsca. Nie chciały zasnąć, póki nie przyszedłem z nimi porozmawiać.

–Gdzie jest Ciocia Scootch? Co się z nią stało? – chciał wiedzieć Damon, natychmiast gdy wszedłem do pokoju. Słyszał dość, by zrozumieć, że Naomi wpadła w jakieś straszne tarapaty.

Staram się mówić dzieciom prawdę, kiedy to tylko możliwe. Nigdy sienie oszukujemy. Ale niekiedy staje się to naprawdę trudne.

–Ciocia Naomi nie odezwała się do nas już od paru dni – zacząłem. – Dlatego wszyscy byli dzisiaj tacy zmartwieni i dlatego do nas przyszli. Teraz ja prowadzę tę sprawę – ciągnąłem. – Zrobię, co tylko się da, żeby niedługo odnaleźć ciocię Naomi. Wiecie, że wasz tata poradzi sobie z każdym kłopotem. Mam rację?

Damon kiwnął głową, że mam; chyba uspokoiło go to, co powiedziałem, ale przede wszystkim mój poważny ton. Przytulił się do mnie i pocałował, co mu się ostatnio już tak często nie zdarza. Jannie leż mi dała mięciutkiego buziaka. Trzymałem oboje w ramionach. Moje słodkie dzieciaczki.

–Tatuś prowadzi sprawę – szepnęła Jannie. To mi trochę dodało ducha. „Pobłogosław Boże, dziecię, które sobie radzi w świecie” – jak śpiewa Billie Holiday.

O jedenastej dzieci już spały i w mieszkaniu zaczęło się uspokajać. Ciotki poszły do domu, do swoich przedziwnych gniazdek starszych pań; Sampson też zbierał się do odejścia.

Zwykle wchodzi i wychodzi sam, ale tym razem wyjątkowo odprowadziła go do drzwi Nana Mama. Poszedłem z nimi. W kupie rażniej.

–Dziękuję, że jedziesz jutro z Alexem na Południe – powiedziała Nana do Sampsona konspiracyjnym tonem. Ciekaw byłem, kto jej zdaniem mógł podsłuchiwać nasze tajemnice. – Widzisz, Johnie Sampson, jednak potrafisz się zachować jak człowiek cywilizowany i przydać się na coś, jeśli tylko chcesz. Zawsze ci to mówiłam. – Stuknęła go zgiętym, sękatym palcem w masywny podbródek. – Nie mówiłam ci?

Sampson wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu. Puszy się swoją wyjątkową posturą nawet przed osiemdziesięcioletnimi kobietami.

–Niech Alex najpierw jedzie sam, Nana; potem ja pojedę za nim. Żeby uratować jego i Naomi.

Nana i Sampson gadali niczym dwa kruki na starym parkanie w rysunkowym filmie. Dobrze było słyszeć ich śmiech. A potem jakoś udało jej się objąć ramionami nas obu. Stała tak, mała starsza pani, przytulona do swoich dwóch ulubionych dębów. Czulem, jak drży jej kruche ciało. Nana Mama nie przytulała nas w ten sposób już od dwudziestu lat. Wiedziałem, że kocha Naomi jak własne dziecko i że bardzo się o nią boi.

To nie Naomi. Nic złego nie mogło się jej przydarzyć; nie Naomi, wciąż chodziło mi po głowie. Ale jednak coś jej się przydarzyło i muszę teraz zacząć myśleć i działać jak policjant. Jak detektyw z wydziału zabójstw. Na Południu.



**„Nie traćcie wiary i podążajcie do nieznanego końca”. To słowa Olivera Wendella Holmesa, przedwojennego sędziego sądu najwyższego. Nie traćłem wiary. Podążałem za nieznanym. Tak rozumiem swój zawód.**

## ROZDZIAŁ 9

O siódmej wieczorem, w końcu kwietnia, w przepięknym kampusie Uniwersytetu Duke w Durham panowało niezwykle ożywienie. Liczną obecność studentów tego samozwańczego „Harvardu Południa” odczuwało się na każdym kroku. Magnolie, które najobficiej rosły wzdłuż ulicy Chapel Drive, rozkwitły w pełni. Cały teren uniwersytecki był dobrze utrzymany i panował tu uderzający porządek, co czyniło go jednym z najprzyjemniejszych dla oka miasteczek akademickich w Stanach Zjednoczonych.

Wonne powietrze upajało Casanovę, który właśnie mijał wysoką bramę z szarego kamienia, kierując się w stronę Campusu Zachodniego. Było parę minut po siódmej. Przyszedł tu tylko z jednego powodu – żeby zapolować. Cały ten rytuał porywał go i ożywiał. Gdy się tylko rozpoczął, nie umiał go powstrzymać. Teraz trwała gra wstępną. Cudowna w każdym calu.

Jestem jak rekin ludojad, z mózgiem człowieka, z sercem nawet, myślał Casanova po drodze. Jestem drapieźnikiem niezrównanym, myślącym drapieźnikiem.

Uważał, że wszyscy mężczyźni kochają takie polowanie – po to żyją w gruncie rzeczy – choć większość z nich nie przyznałaby się do tego. Męskie oczy nigdy nie przestają słuchać pięknych, zmysłowych kobiet, albo seksownych chłopców, skoro już o tym mowa. A co dopiero w tak znakomitych miejscach jak campus Duke albo miasteczka akademickie Uniwersytetu Karoliny Północnej w Chapel Hill czy Uniwersytetu Stanowego Karoliny Północnej w Raleigh i wiele innych kampusów na Południowym Wschodzie, które zdążył już odwiedzić.

Spójrzcie tylko na nie! Dumne dziewczęta z Duke z pewnością można zaliczyć do grona najświetniejszych, najbardziej współczesnych kobiet Ameryki. Nawet gdy miały na sobie brudne podkoszulki czy idiotyczne džinsy z dziurami albo workowate spodnie na szelkach, było na co spojrzeć, było się czemu przyglądać, a czasem i fotografować. I było o czym fantazjować bez końca.

Nie ma na świecie nic lepszego, myślał Casanova, pogwizdując parę taktów starej, skocznej piosenki country o próżniaczym życiu w Karolinie.

Popijał lodowatą coca – colę i przyglądał się rozbawionym studentom. On sam też się bawił, testował swoją zręczność, prowadząc kilka skomplikowanych gier naraz. Te gry stały się jego życiem. To, że miał „szanowany” zawód, inne życie, już się nie liczyło.

Przypatrywał się każdej przechodzącej kobiecie, której wygląd dawał choćby cień szansy na znalezienie się w jego kolekcji. Obserwował młode, zgrabne studentki, starsze asystentki, a także kobiety spoza kampusu, w koszulkach drużyny futbolowej „Blue Devils”, które stanowiły chyba obowiązkowy uniform wszystkich odwiedzających.

Oblizywał wargi w oczekiwaniu na to, co nastąpi. A miało zdarzyć się coś zupełnie wspaniałego...

Wysoka, smukła, prześliczna, czarna dziewczyna siedziała oparta o stary dąb w kwartale Edens Quad. Czytała *Chronicle*, uczelnianą gazetę, którą złożyła na pół. Zachwyił go gładki połysk jej brązowej skóry i artystycznie spleciona fryzura.

**Poszedł jednak dalej.**

**Tak, mężczyźni to urodzeni myśliwi, myślał. Znów pogrążony w swoim własnym świecie. „Wierni” mężowie byli och – jak – ostrożni w swych ukradkowych spojrzeniach. Czyste oczy jedenasto – czy dwunastolatków wyrażały tylko chęć niewinnej zabawy. Dziadkowie udawali, że są już ponad całą tą walką i mieli tylko „urocze” słabości. Ale Casanova wiedział, że wszyscy oni obserwują kobiety, nieustannie selekcjonują, opętani pragnieniem udoskonalania swych myśliwskich zdolności od czasu dojrzewania aż po grób.**

**To biologiczna konieczność. Był tego całkowicie pewien. Kobiety żądają dziś od mężczyzn akceptacji faktu, że ich biologiczny zegar nie stoi w miejscu... w porządku; w takim razie u mężczyzn to raczej ich biologiczny kutas nie stoi w miejscu.**

**Cały czas chodzą te kutasy.**

**To też jest prawo natury. Wszędzie i zawsze, o każdej porze dnia i nocy, czuć; wewnątrz to rytmiczne pulsowanie.**

**Kutas – tik!**

**Kutas – tak!**

**Na trawniku, przez który biegła ścieżka Casanovy, siedziała ze skrzyżowanym nogami piękna studentka o miodowych włosach. Czytała kieszonkowe wydanie „Filozofii bytu” Jaspersa. Z jej przenośnego odtwarzacza CD wydobywał się grunge – rock w wykonaniu grupy Smashing Pumpkins, jednostajne dźwięki płynęły jak mantra. Casanova uśmiechnął się do siebie.**

**Kutas – tik!**

**Polował nieustępliwie. Był Priapem, królem prokreacji lat pięćdziesiątych. Tym się właśnie różnił od tych – jakże wielu – bezjajecznych mężczyzn dzisiejszych czasów, że działał zgodnie ze swymi naturalnymi impulsami.**

**Niezmordowanie poszukiwał kobiety o niezwyklej urodzie – a potem ją sobie przywłaszczał! Cóż za horrendalnie prosty pomysł. Jakiż zniewalająco współczesny horror.**

**Przyglądał się dwóm drobnym Japonczkom, pochłaniającym tłuste befsztyki z Crooks Corner II, nowej restauracji w Durham. Wyglądały tak smakowicie pożerając jak zwierzątka te swoje befsztyki, które robi się z bardzo drobno posiekanej, przysmażonej na wolnym ogniu wieprzowiny, przyprawionej sosem z odrobiną octu. Nie jada się tego bez surówki z kapusty i kukurydzianych słonych ciasteczek.**

**Uśmiechnął się na widok niezwyklej scenki. Mniem.**

**Szedł dalej. Obrazy i widoki przyciągały wzrok. Kolczyki w brwiach. Tatuże na kostkach. Odlotowe koszulki. Przepływające obok piękne piersi, nogi, uda; gdziekolwiek by spojrzeć.**

**Dotarł w końcu do North Division, niewielkiego neogotyckiego budynku w pobliżu Szpitala Uniwersyteckiego. Był to oddział terapii specjalnej, na którym nieuleczalnie chorzy na raka z całego Południa znajdowali opiekę podczas swych ostatnich dni. Całym ciałem Casanovy wstrząsnął kilkakrotnie lekki dreszcz; serce zaczęło mu bić mocniej.**

**To ona!**

## ROZDZIAŁ 10

Oto najpiękniejsza kobieta Południa! Piękna pod każdym względem. Nie tylko ponętna fizycznie – również niesamowicie inteligentna. Może się okazać, że będzie w stanie go zrozumieć. Może jest równie wyjątkowa jak on, myślał gorączkowo.

Prawie wypowiedział te słowa na głos; wierzył, że są absolutną prawdą. Nim wybrał kolejną ofiarę, naprawdę porządnie odrobił lekcje. Czoło nabrzmiało mu krwią. Dygotał na całym ciele.

Nazywała się Kate McTiernan. A dokładnie Katleya Margaret McTiernan. Lubił dokładność.

Wychodziła właśnie z budynku, w którym mieścił się oddział nieuleczalnie chorych na raka. Odpracowywała tam stypendium, jakie pobierała podczas studiów medycznych. Była zupełnie sama, jak zwykle. Ostatni chłopak ostrzegł ją, że skończy jako „piękna stara panna”.

Szanse na to były spore. Kate McTiernan najwyraźniej zdecydowała, że woli samotność. Mogłaby mieć każdego. Uderzająco piękna, inteligentna i współczująca – jak zauważył. Była też jednak pracusiem. Niesłychanie oddanym swoim medycznym studiom i obowiązkom w szpitalu.

Wszystko miała w sam raz, cenił to sobie. Długie kręcone włosy ładnie okalały szczupłą twarz. Ciemnobrązowe oczy skrzyły się, szczególnie gdy się śmiała. Jej śmiech zwracał uwagę, porywał. Amerykańska w każdym calu, a zarazem niebanalna. Twarda, lecz o miękkim i kobiecym wyglądzie.

Obserwował jak startują do niej inni mężczyźni – studenckie ogiery, a czasem nawet jakiś rozochocony, zabawny profesorek. Nie przeciwstawiała się temu, ale widział, jak robi uniki, nie pozbawione zwykle pewnej uprzejmości czy jakiegoś wielkodusznego gestu. Zawsze też towarzyszył im piekielny, łamiący serce uśmieszek. Nie jestem do. wzięcia, oznajmiał. Nie możesz mnie mieć. Proszę, nawet o tym nie myśl. Nie chodzi o to, że się okażę za dobra dla ciebie. Po prostu jestem... inna.

Kate Niezawodna, Kate Sympatyczna, zjawiała się dziś jak zwykle punktualnie. Zawsze wychodziła z oddziału między za piętnaście ósma a ósmą. Miała swój rozkład jazdy, tak jak on.

Nie tylko odrabiała stypendium fundowane w szpitalu Uniwersytetu Karoliny i Północnej, ale brała też udział w programie współpracy z Duke. Oddział onkologii eksperymentalnej. Wiedział wszystko o Kate McTiernan.

Za kilka tygodni skończy trzydzieści jeden lat. Musiała przepracować trzy lata, żeby spłacić koszty nauki na medycynie. Przedtem spędziła dwa lata z chorą matką w Buck, w Wirginii Zachodniej. Szła zdecydowanym krokiem po Flowers Drive, w stronę wielopoziomowego garażu Centrum Medycznego. Musiał przyspieszyć, żeby za nią nadążyć, cały czas przypatrując się jej długim, kształtnym nogom, trochę zbyt bladym jak na jego gust. Brak czasu na opalanie, Kate? Czy boimy się rączka skóry? Niosła jakieś opasłe książki medyczne, opierając je o biodro. Przystojniutka i mądrutka. Zamierzała otworzyć praktykę w Wirginii Zachodniej, tam skąd pochodziła. Wyglądało, że nie zależy jej na wysokich zarobkach. Po co? Żeby sobie kupić

**dziesięć par takich czarnych adidasów?**

**Kate McTiernan miała na sobie zwykły uczelniany strój: biały i świeży fartuch i akademii medycznej, koszulę khaki, sfatygowane skórzane spodnie i nieodłączne czarne adidas. Pasował do niej ten ubiór. Kate Charaktema. Lekko nieźrównoważona. Nieobliczalna. Dziwnie i mocno pociągająca.**

**Byłoby jej do twarzy w czymkolwiek. Nawet w najbardziej zgrzebnej wersji taniej elegancji. Szczególnie podobało mu się jej zupełne lekceważenie dla uczelnianego i szpitalnego życia, a przede wszystkim dla świętoszkowatej atmosfery wydziału medycyny. Okazywała to sposobem ubierania się, nonszalancją z jaką się nosiła, całym stylem życia. Rzadko się malowała. Była całkowicie naturalna i jak dotąd nie zauważył w niej nic sztucznego czy szpanerskiego.**

**Dość niespodziewanie dostrzegł w niej nawet pewną niezdarność. Na początku tygodnia widział, jak strasznie się zaczerwieniła, gdy potknęła się o barierkę przed Biblioteką Perkinsa i runęła biodrem na ławkę. Bardzo go to rozczuliło. Potrafił się wzruszyć, poczuć ludzkie ciepło. Chciał, by Kate go kochała... I chciał też ją za to kochać.**

**To dlatego był tak wyjątkowy, taki inny. Tym właśnie się różnił od tych wszystkich tępych morderców, rzeźników, o których tak wiele czytał. A przeczytał chyba wszystko na ten temat. Był w pełni czującą istotą. I kochającą.**

**Kate mijala właśnie jednego z wykładowców i rzuciła mu jakiś żarcik. Ze swego punktu obserwacyjnego Casanova nie słyszał, co to było. Potem odwróciła się jeszcze z szybką ripostą ale nie zatrzymała się, zostawiając profesorowi swój promienny uśmiech, żeby miał o czym myśleć.**

**Piersi Kate lekko się poruszyły, gdy okręciła się na pięcie po tej krótkiej wymianie zdań. Biust miała nie za duży i nie za mały. Jej długie i gęste brązowe włosy falowały i lśniły rudawym połyskiem we wczesnowieczornym świetle. Sto. procent perfekcji.**

**Obserwował ją tak od czterech tygodni i był już pewien, że to ta wybrana. Kochał doktor Kate McTiernan bardziej niż wszystkie inne. Wierzył w to chwilami. Aż się skręcał, żeby uwierzyć. Wymówił cicho jej imię - Kate...**

**Doktor Kate.**

**Kutas – tik.**

## ROZDZIAŁ 11

Zmienialiśmy się przy kierownicy podczas czterogodzinnej trasy z Waszyngtonu do Karoliny Północnej. Kiedy ja prowadziłem, Człowiek Góra spał. Był w czarnej koszulce z napisem: OCHRONA. Oto oszczędność słów.

Kiedy Sampson siedział za sterami mojego zabytkowego porsche, zakładałem stare słuchawki i słuchałem Big Joe Williamsa rozmyślając o Scootchie. Nadal czułem się w środku zupełnie wydrażony.

Nie mogłem spać; poprzedniej nocy zdrzemnąłem się chyba ledwie godzinę. Pograżyłem się w nieutulonym żalu jak ojciec, któremu zginęła jedyna córka. Cała ta sprawa wyglądała bardzo niedobrze.

O dwunastej byliśmy już na Południu. Urodziłem się jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, w Winston – Salem. Nie byłem tam, odkąd skończyłem dziesięć lat, kiedy to zmarła moja matka, a ja przeprowadziłem się z braćmi do Waszyngtonu.

Jeździłem już przedtem do Durham, na uroczystość promocji Naomi. Ukończyła trzyletnie studia zawodowe na Duke z wyróżnieniem i urządzono jej największą, najbardziej radosną owację w historii tej ceremonii. Rodzina Cross stawiała się wówczas w pełnym składzie. Byliśmy szczęśliwi i dumni jak nigdy.

Naomi to jedyne dziecko mojego brata Aarona, który zmarł na marskość, wątroby w wieku trzydziestu trzech lat. Po jego śmierci szybko dorosła. Jej matka musiała pracować po sześćdziesiąt godzin na tydzień, żeby zarobić na życie, więc Naomi, odkąd skończyła dziesięć lat, zajmowała się domem. Najmniejszy generał w rodzinie.

Była dziewczynką nad wiek rozwiniętą; przeczytała „Alicję w krainie czarów” mając zaledwie cztery lata. Przyjaciel rodziny uczył ją gry na skrzypcach, grała niezłe. Kochała muzykę i grywała jeszcze teraz, w każdej wolnej chwili. Zdała maturę w John Carroll High School w Waszyngtonie jako najlepsza z klasy. Choć tak zajęta studiami, znajdowała jeszcze czas na pisanie pełnych wdzięku opowiadań o dorastaniu w murzyńskim blokowisku. Przypominała mi młodą Alice Walker.

Utalentowana. Wyjątkowa.

Zaginiona od czterech dni. Na nasze powitanie przed nowiutkim budynkiem Komendy Policji w Durham nie rozpostarto czerwonego dywanu, nawet wówczas, gdy pokazaliśmy z Sampsonem plakietki i legitymacje z Waszyngtonu. Na oficerze dyżurnym nie zrobiło to żadnego wrażenia.

Był trochę podobny do Willarda Scotta, który zapowiada pogodę w TV. Ostrzyżony jak rekrut, z długimi, szerokimi baczkami, miał skórę koloru świeżej szynki. Kiedy dowiedział się, kim jesteśmy, sytuacja jeszcze się pogorszyła. Ani dywanu, ani słynnej gościnności, ani wygod Południa.

Musieliśmy odsiedzieć swoje w dyżurce komendy. Całej w drewnie na wysoki połysk i przeszklonej od góry do dołu. Patrzono na nas wrogo i rzucano puste spojrzenia, zwykle zarezerwowane dla złapanych na terenach szkolnych handlarzy narkotyków.

–Całkiem jakbyśmy wylądowali na Marsie – mówił Sampson, gdy tak siedzieliśmy, przyglądając się korowodowi znamienitych obywateli i obywaterek miasta Durham składających swoje skargi. – Nie podoba mi się to uczucie, którym darzą mnie

Marsjanie. Nie podobają mi się te ich oczka jak paciorki. Chyba w ogóle mi się nie podoba to nowe Południe.

–Jak się nad tym zastanowić, wszędzie byś trafił na to samo – tłumaczyłem mu. – Takie samo przyjęcie, te same zimne spojrzenia znalazłbyś W Komendzie Głównej w Nairobi.

–Możliwe. – Sampson, schowany za ciemnymi okularami, pokiwał głową. – Ale tamci Marsjanie są przynajmniej czarni. I na pewno wiedzą, kto to był John Coltrane.

W godzinę i kwadrans po naszym przybyciu pojawili się wreszcie detektywi z Durham, Nick Ruskin i Davey Sikes.

Ruskin przypominał mi trochę Michaela Duglasa w rolach złych gliniarzy. Ubranie miał starannie dobrane: zielono – beżowa tweedowa marynarka, wytarte dżinsy, żółte polo. Brązowe włosy zaczesane do tyłu i przycięte w kancik. Mojego wzrostu, czyli miał te swoje metr dziewięćdziesiąt siedem.

Davey Sikes też był dobrze zbudowany. Miał dużą głowę, tworzącą potężny blok z prostokątnymi ramionami. W jego sennych jasnobrązowych oczach nie mogłem dojrzeć choćby śladu uczuć. Typ pomocnika, na pewno nie przywódcy. Przynajmniej jeśli pierwsze wrażenie nie myli.

Obaj detektywi uścisnęli nam dłonie i zachowywali się, jakby wszystko zostało wybaczone – to znaczy, jak gdyby oni wybaczyli nam, że przeszkadzamy. Miałem wrażenie, że szczególnie Ruskin jest tu w swoim żywiole. Chyba robił za miejscową gwiazdę. Najważniejszy człowiek w okolicy. Idol wszystkich pań na popołudniówkach w miejscowym teatrze.

–Detektywie Cross, detektywie Sampson, przepraszam, że musieliście czekać. Mieliśmy tu dziś od cholery roboty – powiedział Nick Ruskin. Mówił z lekkim południowym akcentem. Bardzo pewny siebie.

Nie wspomniał jeszcze o Naomi. Detektyw Sikes milczał. Nie odezwał się słowem.

–Może byście się przejechali z Daveyem i ze mną? – zaproponował Ruskin. – Wprowadzę was w sprawę po drodze. Mieliśmy zabójstwo. To nas tak zatrzymało. W Efland znaleziono ciało kobiety. Bardzo kiepsko to wygląda.

## ROZDZIAŁ 12

Bardzo kiepsko to wygląda. Ciało kobiety w Efland. Co to za kobieta?

Podążyliśmy za Ruskinem i Sikesem do ich auta, saaba turbo w kolorze leśnej zieleni. Ruskin siadł za kierownicą. Przypomniały mi się słowa z „Hill Street Bhs” Sergeanta Esterhausa: „Uważajmy tam na siebie”.

–Wie pan w ogóle coś o tej zamordowanej kobiecie? – zapytałem Ruskina, gdy wjeżdżaliśmy na West Chapel Hill Street. Włączył syrenę i nieźle już się rozpędził. Prowadził ostro, jakby się popisywał.

–Nie tyle, ile bym chciał – odparł. – To właśnie mój i Daveya problem z tym śledztwem. Prawie niczego nie możemy wyniuchać. Chyba dlatego jesteśmy dziś w takich świetnych humorach. Zdążyliście zauważyć?

–Taa, zdążyliśmy – odezwał się Sampson. Siedzieliśmy obaj z tyłu i nawet nie musiałem na niego patrzeć. Czułem jednak, jak mu się podnosi poziom adrenaliny. Zaczynało mu dymić z czaszki.

Davey Sikes obejrzał się na Sampsona i zmarszczył brwi. Coś czułem, że nie zostaną najlepszymi kumplami.

Ruskin przemawiał dalej. Lubił chyba znaleźć się w światłach rampy, prowadzić Dużą Sprawę.

–Całość przejęło już FBI. Urząd Antynarkotykowy też się wmieszał. Nie zdziwiłbym się, gdyby do tego ich „zespołu specjalnego” doszła jeszcze CIA. Już zresztą przysłali jakiegoś szurniętego specja z tego swojego ekstrabiura w Sanford.

–A co to znaczy całą tę sprawę? – spytałem. W głowie brzęczały mi ostrzegawcze dzwonki. Myślałem o Naomi.

Bardzo kiepsko to wygląda, pomyślałem.

Ruskin odwrócił się nagle i zmierzył mnie wzrokiem tymi swoimi świdrującymi niebieskimi oczami.

–Rozumiecie chyba, że nie wolno nam nic mówić. Nie mamy też prawa zabierać was ze sobą.

–Słyszę, co pan do mnie mówi – odparłem. – I doceniam pańską pomoc. Davey Sikes znów się nam przyglądał. Czułem się, jakbyśmy byli z Sampsonem w przeciwnej niż tamci drużynie, patrząc ponad linią środkową w oczekiwaniu na pierwsze zagranie, na zderzenie ciał.

–Jesteśmy w drodze na miejsce trzeciego zabójstwa – ciągnął Ruskin. – Nie wiem, kim jest ofiara. Chyba nie muszę dodawać, że mam nadzieję, że to nie pana siostrzenica.

–Ale o co chodzi w tej całej sprawie? – zapytał Sampson. Wyprostował się na siedzeniu. – Jesteśmy wszyscy gliniarzami. Mów pan z nami wprost.

Detektyw z Durham zawahał się chwilę, zanim odpowiedział.

–Pewna liczba kobiet, powiedzmy kilka kobiet, zaginęła na terenie trzech hrabstw: Durham, Chatham i Orange – gdzie teraz jesteśmy. Prasa opisała jak dotąd parę zaginięć i dwa morderstwa. Nie powiązane morderstwa.

–Niech mi pan tylko nie mówi, że media współpracują z wami w śledztwie – wtrąciłem się.



– Nawet w najbardziej świńskim śnie coś takiego by mi nie przyszło do głowy zdobył się na uśmiech Ruskin. – Wiedzą tylko tyle, ile im powie FBI. Nikt zresztą nie ukrywa przed nimi informacji, ale też i nikt się nie wrywa na ochotnika.

– Mówił pan, że zaginęło kilka młodych kobiet. Ile dokładnie? Proszę mi coś o nich powiedzieć.

– Zniknęło osiem do dziesięciu kobiet – zaczął półgębkiem Ruskin. – Wszystko osiemnasto – dwudziestoparolatki. Studentki albo ostatnie klasy szkoły średniej.

Znaleziono jednak tylko dwa ciała. To, które jedziemy obejrzeć, może będzie trzecie. Wszystkie ciała odkryto w ciągu ostatnich pięciu tygodni. Federalni uważają, że jesteśmy właśnie w samym środku najgorszej serii porwań i morderstw w historii Południa.

– Ilu jest w mieście tych z FBI? – zapytał Sampson. – Oddział? Cały batalion? – Rzucili wszystkie siły. Mają „dowody”, że zaginięcia sięgają poza granice stanu – do Wirginii, Karoliny Południowej, Georgii, aż po Florydę. Uważają że to nasz misiaczek porwał liderkę zespołu dopingującego z uniwerku stanowego podczas tegorocznych rozgrywek futbolowych na Florydzie. Nazwali go „Bestią Południowego Wschodu”. Jest jak niewidzialny. To on panuje nad sytuacją. Przybrał imię Casanova... wierzy, że jest legendarnym kochankiem.

– Czy Casanova zostawia liściki miłosne na miejscu morderstwa? – zapytałem.

– Tylko ostatnim razem. Wygląda, że wyłazi ze skorupy. Chce nawiązać z kimś kontakt. Poinformował nas, że jest Casanova.

– Czy wśród ofiar były czarne? – pytałem dalej Ruskina. Do cech wyróżniających seryjnych zabójców należy i taka, że zwykle wybierają ofiary jednej rasy. Same białe. Same czarne. Same Latynoski. Nie mieszać za dużo, to reguła.

– Wśród zaginionych jest jedna czarna. Studentka z Uniwersytetu Centralnego Karoliny Północnej. Oba odnalezione przez nas ciała były białe. Wszystkie zaginione to kobiety niezwykle atrakcyjne. Mamy na komendzie tablicę z ich fotografiami. Ktoś już wymyślił nazwę: „Piękne i Bestia” – i wołami podpisał te wszystkie zdjęcia. To jeszcze jeden punkt zaczepienia w sprawie.

– Czy Naomi Cross pasuje do tego schematu? – spytał cicho Sampson. – Cokolwiek tam ustalił ten „zespół specjalny”?

Nick Ruskin nie odpowiedział od razu. Nie wiedziałem, czy się zastanawia, czy tylko sili na delikatność.

– Czy zdjęcie Naomi jest na tej tablicy z „Pięknymi i Bestią”? – zapytałem wprost.

– Tak – zdobył się w końcu na odpowiedź Davey Sikes. – Jej zdjęcie też tam jest.

## ROZDZIAŁ 13

Niech to nie będzie Scootchie. Ona dopiero wchodzi w życie, modliłem się w duchu, kiedy pędziliśmy na miejsce zbrodni.

W dzisiejszym świecie tylu najróżniejszych, niewinnych, niczego się nie spodziewającym ludziom przydarzają się rzeczy niewypowiedzianie straszliwe. Praktycznie w każdym wielkim mieście, ale i w małych miasteczkach, nawet w wioskach. A najgorsze z tych niesłychanych przestępstw popełniane są chyba najczęściej w Ameryce.

Kiedy pokonaliśmy ostry zakręt, ujrzeliśmy błyski czerwono – niebieskich kogutów, Ruskin gwałtownie zredukował bieg. Na horyzoncie zamajaczyły sylwetki aut policyjnych i karetok pogotowia, zgromadzonych na skraju gęstego sosnowego lasu.

Kilka pojazdów stało byle jak na poboczu dwupasmowej drogi stanowej. W tym sercu leśnej głuszy nie było prawie ruchu. Nawet adwokackie hieny, żerujące na wypadkach, jeszcze tu nie dotarły. Ruskin zatrzymał się za ostatnim autem w szeregu, ciemnoniebieskim lincolnem town car, który mógłby spokojnie mieć na dachu tabliczkę z napisem FBI.

Na miejscu najświeższej zbrodni akcja była w toku. Teren ogrodzono rozpiętą między sosnami żółtą taśmą. Dwie „erki” ustawiły się przyplaszczonymi nosami w stronę kępy drzew.

Wysiadając z samochodu poczułem się niemal oddzielony od własnego ciała. Zawężiło mi się pole widzenia.

Zupełnie jakbym się pierwszy raz znalazł na miejscu przestępstwa. Zbyt żywo jeszcze pamiętałem sprawę Gary Soneji'ego. Dziecko znalezione nad mulistą rzeką. Okropne wspomnienia mieszały się z przerażającą chwilą obecną.

Niech to nie będzie Scootchie.

Szliśmy za Ruskinem i Sikesem, Sampson przytrzymywał mnie lekko za ramię. Zagłębiliśmy się ponad kilometr w gęsty las. W końcu dostrzegliśmy sylwetki kilkunastu mężczyzn i paru kobiet w wysokim sosnowym zagajniku.

Co najmniej połowa obecnych miała na sobie ciemne, urzędowe garnitury. Zupełnie jakbyśmy trafili na jakąś zaimprovizowaną wycieczkę księgowych albo sabat prawników czy bankierów z wielkiego miasta.

Atmosfera była niesamowita; panowała całkowita cisza, jeśli nie liczyć pstrykania aparatów ekipy technicznej. Robili zbliżenia wszystkiego.

Kilku specjalistów założyło już gumowe rękawiczki; zabezpieczali ślady, zapisywali coś w kołnotatnikach.

Pojawiło się we mnie nagle, jak nie z tego świata, przeczucie, że oto zaraz znajdziemy Scootchie. Aż mi skóra ścierpła. Odepchnąłem to wrażenie, odrzuciłem je, jak nie chciane dotknięcie anioła czy Boga. Potrząsnąłem głową, jakby to mnie mogło osłonić przed czymś nieuchronnym.

–Oto FBI – mruknął Sampson. – Na Szlaku Wielkiej Przygody. – Mieliśmy wrażenie, że podchodzimy do wielkiego gniazda szerszeni. Wszędzie stali agenci, szepcząc sobie do ucha sekrety.

**Moja uwaga skoncentrowała się na przejmującym szeleście liści pod stopami, na trzasku łamiących się gałązek. W tym momencie przestałem być policjantem.**

**Wreszcie ujrzeliśmy nagie ciało, w każdym razie jego pozostałości. Na miejscu zbrodni nie było śladu odzieży. Kobietę przywiązano do młodego drzewka grubym rzemieniem.**

**–O Jezu, Alex! – westchnął Sampson.**

## ROZDZIAŁ 14

–Kto to jest? – spytałem cicho, gdy podeszliśmy do tej niesamowitej policyjnej grupy, tego „wielokompetencyjnego bajzlu”, jak to określił Nick Ruskin.

To był trup białej kobiety. W tej chwili niewiele więcej dało się o niej powiedzieć. Nie bardzo przypominała istotę ludzką, bowiem ciałem pożywiły się już ptaki, i zwierzęta. Nie było nieruchomego, martwego spojrzenia; zostały tylko oczodoły, jak wypalone piętna. Ofiara nie miała twarzy, skóra i tkanka zostały wyżarte.

–A ci dwaj, to cholera kto? – zwróciła się do Ruskina jedna z agentek FBI, ciężkawa blondyna po trzydziestce. Równie nieatrakcyjna jak niemila, miała wydatne wargi i kulibniasty, haczykowany nos. Darowała sobie przynajmniej len ich typowy uśmiech w stylu „jesteśmy na wczasach” czy „roześmianą grabulę”, z których słynie Biuro.

Nick Ruskin potraktował ją ostro. Pierwszy raz poczułem do niego sympatię.

–To detektyw Alex Cross, a to jego partner, detektyw John Sampson. Przyjechali z D.C. Siostrzenica detektywa Crossajest jedną z zaginionych z Duke. Nazywa się Naomi Cross. A to szef akcji, agent specjalny Joyce Kinney – przedstawił nas na koniec blondynie.

Agent Kinney zmarszczyła brwi, chyba chciała zrobić groźną minę.

–Noo, to tutaj to z pewnością nie pańska siostrzenica – stwierdziła. – Byłabym wdzięczna, gdybyście zaraz wrócili do samochodu. Bardzo proszę. – Nie wytrzymała, żeby nie dodać: – Nie zlecono wam prowadzenia tej sprawy i w ogóle nie macie prawa tu pozostawać.

–Jak już wyjaśnił detektyw Ruskin, zaginęła moja siostrzenica – zwróciłem się spokojnym, lecz stanowczym tonem do agenta specjalnego Joyce Kinney. – To jedyne zlecenie, jakiego mi trzeba. Nie przyjechaliśmy tu podziwiać skórzanej tapicerki ani deski rozdzielczej w sportowym samochodzie detektywa Ruskina.

Dobrze zbudowany blondyn, koło trzydziestki, wyrósł nagle u boku szefowej.

–Chyba żeście słyszeli, co powiedziała agent Kinney. Byłbym wdzięczny, gdybyście zaraz wrócili do samochodu – oświadczył. W innych okolicznościach można by się pośmiać z jego nadętego tonu. Ale nie dziś. Nie w obliczu takiej masakry.

–Nie ma siły, żeby pan nas powstrzymał. – Sampson odezwał się do blondyna swoim najbardziej ponurym tonem. – Nie pan. I nie pańscy odpicowani kumple.

–W porządku, Mark – zwróciła się agent Kinney do młodszego kolegi. – Zajmiemy się tym później. – Agent Mark wycofał się, ale nie omieszkał rzucić nam spode łba straszliwego spojrzenia, podobnego do tych, które rzucała jego szefowa. Ruskin i Sikes, widząc jego odwrót, parsknęli śmiechem.

Tak więc pozwolono nam zostać z FBI i miejscową policją na miejscu przestępstwa. Piękne i Bestia. Przypomniało mi się, co mówił w aucie Ruskin. Zdjęcie Naomi wisiało na tablicy Bestii. Czy wisiało tam też zdjęcie tej zabitej kobiety?

Było gorąco i wilgotno; ciało rozkładało się szybko. Leśne zwierzęta narobiły tu wiele spustoszeń i miałem tylko nadzieję, że kobieta już nie żyła, gdy zaczęły. Ale nie wiedzieć czemu przypuszczałem, że żyła.

Zauważyłem nietypową pozycję ciała. Leżało na plecach. Obie ręce wyglądały na wykręcone ze stawów, być może wtedy, gdy walczyła, by się wyrwać z więzów. Czegoś równie zwyrodniałego nie widziałem chyba nawet w Waszyngtonie ani w ogóle nigdzie. Prawie nie czułem ulgi, że to nie Naomi.

W końcu udało mi naciągnąć na rozmowę jednego z biegłych sądowych FBI. Znał mojego kolegę z Biura, Kyle Craiga, który pracował w centrali w Cjuantico, w stanie Wirginia. Powiedział mi, że Kyle ma tu gdzieś w okolicy letni domek.

–Ten nasz żartowniś to prawdziwy spryciarz, bardzo zdolny – biegły lubił sobie pogadać. – Nie zostawił włosów łonowych, nasienia, nawet kropli potu, na żadnej z ofiar, które badałem. Wątpię, żeby to, co tu znajdziemy, starczyło na oznaczenie kodu DNA. Ale przynajmniej nie zjadł jej osobiście.

–Czy dochodzi do stosunku z ofiarami? – zapytałem, nim agent zdążył rozwinąć wątek swych doświadczeń z konibalizmem.

–Dochodzi. Ktoś kilkakrotnie uprawiał z nimi seks. Wskazuje na to duża liczba sińców i zadrapań w pochwie. Ma chłop niezły instrument albo używa do symulacji stosunku czegoś większego. Ale musi chyba zakładać na siebie plastikowy worek, gdy to robi. Albo jakoś je potem czyści. Bo nie ma ani włosów, ani śladów wydzielin ciała. Biegły od robactwa już zebrał próbki. Poda nam dokładny czas zgonu.

–To może być Bette Annę Ryerson – wtrącił się stojący w pobliżu szpakowaty agent. – Mamy raport o jej zaginięciu. Blondynka, metr sześćdziesiąt pięć, jakieś pięćdziesiąt pięć kilo. W dniu zaginięcia miała na ręce złoty zegarek seiko. Superpiękność; w każdym razie nią była.

–Matka dwojga dzieci – dodała jedna z agentek. – Skończyła anglistykę na Uniwersytecie Stanowym. Rozmawiałam z jej mężem, też tam wykłada. Widziałam te dzieci. Śliczne dzieciaczki. Rok i trzy lata. Przeklęty sukinsyn – głos jej się załamał.

Dostrzegłem zegarek i wstążkę do włosów, która się rozwiązała i opadła na ramię ofiary. Już nie była piękna. Jej szczątki napęczniały i posiniały. Odór rozkładu czuło się nawet na otwartym powietrzu.

Puste oczodoły zdawały się wpatrywać w półkolisty prześwit między ketonami sosen. Zastanawiałem się, na czym spoczęło jej ostatnie spojrzenie.

Próbowałem wyobrazić sobie Casanovę, buszującego po ciemnym, głębokim lesie, zanim tu przybyliśmy. Przypuszczałem, że może mieć jakieś dwadzieścia – trzydzieści parę lat i jest bardzo silny fizycznie. Lękałem się teraz o Scootchie znacz! nie bardziej niż przedtem.

Casanova. Największy kochanek świata... Boże, ratuje modliłem się.

## ROZDZIAŁ 15

Było już dobrze po dziesiątej, a my dalej siedzieliśmy wśród tej przerażającej, wstrząsającej scenerii. Wydeptaną w głąb lasu ścieżkę oświetlono rażącymi w oczy reflektorami służbowych aut. Robiło się coraz chłodniej. Przenikliwie zimny wieczorny wiatr smagał w twarz.

Ciała jeszcze nie zabrano.

Obserwowałem, jak technicy z Biura starannie, po kawałeczku przeszukują las, zbierając dowody rzeczowe i robiąc pomiary. Teren w pobliżu ofiary został ogrodzony, ale udało mi się w przyćmionym świetle wykonać szkic sytuacyjny i zrobić wstępne notatki. Próbowałem sobie przypomnieć, co wiem o prawdziwym Casanovie. Osiemnastowieczny awanturnik, pisarz, libertyn. Czytałem kiedyś fragmenty jego pamiętników.

Dlaczego, poza oczywistymi powodami, zabójca wybrał sobie to imię? Czy wierzył, że naprawdę kocha kobiety? I w ten sposób to okazywał?

Gdzieś niedaleko przeraźliwie wrzeszczał ptak i wydawały różne odgłosy małe zwierzątka. Ten las chyba nikomu nie kojarzył się z jelonkiem Bambim.

Między dziesiątą trzydzieści a jedenastą rozległ się w tym strasznym lesie podobny do grzmotu ryk. Ludzie nerwowo spoglądali na granatowoczarne niebo.

–Znajoma melodia – stwierdził Sampson widząc migające światła nadlatującego od północnego wschodu helikoptera.

–Pewnie medycy wreszcie przylecieli po ciało – stwierdziłem. Maszyna, ciemnoniebieska ze złotymi pasami, opuściła się w końcu na czarny asfalt szosy. Pilot był prawdziwym zawodowcem.

–To nie medycy – powiedział Sampson. – Prędkiej Mick Jagger. Taką maszyną mogła przylecieć tylko wielka gwiazda.

Joyce Kinney i dyrektor miejscowego biura FBI już podążali w stronę autostrady. Poszliśmy z Sampsonem za nimi, przyczepieni jak rzep do psiego ogona.

Na miejscu czekał nas kolejny szok. Obaj rozpoznaliśmy wysiadającego z helikoptera wysokiego, łysiejącego mężczyznę o dystyngowanym wyglądzie. • – A co, u diabła, ten znów tutaj robi? – rzucił Sampson. Chciałem spytać o to samo i poczułem się równie niepewnie. To był zastępca dyrektora FBI. Człowiek numer dwa, Ronald Burns. Autentyczny gwiazdor Biura, nieustannie pełen nowych pomysłów.

Znaliśmy go z naszej ostatniej „wielokompetencyjnej” sprawy. Mówili, że bawi się w politykę, że to zły duch Biura, ale wobec mnie nigdy nie zachował się źle. Kiedy już pooglądał ciało, oświadczył, że chce porozmawiać właśnie ze mną. Dziwy, dziwy w Karolinie.

Burns chciał, żeby nasza pogawędka odbyła się z dala od wielkich uszu i małych główek jego ludzi.

–Alex, szczerze się zmartwiłem, że twoja siostrzenica być może została porwana. Mam nadzieję, że jej się to nie przydarzyło – powiedział. – A skoro już tu jesteś, może mógłbyś nam pomóc?

–Czy dowiem się, co tu właściwie robisz? – spytałem. Mogłem równie dobrze zadać od razu następne pytanie za pięć punktów.

Burns uśmiechnął się, prezentując lakierowane, bardzo białe przednie zęby.

–Naprawdę szkoda, że się wtedy nie zgodziłeś na naszą propozycję.

Po zamknięciu sprawy porywacza Soneji'ego zaproponowali mi stanowisko oficera łącznikowego między Biurem a waszyngtońską policją. Jednym z ludzi, którzy wówczas prowadzili ze mną rozmowy, był właśnie Burns.

–U starszych rangą funkcjonariuszy cenię sobie przede wszystkim konkretność – dodał.

Nadal czekałem na konkretną odpowiedź na moje konkretne pytanie. – Nie mogę ci powiedzieć wszystkiego, co byś chciał usłyszeć – zaczął w końcu Burns. – Przyznaję, że nie wiemy, czy twoją siostrzenicę też porwał ten głupi Jasio. Nie zostawia prawie śladów. Jest ostrożny i po prostu dobry w tym, co robi.

–Tak słyszałem. To nas oczywiście prowadzi do określonych kategorii podejrzanych. Policjanci, weterani wojenni, hobbyści znający się na policji. Choć może to być celowy zwód z jego strony. Może chce, żebyśmy tak myśleli.

Burns skinął głową.

–Jestem tu, bo zrobił się z tego burdel najwyższej wagi państwowej. To duża sprawa, Alex. Nie mogę ci tym razem powiedzieć dlaczego. Duża i tajna. – Gadał jak prawdziwa szycha z FBI. Tajemnice opakowane w tajemnice.

Burns westchnął.

–Powie ci jedno. Naszym zdaniem, to może być kolekcjoner. Możliwe, że więzi tu gdzieś w okolicy kilka młodych kobiet... coś w rodzaju prywatnego haremu. Jego haremu.

Teoria zupełnie niesamowita, wręcz wstrząsająca, ale niosąca nadzieję, że Naomi jeszcze żyje.

–Chcę się włączyć – oznajmiłem patrząc mu prosto w oczy. – I czemu nie miałbyś mi powiedzieć wszystkiego? – postawiłem Swoje warunki. – Zanim zacznę klecić jakiegokolwiek hipotezy, muszę znać cały obraz. Dlaczego on na przykład odrzuca niektóre kobiety? Jeśli to właśnie robi.

–Alex, naprawdę nie mogę ci teraz ujawnić wszystkiego, przykro mi. – Burns pokręcił głową i przymknął na moment oczy. Uzmysłowiłem sobie, że jest wyczerpany.

–Ale chciałeś sprawdzić, jak zareaguję na twoją teorię o kolekcjonerze?

–Chciałem – przyznał i w końcu zdobył się na uśmiech.

–Taki nowoczesny harem – myślę, że to możliwe. To dość popularne męskie marzenie seksualne – odparłem. – I o dziwo jest też dość rozpowszechnione wśród kobiet. Nie wykluczałbym tego pomysłu.

Burns zanotował w pamięci moją opinię i na tym poprzestał. Jeszcze raz mnie poprosił o pomoc, ale nadal nie chciał ujawnić, co wie. W końcu wrócił do swoich ludzi.

Podszedł do mnie Sampson.

I cóż tam mówi Jego Nieugiętość? Co go sprowadza do tego przeklętego lasu i do nas, zwykłych śmiertelników?

–Powiedział jedną ciekawą rzecz: być może Casanova jest kolekcjonerem, zbiera

**dziewczęta jak w haremie, gdzieś tu w okolicy – powtórzyłem Sampsonowi teorię Burnsa. – Powiedział też, że sprawa jest duża. To jego określenie.**

**„Duża” oznaczało, że sprawa jest naprawdę ciężka, prawdopodobnie jeszcze gorsza, niż się wydawała w tej chwili. Zastanawiałem się, jak bardzo trudna i prawie wolałem nie poznać odpowiedzi.**



## ROZDZIAŁ 16

Kate McTiernan zastanawiała się nad osobliwą, acz bardzo pouczającą maksymą. Cios jastrzębia łamie kark ofiary – przypominała sobie – gdy jest zadany; w odpowiedniej chwili.

Było to odkrycie z ostatniego kata na kursie na czarny pas. Doskonale odmierzone tempo decyduje w karate o wszystkim, w wielu innych rzeczach zresztą też. Pomaga na przykład, jeśli się umie wycisnąć prawie sto kilogramów leżąc, a ona umiała.

Teraz snuła się po ruchliwej, hałaśliwej, ale i zabawnej Franklin Street w Chapel Hill. Ulica biegła z południa na północ, granicząc z malowniczym campusem Uniwersytetu Karoliny Północnej. Kate mijiała księgarnie, pizzerie, wypożyczalnię rollerów. Z lodziarni Ben Jerry wydobywał się heavy metal grupy White Zombie. Takie snucie się nie leżało w jej naturze, ale tego przyjemnego, ciepłego wieczora została dłużej w mieście, żeby trochę pooglądać wystawy.

Znajomy, przyjazny tłumek mieszkańców uniwersyteckiego miasta bardzo jej odpowiadał. Lubiła tu mieszkać, najpierw jako studentka medycyny, teraz jako stażystka. Najchętniej nigdy nie wyjeżdżałaby z Chapel Hill i nie wracała do Wirginii Zachodniej.

Ale wróci i będzie tam leczyć. Obiecała to matce – tuż przed śmiercią Beadsie McTiernan. Kate dała słowo, a jej słowo coś znaczyło. W takich sprawach była staroświecka. Poczciwina z małego miasteczka.

Wcisnęła ręce w głębokie kieszenie trochę już wygniecionego szpitalnego fartucha. Uważała, że dłonie nie należą do jej plusów. Były szorstkie, a o paznokciach lepiej nie wspominać. Złożyły się na to dwie przyczyny – niewolnicza wręcz praca na oddziale onkologicznym oraz dodatkowa pasja: czarny pas drugiego stopnia, *Nidan*. To był jedyny relaks, na jaki sobie pozwalała; kurs karate zastępował jej urlopy.

Identyfikator przyczepiony do górnej lewej kieszeni fartucha głosił: K. McTiernan, lek. med. Lubiła demonstrować brak szacunku dla tego symbolu pozycji i prestiżu, nosząc workowate spodnie i adidas. Nie zamierzała uchodzić za buntowniczkę i nianie była, ale czuła potrzebę okazywania odrobiny indywidualizmu wśród wielkiej społeczności szpitala.

Kupiła sobie przed chwilą kieszonkowe wydanie „Ali the Pretty Horses” Cormaca McCarthy'ego w księgarni Intimate Book. Stażyści w pierwszym roku pracy nie powinni właściwie mieć czasu na czytanie powieści, ale ona go znajdowała. A przynajmniej obiecała sobie znaleźć go dzisiaj.

Ten kwietniowy wieczór był tak piękny, tak kapitalny, że przez chwilę zastanawiała się, czy nie przysiąść u Spanky'ego na rogu Columbia i Franklin. Po prostu posiedzieć w barze i poczytać.

Mowy nie było, żeby spotykała się z kimś „wieczorem po szkole” – co oznaczało większość jej wieczorów. Soboty zwykle miała wolne, ale wtedy czuła się zbyt wykończona, żeby się angażować w odprawianie tego całego rytuału przed i po.

Działo się tak od momentu bolesnego zerwania związku z Peterem McGrathem,

związku pełnego rozstań i powrotów. Peter miał trzydzieści osiem lat, był doktorem historii i prawie ideałem. Przystojny jak szatan i stanowczo zbyt zapatrzony w siebie jak na jej gust. Zerwali w gorszym stylu, niż się spodziewała. Nawet nie zostali kumplami.

Już od czterech miesięcy obywatła się bez niego i bez „tego”. Stanowiło to niejaki kłopot, ale na pewno nie należał do pierwszej dziesiątki tych, z którymi musiała sobie radzić. Ponadto wiedziała, że rozstali się z jej winy, a nie Petera. Zrywanie z kochankami było jej problemem; częścią starannie skrywanej przeszłości. Teraźniejszości? Przyszłości?

Kate McTiernan uniosła do oczu zegarek. Zabawny stary model z Myszka Miki; dostała go od siostry Carole Anne. Świetny, kochany czasomierz. Przypominał: nigdy nie zadzieraj nosa tylko dlatego, że jesteś teraz Panią Doktor.

Cholera. Wzrok jej się pogarszał – i to zaledwie po trzydziestce! Starsza pani. Nestorka Wydziału Medycyny Uniwersytetu Karoliny Północnej. Było po wpół do dziesiątej, powinna już leżeć w łóżku.

Zdecydowała, że odpuści sobie Spanky'ego i wróci prosto do domku. Odgrzeje trochę chili „czwartego stopnia ostrości”, a potem może gorąca czekolada z odrobiną bitej śmietanki? Perspektywa zwinięcia się w łóżku z jedzonkiem z puszki... McCarthym i ewentualnie nagraniami R.E.M. nie wyglądała najgorzej.

Jak większość studentów w Chapel Hill – w przeciwieństwie do zamożniejszego świątka „tych z Duke” – Kate cierpiała na ciągły brak gotówki. Wynajmowała trzypokojowe mieszkanie z kuchnią na piętrze drewnianego domu w stylu „wiejskim”. Łuszczyła się na nim farba i dom wyglądał, jakby liniał. Stał na pełnym zadupiu u krańca Pittsboro Street. Ale sporo zyskała, targując się o czynsz.

Pierwszą rzeczą w okolicy, jaka rzuciła jej się w oczy, były wspaniałe drzewa. Nie sosny, tylko stare i potężne drzewa liściaste – dęby i klony. Ich długie gałęzie przywodziły na myśl ręce i palce zaszuszonej starej kobiety. Nazywała swoją ulicę „Aleją Starszych Pań”. Gdzież indziej mogłaby mieszkać starsza pani z medycyny?

Dotarła do domu za piętnaście dziesiąta. Właścicielka budynku, wdowa, od której wynajęła górę, mieszkała w Durham, a parter stał pusty.

–Wróciłam, to ja, Kate! – zawiadomiła rodzinę myszek, mieszkających gdzieś za lodówką. Jakoś nie miała serca ich zlikwidować. – Tęskniliście za mną? Jedliście już, chłopaki?

Zapaliła światło w kuchni i usłyszała denerwujące, zniechęcające buczenie neonowej lampy pod sufitem. Wzrok Kate padł na wiszącą na ścianie kartkę z powiedzonkiem jednego z wykładowców: „Studenci medycyny powinni ćwiczyć się w pokorze”. No, ona z pewnością się ćwiczyła.

W malutkiej sypialni przebrała się w wygniecione czarne polo, którego nigdy nie próbowała nawet prasować. Prasowanie ubrań znalazło się ostatnio na dalszym planie. Ale mogło stanowić powód, dla którego warto mieć pod ręką mężczyznę – kogoś kto sprząta, utrzymuje, wynosi śmieci, gotuje, prasuje i pierze. Bardzo jej się podobał cytat z Glorii Steinem: „Kobieta bez mężczyzny jest jak ryba bez roweru”.

Ziewnęła na samą myśl o czekających ją jutro szesnastu godzinach, które

rozpoczną się o piątej rano. Kurczę, uwielbiała to swoje życie! Naprawdę!

Rzuciła się na podwójne łóżko przykryte zwykłą białą pościelą. Jediną jego ozdobę stanowiło kilka kolorowych szyfonowych szalików, wiszących na słupku w nogach.

Odwołała zamówienie na chili i czekoladę ze śmietanką a „AU the Pretty Horses” odłożyła na stos nie przeczytanych numerów *Harper's* i *The New York Times*. Zgasła lampkę i po pięciu sekundach już spała. Na dzisiaj koniec tej wspaniale pouczającej rozmowy z samą sobą.

Kate McTiernan nie przyszłoby nawet do głowy, że ktoś ją obserwował, śledził przez cały spacer po tłumnej, kolorowej Franklin Street, że została wybrana.

Doktor Kate była następna.

Kutas – tik.

## ROZDZIAŁ 17

Nie! – pomyślała Kate. To mój dom! Omal nie powiedziała tego na głos, wołała jednak być cicho.

Ktoś wszedł do mieszkania!

Jeszcze trwała w półśnie, była jednak pewna, że obudził ją jakiś odgłos. Tętno już miała przyśpieszone. Serce podeszło jej do gardła. Jezus, Maria, nie.

Leżała w bezruchu, skulona u wezglowia łóżka. Minęło jeszcze kilka nerwowych, wlokących się niczym wieczność sekund. Ani drgnęła. Oddychała bezgłośnie. Białe, skośne pręgi księżycowego światła igrały na szybach, wypełniając sypialnię niesamowitymi cieniami.

Nasłuchiwała dźwięków domu; skoncentrowała się maksymalnie na odbieraniu skrzypów i trzasków, jakie wydawał stary budynek.

Teraz nie słyszała niczego niezwykłego. Ale przedtem tak, na pewno. Niedawne morderstwa i doniesienia prasowe o porwaniach na terenie Uczelnianego Trójkąta Durham – Chapel Hill – Raleigh napędziły jej stracha. Zostaw te koszmary, nakazała sobie w myśli. Nie rób przedstawień.

Powoli usiadła na łóżku i nasłuchiwała dalej. Może to wiatr otworzył okno. Trzeba wstać i sprawdzić, drzwi też.

Po raz pierwszy od czterech miesięcy zatęskniła za Peterem McGrathem. Niewiele by pomógł, ale czułaby się bezpieczniej. Nawet ze starym, oklapłym Peterem.

Nie czuła śmiertelnego strachu ani słabości; większość mężczyzn nie dałaby jej rady. Potrafiła walczyć jak szatan. Peter zawsze mówił, że żał mu facetów, którzy z nią zadarli, i naprawdę tak myślał. Nawet trochę się jej bał fizycznie. No, ale ustawiana walka karate w *dojo* to jedno, a tu dzieje się coś naprawdę.

Kate wysliznęła się cichutko z łóżka. Nic nie słyhać. Pod stopami czuła chłód szorstkiej podłogi. To ją do reszty rozbudziło i ustawiła się w pozycji do walki.

Pac!

Dłoń w rękawiczce opadła z dużą siłą na jej usta i nos; miała wrażenie, że słyszy chrupot łamanej chrząstki. A potem skrępowało ją duże i bardzo silne ciało mężczyzny. Napierał na nią całym ciężarem, przyciskając do zimnych, twardych desek.

Wysportowany. Jej mózg przetwarzał każdy, najdrobniejszy okrucuch informacji. Usiłowała utrzymać umysł w jasności i skupieniu.

Wyjątkowo silny. Wyszkolony!

Odcinał jej dopływ powietrza. Dokładnie wiedział, co robi. Wyszkolony!

To nie rękawiczka, uświadomiła sobie. To szmata. Bardzo mokra. Dusila ją.

Używa chloroformu? Nie, to nie ma zapachu. Może eter? Halotan? Gdzie mógł kupić anestetyki?

Myśli zaczynały jej się mącić, bała się, że zemdleje. Musi jakoś go zrzucić.

Złączyła nogi i skręciła ciało mocno w lewo, rzucając się całym ciężarem jak najdalej od napastnika, w stronę bladej, pogrążonej w cieniu ściany sypialni. Nagle znalazła się poza jego zasięgiem, była wolna.

–Zły pomysł, Kate – odezwał się w ciemności.

**Wiedział, jak ma na imię!**

## ROZDZIAŁ 18

–Cios jastrzębia... w odpowiednim momencie. Kate wiedziała, że teraz odpowiedni moment to kwestia przeżycia.

Desperacko walczyła, by zachować przytomność umysłu, ale silny środek nasenny ze szmaty zaczynał działać. Udało jej się wykonać boczne kopnięcie na trzy czwarte tempa; celowała w jądra. Trafiła w coś twardego. Cholera! Był na to przygotowany. Założył sportowy ochraniacz na te swoje miękkie genitalia. Znał jej silne strony. Boże, nie. Skąd tyle o niej wie? – Nieładnie, Kate – szepnął. – Bardzo niegościnnie. Wiem o twoim karate. Fascynujesz mnie.

Miała obłąd w oczach. Serce waliło jej tak, że prawie je słyszała. Był szybki silny, wiedział o karate, znał każdy jej następny ruch. Można się było zesrać ze strachu, dosłownie.

–Ratunku! Ludzie pomóżcie! – wrzasnęła z całej siły. Liczyła tylko, że i może go spłoszy ten wrzask. Bo w promieniu kilometra nikt nie mieszkał. I wyrzucił w jej stronę silne jak kleszcze ręce i udało mu się schwycić ją za nadgarstek. Wyrwała się z wyciem.

Był silniejszy od wszystkich znajomych z kursu na czarny pas. Zwierzę, pomyślała Kate. Dzikie zwierzę... bardzo rozumne i zwinne. Zawodowy sportowiec? Przez paralizujący strach i zamęt tej chwili przedarła się pamięć o najważniejszej *mucesensei*: „Unikaj walki. Gdy tylko możesz, uciekaj”. Oto esencja kilkuset lat doświadczenia w tej sztuce. „Ten, kto nigdy nie walczy, zawsze dożyje do następnego starcia”. Wybiegła z sypialni na znajomy, wąski i kręty korytarzyk. Unikaj walki. Uciekaj od niej, powtarzała w myśli. Uciekaj, uciekaj, uciekaj.

Mieszkanie wydawało się dziś ciemniejsze niż zwykle. Zrozumiała, że pozaciągał wszystkie zasłony i żaluzje. To dopiero przytomność umysłu, opanowanie. I plan akcji.

Musi być lepsza od niego, lepsza niż ten plan. Przemknęło jej przez głowę powiedzenie Sun – tsu: „Zwycięska armia zapewnia sobie wygraną jeszcze przed bitwą”. Napastnik rozumował dokładnie jak Sun – tsu i *sensei*. A może to ktoś z kursu?

Dotarła do saloniku. Nic nie widać. Tu też wszystko pozastałaniał. Jej wzrok i zmysł równowagi bardzo już osłabły. Kształty i cienie w pokoju dwoiły się w oczach. Niech go szlag! Niech go cholera!

Płynąc w miękkiej, narkotycznej mgiele, pomyślała o kobietach, które zaginęły w Durham i Orange. Znow znalaziono jakieś ciało. Młoda matka dwojga dzieci.

Musi się wydostać z domu. Może świeże powietrze ją ocuci. Zatoczyła się w stronę drzwi.

Coś zagrodziło jej drogę. Przysunął pod drzwi kanapę! Kate nie miała już siły jej odepchnąć.

Z rozpaczki znów zaczęła krzyczeć.

–Peter! Chodź tu, pomóż mi! Pomóż mi, Peter!

–Oj, zamknij się, Kate. Już się nawet nie spotykasz z Peterem McGrathem.

Uważasz go za durnia. Poza tym on mieszka dziesięć kilometrów stąd. Dziesięć

sześćset. Sprawdziłem. – W jego głosie brzmiał chłodny rozsądek. Oto kolejny, zwykły dzień w gabinecie psychiatry. I wiedział o niej tyle; wiedział o Peterze, wiedział o wszystkim.

Był tu, gdzieś za jej plecami, w tej elektryzującej ciemności. Głos miał opanowany, bez śladu paniki. Bawił się doskonale.

Kate rzuciła się w lewo, jak najdalej od tego głosu, od tej ludzkiej bestii w jej własnym domu.

Nagle przeszył ją rozdzierający ból i wydała z siebie ciche stęknienie.

Wyrznęła gołenią w stolik, niski kretyński szklany stolik, który dostała od siostry. Carole Annę miała mnóstwo szczerych chęci, by urządzić to mieszkanie z klasą. O Chryste, cholera jasna, jakże Kate nienawidziła tego stolika! W lewej nodze czuła przeszywający, rwący ból.

–Potknęłaś się, Kate? A może byś tak przestała biegać w ciemnościach? – zaśmiał się, całkiem zwyczajnie, niemal przyjaźnie. Miał niezły ubaw. To jego wielka gra. Zabawa w chłopca i dziewczynkę, po ciemku.

–Coś ty za jeden?! – krzyknęła w jego stronę. Nagle przyszło jej do głowy: A może Peter? Czyby Peter zwariował?

Była bliska omdlenia. Narkotyk odebrał jej resztkę sił, nie mogła już uciekać. On wie o jej czarnym pasie. I o siłowni na pewno też.

Odwróciła się – i mocna latarka zaświeciła jej w twarz. Oślepiający snop światła trafił prosto w oczy.

Odsunął latarkę, ale nadal widziała przed sobą kręgi światła. Zaczęła mrugać i dostrzegła nikły zarys męskiej sylwetki. Wysoki, ponad metr osiemdziesiąt, długie włosy.

Nie mogła dojrzeć twarzy, ledwie zarys profilu. Coś jest nie tak z tą twarzą. Dlaczego? Co?

A potem ujrzała pistolet.

–Nie, nie – powiedziała Kate. – Proszę, nie.

–Proszę, tak – odparł intymnym szeptem, niemal jak kochanek. I spokojnie strzelił Kate McTiernan prosto w serce.

## ROZDZIAŁ 19

W niedzielę rano sprawa Casanovy zaczęła wyglądać jeszcze gorzej. Odwiozłem Sampsona na Lotnisko Międzynarodowe Raleigh – Durham. Po południu miał być w Waszyngtonie. Ktoś przecież musiał pilnować stolicy, kiedy ja pracowałem tutaj.

Po odnalezieniu ciała trzeciej kobiety w śledztwie zrobiło się jeszcze goręcej i wstrętniej. Już nie tylko lokalna policja i FBI, ale także urzędnicy od rozgrywek na wyższym szczeblu pojawiali się przy oględzinach miejsca zbrodni.

Kiedy zegnaliśmy się przy bramce kontrolnej American Airlines, Sampson zrobił mi „niedźwiedzia”. Musieliśmy wyglądać jak para obrońców Washington Redskins po wygraniu Super Bowl.

–Wiem, ile dla ciebie znaczy Naomi – szeptał z głową przy mojej głowie. – Wiem, co czujesz. Jakbyś mnie potrzebował, dzwoń.

Cmoknęliśmy się w policzki, całkiem jak Magie Johnson i Isaiah Thomas przed meczem w NBA. Parę osób z tłumku stojącego przed wykrywaczami metalu zaczęło się na nas gapić. Sampson i ja kochamy się i okazujemy to bez skrępowania. Nieczęsty przypadek wśród takich twardzieli.

–Uważaj na federalnych. Pilnuj tyłka przed miejscowymi. Przodu też pilnuj. Nie podoba mi się ten Ruskin. A Sikes nie podoba mi się bardzo – instruował mnie dalej Sampson. – Znajdziesz Naomi. Wierzę w ciebie. Jak zawsze zresztą. Oto moje zeznanie i już go nie zmienię. W końcu Wielkolud poszedł i nawet się nie obejrzał. Zostałem na Południu sam jak palec. W kolejnej pogoni za bestią.

## ROZDZIAŁ 20

Wyszedłem z baru Washington Duke Inn około pierwszej i skierowałem się do kampusu. Była niedziela po południu.

Zjadłem właśnie porządne, północnokarolińskie śniadanie – półtora kubka dobrej, gorącej kawy, bardzo słona wędzona szynka, jajka na miękko, krakersy, ryba w sosie i kasza. Wysłuchałem piosenki country, którą puszczali w barze. „Pewnego dnia gdy się zamachniesz rym rondlem, mojej twarzy już tam nie będzie”.

Byłem nabuzowany, na krawędzi wybuchu, więc ten niecały kilometr lekkiego marszu przydał się jako lekarstwo. Przepisałem je sobie i zrobiłem, jak doktor przykazał. Wczorajszy pobyt na miejscu zbrodni poważnie mną wstrząsnął.

Miałem w pamięci czas, kiedy Naomi była małą dziewczynką, a ja jej najlepszym przyjacielem. Śpiewaliśmy razem „Panie Janie” albo „Ojca Wergiliusza”. W pewnym sensie to ona mnie nauczyła, jak zaprzyjaźnić się z Damonem i Jannie. Wykierowała mnie na całkiem niezłego ojca.

Mój brat Aaron przyprawdzał w tych czasach Scootchie ze sobą do baru Capri na Third Street. Bardzo był wtedy zajęty zapijaniem się na śmierć. Capri to nie miejsce dla małych dziewczynek, ale Naomi jakoś sobie z tym radziła. Nawet jako dziecko rozumiała ojca i akceptowała takiego, jaki był. Kiedy wstępowali do nas z Aaronem, brat zwykle był już nawalony, ale jeszcze nie urżnięty. Naomi rządziła ojcem. Przy niej próbował przynajmniej nie zalać się w trupa. Problem polegał na tym, że Scootchie nie zawsze mogła znaleźć się pod ręką, by go ratować.

Po pierwszej byłem umówiony z dziekanem do spraw studentek z Duke.



Wszedłem do Allen Building, prawie przy samej Chapel Drive. Na drugim i trzecim piętrze mieściły się tu biura uczelnianej administracji.

Dziekanem studentek był wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, nazywał się Browning Lowell. Naomi sporo mi o nim opowiadała. Zawsze służył jej radą uważała go za przyjaciela. Tego popołudnia spotkałem się z dziekanem Lowellem w jego przytulnym biurze pełnym starych, grubych książek. Okna wychodziły na magnolie i wiązy Chapel Drive, w kierunku Few Quad. Jak wszędzie w tym kampusie, otoczenie było wyjątkowo przyjemne dla oka. Same neogotyckie budynki. Harvard Południa.

–Przez Naomi stałem się pańskim fanem – powiedział dziekan, gdy ściskaliśmy sobie dłonie. Miał silny uścisk, czego się spodziewałem, widząc jego posturę.

Browning Lowell był muskularnym, przystojnym trzydziestopięcioletkiem. Miałem wrażenie, że jego niebieskie oczy przez cały czas skrzyły się radością. Przypomniało mi się, że był kiedyś światowej klasy gimnastykiem. Studiował na Duke i miał być gwiazdą amerykańskiej ekipy olimpijskiej na igrzyskach w Moskwie.

Na początku 1980 roku na nieszczęście dla niego w mediach pojawiły się informacje, jakoby Browning Lowell był homoseksualistą i miał romans z pewnym dość znanym koszykarzem. Wycofał się wtedy z reprezentacji, nim jeszcze ogłoszono bojkot olimpiady. Rewelacje prasy nigdy się nie potwierdziły. Lowell w końcu się ożenił i mieszkał teraz z żoną w Durham.

Odkryłem, że jest sympatyczny i pełen ciepła. Zasiadliśmy więc, by przedyskutować tę ponurą historię ze zniknięciem Naomi. Całkiem prawidłowo ocenił śledztwo policyjne, wyrażając te same wobec niego lęki i wątpliwości, które ja miałem.

–Wygląda na to, że miejscowe gazety w ogóle nie zauważają czegoś tak logicznego i prostego jak bezpośredni związek zaginięć z morderstwami. Nie rozumiem tego. Uczuliliśmy na to wszystkie kobiety z kampusu – powiedział. Studentki Duke miały się meldować przy każdym wejściu i wyjściu z akademików. Kiedy któraś wychodziła wieczorem, obowiązywał system „zawsze z koleżanką”.

Zanim opuściłem jego biuro, dziekan zadzwonił do akademika Naomi, by uprzedzić o mojej wizycie. Powiedział, że dzięki temu będę miał ułatwione wejście, a on chce zrobić wszystko, co może, żeby mi pomóc.

–Znam Naomi już prawie pięć lat – wyjaśnił. Przeczesał dłonią dość długą blond czuprynę. – Czuję jakiś ułamek z tego, przez co przechodzisz, Alex, i tak strasznie mi przykro. Wielu z nas jest kompletnie przybitych tą sprawą.

Podziękowałem dziekanowi Lowellowi i wyszedłem poruszony postawą tego człowieka; było mi jakoś lepiej. Skierowałem się do akademików. Zgadnijcie, kto przychodzi na podwieczorek?

## ROZDZIAŁ 21

Czułem się jak Alex w krainie czarów.

Teren akademików w Duke to kolejne idylliczne miejsce w Durham. Zamiast tradycyjnych, neogotyckich, stoją tu mniejsze domy; wśród nich kilka willi. Kwartał Myers Quad ocieniają stare wysokie dęby i rozłożyste magnolie, otoczone starannie utrzymanymi klombami. Bogu chwała za wszystko co pstrokate. Przed budynkiem stał srebrny kabriolet BMW. Na zderzaku miał nalepkę z napisem: „Posyłam do Duke córkę i pieniądze”.

Wyfroterowany dębowy parkiet pokoju dziennego w akademiku Naomi pokrywały wschodnie dywany, tak szacownie wyblakłe, że mogły nawet uchodzić za autentyki. Rozglądałem się, czekając na Mary Ellen Klouk. Pokój był gęsto zastawiony wyściełanymi krzesłami i kanapami oraz mahoniowymi szyfonierkami „z epoki”. Pod frontowymi oknami stały ławy.

Czekałem kilka minut, zanim Mary Ellen Klouk zeszła z góry. Przed tym niedzielnym popołudniem spotkaliśmy się już parę razy. Miała prawie metr osiemdziesiąt, była bardzo atrakcyjną, popielatą blondynką. Nie różniła się wiele od kobiet, które zaginęły. Znalezione w lasach wokół Efland ciało, na wpół zjedzone przez zwierzęta i ptaki, też kiedyś było blond pięknnością.

Zastanawiałem się, czy morderca myślał o Mary Ellen. Dlaczego wybrał Naomi? Jak w ogóle działał? Ile kobiet już wybrał?

–Cześć, Alex. Boże, tak się cieszę, że tu jesteś. – Mary Ellen ujęła moją dłoń i przytrzymała ją mocno. Na jej widok ożyły pełne ciepła, ale teraz bolesne wspomnienia.

Postanowiliśmy opuścić dom i przejść się po lekko pofalowanym terenie Campusu Zachodniego. Na kursie zawodowym Mary Ellen wybrała historię i psychologię. Przypomniało mi się, jak kiedyś w Waszyngtonie rozmawialiśmy o psychoanalizie. O urazach psychicznych wiedziała prawie tyle co ja.

–Szkoda, że mnie nie było, kiedy przyjechałeś do Durham – powiedziała. Szliśmy wśród eleganckich, pseudogotyckich budynków z lat dwudziestych. – W piątek mój brat miał rozdanie świadectw maturalnych. Ten mały Ryan Klouk. Ma teraz metr dziewięćdziesiąt. Sto dziesięć kilo żywej wagi. Wokalista grupy „Skrzypiące Tablice”. Dziś rano wróciłam.

–Kiedy ostatni raz widziałaś Naomi? – zapytałem, gdy wchodziliśmy w ładną uliczkę Wannamaker Drive. Kiepsko się czułem rozmawiając z przyjaciółką Naomi jak detektyw z wydziału zabójstw, ale nie było wyjścia.

Moje pytanie uderzyło Mary Ellen. Zanim odpowiedziała, odetchnęła głęboko.

–Sześć dni temu. Byłyśmy razem w Chapel Hill. Pracowałyśmy dla Habitat for Humanity.

Habitat for Humanity to organizacja społeczna, która odbudowuje domy dla ubogich. Nie wiedziałem, że Naomi udzielała się w Habitacie.

–I potem już jej nie widziałaś?

Mary Ellen pokręciła głową. Zakołysały się złote dzwoneczki w jej naszyjniku. Naraz poczułem, że chyba woli na mnie nie patrzeć.

–Niestety, to był ostatni raz. To ja zawiadomiłam policję. Dowiedziałam się, że w przypadku zaginięcia czekają zwykle dwadzieścia cztery godziny. Naomi nie było już od dwóch i pół dnia i dopiero wtedy wydali komunikat. Czy wiesz dlaczego? – zapytała.

Zaprzeczyłem ruchem głowy, ale nie chciałem rozwijać tego tematu z Mary Ellen. Nadal nie wiedziałem, dlaczego całą sprawę utrzymywano w takiej tajemnicy. Rano zostawiłem kilka razy wiadomość na sekretarce automatycznej Nicka Ruskina, ale nie oddzwonił.

–Jak myślisz, czy zniknięcie Naomi ma coś wspólnego z tymi wszystkimi zaginięciami kobiet? – dopytywała się Mary Ellen. Jej błękitne oczy były pełne bólu.

–Może być jakiś związek. Jednak w Sarah Duke Gardens nie znaleziono żadnych dowodów rzeczowych. Mówiąc szczerze, Mary Ellen, nie bardzo jest się o co zaczepić – przyznałem.

Jeśli nawet Naomi została porwana w publicznym parku, na terenie kampusu, nie było na to świadków. Widziano ją w każdym razie w parku pół godziny przed zajęciami, na których już się nie pojawiła. Casanova był przerażająco dobry w swoim fachu. Działał jak duch.

Zakończyliśmy przechadzkę okrążywszy cały kwartał. Dom studencki stał jakieś dwadzieścia metrów od żwirowanej ścieżki. Miał wysokie białe kolumny, a wielki weranda zastawiona była malowanymi na biało wiklinowymi fotelami na biegunach i stolikami. Styl sprzed wojny secesyjnej, jeden z moich ulubionych.

–Alex, Naomi i ja nie byliśmy ze sobą ostatnio tak blisko jak kiedyś – wyznała nagle Mary Ellen. – Przykro mi. Myślę, że powinieneś o tym wiedzieć.

Kiedy się pochyliła, by mnie pocałować w policzek, płakała. Potem wbiegła po bielonych, polerowanych schodach i zniknęła w budynku.

Jeszcze jedna dręcząca zagadka do rozwiązania.

## ROZDZIAŁ 22

Casanova obserwował doktora Alexa Crossa. Przenikliwy, szybki umysł mordercy pracował na najwyższych obrotach, jak wysokiej klasy komputer – chyba najszybszy komputer w całym Trójkącie Uczelnianym.

Patrzcie na tego Crossa, mrucał do siebie. Z wizytą u starej przyjaciółki Naomi. Nic tu nie znajdziesz, doktorku. To nawet jeszcze nie ciepło. A właściwie coraz zimniej.

Szedł za Alexem Crossem przez campus Duke, trzymając się w bezpiecznej odległości. Dużo czytał o Crossie. Wiedział wszystko o tym psychologu i detektywie, który zyskał sobie świetną reputację po wykryciu w Waszyngtonie porywacza – mordercy. Tak zwana zbrodnia stulecia, nakręcana zresztą przez media. W sumie zupełny drobiazg.

No i kto jest lepszy w te klocki? – miał ochotę krzyknąć do Crossa. Ja wiem kim ty jesteś. A ty wiesz o mnie gównie. I tak już zostanie.

Cross się zatrzymał. Wyciągnął notatnik z tylnej kieszeni spodni i coś zapisywał. A cóż to, doktorze? Jakaś odkrywczą myśl przyszła nam do głowy? Raczej wątpię. Naprawdę. FBI i tutejsza policja szukają mnie od miesiący. Też pewnie robią notatki. Ale nikt nie wpadł na trop...

Casanova patrzył, jak Alex Cross rusza dalej przez campus i w końcu znika z pola widzenia. Możliwość, że Cross mógłby go kiedyś wytropić i złapać, była nie do pomyślenia. To się po prostu nie zdarzy.

Zaczął się głośno śmiać i zaraz zamilkł, ponieważ campus w niedzielne popołudnie był pełen ludzi.

Nikt nie wpadł na trop, doktorze Cross. Rozumiesz?... I to jest właśnie trop!

## ROZDZIAŁ 23

Znów był ze mnie detektyw w terenie.

Większość poniedziałkowego poranka spędziłem rozmawiając ze znajomymi Kate McTiernan. Najnowsza ofiara Casanovy odbywała pierwszy rok stażu lekarskiego; porwano ją z mieszkania na obrzeżach Chapel Hill.

Próbowałem skonstruować psychologiczny portret Casanovy, ale miałem za mało danych. I kropka. FBI na nic mi się tu nie przydało. Nick Ruskin nadal nie dzwonił.

Jej wykładowca z medycyny powiedział mi, że Kate McTiernan była jedną z jego najsumienniejszych studentek w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Inny profesor potwierdził jej niesłychane zaangażowanie i inteligencję dodając, że przede wszystkim miała niezwykle charakter.

Co do tego wszyscy byli jednomyślni. Nawet stażyści w szpitalu – choć to jej konkurencja – zgadzali się, że Kate McTiernan jest wyjątkową osobą.

–To najmniej zapatrzona w siebie kobieta jaką kiedykolwiek poznałam – powiedziała jedna z koleżanek.

–Kate jest całkiem zbzikowana na punkcie pracy, ale wie o tym i potrafi się z tego śmiać – stwierdziła inna.

–To świetna facetka. Wszyscy w szpitalu są tą sprawą zupełnie przybici.

–Ma naprawdę łeb, tyle że przy okazji świetna z niej dupa. Wszystko w tym stylu.

Zadzwońiłem do Petera McGratha, profesora historii. Zgodził się ze mną spotkać, choć z oporami. Chodził z Kate McTiernan przez cztery miesiące, ale rozstali się w sposób gwałtowny. Profesor McGrath był wysoki, dobrze zbudowany, odrobinę arogancki.

–Wiem, że strasznie spieprzyłem sprawę, tracąc tę dziewczynę – przyznał otwarcie. – Ale nie dałbym sobie z nią rady. Jeszcze nie spotkałem osoby, nieważne – kobiety czy mężczyzny – o tak zdecydowanym charakterze. Boże, trudno wprost uwierzyć, że Kate mogło się w ogóle przytrafić coś takiego.

Twarz miał pobladłą i był najwyraźniej wstrząśnięty zniknięciem dziewczyny. Przynajmniej na takiego wyglądał.

Potem zjadłem samotnie posiłek w jakimś hałaśliwym barze w uniwersyteckim miasteczku Chapel Hill. Przewalały się tam hordy studentów, stół bilardowy był obleżony, aleja usiadłem z dala od wszystkich z moimi piwami i tłustym, gumiastym hamburgerem oraz najświeższymi rozważaniami na temat Casanovy. Wykończył mnie ten dzień. Brakowało mi Sampsona, dzieciaków i domu w D.C. Normalnego świata bez potworów. Ale Scootchie nadal się nie znalazła. Podobnie jak kilka innych młodych kobiet z Południowego Wschodu.

Wróciłem myślami do Kate McTiernan i tego co dziś usłyszałem na jej temat.

Tak właśnie prowadzi się i rozwiązuje sprawę – przynajmniej ja tak je zawsze rozwiązuję. Zbiera się dane. Potem krążą one bez związku po mózgu. W końcu pojawiają się połączenia.

Casanova nie porywa kobiet wyróżniających się wyłącznie urodą, zdałem sobie nagle sprawę. Szuka kobiet nietuzinkowych pod każdym względem. Porywa wyłącznie te oszałamiające... te, których każdy pragnie, ale wydaje się, że nikt nie jest w stanie zdobyć.

I kolekcjonuje je, gdzieś tu w okolicy.

Dlaczego tylko te nadzwyczajne? – zastanawiałem się. Była na to tylko jedna odpowiedź. Ponieważ wierzy, że on sam jest nadzwyczajny.

## ROZDZIAŁ 24

Mało brakowało, a poszedłbym jeszcze raz zobaczyć się z Mary Ellen Klouk, ale rozmyśliłem się i wróciłem do Washington Duke Inn. Czekają tam na mnie parę wiadomości.

Pierwsza od kumpla z komendy w Waszyngtonie. Prosiłem go, żeby przepuścił przez komputer wszystkie informacje, jakie mogły posłużyć do zbudowania wiarygodnego portretu Casanovy. Wziąłem ze sobą laptopa i miałem nadzieję, że wkrótce ruszę z robotą.

Dziennikarz Mikę Hart dzwonił cztery razy. Znałem to nazwisko i znałem jego gazetę – bulwarówkę z Florydy pod tytułem *National Star*. Mówili na niego Hart – Bez – Serca. Nie oddzwoniłem. Raz o mnie napisali na pierwszej stronie i starczy mi tego do końca życia.

Zadzwoił wreszcie detektyw Nick Ruskin. Zostawił krótką wiadomość. „Z tej strony nic nowego. Odezwiemy się”. Trudno mi było w to uwierzyć. Nie miałem zaufania do Ruskina ani do jego wiernego przybocznego Daveya Sikesa.

Zapadłem w nerwową drzemkę w przytulnym hotelowym fotelu i miałem niezwykle żywy, acz koszmarny sen. Potwór jakby żywcem wyjęty z obrazów Muncha gonął Naomi. Nie byłem w stanie jej pomóc; mogłem tylko przyglądać się z przerażeniem tej makabrycznej scenie. Nie potrzeba psychoanalityka, żeby zinterpretować coś takiego.

Obudziłem się z uczuciem, że w moim pokoju ktoś jest.

Bardzo cicho położyłem dłoń na kolbie pistoletu i siedziałem bez ruchu. Serce mi waliło. Jak on się dostał do środka?

Podniosłem się powoli z fotela, ale pozostałem pochylony, gotowy do strzału. Usiłowałem dostrzec cokolwiek w zupełnej niemal ciemności.

Perkalowe zasłony były trochę rozsunięte, więc wpadało nieco światła z ulicy, tak że dało się rozróżnić kształty. Cienie liści zza okna tańczyły na ścianie. Poza tym wszystko trwało w bezruchu.

Z pistoletem gotowym do strzału sprawdziłem łazienkę. Potem szafy. Zacząłem czuć się trochę głupio, skradając się tak po własnym pokoju z bronią w ręku, ale coś przecież słyszałem!

W końcu dostrzegłem pod drzwiami jakiś papier, ale odczekałem jeszcze chwilę, zanim pstryknąłem światło. Tak dla pewności.

Na podłodze leżało czarno – białe zdjęcie. Natychmiast pojawiły się w mózgu odpowiednie skojarzenia. Była to brytyjska pocztówka z czasów kolonialnych, gdzieś z początku XX wieku. W tamtych czasach zbierano pocztówki jako pseudodzieła sztuki, w większości o treści lekko pornograficznej. Ówczesni kolekcjonerzy bardzo się nimi ekscytowali i.

Pochyliłem się, by spojrzeć na tę starą fotografię z bliska.

Przedstawiała odaliskę w niezwyklej, akrobatycznej pozie, palącą tureckiego papierosa. Była to ciemnowłosa, młoda i piękna kobieta, prawdopodobnie jeszcze nastolatka. Obnażona do pasa, trwała w tej dziwnej pozycji, a jej pełne piersi zwiślały w stronę głowy.

**Odwróciłem kartkę podważając ją ołówkiem.**

**Obok miejsca na znaczek widniał drukowany tekst: „Szczególnie piękne i inteligentne odaliski szkolono, by uczynić z nich nałożnice. Uczyły się tańca i gry na instrumentach, a także pisanie wyśmienitych, lirycznych wierszy. Były najwartościowszą częścią harem u, stanowiąc największy skarb cesarza”.**

**Pod spodem był odręczny podpis drukowanymi literami: Giovanni Giacomo Casanova de Seingalt.**

**Wiedział, że jestem w Durham. I wiedział, kim jestem. Casanova zostawił wizytówkę.**

## ROZDZIAŁ 25

Ja żyję.

Kate McTiernan powoli, z wysiłkiem otworzyła oczy. Znajdowała się w słabo oświetlonym pokoju... nie wiadomo gdzie.

Zamrugła kilka razy; przez moment miała wrażenie, jakby była w hotelu, tylko na śmierć zapomniała, kiedy zdążyła się w nim zameldować. W niesamowitym hotelu w jeszcze bardziej niesamowitym, artystycznym filmie Jima Jarmuscha. Zresztą to bez znaczenia. Najważniejsze, że nie umarła.

Nagle przypomniała sobie, że ktoś strzelił jej prosto w pierś. Przypomniała sobie intruza w mieszkaniu. Wysoki... długie włosy... łagodny ton głosu... wypisz wymaluj zwierzę.

Usiłowała usiąść, ale zaraz dała sobie spokój.

–Hej tam – powiedziała głośno. Czuła suchość w gardle, a jej głos, rezonujący nieprzyjemnie w czaszce, brzmiał zgrzytliwie. Język chyba domagał się ogolenia.

Jestem w piekle. W którymś z kręgów Piekieł Dantego, o bardzo niskim numerze porządkowym, pomyślała i zaczęła się trząść. Cała ta sytuacja była tak niewiarygodna, a jednocześnie tak horrendalna i niespodziewana, że Kate poczuła się zupełnie dezorientowana.

Bolały ją zeszytywniałe stawy, bolało ją wszystko. Nie wycisnęłaby teraz nawet pięćdziesięciu kilogramów. Głowę miała jak ogromny, napęczniały i przejrzały owoc. Ból był straszny, ale napastnika pamiętała bardzo żywo. Wysoki, pewnie z metr osiemdziesiąt pięć, młodzieńczy, wygadany i potwornie silny. Obraz rozmywał się, ale miała całkowitą pewność, że jest prawdziwy.

Jeszcze coś jej się przypomniało. Potwór, który ją napadł w mieszkaniu, użył pistoletu ogłuszającego, czy czegoś w tym rodzaju, by ją unieruchomić. Potem zastosował chloroform, może halotan. To pewnie dlatego tak łupało ją w głowie.

Światło w pokoju ktoś celowo pozostawił włączone. Zauważyła, że płynie ono z nowoczesnych ściemniaczy, wbudowanych w sufit. Pokój był niski, miał około dwóch metrów.

Wnętrze wyglądało, jakby je niedawno zbudowano albo odnowiono. Urządzone było ze smakiem; sama mogłaby tak umeblować swoje mieszkanie, gdyby miała czas i pieniądze.

Prawdziwe mosiężne łóżko. Zabytkowa biała komoda z mosiężnymi okuciami. Toaletka, a na niej srebrne grzebyki, szczotka, lusterko. U poręczy łóżka wisiały kolorowe szaliczki, zupełnie jak u niej w domu. Szczególnie to wydało się jej bardzo dziwne.

Pokój nie miał okien. Ciężkie dębowe drzwi stanowiły chyba jedyne wyjście.

–Ładny wystrój – mruknęła Kate pod nosem. – Styl wczesnego psychola. Nie, raczej późnego psychola.

Drzwi niewielkiej szafy były na wpół otwarte i mogła zerknąć do środka. Zajrzała i aż ją zemdlilo.

Przyniósł w to okropne miejsce, do tej dziwacznej celi więziennej, jej ubrania. Wszystkie jej rzeczy.



Zbierając resztkę sił Kate McTiernan usiadła z trudem na łóżku. To zmęczyło ją tak bardzo, że przestraszyła się, czując jak mocno wali jej serce. Ramiona i nogi miała tak ciężkie, jakby przywiązano do nich wielokilogramowe odważniki.

Usiłowała się skoncentrować, skupić wzrok na niesamowitym widoku. Wpatrywała się wciąż we wnętrze szafy.

Uzmysłowiła sobie wreszcie, że to nie są jej własne rzeczy. Były zupełnie nowe. On po prostu kupił ubrania dokładnie w jej stylu! Przy bluzkach i spódnicach wisiały jeszcze metki z nazwami sklepów. The Limited. The Gap w Chapel Hill. Sklepy, w których najczęściej kupowała.

Jej wzrok powędrował ku blatowi białej zabytkowej komódki w drugim końcu pokoju. Perfumy też tu były. Obsession, Safari, Opium.

Kupił to wszystko specjalnie dla niej, na to wyglądało.

Przy łóżku leżał egzemplarz „AD the Pretty Horses”, książki, którą wybrała w księgarni na Franklin Street.

On wszystko o mnie wie!

## ROZDZIAŁ 26

Doktor Kate McTiernan zasnęła. Obudziła się. Znowu zasnęła. Nigdy nie była śpiochem. No, może trochę, jeszcze przed studiami.

Już jej się trochę rozjaśniło w głowie, przytomniała i odzyskiwała kontrolę nad sobą. Nie mogła tylko odzyskać rachuby czasu. Nie miała pojęcia, czy to rano, po południu czy wieczór. Ani nawet jaki to dzień.

Ten facet, kimkolwiek jest ten sukinsyn, wchodził do tego, położonego nie wiadomo gdzie, ohydneho pokoju, gdy spała. Na samą myśl zrobiło jej się niedobrze. Na nocnym stoliku, tak żeby Kate na pewno zauważyła, leżała kartka, list.

Napisany ręcznie. „Droga dr Kate”, brzmiał nagłówek. Kiedy zobaczyła swoje imię, poczuła drżenie rąk.

„Chcę, żebyś to przeczytała, gdyż wtedy lepiej zrozumiesz zarówno mnie, jak i regulamin tego domu. To prawdopodobnie najważniejszy list, jaki otrzymałaś w życiu, więc czytaj go dokładnie. I potraktuj bardzo poważnie, proszę.

Nie, nie jestem stuknięty ani nie straciłem panowania nad sobą. Właściwie jest dokładnie odwrotnie. Użyj swej niewątpliwie dużej inteligencji, by zrozumieć, że jestem stosunkowo zdrowy na umyśle i dokładnie wiem, czego chcę. Większość ludzi tego nie wie.

A ty, Kate? Porozmawiamy o tym później. To temat wart bardzo ożywionej i ciekawej dyskusji. Czy wiesz, czego chcesz? Czy to otrzymujesz? Dlaczego nie? Dla dobra społeczeństwa? Czyjego społeczeństwa? Czyim my w końcu żyjemy życiem?

Nie mam zamiaru udawać, że uszczęśliwia cię pobyt tutaj, więc nie będzie fałszywych powitań. Żadnych kwiatów w celofanie ani owoców i szampana. Jak wkrótce się przekonasz, albo już przekonałaś, starałem się uczynić twój pobyt jak najwygodniejszym. Co z kolei prowadzi do ważnego punktu, może najważniejszego w tej pierwszej próbie porozumienia między nami.

Twój pobyt tutaj ma być tymczasowy. Wydostaniesz się, jeżeli – Wielkie Jeżeli – mnie posłuchasz... więc słuchaj uważnie, Kate.

Czy słuchasz w tej chwili? Proszę, słuchaj, Kate. Odpędź swój uzasadniony gniew i uspokój ten szum w głowie. Nie jestem szalony i panuję nad sobą.

To sedno sprawy: Ja nad sobą panuję! Widzisz różnicę? Oczywiście, że tak. Wiem, jaka jesteś zdolna. Odznaka wzorowego ucznia etc...

Ważne, żebyś wiedziała, jak wiele dla mnie znaczysz. Oto dlaczego jesteś tu zupełnie bezpieczna. I dlaczego cię wypuszczę, kiedyś.

Wybrałem cię spośród tysięcy kobiet, które mam do dyspozycji, że się tak wyrażę. Wiem, mówisz teraz «ale mam szczęście». Wiem, jak potrafisz śmiać się i kpić. Wiem nawet, że to śmiech pomógł ci przetrwać trudne chwile. Poznałem cię lepiej niż ktokolwiek, kiedykolwiek. Prawie tak dobrze jak ty siebie sama.

A teraz te mniej przyjemne sprawy. Uważaj, następne punkty są równie ważne jak te dobre wieści powyżej.

Oto regulamin domowy, którego trzeba ściśle przestrzegać:

1. Najważniejszy przepis: Nigdy nie próbuj ucieczki – albo zostaniesz stracona w ciągu kilku godzin, choćby to było bolesne dla nas obojga. Wierz mi, istnieje już

precedens. Po próbie ucieczki nie ma ułaskawienia.

2. Specjalnie dla ciebie, Kate, specjalny przepis: Nie wolno ci wypróbować na mnie twojego karate. (Chciałem nawet przynieść *tugi*, ten czyściutki, biały strój do karate, ale po co wodzić cię na pokuszenie.)

3. Nie wolno wzywać pomocy – dowiem się o tym – karą będzie zniekształcenie twarzy i narządów płciowych.

Chciałabyś wiedzieć więcej – chciałabyś wiedzieć wszystko od razu. Ale nic z tego. Nie wysilaj się, by odkryć, gdzie jesteś. I tak nie zgadniesz, a tylko niepotrzebnie głowa cię rozboli.

To by było na tyle. Dałem ci aż za dużo do myślenia. Jesteś tu absolutnie bezpieczna. Kocham cię bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Nie mogę się doczekać, kiedy pogadamy, naprawdę pogadamy.

Casanova

I masz beznadziejnie porąbane w głowie! – pomyślała Kate McTiernan przemierzając pokój. Trzy metry na pięć. Jej klaustrofobiczna cela. Jej piekło na ziemi.

Miała wrażenie, że jej ciało się unosi, jakby płynęło zanurzone w ciepłym, lepkim płynie. Zastanawiała się też, czy podczas napadu nie doznała urazu głowy.

Myślała tylko o jednym: uciec. Zaczęła analizować sytuację na wszystkie możliwe sposoby. Odwracała stereotypowe hipotezy i rozбивała każdą na czynniki pierwsze.

Są tu tylko jedno, grube drewniane drzwi o podwójnym zamku.

Te drzwi to jedyne wyjście.

Nie! To jest stereotypowa hipoteza. Musi być inne wyjście.

Przypomniała jej się pewna zagadka ucząca rozwiązywania problemów, którą poznała na nieprzydatnych aż do dziś wykładach z logiki. Było to dziesięć zapalek, ułożonych w rzymskie cyfry tworzące równanie:

## **XI + I=X**

Należało poprawić równanie bez dotykania zapalek, usuwania ich i dokładania nowych.

Nie ma prostego wyjścia.

Nie ma oczywistego rozwiązania.

Problem rzeczywiście dla wielu studentów okazał się nierozwiązywalny, ale ona znalazła odpowiedź stosunkowo szybko. Istniała, choć zdawało się, że nie ma żadnej. Kate doszła do niej odwracając stereotypowe hipotezy. Odwracając kartkę do góry nogami.

## **X = I+IX**

Ale tej więziennej celi nie da się odwrócić do góry nogami. A może się da? Kate McTiernan przebadła każdą deskę w podłodze, każdą cegielkę w ścianie. Drewno pachniało nowością. Może on był murarzem, budowlańcem albo architektem?

Nie ma wyjścia.

Nie ma oczywistego rozwiązania.

Nie mogła, nie chciała, pogodzić się z tym stwierdzeniem.

Zastanawiała się, czy go nie uwieść – jeśli byłaby w stanie zmusić się do tego. Nie. Był na to za sprytny. Wiedziałby. A jeszcze gorzej, że ona by wiedziała.

Musi istnieć jakieś wyjście. I znajdzie je.

Kate spojrzała na list, leżący na nocnym stoliku.

Nigdy nie próbuj ucieczki – albo zostaniesz stracona w przeciągu kilku godzin.

## **ROZDZIAŁ 27**

Na drugi dzień przeszedłem się do Sarah Duke Gardens – parku, z którego porwano Naomi sześć dni temu. Musiałem tam pójść, odwiedzić to miejsce, porozmyślać o mojej siostrzenicy, martwić się na osobności.

Do Centrum Medycznego Uniwersytetu Duke przylegało ponad pięćdziesiąt akrów pięknie ukształtowanego, leśnego parku, dosłownie całe kilometry alejek. Casanova nie mógłby znaleźć lepszego miejsca na porwanie. Przygotowywał się starannie. Jak dotąd, był perfekcyjny. Jak to możliwe?

Porozmawiałem z pracownikami parku i studentami, którzy odwiedzili to malownicze miejsce w dniu zniknięcia Naomi. Park otwierano wczesnym rankiem i zamykano o zmierzchu. Naomi widziano po raz ostatni około szesnastej. Casanova schwytał ją w biały dzień. Nie potrafiłem powiedzieć, jak tego dokonał. Jeszcze nie. Policja z Durham i FBI też nie wiedziały.

Łaziłem po laskach i ogrodach prawie dwie godziny. Przytłaczała mnie myśl, że Scootchie porwano właśnie tutaj.

Szczególnie pięknie było w miejscu zwanym Tarasami. Wchodziło się tam przez pergolę, obrośniętą wisterią japońską. Malownicze drewniane schodki prowadziły do pełnego ryb stawku o nieregularnym kształcie, dalej rozciągał się ogródek skalny. Tarasy stanowiły mozaikę płaskich skałek i najpiękniejszych barw. Tulipany, azalie, irysy właśnie rozkwitały.

Czułem instynktownie, że to miejsce Scootchie musiała kochać najbardziej.

Przyklęknąłem przy przepięknym klombie jasnoczerwonych i żółtych tulipanów.

**Miałem na sobie szary garnitur i białą, rozpiętą pod szyją koszulę. Ziemia była tu miękka i poplamilem sobie spodnie, ale nie zwracałem na to uwagi. Zwiesilem nisko głowę. I zapłakałem nad Scotchie.**

## ROZDZIAŁ 28

Kutas – tik. Kutas – tak.

Kate McTiernan wydawało się, że coś słyszy. Ale to chyba tylko wyobraźnia. W końcu można tu było dostać lekkiego świra.

Ale nie, znowu. Lekkie skrzypnięcie podłogi. Drzwi się otworzyły i do pokoju, nie mówiąc ani słowa wszedł mężczyzna.

Oto on! Casanova. Miał dziś na twarzy inną maskę. Smukły i atletyczny – przypominał jakiegoś złego boga. Czy takie właśnie było jego wyobrażenie o sobie?

Fizycznie mógłby uchodzić za seksownego faceta – na uczelni, a nawet jako ciało w prosektorium. To drugie bardziej by Kate odpowiadało.

Zwróciła uwagę na jego strój: wąskie, bladoniebieskie dżinsy i czarne kowbojskie buty o krawędziach przybrudzonych ziemią. Bez koszuli. Ciało miał jak z żelaza i bez wątpienia szczyił się swoją umięśnioną klatką piersiową. Starła się zapamiętać wszystko – na potem, kiedy ucieknie.

–Przeczytałam twój regulamin – odezwała się Kate, usiłując zachować maksymalny spokój. Drżała jednak na całym ciele. – Jest konkretny i bardzo jasny.

–Dziękuję. Nikt nie lubi przepisów, ja najmniej. Ale czasem to konieczne.

Maska, zakrywająca całą jego twarz, przyciągała uwagę Kate. Nie mogła oderwać od niej oczu. Przypominała jej ozdobne, wysmakowane maski weneckie. Ręcznie malowana, o artystycznie wypracowanych szczegółach, miała w sobie jakieś dziwaczne, rytualne piękno. Czyżby odgrywał uwodziciela? Czy o to chodzi?

–Dlaczego nosisz maskę? – spytała wprost. Starła się, by w jej głosie brzmiała uległość i zaciekawienie, nie natarczywość.

–Jak napisałem w liście, pewnego dnia będziesz wolna. Wypuszczę cię. Takie mam wobec ciebie plany. Nie zniósłbym, gdyby ci się stała krzywda.

–Jeżeli będę grzeczna. Posłuszna.

–Tak. Jeżeli będziesz grzeczna. To nie takie trudne, Kate. Bardzo cię lubię. Miała ochotę go uderzyć, rzucić się na niego. Jeszcze nie, ostrzegła się w myśli.

Dopóki nie będziesz pewna. Możesz spróbować tylko raz.

Jakby czytał w jej myślach. Był bardzo szybki, bardzo bystry.

–Żadnego karate – upomniał ją i wyczuła, że uśmiecha się pod maską. – Proszę, pamiętaj o tym, Kate. Widziałem przecież, jak ćwiczyłaś w *daj o*. Obserwowałem cię. Jesteś bardzo silna i szybka. Ja też. Sztuki walki nie sami obce.

–Wcale nie o tym myślałam. – Kate zmarszczyła brwi i spojrzała na sufit, przewracając oczami. Uznała, że w tych okolicznościach, pod presją, zostało to odegrane całkiem nieźle. Dla Jodie Foster żadna konkurencja, ale przyzwoicie.

–W takim razie przepraszam. Proszę o wybaczenie. Nie powinienem wkładać słów w twoje usta. Więcej tego nie zrobię. Obiecuję.

Chwilami wydawał się całkiem normalny i to, jak dotąd, najbardziej ją przerażało. Jakby prowadzili zwyczajną, sympatyczną pogawędkę w zwyczajnym, miłym mieszkanku, a nie w tym domu z horroru.

Kate przyjrzała się jego rękom. Palce miał długie, można nawet powiedzieć eleganckie. Ręce lekarza? Architekta? Artysty? Na pewno nie robotnika.

–Więc jakie ty właściwie masz wobec mnie zamiary? – zdecydowała się na j rozmowę bez ogródek. – Dlaczego tu jestem? Po co ten pokój, te ubrania? Wszystkie moje rzeczy?

Głos miał nadal łagodny i spokojny. Próbował ją uwodzić.

–No cóż, chyba chciałbym się zakochać i być zakochanym przez jakiś czas. Chciałbym dzień po dniu przeżywać prawdziwy romans. Coś specjalnego. Doświadczyć intymności drugiej osoby. Nie różnię się tak bardzo od innych. Tyle że działałam, zamiast marzyć na jawie.

–Czy w ogóle nic nie czujesz? – zapytała z udawaną troską. Wiedziała, że socjopaci nie potrafią odczuwać emocji, przynajmniej tak ją uczono.

Wzruszył ramionami. Wiedziała, że znów się uśmiecha, śmieje się z niej.

–Czasem czuję bardzo wiele – odparł. – Sądzę, że jestem nadwrażliwy. Czy mogę ci powiedzieć, jaka jesteś piękna?

–W obecnych okolicznościach wolałabym nie. Zaśmiał się sympatycznie i ponownie wzruszył ramionami.

–W porządku. Więc to postanowione? Nie ma gruchania. W każdym razie nie teraz. Ale pamiętaj, mogę być romantyczny. Nawet bardziej mi to odpowiada.

Nie spodziewała się jego gwałtownego ruchu, jego szybkości. Wyciągnął pistolet obezwładniający i strzelił. Kate usłyszała trzask pistoletu, poczuła woń ozonu, potem uderzenie i obrzydliwy wstrząs. Runęła na podłogę pod ścianą i uderzyła się w głowę. Dom aż zadrżał cały – jeśli to był dom.

–O Jezuuu, nie! – jęknęła.

Był już na niej. Przyciskał całym ciężarem, oplatał rękami i nogami. Chyba ją teraz zabije. Boże, nie chciała umrzeć w ten sposób, kończyć życia tak bezsensownie, absurdalnie, smutno.

Czuła, jak wzbiera w niej dzika wściekłość, która zaraz eksploduje. Desperackim wysiłkiem udało jej się oswobodzić jedną nogę, ale ręce wciąż miała skrepowane. Piers ją paliła. Poczowała, jak zrywa z niej bluzkę, jak ją dotyka, wszędzie. Był podniecony. Ocierał się o jej ciało.

–Nie, proszę, nie – jęknęła. Jej własny głos dobiegał gdzieś z daleka.

Miętosił jej piersi obiema rękami. Poczowała smak krwi i ciepłą strużkę spływającą z kącika ust. W końcu zaczęła płakać. Dławiło ją w gardle i ledwie mogła oddychać.

–Chciałem być miły – wymamrotał przez zaciśnięte zęby.

Nagle przestał. Podniósł się i rozpiął zamek niebieskich dżinsów. Opuścił spodnie do kostek, ale nawet ich nie zdjął.

Kate spojrzała na niego. Jego penis był w pełnym wzwodzie; połyskiwały na nim nabrzmiące, pulsujące krwią żyły. Casanova pochylił się nad nią i zaczął pocierać członkiem o jej ciało.

Chwilami traciła przytomność, odpływała z rzeczywistości w niebyt i wracała. Próbowała się chwytać każdej myśli, jaka przychodziła jej do głowy. Chciała poczuć, że na coś jednak ma wpływ, choćby tylko na własny umysł.

–Nie zamykaj oczu! – Ostrzegł ją warknięciem. – Patrz na mnie, Kate. Masz takie piękne oczy. Jesteś najpiękniejszą kobietą jaką kiedykolwiek widziałem. Wiesz o

tym? Wiesz, jaka jesteś ponętna?

Był teraz jakby w transie. Takie miała wrażenie. Jego silne ciało tańczyło i wyginało się w węzowych spazmach, kiedy wchodził w nią i wychodził. Potem usiadł i znowu zajął się jej piersiami. Pieścił włosy dziewczyny, różne miejsca na twarzy. Jego dotyk po chwili złagodniał i to było jeszcze gorsze. Czuła potworne upokorzenie i wstyd. Nienawidziła go.

–Tak bardzo cię kocham, Kate – mówił. – Bardziej niż jestem w stanie wyrazić. Nigdy przedtem się tak nie czułem. Przysięgam, że nie. Tak, jeszcze nigdy.

Zdała sobie sprawę, że jej nie zabije. Pozwoli żyć. I będzie przychodził, znowu i znowu, kiedy tylko zechce ją mieć. Ta przerażająca wizja obezwładniła ją i w końcu Kate zemdliała. Pozwoliła swej sile ducha ulecieć gdzieś daleko.

Nie czuła już, gdy całował ją delikatnie na pożegnanie.

–Kocham cię, słodka Kate – powtórzył. – I naprawdę żałuję, że tak to wyszło. Czuję... wszystko.



## ROZDZIAŁ 29

Dostałem pilny telefon od studentki nazywającej się Florence Campbell, koleżanki Naomi z roku. Chciała się ze mną natychmiast widzieć. „Muszę z panem porozmawiać, doktorze Cross; koniecznie”, powiedziała.

Spotkaliśmy się w kampusie Duke niedaleko Bryan University Center. Okazało się, że Florence jest czarna, tuż po dwudziestce. Przechadzaliśmy się wśród magnolii. Żadne z nas nie pasowało szczególnie do tego otoczenia.

Florence była wysoka i kanciasta w ruchach. Miała stojącą usztywnioną fryzurę, przywodzącą na myśl Nefretete. Wyglądała naprawdę dziwacznie, czy też może staromodnie i pomyślałem, że tacy ludzie żyją chyba już tylko gdzieś w delcie Missisipi albo na wsi w Alabamie. Zaliczyła studia zawodowe na Uniwersytecie Stanowym Missisipi, czyli całe lata świetlne od Duke.

–Bardzo, bardzo pana przepraszam, doktorze Cross – zaczęła, gdy usiedliśmy na ławce, porytej napisami oraz inicjałami studentów. – Proszę o wybaczenie pana i pańską rodzinę.

–O wybaczenie czego, Florence? – zapytałem. Nie bardzo rozumiałem, o co jej chodzi.

–Nie skontaktowałam się z panem wczoraj, kiedy pan przyszedł do kampusu. Ale nikt właściwie nie stwierdził jasno, że Naomi została porwana. A już na pewno nie policja z Durham. To po prostu chamy. W ogóle im chyba nie przyszło do głowy, że Naomi naprawdę jest w opałach.

–A czemu tak się dzieje twoim zdaniem? – zadałem jej pytanie, które mnie samemu krążyło po głowie.

Spojrzała mi głęboko w oczy.

–Dlatego, że Nami jest Afro – Amerykanką Ani policja, ani FBI nie przejmują się nami tak bardzo jak białymi.

–Wierzysz w to, co mówisz?

–To przecież prawda, czemu mam nie wierzyć? – przewróciła oczami Florence Campbell. – Frantz Fanon dowodzi, że rasistowskie superstruktury są na stałe wbudowane w kulturę, gospodarkę i psychologię naszego społeczeństwa. I w to też wierzę.

Florence była bardzo poważną młodą kobietą. Pod pachą trzymała egzemplarz „Wszech – Amerykanów” Alberta Murray'a. Jej styl zaczynał mi się podobać. Nadszedł jednak czas, żeby wyciągnąć z niej wszystkie sekrety dotyczące Naomi.

–Powiedz mi, Florence, co się tu właściwie dzieje – zacząłem. – Nie cenzuruj myśli tylko dlatego, że jestem wujkiem Naomi albo dlatego, że jestem policjantem. Ktoś musi mi pomóc Stawiam właśnie czoło superstrukturze, tutaj w Durham.

Florence uśmiechnęła się. Odsunęła z twarzy splecione kosmyki włosów. To kobieta pełna sprzeczności. Raz zachowywała się, jakby była Immanuelem Kantem, innym razem jak Prissy z „Przeminęło z wiatrem”.

–Powie, co w tej chwili wiem, doktorze Cross. Dlaczego niektóre dziewczyny z akademika są złe na Naomi.

Odetchnęła głębiej pachnącym magnoliami powietrzem.

–To się zaczęło od pewnego mężczyzny nazwiskiem Seth Samuel Taylor. On pracuje w opiece społecznej w Durham i buduje to osiedle dla biednych. Poznałam ich ze sobą; Seth to mój kuzyn. – W jej głosie pojawiła się nagle niepewność.

–Jak dotąd nie widzę sprawy – wtrąciłem.

–Seth Samuel i Naomi zakochali się w sobie jakoś tak w grudniu zeszłego roku – ciągnęła Florence. – Naomi chodziła z oczami jak gwiazdy o północy, a to do niej niepodobne, jak sam pan wie. Początkowo jeszcze wracała na noc do akademika, ale potem zaczęła pomieszkiwać u Setha w Durham.

Trochę mnie zdziwiło, że Naomi się zakochała i słowem nie wspomniała o tym Cilli. Dlaczego nikomu z nas nic nie powiedziała? Nadal też nie rozumiałem tej sprawy z koleżankami z akademika.

–Przypuszczam, że Naomi nie jest pierwszą studentką Duke, która się zakochała. Ani pierwszą, która zaprosiła chłopaka na herbatkę i kruche ciasteczka czy co tam jeszcze – stwierdziłem.

–To nie było zwykle zapraszanie chłopaka na „co tam jeszcze”, tylko zapraszanie czarnego chłopaka. Seth przychodził z budowy w brudnym kombinezonie, butach roboczych i w tej swojej skórzanej kurtce mechanika. Naomi zaczęła chodzić po kampusie w słomianym kapeluszu jak jakiś małorolny chłop. Czasem Seth zakładał kask z napisem: PRACA NIEWOLNICZA. Pozwalał sobie na zgryźliwość w kwestii działalności społecznej czarnych sióstr, a nawet ironizował na temat ich, Boże uchronij, świadomości społecznej. Beształ czarne pomoce domowe za to, że wykonują ataki zawód.

–A co ty sądzisz o swoim kuzynie? – spytałem Florence.

–Seth niewątpliwie ma kłótliwą naturę. Tak się wścieka na niesprawiedliwość rasową, że aż mu to czasem przesłania własne idee. Ale poza tym, to świetny facet. Człowiek czynu; nie boi się ubrudzić sobie rąk. Gdyby nie to, że jest moim dalekim kuzynem... – Florence puściła do mnie oko.

Rozbawiło mnie to jej przewrotne poczucie humoru. Miała w sobie coś nieokrzesanego rodem z Missisipi, ale wydawała się miłą dziewczyną. Nawet jej czub na głowie zaczął mi się podobać.

–Dawno się przyjaźnicie z Naomi? – spytałem jeszcze.

–Nie od początku studiów. Chyba uważaliśmy, że konkurujemy ze sobą w sprawie publikacji w *Law Review*. Bo prawdopodobnie tylko jedna czarna studentka mogła się załapać, rozumie pan. Ale potem w trakcie roku bardzo się zbliżyliśmy do siebie. Kocham Naomi. Ona jest świetna.

Przyszło mi nagle do głowy, czy zniknięcie Naomi nie wiąże się jakoś z jej chłopakiem, a ten morderca grasujący po Karolinie Północnej nie ma tu może nic do rzeczy.

–To naprawdę dobry człowiek. Proszę mu nie robić krzywdy – ostrzegła mnie Florence. – Niech to panu nawet w głowie nie postanie.

–Złamię mu tylko jedną nogę – zgodziłem się.

–On jest silny jak byk – odparła.

–Byk to ja jestem – uchyliłem przed Florence Campbell rąbka mojej własnej, małej

**tajemnicy.**

## ROZDZIAŁ 30

Wpatrywałem się w ciemne niczym kulki czarnego marmuru, głębokie oczy. Setha Samuela Taylora.

Chłopak Naomi był wysoki, bardzo muskularny; prawdziwy człowiek pracy. Bardziej mi się kojarzył z młodym lwem niż z bykiem. Wyglądał na zrozpaczonego i nie chciałem go brać na spytki. Poczujęm się tak, jakby Naomi odeszła już na zawsze.

Seth Taylor był nie ogolony i widziałem, że nie spał od paru dni. Chyba nawet nie zmieniał ubrania. Miał na sobie mocno wygniecioną, niebieską flanelową koszulę włożoną na podkoszulek oraz ogrodniczki. Na nogach zakurzone buty robocze. Albo był bardzo zdenerwowany, albo świetnie grał swoją rolę.

Wyciągnąłem do niego rękę, uścisk miał potężny. Jakbym włożył dłoń w imadło. –Wyglądasz, jakbyś miał sraczkę – powiedział do mnie na powitanie. Gdzieś w okolicy ryczał rap w wykonaniu Digital Underground. Całkiem jak w D.C tylko trochę przestarzały.

–Tytaksamo – odgryzłem się.

–A, pieprzyć to wszystko – podsumował. Obaj dobrze, znaleźliśmy to powitanie z getta i wybuchnęliśmy śmiechem.

Śmiech Setha brzmiał ciepło i to się jakoś udzielało. Wydawał się trochę zanadto pewny siebie, ale nie nachalny. Już takich widziałem.

Zauważyłem, że jego szeroki nos ma ślady po kilku złamaniach, ale mimo to był przystojnym, choć nieco grubo ciosanym facetem. Zdawał się wypełniać pokój swoją obecnością, zupełnie jak Naomi. Jak rasowy detektyw zacząłem zastanawiać się nad Sethem Taylorem.

Seth mieszkał w starej, robotniczej części śródmieścia Durham. Kiedyś żyli tu głównie pracownicy fabryki tytoniu. Miał dwupokojowe, piętrowe mieszkanie w starym drewnianym domu przedzielonym na pół. Na korytarzu wisiały plakaty grupy Arrested Development i rapera Ice – T. Na jednym był napis: „Jeszcze nigdy od czasów niewolnictwa sytuacja czarnych mężczyzn nie była tak katastrofalna”.

W pokoju tłoczyli się kumple i sąsiedzi Setha. Z taśmy leciały smutne piosenki Smokey Robinsona. Ci wszyscy ludzie przyszli tu, bo chcieli pomóc w poszukiwaniach. Wreszcie znalazłem na Południu jakieś wsparcie.

Każdy uważał za konieczne porozmawiać ze mną o Naomi. Nikt nie miał żadnych podejrzeń co do Setha Samuela.

Największe wrażenie zrobiła na mnie kobieta o mądrych, wrażliwych oczach i skórze koloru kawy z mlekiem. Keesha Bowie była trochę po trzydziestce, pracowała na poczcie w Durham. Naomi i Seth najwyraźniej namówili ją żeby wróciła na uczelnię i zrobiła dyplom z psychologii. Skumaliśmy się od pierwszej chwili.

–Naomi jest wykształcona, więc i wygadana, co przecież wiesz. – Keesha odciągnęła mnie na bok i mówiła poważnym głosem. – Ale nigdy nie użyła swoich zdolności czy wykształcenia, żeby kogoś pomniejszyć albo siebie wywyżżyć. To się rzuciło w oczy każdemu, kiedyśmy ją poznali. Ona naprawdę stoi obiema nogami na ziemi, Alex. Ani odrobiny sztuczności czy fałszu. To potwornie smutne, że coś

**takiego przytrafiło się właśnie jej.**

**Rozmawialiśmy jeszcze chwilę i bardzo polubiłem Keesę. Była ładna i bystra, ale nie miałem teraz czasu na głupstwa. Rozejrzałem się za Sethem, siedział samotnie na górze. Okno sypialni było otwarte, a on usadowił się na zewnątrz, na łagodnej pochyłości dachu. Gdzieś daleko w ciemności Robert Johnson wyśpiewywał swoje nawiedzone bluesy.**

**–Mogę tam wyjść do ciebie? Dach wytrzyma? – spytałem przez okno. Seth uśmiechnął się.**

**–Jak nie wytrzyma, to najwyżej spadniemy obaj na ganek i wszyscy będą mieli uciechę. Nie żal na to złamanego karku. Wyłaź, jak masz chęć. – Mówił przeciągając śpiewnie słowa. Mógł podobać się Naomi.**

**Usiadłem koło chłopaka. W zapadającym zmroku dochodziły do nas odgłosy małomiasteczkowej wersji zakazanej dzielnicy, z wyciem policyjnych syren i ulicznymi wrzaskami.**

**–Często tu siadywaliśmy – mruknął Seth. – Naomi i ja.**

**–Trzymasz się jakoś? – zapytałem.**

**–W życiu mi gorzej nie było. A ty?**

**–To samo.**

**–Po twoim telefonie – powiedział Seth – myślałem sobie, że masz przyjść i ewentualnie porozmawiamy. Próbowałem myśleć tak, jakbym był tobą. Wiesz, jak policjant, detektyw. Proszę, niech ci już nigdy nie przychodzi do głowy, że jest choćby cień szansy, że ja mogę mieć coś wspólnego z zaginięciem Naomi. Nie marnuj czasu na coś takiego.**

**Spojrzałem na niego. Przygarbił się i zwiesił głowę na piersi. Mimo ciemności dostrzegłem mokry połysk w jego oczach. Smutek Setha był namacalny. Chciałem mu powiedzieć, że ją znajdziemy, i że wszystko się ułoży, ale nie wiedziałem jak.**

**W końcu objęliśmy się ramionami. Każdy z nas tęsknił za Naomi na swój własny sposób i opłakiwaliśmy ją wspólnie, siedząc w ciemnościach na dachu.**

## ROZDZIAŁ 31

Wieczorem zadzwonił wreszcie jeden z moich kumpli z FBI. Czytałem akurat „Diagnostykę i przewodnik statystyczny chorób umysłowych”. Pracowałem nad sylwetką psychologiczną Casanovy, ale wciąż bez większych postępów.

Poznałem agenta specjalnego Kyle'a Craiga podczas długiej, uciążliwej obławy na sprawcę szeregu porwań, Gary Soneji'ego vel Murphy'ego. Kyle zawsze mówił to, co myśli. Nie miał, jak większość agentów FBI, wyznaczonego terenu działania i niezbyt był przywiązany do standardów Biura. Czasem wręcz zdawało mi się, że nie pasuje do FBI. Był zbyt ludzki.

–Dzięki, żeś wreszcie oddzwonił, dziwaku – rzuciłem do słuchawki. – Gdzie ostatnio masz bazę? Odpowiedź Kyle'a zaskoczyła mnie. Jestem w Durham, Alex. A mówiąc dokładniej, w hallu twojego hotelu. Chodź, pójdziemy na drinka, albo trzy drinki, do tego straszliwego Buli Durham Room. Muszę z tobą pogadać. Mam dla ciebie wiadomość specjalną od samego J.Edgara.

–Już schodzę. Zastanawiałem się, co Hoove kombinuje, odkąd sfingował własną śmierć.

Kyle siedział przy dwuosobowym stoliku pod wielkim oknem wychodzącym na zatokę. Tuż za oknem rozciągał się teren treningowy uniwersyteckiego pola golfowego. Jakiś chudy mężczyzna o wyglądzie chłopca uczył studentkę, jak wprowadzać piłkę do dołka w trawie. Sukinkot stał tuż za dziewczyną i demonstrował jej swoje najlepsze ruchy wprowadzające.

Kyle obserwował tę lekcję golfa z wyraźnym rozbawieniem. Ja zaś z wyraźnym rozbawieniem obserwowałem Kyle'a. Odwrócił się, jakby wyczuł moją obecność.

–Facet, ty to masz nosa do kiepskich spraw – rzekł na powitanie. – Zmartwiłem się, że twoja siostrzenica zniknęła. Ale miło cię widzieć, nawet przy tak zaszraniej okazji.

Usiadłem naprzeciw niego i przystąpiliśmy do rzeczy. Był jak zwykle niesamowicie pogodny i pozytywnie nastawiony, nie robiąc mimo to wrażenia naiwniaka. Ma taki dar. Niektórzy uważali, że najlepiej by było dla Biura, gdyby Kyle doszedł do samej góry.

–Najpierw zjawia się w Burharri czcigodny Ronald Burns. Teraz ty. Co jest? – zapytałem.

–Najpierw ty mi powiedz, co masz. A ja postaram ci się zrewanżować.

–Robię portrety psychologiczne zamordowanych kobiet – wyjaśniłem mu. – Tak zwanych odrzutów. W dwóch wypadkach odrzucone zostały kobiety o bardzo silnych osobowościach. Pewnie sprawiały mu za dużo kłopotu. Być może zabił je, żeby się tego kłopotu pozbyć. Wyjątek stanowiła Bette Annę Ryerson. Była matką leczyła się i może po prostu załamała się nerwowo.

Kyle przeczesywał sobie jedną ręką czuprynę, jednocześnie kręcąc głową. – Nie podali ci żadnych informacji ani nie udzielili pomocy. A ty rach – ciach – ciach – i już wyprzedzasz naszych ludzi o pół kroku. – Uśmiechnął się. – Nie znałem tej teorii „odrzutów”. Jest niezła, Alex, szczególnie jeśli to świr kontrolowany.

–To musi być świr kontrolowany, Kyle. Nie pozbyłby się tych trzech kobiet bez

cholernie poważnego powodu. No, ale spodziewałem się, że ty mi też powiesz o paru rzeczach, o których nie wiem.

–Możliwe. Jeśli zdasz jeszcze kilka prostych testów. Co poza tym wykryłeś?

Łyknąłem piwa i rzuciłem Kyle 'owi spojrzenie, które zabija.

–Wiesz co, myślałem, że w porządku z ciebie facet, a ty jesteś zwykły kutas z FBI.

–Zaprogramowano mnie w Quantico – odpowiedział niby – komputerowym głosem. – Czy robiłeś też sylwetkę Casanovy?

–Pracuję nad tym. – Wyjawiłem mu, co na razie wiem. – Robię, co się da, nie mając praktycznie ani grama informacji.

Kyle popędził mnie gestem, bym mówił dalej. Chciał mieć wszystko, zanim być może podzieli się czymś ze mną.

–Musi to być ktoś, kto bez problemu wtapia się w miejscowe środowisko – wyjaśniłem. – Nikt jeszcze nie miał nawet cienia szansy, by go złapać.

Prawdopodobnie te same obsesyjne fantazje seksualne powodują nim już od lat chłopięcych. Możliwe, że to ofiara nadużyć seksualnych, może kazirodztwa.

Początkowo pewnie ograniczał się do podglądania czy gwałtów na randkach. Teraz to już wyrafinowany kolekcjoner najpiękniejszych kobiet; wydaje się wybierać tylko najbardziej niepospolite. Prowadzi poszukiwania, Kyle. Jestem tego prawie pewien. Jest samotny. Być może pragnie kobiety doskonałej.

Kyle tylko kręcił głową.

–Kurczę, człowieku, ale wariat z ciebie. Ty rozumiesz jak on!

–Mało śmieszne – uszczypnąłem go w policzek. – Teraz mów, czego ja nie wiem.

–Zrób ze mną interes, Alex. To dobry interes, więc się nie naigrawaj. Podniosłem rękę, by przywołać kelnerkę.

Rachunek! Osobne rachunki, proszę!

–Nie, nie! – zawołał. – Poczekaj. To naprawdę dobry interes. Boję się mówić „zaufaj mi”, ale mi zaufaj. Po prostu nie mogę ci teraz powiedzieć wszystkiego; to chyba świadczy, że nie kłamię. Przyznaj, że tak dużej sprawy chyba jeszcze nie widziałeś. I masz rację co do Burnsa. Zastępca dyrektora nie zjawił się tutaj przez przypadek.

–Wpadłem już na to, że nie przyjechał podziwiać azalii. – Miałem ochotę wrzasnąć na Kyle'a w tym cichym hotelowym barze. – No dobra, wymień chociaż jedną rzecz, o której nie wiem.

–Na razie nic więcej nie mogę ci powiedzieć.

–Niech cię szlag, Kyle. Cholera, przecież kompletnie nic mi nie powiedziałeś – podniosłem głos. – Co to ma być za interes? Uspokoił mnie gestem dłoni.

–Słuchaj. Jak sam wiesz albo przypuszcza, to jest już w lej chwili czterogwiazdkowy, wielokompetencyjny koszmar, a jeszcze się na dobre nie rozkręcił. Uwierz mi. Nikomu nic nie wychodzi, Alex. Chciałbym, żebyś to wziął pod uwagę.

–Dobrze, że siedzę, bo bym upadł – przewróciłem oczami.

–To naprawdę doskonała propozycja dla człowieka w twojej sytuacji – ciągnął Kyle. – Ponieważ i tak już jesteś poza tym wielkompetencyjnym bajzlem – czyli nie

**grozi ci zarażenie się – lepiej niech tak pozostanie. Bądź na zewnątrz i pracuj bezpośrednio dla mnie.**

**–Pracować z FBI? – zakrztusiłem się piwem. – Kolaborować z federalniakami?**

**–Mogę ci dać dostęp do wszystkich naszych informacji, w miarę jak będą się pojawiały. Dostaniesz, co tylko zechcesz w zakresie informacji, pomocy i naszych aktualnych danych.**

**–A ty nie będziesz musiał ujawniać tego, co ja ci przyniosę? Nawet miejscowej czy stanowej policji? – dopytywałem się. Kyle znów się po swojemu ożywił.**

**–Słuchaj, Alex, to jest poważne i kosztowne dochodzenie, które prowadzi donikąd. Śledczy potykają się o siebie nawzajem, podczas gdy na całym Południu wprost sprzed naszego nosa znikają kobiety, włączając w to twoją siostrzenicę.**

**–Rozumiem, na czy polega problem, Kyle. Pozwól mi pomyśleć, jak go rozwiązać. Dajże trochę oddechu. Rozmawialiśmy jeszcze trochę o jego ofercie i udało mi się uzyskać parę szczegółów. Zasadniczo jednak zostałem kupiony. Współpraca z Kyle'em da mi dostęp do pierwszorzędnego oddziału wsparcia i zawsze się przebiję w razie potrzeby. Nie będę już sam. Zamówiliśmy hamburgery oraz następne piwa, i gadaliśmy dalej nadając ostateczny szlif mojemu kontraktowi z Diabłem. Po raz pierwszy od przyjazdu na Południe poczułem odrobinę nadziei.**

**–Czymś jeszcze muszę się z tobą podzielić – powiedziałem na koniec do Kyle'a. – On mi wczoraj zostawił liścik. Bardzo miły, przemyślany, powitalny liścik.**

**–Wiemy o tym – oznajmił, szczerząc się jak wyrośnięty Andy Hardy, którym zresztą jest. – Dokładnie była to pocztówka. Przedstawiająca odaliskę.**



## ROZDZIAŁ 32

Nim wróciłem do pokoju, zrobiło się trochę późno, ale zadzwoniłem jeszcze do Nany i dzieciaków. Zawsze dzwonię do domu, kiedy wyjeżdżam, dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Nie odpuściłem jeszcze nigdy i nie chciałem, żeby dziś był pierwszy raz.

–Czy słuchasz Nany i jesteś grzeczną dziewczynką tym razem? – spytałem Jannie, kiedy podeszła do telefonu.

–Zawsze jestem grzeczną dziewczynką! – kwiknęła radośnie, jak to małe dziewczynki. Uwielbia ze mną rozmawiać. A ja z nią. Niesamowite, wciąż kochaliśmy się szaleńczo, po pięciu latach wspólnego życia.

Zamknąłem oczy i próbowałem ją sobie wyobrazić. Niemal widziałem, jak się nadyma i próbuje zrobić buntowniczą minę, jednocześnie szczerząc w uśmiechu szczerbatą buzię. Kiedyś taką słodką małą dziewczynką była Naomi. Pamiętałem doskonale te czasy. Odpędziłem jednak natychmiast tę myśl i żywy portret Scootchie.

–A jak tam twój wielki brat? Damon też mówi, że jest wyjątkowo greczny i podobno Nana skarżyła się dziś, że ma „skaranie boskie” z tobą. Prawda to?

–Uhm – hm, tato. To na niego tak powiedziała. To Damon jest skaranie boskie w naszym domu. Ja jestem Nany aniołek cały czas. Nany Mamy gruczna dziewczynka aniołek. Możesz się jej zapytać.

–Aha. Dobrze to słyszeć – ucieszyłem się. – A ciągnęłaś trochę Damona za włosy, kiedy jedliście te świństwa u Roy Rogersa?

–Nie świństwa, misiu – pysiu! On mnie pierwszy pociągnął. Prawie że mi wyrwał włosy. Byłabym łysa jak Baby Clare.

Baby Clare jest jej najukochańszą lalką odkąd Jannie skończyła dwa lata. To było jej „dziecko”. Kiedyś zgubiliśmy Baby Clare na wycieczce w Williamsburgu i musieliśmy po nią wracać. No i cud – Clare czekała na nas przed wejściem do parku, gawędząc sobie ze strażnikiem.

–Zresztą nie mogłam ciągnąć Damona za włosy, bo on jest prawie łysy, tatusiu. Nana go ostrzygła na lato. Zobaczysz, mój brat jest łysy. Wygląda jak bilard!

Słyszałem śmiech Jannie. Widziałem jak się śmieje. Damon domagał się słuchawki. Chciał złożyć sprostowanie na temat stanu swoich włosów.

Kiedy skończyłem z dziećmi, włączyła się Nana.

–Jak tam ci idzie, Alex? – spytała. Od razu przeszła do rzeczy, jak zawsze. Byłby z niej znakomity detektyw, zresztą dobrze robiła wszystko, czegokolwiek się tknęła. – Alex, pytałam, jak ci idzie?

–Świetnie mi idzie. Kocham moją pracę – odparłem. – A jak u ciebie, stara kobieto?

–O to się nie martw. Upilnuję te dzieci nawet przez sen. Ale z tobą coś nie jest za dobrze. Nie śpisz i niezbyt wielkie robisz postępy, co?

Ludzie, ależ potrafiła być uparta.

–Miałem nadzieję, że to pójdzie lepiej – przyznałem. – Ale dziś chyba zdarzyło się coś dobrego.

**–Wiem. To dlatego dzwonił tak późno. Ale nie podzielił się z babcią dobrą wieścią. Boisz się, że polecę do *Washington Post*.**

**Miewaliśmy takie dyskusje już nieraz. Zawsze chce, żebym Ujawniał służbowe tajemnice, a ja oczywiście nie mogę.**

**–Kocham cię – powiedziałem w końcu. – Tyle mogę dla ciebie zrobić w tej chwili.**

**–A ja ciebie, Aleksie Cross. Też tyle mogę dla ciebie zrobić.**

**Zawsze musi mieć ostatnie słowo.**

**Kiedy skończyłem rozmawiać z Naną i dziećmi, położyłem się na nie pościelonym, nieprzytulnym hotelowym łóżku. Nie chciałem tu widzieć żadnych pokojówek ani nikogo. Ale wywieszka: NIE PRZESZKADZAĆ nie odstraszała oczywiście FBI.**

**Postawiłem sobie na piersi butelkę piwa i zacząłem spokojnie oddychać, żeby się nie przewróciła. Nigdy nie lubiłem hoteli, nawet w czasie wakacji.**

**Znów myślałem o Naomi. Kiedy była taka jak Jannie, wozili ją na barana, żeby mogła widzieć „daleko, daleko cały Świat Dużych Ludzi”. Zamiast Boże Narodzenie mówiła „Buzi Narodzenie” i myślała, że w święta trzeba wszystkich całować.**

**W końcu wróciłem myślami do potwora, który zabrał nam Scootchie. Na razie potwór wygrywał. Wydawał się nietykalny, nie do złapania; nie robił w ogóle błędów i nie zostawiał śladów. Był bardzo pewny swego... nawet podrzucił mi dla sportu oryginalną pocztóweczkę. Jakie powinienem wyciągnąć z tego wnioski?**

**A może on przeczytał moją książkę o Gary Sonejim, pomyślałem. Mógł naprawdę ją czytać. Porwał Naomi, by mi rzucić wyzwanie? Albo żeby dowieść, jaki jest dobry.**

**Nie bardzo mi się podobał ten pomysł.**

## ROZDZIAŁ 33

**Żyję, ale jestem w piekle!**

Kate McTiernan podkurczyła swe mocne nogi do piersi i drżała na całym ciele. Była pewna, że dostała jakiś narkotyk. Potężne dreszcze i nudności nadchodziły falami, jedna za drugą i nie potrafiła ich powstrzymać, choć bardzo się starała.

Nie miała pojęcia, ile czasu przespała na zimnej podłodze ani która może być godzina. Czy on ją obserwuje? Czy ma gdzieś w tych ścianach dziurkę do podglądania? Kate czuła niemal, jak jego wzrok pełza po jej ciele.

Pamiętała, jak ją gwałcił, w każdym odrażającym, makabrycznym szczególe. Myśl o tym, że ją dotykał, była wstrętą.

Gniew i poczucie winy kłębiły się w jej umyśle. Wzbierająca silnie adrenalina przenikała całe ciało. Zdrowaś Mario, łaskiś pełna... Pan z tobą, powtarzała sobie. Myślała, że już zapomniała, jak się modlić. I miała nadzieję, że Bóg nie zapomniał o niej.

Kręciło jej się w głowie. Ten człowiek najwyraźniej dążył do złamania jej woli, chęci oporu. Tak to sobie zaplanował.

Powinna myśleć, zmusić się do myślenia. Wszystkie kształty w pokoju były nieostre. Narkotyk! Kate próbowała się domyślić, czego użył. Jaki to narkotyk? Który?...

To zapewne foran, silny rozluźniacz mięśni, stosowany przed znieczuleniem. Można go było rozpylać albo przycisnąć do twarzy nasączoną płynem szmatkę. Próbowwała przypomnieć sobie uboczne skutki działania leku. Dreszcze i nudności. Suchość w gardle. Obniżenie sprawności intelektualnej przez dzień lub dwa. Miała te objawy! Wszystkie!

To lekarz! Ta myśl uderzyła ją jak cios w dołek. Była absolutnie sensowna. Kto inny miałby dostęp do czegoś takiego jak foran?

W *dojo* w Chapel Hill uczono adeptów karate, jak poddawać dyscyplinie emocje. Trzeba było siedzieć przed białą ścianą i ani drgnąć, choćby człowiek nie wiadomo jak bardzo pragnął się poruszyć albo myślał, że musi to zrobić.

Kate ociekała potem, ale nie traciła determinacji. Nie pozwoli, by złamał jej wolę. Potrafiła w razie potrzeby odnaleźć w sobie niewiarygodną siłę. Dzięki temu przecież przeszła przez studia medyczne niemal bez pieniędzy i na przekór wszystkiemu.

Usiadła w swej „więziennej celi” w pozycji lotosu i siedziała tak przez ponad godzinę. Oddychała spokojnie i starała się wyrzucić z umysłu ból, mdłości i myśli o gwałcie. Skoncentrowała się na tym, co ma teraz do zrobienia.

Na jednej prostej myśli.

Uciec.

## ROZDZIAŁ 34

Po godzinnej medytacji Kate wstała powoli. Wciąż była zamroczona, ale czuła się trochę lepiej. Postanowiła znaleźć dziurkę do podglądania. Musiała tu gdzieś być, ukryta w boazerii.

Pokój miał dokładnie trzy siedemdziesiąt na cztery sześćdziesiąt. W malutkiej wnęce wielkości szafy mieścił się odpowiednik ubikacji.

Kate szukała uważnie choćby najmniejszej szparki w ścianie, ale nic nie znalazła. Ubikacja we wnęce miała chyba bezpośrednie odprowadzenie do ziemi. Nie było kanalizacji, przynajmniej nie w tej części budynku. Gdzie on mnie trzyma? Gdzie ja jestem?

Kiedy uklękła nad czarnym drewnianym sedesem i usiłowała zajrzeć w głąb ciemnego otworu, oczy jej zaszyły łzami od gryzącego smrodu. Przyzwyczajona była radzić sobie z różnymi ohydnyymi zapachami, więc tym razem poczuła tylko jedną suchą falę nudności.

Otwór sięgał chyba ze trzy, trzy i pół metra w głąb. W głąb czego?

Wydawał się bardzo wąski i raczej nie zdołałaby się przez niego przecisnąć, nawet gdyby zdjęła ubranie. A może by jednak zdołała? Nigdy nie mów nigdy, powtórzyła sobie.

Tuż za plecami usłyszała jego głos. Serce jej zamarło i poczuła się słabo.

Znów tu był! I znów bez koszuli. Miał napięte mięśnie, szczególnie wokół brzucha i na udach. Założył inną gniewną maskę. W karmazynowe i jaskrawobiałe plamy na błyszczącym czarnym tle. Czy dziś jest rozgniewany? Czy maski mają sygnalizować jego nastrój?

–Jeden z twoich gorszych pomysłów, Katie. Ktoś chudszy od ciebie już tego próbował – powiedział śpiewnym tonem. – Nie będę tam schodził, żeby cię wyciągać. Zastrana taka śmierć. Przemyśl to.

Kate wyprostowała się z wysiłkiem i zaczęła głośno pozorować wymioty. Starła się wypaść przekonująco.

–Źle się czuję. Myślałam, że się porzygam – powiedziała do Casanovy.

–Nie wątpię, że się źle czujesz. Kupuję to. Ale to nie jest prawdziwy powód, dla którego klęczałaś nad kibelem. Nie kłam, bo się diabeł cieszy.

–Czego ty chcesz ode mnie? – zapytała. Dziś słyszała go jakoś inaczej... możliwe, że to narkotyk zniekształcił jej słuch. Przyjrzała się masce. Miała go chyba zmieniać w innego człowieka. W inną kreaturę. Rozdwojenie osobowości?

–Chcę być zakochany. Chcę się znów z tobą kochać. Chcę, żebyś zrobiła się dla mnie na bóstwo. Może któraś z tych pięknych sukienek od Neimana Marcusa? Pończochy, szpileczki...

Kate starała się ukryć lęk i obrzydzenie. Musi natychmiast coś zrobić, powiedzieć coś, co go utrzyma na razie na dystans.

–Nie jestem teraz w nastroju, kochanie – wypaliła. – Nie mam siły się przebierać. – Sarkazm w jej głosie był jednak wyczuwalny. – Boli mnie głowa. Co dziś w ogóle jest za dzień? Nie byłam jeszcze na dworze.

Roześmiał się. Prawie normalnie. Sympatyczny śmiech z za ohydnej maski.

**–Słoneczko i błękitne niebo w całej Karolinie, Kate. Temperatura ponad dwadzieścia pięć stopni. Jeden z dziesięciu najlepszych dni w roku.**

**Jedną ręką poderwał ją nagle na nogi i pociągnął mocno za ramię – jakby chciał je wyrwać ze stawu. Gwałtowny ból przeszył jej rękę i Kate krzyknęła. Ból odezwał się w miękkiej, pustej przestrzeni gdzieś za oczami.**

**W furii, w panice, sięgnęła w jego stronę i pociągnęła za maskę.**

**–Głupia! Idiotka! – wrzasnął jej w twarz. – A niby mądra z ciebie kobieta! Kate ujrzała w jego dłoni pistolet ogłuszający i zdała sobie sprawę, że popełniła straszliwy błąd. Wycelował w jej pierś i strzelił.**

**Próbowała utrzymać się na nogach, ale ciało odmówiło jej posłuszeństwa i runęła na podłogę.**

**Dostał teraz szału. W niemym przerażeniu Kate patrzyła, jak mężczyzna ją kopie. Po drewnianej podłodze potoczył się jakiś ząb. Toczył się i toczył w zwolnionym tempie.**

**Zafascynował ją. Dopiero po chwili dotarło do niej, że to jej ząb.**

**Czuła krew w zapuchniętych ustach.**

**Słyszała głuche dzwonięcie w uszach i wiedziała, że znów traci przytomność. Uczepiła się myśli o tym, co ujrzała pod maską.**

**Casanova wiedział, że dostrzegła kawałek jego twarzy.**

**Gładki różowy policzek, bez brody czy wąsów.**

**I lewe oko – niebieskie.**

## ROZDZIAŁ 35

Naomi Cross trzęsa się cała, przyciskając z całej siły ucho do zaryglowanych drzwi swego pokoju. Gdzieś w tym domu – katowni rozlegał się krzyk kobiety.

Casanova obłożył ściany dźwiękoszczelnymi płytami, ale i tak krzyk brzmiał przerażająco. Naomi poczuła, że gryzie własną dłoń. Mocno. Była pewna, że to on kogoś zabija. Nie pierwszy zresztą raz.

Krzyki ucichły.

Naomi przywarła do drzwi, usiłując wyłowić jakiś dźwięk.

–O nie, błagam – wyszeptała. – Niech ona nie umiera.

Przez chwilę nasłuchiwała w elektryzującej ciszy. W końcu odeszła od drzwi. I tak nic nie mogła zrobić dla tej nieszczęsnej kobiety. Nikt nie mógł.

Naomi wiedziała, że właśnie teraz musi być bardzo grzeczna. Jeżeli złamie przepisy, zbije ją. Nie mogła do tego dopuścić.

Wydawał się wiedzieć o niej wszystko. Jak się lubi ubierać, jaki ma rozmiar bielizny, ulubione kolory, nawet odcienie. Wiedział o Aleksie, o Sethcie Samuelu, nawet o jej przyjaciółce Mary Ellen Klouk. To ładne blond stworzenie, powiedział o niej. Stworzenie.

Casanova był szurnięty; lubił bawić się w teatr, wymyślał fantazyjne psychodramy. Uwielbiał opowiadać jej o swych pornograficznych wyczynach: seks z niedojrzałymi płciowo dziewczętami i ze zwierzętami; koszmarny sadyzm, masochizm. Mówił o tym wszystkim tak nonszalancko, czasem nawet na swój chory sposób niemal poetycko. Sypał cytatami z Jeana Geneta, Johna Rechy, z Durella i de Sade'a. Był odcytany, prawdopodobnie bardzo wykształcony.

–Masz dość inteligencji, by zrozumieć, o czym mówię – zwrócił się do Naomi podczas jednej z wizyt w jej pokoju. – Dlatego właśnie cię wybrałem, kochanie ty moje.

Krzyki rozległy się ponownie i Naomi aż podskoczyła ze strachu. Podbiegła do drzwi i przywarła policzkiem do grubych, zimnych desek. To ta sama kobieta, czy zabija następną?

–Niech ktoś mi pomoże! – dotarło do niej. Tamta wrzeszczała ile sił w płucach. Naruszała regulamin.

–Pomocy! Jestem tu uwięziona! Pomocy!...Nazywam się Kate... Kate McTiernan. Ratunku!

Naomi zamknęła oczy. To fatalne. Ta kobieta musi przestać. Ale wołanie o ratunek rozlegało się wciąż od nowa. To oznaczało, że Casanovy nie ma w domu. Musiał gdzieś wyjść.

–Ludzie, ratunku! Nazywam się Kate McTiernan! Jestem lekarzem ze Szpitala Uniwersyteckiego! – krzyczała tamta w kółko, dziesięć razy, dwadzieścia. To nie panika, uświadomiła sobie Naomi. To wściekłość!

Na pewno go nie ma w domu. Nie pozwoliliby na to przez tyle czasu. Naomi nagle zebrała się na odwagę i krzyknęła najgłośniejszym głosem jak mogła:

–Przestań! Przestań wzywać pomocy! On cię zabije! Zamknij się! Więcej się nie odezwę!

Wreszcie zapadła cisza... błogosławiona cisza. Naomi zdawało się, że wręcz słyszy przenikające wokół napięcie. Na pewno je czuła. Kate McTiernan nie ucichła na długo.

–Jak się nazywasz?! Jak długo tu jesteś?! Proszę, odezwij się do mnie... hej, mówię do ciebie! – wrzeszczała.

Naomi nie odpowiadała. Co jest z tą kobietą? Odbiło jej. Kate McTiernan znów do niej wołała.

–Słuchaj, możemy sobie pomóc! Jestem tego pewna! Czy wiesz, gdzie on nas trzyma?!

Tamtej na pewno nie brakowało odwagi... ale to jednak szaleństwo. Miała donośny głos, lecz zaczynała już chrypnąć. Kate.

–Błagam, porozmawiaj ze mną! Nie ma go, bo już dawno by do mnie przyszedł z tym swoim pistoletem! Wiesz, że mam rację! Nie dowie się, że ze mną rozmawiałaś. Proszę... muszę jeszcze usłyszeć twój głos. Proszę. Chociaż dwie minuty. Tylko tyle. Obiecuję. Dwie minuty. Proszę. Chociaż minutę.

Naomi nadal nie odpowiadała. Mógł już wrócić do tej pory. Może siedzi gdzieś w domu i słucha. Albo nawet podgląda zza ściany. Kate McTiernan znów zaczęła nadawać.

–W porządku, trzydzieści sekund, a potem przestaniemy. Dobra? Obiecuję że przestanę... Bo jak nie, to będę wrzeszczeć, aż on przyjdzie.

O Boże, proszę, przestań mówić, krzyczał wewnętrzny głos Naomi. Przestań natychmiast.

–Zabije mnie – wołała Kate – ale i tak by to zrobił! Widziałam kawałek jego twarzy. Skąd jesteś? Jak długo tu jesteś?

Naomi miała wrażenie, że się dusi. Nie mogła złapać tchu, ale tkwiła przy drzwiach i wsłuchiwała się w każde słowo tamtej. Tak bardzo pragnęła się do niej odezwać.

–Możliwe, że stosuje narkotyk o nazwie foran. Używają tego w szpitalach. Możliwe, że jest lekarzem. Proszę. Czego jeszcze możemy się bać – z wyjątkiem tortur i śmierci?

Naomi uśmiechnęła się. Kate McTiernan miała nie tylko charakter, ale i poczucie humoru. Jak dobrze było choćby tylko słuchać czyjś głos.

Słowa wyrwały się z jej ust niemal mimowolnie.

–Nazywam się Naomi Cross. Jestem tu od ośmiu dni. Chyba On się chowa za ścianami. Podgląda przez cały czas. Chyba w ogóle nie śpi. Zgwałcił mnie.

Kate odpowiedziała od razu.

–Mnie też zgwałcił, Naomi. Wiem, jak okropnie się czujesz... cała brudna. Tak dobrze słyszeć twój głos, Naomi. Nie jestem już taka osamotniona.

–Ja też, Kate. Ale teraz już się zamknij, proszę.

W pokoju piętro niżej Kate McTiernan poczuła nagle straszliwe zmęczenie. Zmęczenie, ale i przyływ nadziei. Osunęła się pod ścianę i nagle usłyszała z góry okrzyki.

–Maria Jane Capaldi. Jestem tu już chyba miesiąc.

–Nazywam się Kristen Miles. Cześć.

**–Melisa Stanfield. Studentka i pielęgniarka. Już dziewięć tygodni.**

**–Christa Awers. Ze Stanowego. Dwa miesiące w piekle.**

**Było ich co najmniej sześć.**



# CZĘŚĆ DRUGA

## ZABAWA W CHOWANEGO

### ROZDZIAŁ 36

Beth Liebermann, dwudziestodwuletnia reporterka *Los Angeles Times* wpatrywała się w drobne, lekko zamazane zielone litery na ekranie swego komputera. Przed jej zmęczonymi oczami przesuwiał się jeden z najmocniejszych od lat tekstów w *Timesie*. W każdym razie na pewno najważniejszy tekst w jej karierze, ale prawie już jej na tym nie zależało.

–Jezus, Maria, ależ to chory świr... stopy – jęknęła cicho pod nosem Beth Liebermann. – Stopy.

Tego ranka Dzentelmen przysłał do jej mieszkania w Zachodnim Los Angeles szósty już odcinek swego „dziennika”, który dostarczał jej regularnie. Tak jak poprzednio, zabójca na początku dokładnie opisał, gdzie znajduje się ciało zamordowanej kobiety, a następnie wyjaśnił Beth Liebermann swoje obsesyjne, psychopatyczne przesłanie.

Najpierw, jeszcze z domu, zadzwoniła do FBI, a potem pojechała od razu do redakcji *Timesana* South Spring Street. Zanim tam dotarła, FBI już było na miejscu zbrodni.

Dzentelmen zostawił tam swój podpis: świeże kwiaty.

Ciało czternastoletniej dziewczynki, Japonki, odnaleziono w Pasadenie. Podobnie jak pięć poprzednich kobiet, Sunny Ozawa zniknęła bez śladu dwa dni wcześniej. Zupełnie jakby ją wessał wilgotny, parny smog.

Sunny Ozawa była jak dotąd najmłodszą znaną ofiarą Dzentelmena. Na dolnej części jej tułowia poukładał różowe i białe peonie.

„Kwiaty przypominają mi oczywiście kobiece wargi. Ewidentny izomorfizm, prawda?” – napisał kiedyś w „dzienniku”.

Za piętnaście siódma rano w redakcji było niesamowicie pusto. Nikt nie powinien być na nogach o takiej porze, z wyjątkiem imprezowiczów, którzy się jeszcze w ogóle nie kładli, pomyślała Beth. Cichy pomruk centralnej klimatyzacji zmieszany z odległym szumem ulicy dodatkowo ją irytował.

–Dlaczego stopy? – mruknęła dziennikarka.

Usiadła przed komputerem, na wpół jeszcze śpiąca i pomyślała sobie, że lepiej by było nigdy nie napisać tego artykułu na temat pornografii wysiłkowej w Kalifornii. To wtedy Dzentelmen ją jak twierdzi, odkrył; wybrał jako „łącznika z innymi obywatelami Miasta Aniołów”. Oznajmił, że oboje „nadają na tej samej częstotliwości”.

Po odbyciu nieskończonej liczby narad, redakcyjna góra zdecydowała wreszcie, że *Los Angeles Times* będzie publikował zapiski z „dziennika” Dzentelmena.

Tylko on mógł wskazać, gdzie szukać ciała następnej ofiary; policja zawsze dowiadywała się o tym od niego. Groził również specjalnymi „premiowymi zabójstwami”, jeżeli gazeta nie wydrukuje jego zapisków; chciał, żeby każdy mieszkaniec Los Angeles mógł je sobie poczytać przy śniadaniu. „Jestem nowością i znakomitością”, napisał w którymś odcinku. Który ze słynnych morderców mógłby się z tym nie zgodzić? – zastanawiała się Beth. Richard Ramirez? Caryl Chessman?

**Jeffrey Dahmer? Charles Manson?**

**Pracowała teraz jako jego kontakt. Robiła też pierwszą redakcję słów Dżentelmena. Niemożliwością było drukować te niezwykle emocjonalne i realistyczne zapiski bez skrótów. W opisach popełnianych przez niego mordów było mnóstwo obscenicznego pornografii i scen wyjątkowo brutalnej przemocy.**

**Beth Lieberman niemal słyszała głos szaleńca wklepując najnowszy fragment jego dziennika do komputera. Dżentelmen znów mówił do niej, czy raczej przez nią:**

**„Opowiem ci o Sunny, w każdym razie to co wiem o Sunny. Posłuchaj, drogi czytelniku. Bądź ze mną. Miała małe, delikatne, zgrabne stopy. To pamiętam najlepiej; to mi będzie zawsze przypominało tę moją piękną noc z Sunny, ze Słoneczkiem”.**

**Beth Liebermann musiała zamknąć oczy. Miała już dość tego gówna. Jedno było pewne: to Dżentelmen pomógł jej się przebić w *Timesie*. Przy każdym z powszechnie czytanych kawałków, na pierwszej stronie gazety widniało jej nazwisko. Z niej też morderca zrobił gwiazdę.**

**„Posłuchaj. Bądź ze mną.**

**Zastanów się nad fetysyzmem i niesamowitymi możliwościami wyzwolenia psyche, które w nim tkwią. Nie bądź snobem. Otwórz umysł. Otwórz go właśnie w tej chwili! Fetysyzm zawiera w sobie cały szereg różnorodnych, fascynujących przyjemności, za którymi być może tęsknisz.**

**Nie wpadajmy w zbyt ni sentymentalizm na temat «młodej» Sunny. Sunny Ozawa lubiła nocne zabawy. Powiedziała mi o tym, oczywiście w zaufaniu. Poderwałem ją w barze Monkey. Poszliśmy do mnie, do mojej kryjówki, gdzie zaczęliśmy eksperymenty, grę trwającą aż do świtu.**

**Zapytała mnie, czy kiedykolwiek robiłem to z Japonką. Wyznałem, że nie, ale zawsze tego pragnąłem. Sunny stwierdziła, że ze mnie „prawdziwy dżentelmen”. Czułem się zaszczycony.**

**Tej nocy uznałem, że nie ma nic bardziej rozpustnego od skupienia się na stopach kobiety; pieściłem je, kochając się z Sunny. Mówię tu o śniadych stopach obleczonych w luksusowe pończochy i dość kosztowne szpileczki od Saksy. Mówię o zgrabnych, małych stopkach. Bardzo wyrafinowanych przeobrażeniach uczuć.**

**Posłuchaj. Żeby w pełni docenić niezwykle erotyczną pantomimę pięknych kobiecych stóp, kobieta powinna leżeć na plecach, podczas gdy mężczyzna stoi. Tak właśnie było ze mną i Sunny na początku tej nocy.**

**Uniosłem jej smukłe nogi i całowałem je przez pończoszki raz za razem. Skoncentrowałem się na świetnie uformowanej kostce i ślicznej linii prowadzącej ku lśniącemu czarnemu pantofelkowi.**

**Gdy temperatura naszych działań wprawiła jej stopę w gwałtowne drgania, skupiłem całą uwagę na tym kokietyjnym buciku. Jej stopki przemawiały do mnie. W mojej piersi narastało zupełnie obłądne podniecenie. Jakbym tam miał żywe, ćwierkające ptaki”.**

**Beth Liebermann przestała pisać i zacisnęła powieki. Mocno. Musiała jakoś powstrzymać rozbłyskujące w głowie obrazy. On rozprawiał tak pogodnym tonem o**

**dziewczynię, którą właśnie zamordował!**

**Wkrótce do spokojnej jeszcze redakcji *Timesa* wpadną jak burza ludzie z FBI i policji. Będą znów zadawać pytania. Sami nie mają jak dotąd ani jednej odpowiedzi. Ani jednej znaczącej poszlaki. Twierdzą, że Dżentelmen popełnia „zbrodnie doskonałe”.**

**Agenci będą godzinami rozprawiać o makabrycznych detalach sceny morderstwa. Stopy! Dżentelmen odciął obie stopy Sunny Ozawy ostrym jak brzytwa nożem. Na miejscu zbrodni w Pasadenie ich nie znaleziono.**

**Brutalność stanowiła jego znak firmowy, ale jak dotąd był to jedyny powtarzający się element. Kiedy już upatrzył sobie ofiarę, przestawał być dżentelmenem. Doktor Jekyll i Mister Hyde lat dziewięćdziesiątych.**

**Beth Liebermann otworzyła w końcu oczy i ujrzała stojącego tuż przy niej wysokiego, szczupłego mężczyznę. Westchnęła głośno, ale powstrzymała się od skrzywienia twarzy.**

**Był to Kyle Craig, specjalny agent śledczy z FBI.**

**Kyle Craig wiedział coś, czego i ona rozpaczliwie pragnęła się dowiedzieć, ale oczywiście nic jej nie powie. Wiedział mianowicie, po co zastępca dyrektora FBI przyleciał w zeszłym tygodniu do Los Angeles. Znał tajemnice, które i ona chciałaby znać.**

**–Witam, pani Liebermann – powiedział. – Co tam pani dziś dla mnie ma?**

## ROZDZIAŁ 37

Kutas – tik, pała – cyk.

Tak właśnie polował na kobiety. Taki był bieg zdarzeń, za każdym razem. Jemu nigdy nic nie groziło. Stapiał się doskonale z otoczeniem, na dowolnym myśliwskim terenie. Robił wszystko co możliwe, by uniknąć komplikacji i zwykłych ludzkich błędów. Był maniakiem porządku, a nade wszystko perfekcji.

Tego popołudnia cierpliwie czekał w tłumnym pasażu modnego domu handlowego w Raleigh. Obserwował atrakcyjne kobiety, wchodzące i wychodzące z butiku Victoria's Secret po drugiej stronie długiego, wykładanego marmurem pasażu. W większości znakomicie ubrane. Obok niego na marmurowej ławce leżał egzemplarz tygodnika *Time* oraz dziennik *USA Today*. Tytuł w gazecie głosił: „Dżentelmen z L.A. składa wizytę po raz szósty”.

Doszedł do wniosku, że Dżentelmen zaczyna w południowej Kalifornii tracić kontrolę nad sobą. Zbierał makabryczne pamiątki, załatwiał po dwie kobiety tygodniowo, bawił się w idiotyczne szarady z *Los Angeles Times*, z LAPD – Komendą Policji miasta Los Angeles, i z FBI. W końcu go złapią.

Niebieskie oczy Casanovy powróciły do obserwacji tłumu w pasażu. Był przystojnym mężczyzną, jak historyczny Casanova. Natura obdarzyła osiemnastowiecznego awanturnika urodą zmysłowością i olbrzymim apetytem na kobiety – i tak samo było z nim.

Gdzie to nasza piękna Anna? Wśliznęła się do Victoria's Secret, pewnie żeby kupić jakieś badziewie dla swojego chłopaka. Anna Miller i Chris Chapin studiowali prawo na Uniwersytecie Stanowym. Chris był już współnikiem firmy prawniczej. Lubili się ubierać nawzajem w swoje rzeczy. Wymieniać ubrankami, żeby się podjarać. Wiedział o nich wszystko.

Obserwował Annę już od dwóch tygodni, kiedy tylko się dało. Była uderzająco piękna – dwadzieścia trzy lata, ciemne włosy; może nie druga Kate McTiemann, ale prawie.

Patrzył, jak Anna wreszcie wychodzi z butiku i zmierza wprost w jego stronę. Stukot jej szpilek brzmiał tak cudownie wyniośle. Wiedziała, że jest niezwykle piękna. To było w niej najlepsze. Absolutne zadufanie w sobie, niemal równe jego własnemu.

Przyjemnie arogancki, długonogi chód. Doskonała linia smukłego ciała. Czarne rajstopy i szpilki do pracy na pół etatu jako asystentka w firmie prawniczej w Raleigh. Rzeźbione piersi, które pragnął pieścić. Pod obcisłą spódniczką delikatny zarys majteczek. Czemu była taka prowokacyjna? Bo mogła sobie na to pozwolić.

Wyglądała też na inteligentną. W każdym razie dobrze się zapowiadała. Była o włos od publikacji w *Law Review*. Ciepła, słodka, sympatyczna. Strażniczka domowego ogniska. Jej kochaś nazywał ją „Anna Banana”. Casanovę zachwycała słodka głupota tego intymnego przezwiska.

Teraz musi tylko wziąć ją sobie. Jakie to proste.

Wtem w jego polu widzenia pojawiła się inna atrakcyjna kobieta. Uśmiechnęła się do niego, odwzajemnił jej uśmiech. Wstał, przeciągnął się i ruszył w jej stronę. Trzymała w ramionach torby i paczki z zakupami.

**–Cześć, śliczna – zwrócił się do niej, gdy podszedł bliżej. – Daj, coś ci poniosę. Ujmę ci tych ciężarów, kochanie ty moje.**

**–To ty jesteś moje słodkie, przystojne kochanie – odparła kobieta. – Zawsze taki byłeś. I taki romantyczny.**

**Casanova pocałował żonę w policzek i wziął od niej sprawunki. Była elegancką opanowaną kobietą. Nawet ubrana w dżinsy, luźną koszulę i brązowy tweedowy żakiet, tak jak dziś, nosiła się z gracją. Miała wiele talentów. Wybrał ją z największą starannością.**

**Kiedy wziął od niej paczki, przemknęła mu przez głowę wyjątkowo przyjemna myśl: Nie złapią mnie i za tysiąc lat. Nie wiedzą nawet, gdzie zacząć szukać. Nie ma takiej możliwości, żeby odkryli mój wspaniały, cudowny kamuflaż, zerwali mi tę maskę normalności. Jestem poza wszelkim podejrzeniem.**

**–Widziałam, jak patrzysz na tę laleczkę. Niezłe nogi – jego żona z domyślnym uśmiechem przewróciła oczami. – Patrz sobie, póki tylko patrzysz.**

**–Nakryłaś mnie – odparł Casanova. – Ale nogi i tak masz lepsze.**

**Uśmiechnął się swobodnie, ujmująco, a po głowie cały czas tłukło mu się imię tamtej. Anna Miller. Musi ją mieć.**

## ROZDZIAŁ 38

Było mi gorzej niż źle.

Pakowałem się do własnego domu w Waszyngtonie z przyklejonym d» twarzy, sztucznym, zadowolonym uśmiechem. Musiałem sobie dzień odpocząć od tego pościgu. A co ważniejsze, obiecałem spotkać się z rodziną i zdać sprawę z sytuacji w sprawie Naomi. Stęskniłem się też za dziećmi i Naną. Czułem się, jakbym przyjechał do domu na przepustkę z wojny.

Zależało mi przede wszystkim na tym, żeby Nana i dzieci nie domyśliły się jak bardzo się niepokoję o Scootchie.

–Jeszcze nic – powiedziałem, pochylając się, by pocałować Nanę w policzek. – Ale robimy pewne postępy – dodałem i poszedłem dalej, żeby nie zdążyła mnie wziąć w krzyżowy ogień pytań.

W dużym pokoju zacząłem odstawiać spracowanego ojca, który właśnie ma wolny dzień. Odśpiewałem „Tatusz w domu, tatuś w domu”. Ale nie w wersji grupy Shep and the Limelites. Melodia własna. Porwałem w ramiona Damona i Jannie.

–Damon, urosłeś i zmężniałeś, i jesteś przystojny jak król Maroka! – zawołałem. – Jannie, urosłaś i zmężniałaś, i jesteś piękna jak księżniczka! – powtórzyłem.

–Ty też, tatusiu – zapiszczały dzieci taką samą słodką bzdurką. Udawałem, że chcę porwać w ramiona babcię, ale Nana Mama z poważną miną pokazała mi palcami złożonymi w krzyżyk, że mam się odczepić. To nasz – rodzinny znak.

–Trzymaj się ode mnie z daleka, Alex t – powiedziała z uśmiechem na ustach i groźbą w oczach. Ona tak potrafi. „Dziesiątki lat praktyki”, mówi zawsze. A ja zawsze odpyskuję: „Setki lat”.

Jeszcze raz ją ucałowałem. A potem zapytałem:

–Czy byliście grzeczne, wy dwie małe szelmy? – posłużyłem się specjalną techniką śledczą używaną wobec domowych recydywistów. – Pokoje sprzątnięte, lekcje odrobione, szpinak zjedzony?

–Tak, tatusiu! – wrzasnęli unisono. – Byliśmy grzeczni jak aniołki – dodała Jannie.

–Kłamiecie chyba? Szpinak? A brukselka też? Nie kłamalibyście tak bezczelnie tatusiowi, co? Wczoraj dzwoniłem o wpół do jedenastej i jeszcze nie byliście w łóżkach. Grzeczni jak aniołki!

–Nana pozwoliła nam oglądać mecz w kosza! – ryknął Damon ze śmiechem, uszczęśliwiony. Ten młodociany przestępca wychodzi cało z każdej sytuacji, co mnie trochę martwi. Ma dar naśladowania, ale także tworzy znakomite własne kreacje. Jego poczucie humoru jest prawie na poziomie „Bill Cosby Show”.

W końcu sięgnąłem do torby podróźnej po prezenty.

–No, w takim razie każdy dostanie pamiątkę z Południa. Będę teraz mówił „każden”. Nauczyłem się tego w Karolinie.

–Każden – powtórzyła za mną Jannie. Zachichotała dziko i odtańczyła jakiś improwizowany piruet. Jest jak kochany szczeniaczek; wracasz po południu do domu i masz go wszędzie na sobie. Zupełnie jak Naomi, kiedy była mała.

Wyciągnąłem koszulki z emblematami drużyny koszykówki Duke – akademickiego mistrza Karoliny Północnej. To dla Damona i Jannie. Cała sztuczka z nimi polega na

tym, że muszą mieć wszystko takie same. Dokładnie ten sam wzór. Ten sam kolor. Będzie tak jeszcze parę lat, a potem dadzą się posiekać, żeby tylko nie włożyć czegoś, co choćby odrobinę przypomina rzeczy drugiego.

–Każden ci dziękuje – powiedziały po kolei. Czułem ich miłość i dobrze było znów znaleźć się w domu. Bezpiecznie i zdrowo, choć przez kilka godzin.

–Pewnie już myślałaś, że o tobie zapomniałem – zwróciłem się do Nany.

–O mnie nigdy nie zapomnisz, Alex – rzuciła mi kosę spojrzenie.

–Tu się nie mylisz, stara kobieto – wyszczerzyłem się do niej.

–A pewnie, że nie. – Jak zwykle miała ostatnie słowo.

Wyciągnąłem z mojego czarodziejskiego wora z niespodziankami pięknie opakowany prezent. Nana odwinęła go i znalazła robiony na drutach sweter najładniejszy, jaki kiedykolwiek widziałem. Te swetry robiły osiemdziesięcio – dziewięćdziesięcioletnie kobiety w Hillsborough w Karolinie Północnej; w tym wieku jeszcze musiały zarabiać na życie.

Przez chwilę Nana Mama nic nie mówiła. Żadnych cwanych powiedzonek. Pomogłem jej włożyć sweter i nie zdejmowała go już do wieczora. Dumna, zadowolona i piękna; byłem szczęśliwy, widząc ją taką.

–To najpiękniejszy prezent – powiedziała wreszcie lekko łamiącym się głosem. – Poza tym, że jesteś w domu, Alex. Ja wiem, że musisz być twardym chłopcem, ale martwiłam się o ciebie, kiedy siedziałeś w tej Karolinie.

Nana Mama rozumiała dość, by nie pytać jeszcze za wiele o Scootchie. Wiedziała też doskonale, co oznacza moje milczenie.

## ROZDZIAŁ 39

Późnym popołudniem w naszym domu na Fifth Street zaroilo się od najbliższych krewnych i przyjaciół. Przyszło chyba ze trzydzieści osób, a dochodzenie w Karolinie Północnej było oczywiście tematem dnia. Wymyślałem co się dało, by dać im trochę nadziei, chociaż nie bardzo było co, bo przecież wiedzieli, że gdybym miał jakieś dobre wieści, powiedziałbym od razu. Nic ponadto nie mogłem zrobić.

Sampson i ja objedliśmy się krwistych befsztyków i opiliśmy trochę ponad miarę zagranicznym piwem, a potem usiedliśmy sobie razem na kuchennych schodach. Sampson chciał posłuchać, a ja pogadać jak gliniarz z gliniarzem, z moim kumplem i partnerem.

Opowiedziałem mu ze szczegółami, co się dotąd wydarzyło w Karolinie Północnej. Rozumiał wszystkie problemy śledztwa i takiego polowania na jednego człowieka. Robił to ze mną nieraz, prowadziliśmy już sprawy bez jednego tropu.

–Najpierw całkiem mnie odcięli. Za diabła nie chcieli słuchać. Ostatnio trochę się polepszyło – powiedziałem. – Ruskin i Sikes pilnie się zgłaszają i informują mnie na bieżąco. W każdym razie Ruskin. Czasem nawet próbuje coś pomóc. Kyle Craig też zajmuje się sprawą. Ale ci z FBI wciąż nie chcą ujawnić, co wiedzą.

–I nie domyślasz się dlaczego? – spytał Sampson. Słuchał w napięciu i od czasu do czasu wtrącał jakąś uwagę.

–Może któraś z zaginionych jest powiązana z kimś ważnym. Może liczba ofiar jest dużo wyższa, niż się oficjalnie mówi. A może sam morderca ma coś wspólnego z jakimś wpływowym ważniakiem.

–Wcale nie musisz tam wracać – powiedział Sampson po wysłuchaniu wszystkiego. – Wygląda na to, że mają dość „profesjonistów”. Nie zaczynaj znowu prywatnej wendety, Alex.

–Już zacząłem – odparłem. – Zdaje mi się, że Casanovę bardzo bawi, że zabił nam klina tymi swoimi zbrodniami doskonałymi. I chyba mu się bardzo podoba, że to właśnie mnie go zabił. Jest w tym jeszcze coś, ale dokładnie nie mogę się zorientować co. Zdaje się, że dostał teraz napędu.

–Mmm, hmm. Coś czuję, że ty też dostałeś napędu. Zostaw go w diabły, Alex. Nie baw się w pieprzonego Sherlocka Holmesa z tym rąbniętym świrem.

Nic na to nie odpowiedziałem. Kiwałem tylko głową. Bardzo ciężką głową.

–A jeżeli go nie złapiesz? – spytał w końcu Sampson. – Jeżeli nie powiążesz tej sprawy? Musisz to brać pod uwagę, kochaniutki.

Ale tego właśnie nie chciałem brać pod uwagę w żadnym wypadku.



## ROZDZIAŁ 40

Kiedy Kate McTiernan się obudziła, wiedziała od razu, że coś jest nie tak, że jej fatalna sytuacja jeszcze się pogorszyła.

Nie miała pojęcia, która godzina, jaki to dzień, gdzie jest uwięziona. Wzrok się jej rozmywał. Serce waliło. Wszystko w niej było rozregulowane.

W ciągu tych kilku chwil po odzyskaniu przytomności zdążyła już przejść od obojętności przez depresję do paniki. Co on jej dał takiego? Który lek powoduje takie objawy? Jeśli zdoła rozwikłać tę zagadkę, to będzie dowód, że jeszcze jest normalna, a w każdym razie zdolna do jasnego myślenia.

Może to klonopin, zastanawiała się Kate.

Jak na ironię, klonopin przepisywano zwykle jako lek uspokajający. Ale jeżeli dał jej od razu dużą dawkę, powiedzmy pięć do dziesięciu miligramów, prawdopodobnie mogła odczuwać w przybliżeniu takie właśnie skutki uboczne jak teraz.

A może to marinol w kapsułkach? Stosowano go przeciwko mdłościom podczas chemioterapii. Wiedziała, że marinol daje ostrego kopa. Jeśli jej zacznie aplikować choćby po sto miligramów dziennie, będzie chodziła po ścianach. Dezorientacja. Odrętwienie ust. Okresy panicznej depresji. Dawka piętnastu, dwudziestu gramów byłaby śmiertelna.

Za pomocą silnego narkotyku zniweczył cały jej plan ucieczki. W taki sposób nie była w stanie z nim walczyć. Całe karate na nic się zdało. Casanova się o to postarał.

–Ty skurwielu! – powiedziała Kate na głos. Prawie nigdy nie przeklinała. – Ty pierdolony skurwysynu! – wydusiła przez zaciśnięte zęby.

Nie chciała umierać. Miała dopiero trzydzieści jeden lat. Wreszcie zdobyła wykształcenie. Została lekarzem – dobrym, miała nadzieję. Czemu ja? To nie może tak być. Ten facet, ten straszliwy maniak, chce mnie zabić bez żadnego powodu! – myślała gorączkowo.

Zimny jak lód dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa. Czowała, że zaraz zwymiotuje, może nawet zemdleje. Spadek ciśnienia ortostatycznego, pomyślała. Ten medyczny termin oznaczał omdlenie przy nagłym wstawaniu z pozycji siedzącej lub leżącej.

Nie mogła się przed nim bronić! Chciał, żeby była bezsilna, i najwyraźniej odniósł sukces. To ją dobijało bardziej niż cała reszta. Zaczęła płakać. A to z kolei jeszcze ją rozwścieczyło.

Nie chcę umierać.

Co mam zrobić, żeby to się nie stało?

Jak powstrzymać Casanovę?

W domu panowała znowu zupełna cisza. Chyba wyszedł. Rozpaczliwie pragnęła z kimś porozmawiać. Z innymi uwięzionymi kobietami. Musi stopniowo jakoś dojść do siebie.

A może on gdzieś tam się ukrywa? Czeka. Obserwuje ją właśnie w tym momencie.

–Hej tam! – zawołała w końcu, zdziwiona chrapliwością własnego głosu. – Tu Kate McTiernan. Słuchajcie, proszę. On mnie strasznie naszpikował narkotykami. Chyba mnie niedługo zabije. Powiedział to. Bardzo się boję... Nie chcę umierać.

**Powtórzyła to samo jeszcze raz, słowo po słowie.**

**I jeszcze raz.**

**Cisza; żadnej odpowiedzi. Tamte też się bały. Ani drgnęły, i słusznie. Nagle gdzieś z góry dobiegł ją głos. Głos anioła.**

**Serce Kate podskoczyło. Znała już ten głos. Słuchała uważnie każdego słowa swojej odważnej przyjaciółki.**

**–Tutaj Naomi. Może jakoś zdołamy sobie pomóc. Często zbiera nas razem, Kate. Ty jesteś jeszcze w okresie próbnym. Każdą z nas trzymał najpierw na dole. Proszę, przestań z nim walczyć! Nie możemy już dłużej rozmawiać. To zbyt niebezpieczne. Nie umrzesz, Kate.**

**Odezwała się jeszcze jedna kobieta.**

**–Bądź dzielna, Kate. Bądź silna za nas wszystkie. Tylko nie za silna. A potem ich głosy zamilkły i do pokoju powróciła cisza. I samotność. Narkotyk, cokolwiek w nią tam władował, pracował teraz pełną parą. Kate McTiernan czuła, że dostaje obłądu.**

## ROZDZIAŁ 41

Casanova chciał ją zabić, to pewne. I to już wkrótce.

W tej strasznej ciszy i osamotnieniu Kate poczuła przemożną chęć modlitwy, rozmowy z Bogiem. Wysłucha jej przecież, nawet w tym groteskowym, przesyconym złem miejscu.

Przepraszam, że w ostatnich latach, zanim to się stało, wierzyłam w Ciebie tylko trochę. Nie wiem, czy jestem agnostyczką, ale przynajmniej staram się być uczciwa. Mam niezłe poczucie humoru. Nawet kiedy nie bardzo wypada.

Ja wiem, że to nie jest „interes do zrobienia”, ale jeśli wydobędziesz mnie z tego, zachowam wdzięczność po wsze czasy.

Przepraszam. Wciąż sobie powtarzam, że mnie to nie może spotkać, ale już spotyka. Proszę, pomóż mi. To chyba jeden z Twoich gorszych pomysłów...

Modliła się tak żarliwie, w takim skupieniu, że nie usłyszała, kiedy stanął w drzwiach. Zawsze zresztą poruszał się tak cicho. Jak widmo. Jak upiór.

–Nie słuchasz ani krztyny, co? W ogóle się nie uczysz! – zgromił ją Casanova., Trzymał w ręce strzykawkę. Miał dziś maskę w kolorze lilaróż, pomazaną białą i niebieską farbą. Była najbardziej makabryczna i niepokojąca ze wszystkich, które dotąd nosił. A maski dopasowywał przecież do nastroju. Kate próbowała powiedzieć: „nie rób mi krzywdy”, ale z jej ust wydobyło się tylko ciche „pfff”.

Chce ją zabić.

Ledwie trzymała się na nogach, ledwie nawet siedziała, ale zdobyła się na coś. w rodzaju uśmiechu.

–Cześć... miło cię widzieć – udało jej się wydukać. Czy to w ogóle miało sens? Nie była pewna.

On coś odpowiedział, coś ważnego, ale nie miała pojęcia co. Tajemnicze słowa odbijały się echem w jej mózgu... jak nic nie znaczące, rytualne zaklęcia. Starła się słuchać, co mówił. Tak bardzo się starała...

–Doktor Kate... rozmawia z innymi... złamała regulamin!

Najlepsza dziewczyna, najlepsza!... Żebyś ty była taka mądra, jak jesteś głupia!

Kate skinęła głową, że rozumie, co powiedział, że nadaża doskonale za jego tonem myślenia. Dowiedział się, że rozmawiała z innymi. Czy powiedział, że jest taka mądra, że aż głupia? To prawda. Masz rację, koleś.

–Chciałam... rozmawiać – wydusiła. Język miała jak w wełnianej rękawiczce. Zamierzała powiedzieć: porozmawiajmy. Porozmawiajmy o tym wszystkim. Musimy porozmawiać.

Ale on tym razem nie miał nastroju do rozmowy. Jakby się schował do własnego wnętrza. Bardzo odległy. Lodowaty. Jakoś szczególnie nieludzki. Ta ohydna maska. Dziś przebrał się za Śmierć.

Stał niespełna trzy metry od niej, uzbrojony w strzykawkę i pistolet ogłuszający. Lekarz, rozległo się w jej głowie. Jest chyba lekarzem?

–Nie chcę umierać. Grzeczna – zdołała wykrztusić z ogromnym wysiłkiem. – Ubiorę się... szpileczki...

–Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć, Kate. I nie trzeba było łamać regulaminu

przy każdej okazji. Pomyliłem się co do ciebie. A rzadko się mylę.

Wiedziała, że wstrząs elektryczny z pistoletu ją unieruchomi. Usiłowała się skupić na czymś, co mogłoby ją jeszcze ocalić.

Jakby się przełączyła na automatycznego pilota. Przywołała wszystkie wyuczone odruchy. Tylko jeden dobry, porządny kop, pomyślała. Wydawało się to teraz niemożliwością. Mimo wszystko sięgnęła w głąb siebie. Absolutna koncentracja. Wszystkie lata treningu karate zbiegły się w jedną, niewielką szansę uratowania życia.

Ostatnią szansę.

Tysiąc razy słyszała w *dojo*, że należy się skoncentrować na jednym tylko celu, a potem wykorzystać siłę i energię wroga przeciwko niemu. Pełne skupienie. Na ile to teraz możliwe.

Zbliżył się do niej i uniósł pistolet na wysokość piersi. Poruszał się z ogromną precyzją.

Kate wychrypiała „kii – ai!”, czy coś w tym stylu. Najlepszym na jaki ją było ją w tej chwili stać. Wyrzuciła nogę całą resztką sił. Celowała w nerki. Chciała zadać cios, który go unieszkodliwi. Chciała go zabić.

Kopniak jej życia nie trafił jak należy, ale coś się jednak wydarzyło. Rąbnęła stopą w ciało i kość.

Nie w nerki, nawet nie w pobliżu celu. Kopniak trzasnął go w biodro albo w górną część uda. Mniejsza z tym gdzie – w każdym razie oberwał.

Casanova zaskowyczał z bólu. Jak pies potrącony przez pędzący samochód. Widać było, że jest kompletnie zaskoczony. Nagle zatoczył się i zrobił krok do tyłu.

A potem Waligóra i Pieprzony Wyrwidąb runął na ziemię. Kate McTiernan omal nie wrzasnęła z radości.

Dowaliła mu.

Casanova pokonany.

## ROZDZIAŁ 42

Wróciłem na Południe, do tego obrzydliwego śledztwa, do zabójstw i uprowadzeń. Sampson miał rację – zrobiła się z tego sprawa osobista. A jednocześnie zupełnie nie do rozwikłania – z rodzaju tych, które się ciągną latami.

Uczyniono w niej wszystko, co się dało. Już jedenastu podejrzanych z Durham, Raleigh i Chapel Hill znajdowało się pod obserwacją. Byli wśród nich ewidentni dewianci, ale także profesorowie uniwersyteccy, lekarze, nawet pewien emerytowany policjant z Raleigh. Ze względu na „doskonałość” zbrodni, FBI sprawdziła ponadto wszystkich policjantów z okolicy.

Ja się jednak nie interesowałem tymi wszystkimi podejrzanymi. Miałem szukać tam, gdzie nikt nie szukał. Tak się umówiłem z Kyle Craigiem i FBI. Moim zadaniem było trafić w dziesiątkę.

W całym kraju prowadzono jednocześnie kilka podobnych spraw. Przeczytałem setki szczegółowych raportów FBI na ich temat. Zabójca gejów w Austin w Teksasie. Seryjny morderca starszych kobiet w Ann Arbor i Kalamazoo w Michigan. Wielokrotni mordercy w Chicago, North Palm Beach, Long Island, Oakland i Berkeley.

Czytałem, aż mi oczy spuchły i rozboleł mnie żołądek.

W Los Angeles mieli szczególnie brzydką sprawę, która trafiła do gazet w całym kraju – sprawę Dzentelmena. Ściągnąłem jego „dzienniki” przez sieć komputerową. Publikował je od początku tego roku *Los Angeles Times*.

Zacząłem czytać zwierzenia zabójcy z L.A. Kiedy skończyłem przedostatni odcinek, poczułem się jak porażony prądem. Zatkąło mnie. Wprost trudno mi było uwierzyć, że właśnie przeczytałem coś takiego.

Przesunąłem na ekranie tekst do początku i zacząłem czytać jeszcze raz. Bardzo powoli, słowo po słowie.

Była to opowieść o młodej kobiecie, którą „uwięził” Dzentelmen w Kalifornii.

Jej nazwisko brzmiało: Naomi C. Zawód: studentka drugiego roku prawa. Wygląd: Czarna, bardzo atrakcyjna. Dwadzieścia dwa lata.

Naomi miała dwadzieścia dwa lata... była na drugim roku prawa. Skąd jakiś zwyrodniały morderca, zabijający dla rozrywki w Los Angeles, mógł wiedzieć cokolwiek o Naomi Cross?

## ROZDZIAŁ 43

Natychmiast zadzwoniłem do dziennikarki, której nazwisko widniało przy opracowaniach pamiętników. Nazywała się Beth Liebermanri. Miała bezpośredni numer w *Los Angeles Times*.

–Nazywam się Alex Cross. Jestem detektywem z wydziału zabójstw, związanym ze sprawą morderstw Casanovy w Karolinie Północnej – próbowałem pokrótce wyjaśnić swoją sytuację; serce waliło mi jak młotem.

–Doskonale wiem, kim pan jest, doktorze Cross – przerwała mi Beth Liebermann. – Pisz pan o tym książkę. Ja też. Z oczywistych powodów nie mam panu nic do powiedzenia. W tej chwili moja oferta krąży po Nowym Jorku.

–Piszę książkę? Kto to pani powiedział? Nie piszę żadnej książki – mimo woli zacząłem podnosić głos. – Ja prowadzę śledztwo w sprawie fali morderstw i porwań w Karolinie Północnej. I nic poza tym.

–Szef detektywów z Waszyngtonu mówi co innego, panie Cross. Zadzwoniłam do niego, kiedy się dowiedziałam, że ma pan związek ze sprawą Casanovy.

Szefuńcio kontratakuje, pomyślałem. Mój stary szef z D.C., George Pittman był kompletnym palantem, a w dodatku za mną nie przepadał.

–Napisałem książkę o Gary Sonejim – tłumaczyłem. – Czas przeszedł. Musiałem wyrzucić to z siebie. Proszę mi wierzyć, przeszedłem...

–Do historii! – I Beth Liebermann rzuciła słuchawką. Bach!

–Głupia cipa – mruknąłem w martwą słuchawkę. Jeszcze raz nakręciłem numer. Tym razem odezwała się sekretarka.

–Przykro mi, pani Liebermann już dziś nie – będzie... – wytrajkotała jak automat. Trochę już byłem wkurzony.

–To musiała wyjść w ciągu tych dziesięciu sekund, kiedy wykręcałem numer. Proszę zawołać panią Liebermann do telefonu. I to zaraz. Wiem, że tam jest Sekretarka również rzuciła słuchawką.

–Ty też jesteś głupia cipa! – powiedziałem do głuchego telefonu. – Niech to jasny szlag.

To już drugie miasto gdzie odmawiają mi współpracy. Najbardziej wściekało mnie to, że akurat czułem, że wpadam na trop. Czyżby między Casanovą i mordercą z Zachodniego Wybrzeża istniał jakiś dziwny związek? Skąd Dzentelmen mógł się dowiedzieć o Naomi? Czy wiedział też o mnie?

Na razie było to tylko przeczucie, ale zbyt silne, by je zlekceważyć. Zadzwoniłem do redaktora naczelnego *Los Angeles Times*. Łatwiej było dobić się do niego niż do szeregowej dziennikarki. Odezwał się asystent naczelnego. Miał rzeński głos, kompetentny, a do tego milutki jak niedzielne śniadanko w hotelu Ritz.

Powiedziałem mu, że jestem Alex Cross, że prowadziłem śledztwo w sprawie Soneji'ego, i że mam istotne informacje dotyczące Dzentelmena. Dwie trzecie z tego było absolutną prawdą.

–Przekażę panu Hillsowi – poinformował mnie asystent, nadal rozanielony, że ze mną rozmawia. Pomyślałem sobie, że byłoby sztywnie mieć samemu takiego asystenta.

W parę chwil później podniósł słuchawkę sam naczelny.

–Alex Cross? – rzucił. – Tu Dan Hills. Czytałem o panu w czasie obławy na Soneji'ego. To miło, że pan dzwoni, szczególnie jeśli coś pan dla nas ma w związku z tą paskudną historią.

Rozmawiając z Danem Hillsem wyobraziłem sobie potężnego faceta pod pięćdziesiątkę. Dość twardy, ale zarazem przystojniak w kalifornijskim stylu. Koszula w prążki, podwinięte rękawy, ręcznie malowany krawat. Absolwent Stanfordu od stóp do głów. Poprosił, bym mu mówił Dan. Dobra, czemu nie. Wydawał się sympatyczny. Pewnie dostał Pulitzera albo i dwa.

Opowiedziałem mu o Naomi i moim związku ze sprawą Casanovy. Wspomniałem tezo zapisie na temat Naomi w dzienniku mordercy z L.A.

–Przykro mi z powodu zaginięcia twojej siostrzenicy – oznajmił Dan Hills. – Wyobrażam sobie, przez co przechodzisz. – Na chwilę w słuchawce zaległa cisza. Obawiałem się czy nie powoduje nim wyłącznie polityczna poprawność. – Beth Liebermann to zdolna, młoda dziennikarka – ciągnął. – Jest ostra, ale to profesjonalistka. To dla niej ważny tekst; i dla gazety też.

–Słuchaj – przerwałem Hillsowi; musiałem mu przerwać. – Naomi pisała do mnie ze studiów prawie co tydzień. Zbierałem te listy, mam je wszystkie. Pomagałem ją wychowywać. Jesteśmy sobie bardzo bliscy. To naprawdę dla mnie wiele znaczy.

–Słyszę cię. Zobaczę, co się da zrobić. Ale nic nie mogę obiecać.

–Nie obiecuj, Dan.

Trzeba przyznać, że dotrzymał słowa. Po godzinie zadzwonił do mnie do biura FBI.

–No więc zrobiliśmy tu małą burzę mózgow – powiedział. – Rozmawiałem z Beth. Jak pewnie sobie wyobrażasz, to stawia nas oboje w trudnej sytuacji.

–Rozumiem, co do mnie mówisz – odparłem. Przygotowałem się na prztyczka, cios w nos, ale dostałem coś innego.

–W części pamiętników nie dopuszczanej do druku są wzmianki o Casanovie. Wygląda na to, że ci dwaj mogli się porozumiewać, czy nawet dzielić wrażeniami ze swoich wyczynów. Prawie jakby się przyjaźnili.

Trafiony, zatopiony!

Zaprzyjaźnione bestie.

Teraz wiedziałem wreszcie, co FBI trzyma w takiej tajemnicy, co tak bardzo się obawia dopuścić do publicznej wiadomości.

To seryjni mordercy od morza do morza.

## ROZDZIAŁ 44

Biegnij! Naprzód! Zwiewaj, aż ci tyłek odpadnie! Spieprzaj stąd w diabły!  
Kale McTiernan, zataczając się i potykając, wypadła przez ciężkie drewniane drzwi, które Casanova zostawił otwarte.

Nie wiedziała, jak mocno go uszkodziła. Myślała tylko o ucieczce. Ruszaj! Uciekaj mu póki czas!

Jej umysł wyczyniał dziwne sztuczki. Pojawiały się w nim i znikwały jakieś pomieszane obrazy bez związku. Narkotyki, cokolwiek to było, działał już na całego. Traciła orientację.

Kate dotknęła twarzy; miała mokre policzki. Czy to łzy? Nawet tego nie była pewna.

Ledwie była w stanie wspiąć się na strome drewniane schody za drzwiami. Może prowadziły na następne piętro? A może już raz nimi wchodziła? Nie mogła sobie przypomnieć. Nie pamiętała niczego.

Ogarnęło ją kompletnie oszołomienie. Czy naprawdę powaliła Casanovę na ziemię, czy to tylko halucynacje?

Czy on ją goni? Czy właśnie pędzi za nią po schodach? Krew tętniła jej w uszach. Była tak zamroczona, że prawie padała.

Naomi, Melissa Stanfield, Christa Akers. Gdzie on je trzyma?

Kate odnajdywała drogę z najwyższą trudnością. Szła długim korytarzem, zataczając się od ściany do ściany jak pijana. Co to za dziwna budowla? Przypominała dom, miała ściany z nowych desek, ale jakież to dom?

–Naomi! – zawołała, ale ledwie ją było słyhać. Nie mogła skupić uwagi na dłużej niż kilka sekund. Kto to jest Naomi? Nie była pewna.

Zatrzymała się i nacisnęła mocno klamkę. Drzwi nie chciały się otworzyć. Dlaczego ktoś je zamknął? Czego ona tu właściwie szuka? Co ona tu robi? Narkotyki niemal uniemożliwił logiczne rozumowanie.

Jestem w szoku, w jakimś transie, pomyślała. Było jej bardzo zimno i strasznie zdrętwiała. Jej myśli pierzchały we wszystkie strony, galopowały po głowie jak opętane.

Idzie mnie zabić. Już jest za mną!

Uciekaj! – rzuciła sobie komendę. Znajdź wyjście. Skup się na tym! Sprowadź pomoc.

Dotarła do następnych schodów; wyglądały na bardzo stare, jak z ubiegłego stulecia. Były obklejone brudem i ziemią. Zasypane małymi kamieniami i potłuczonym szkłem. Naprawdę stare schody. Nie z tych nowych desek jak w środku.

Kate nie mogła już utrzymać równowagi. Poleciała do przodu i omal nie wyrznęła brodą w drugi stopień. Ale gramoliła się, pełzła uparcie w górę. Wspinała się po schodach. Na kolanach. Dokąd właściwie? Na strych? Gdzie to się kończy? Czy on tam już na nią czeka, z tym swoim pistoletem i strzykawką?

I nagle znalazła się na zewnątrz! Wydostała się z tego domu! Jakimś cudem się udało.

Promienie słońca niemal ją oślepiły, ale świat nigdy nie wyglądał piękniej.



Wdychała słodką woń żywicy, woń dębów, jaworów i wyniosłych karolińskich sosen, o pniach gołych niemal do samej korony. Kate patrzyła na las, na niebo wysoko, wysoko nad głową i płakała. Łzy obmywały jej twarz.

Spojrzała na olbrzymie sosny. Między ich koronami zwisały pnącza dzikiej winorośli. Kate wyrastała wśród lasów takich jak te.

Uciekaj, przypomniała sobie nagle o Casanovie. Spróbowała przebiec kilka kroków. Znow się przewróciła. Przepelzła kawałek na czworakach. Stanęła na chwiejnych nogach. Biegnij! Uciekaj stąd!

Kate obróciła się o pełne trzysta sześćdziesiąt stopni. I obracała się dalej – raz, drugi, trzeci – dopóki znow omal nie upadła.

Nie, nie, nie! Głos w jej głowie brzmiał jak krzyk. Nie wierzyła własnym oczom, nie ufała już żadnemu ze zmysłów.

To już szczyt tego oblędu. Najbardziej przerażający sen na jawie. Nie widziała domu! Kręciła się i kręciła w kółko pod wysokimi sosnami, ale domu nigdzie nie było.

Ten dom, w którym tak długo ją więziono, po prostu zniknął.

## ROZDZIAŁ 45

Biegnij! Przebijaj tymi cholernymi nogami, raz, dwa. Szybciej! Jeszcze szybciej, dziewczyno. Uciekaj mu.

Usiłowała się skoncentrować na odnajdywaniu drogi przez gęsty, ciemny las. Wysokie sosny, jak parasole, przepuszczały tylko część światła na rosnące poniżej drzewa liściaste. Młode siewki miały go za mało i wyglądały jak szkielety drzew.

Na pewno będzie ją gonił. Musi próbować ją złapać, a jak złapie, zabije. Była niemal pewna, że nie trafiła go dość mocno, choć Bóg świadkiem, że się starała.

Brnęła naprzód, biegnąc i potykając się na przemian w spazmatycznym rytmie. Leśna ściółka z sosnowych igieł i liści była miękka, gąbczasta. Długie, wiotkie pędy ciernistych jeżyn strzelały w górę, dążąc do słońca. Sama się czuła jak jeżyna.

Muszę odpocząć... schować się gdzieś... żeby narkotyk przestał działać, mamrotała do siebie. Potem znajdę pomoc... logiczne. Zawołam policję.

I wtedy usłyszała, że Casanova przedziera się z trzaskiem za nią. Wykrzykiwał jej imię.

–Kate! Kate! Stój w tej chwili! – jego głos rozlegał się echem wśród drzew.

Takie zuchwalstwo musiało oznaczać, że w promieniu wielu kilometrów nie ma nikogo, że nikt jej nie przyjdzie z pomocą w tych zapomnianych przez Boga lasach. Mogła liczyć tylko na siebie.

–Kate! Zaraz cię złapię! I tak nie umkniesz, więc się zatrzymaj!

Wspięła się na strome, skaliste wzgórze; dla jej opadłego z sił ciała było jak Mount Everest. Na gładkim spłachetku skały wygrzewał się w słońcu czarny wąż. Wyglądał jak odłamana gałąź i już miała się schylić, żeby go podnieść. Mógł przydać się jako podpórka. Zaskoczony wąż ześliznął się ze skały i uciekł; przestraszyła się, że znów ma halucynacje.

–Kate! Kate! Czeka cię zagłada! Jestem bardzo zły!

Upadła twardo w płataninę kapryfolium i ostrych odłamków skały. Poczowała rozdzierający ból w lewej nodze, ale parła dalej. Nie zważaj na krew. Nie zważaj na ból. Nie zatrzymuj się.

Musisz się wydostać. Musisz sprowadzić pomoc. Po prostu biegnij. Jesteś sprytniejsza i szybsza, masz więcej sił, niż ci się zdaje. Na pewno ci się uda!

Słyszała za sobą głośnie tupanie na stromym pagórku – czy zboczu góry – na cokolwiek tam się właśnie wspięła. Był bardzo blisko.

–Jestem tutaj, Kate! Hej, Katie, wchodzę za tobą! Już jestem! Odwróciła się w końcu. Ciekawość i przerażenie wzięły górę.

Wspinał się bez trudu. Widziała jego białą flanelową koszulę, migającą pomiędzy czarnymi pniami drzew, jego długie jasne włosy. Casanova! Wciąż miał na twarzy maskę. W ręce trzymał pistolet ogłuszający albo jakiś inny.

Śmiał się głośno. Z czego on się śmieje?

Kate zatrzymała się. Cała nadzieja, że zdoła uciec, nagle ją opuściła. To było wstrząsające; opadły ją szok i zwątpienie; zapłakała z udręki. Umrze tu na miejscu, była pewna.

–Wola Boża – wyszeptała. Już tylko to jej pozostało, nic więcej.

Po drugiej stronie strone wzgórze kończyło się w kanionie. Co najmniej trzydzieści metrów skały opadało pionowo w dół. Rosło tam tylko kilka karłowatych sosenek. Nie było się gdzie schować, nie było już dokąd uciekać. Jakie smutne, puste miejsce na śmierć, pomyślała Kate.

–Biedna Katie! – wrzeszczał Casanova. – Biedna dziecinka! Odwróciła się, by jeszcze raz na niego spojrzeć. Jest! Czterdzieści, trzydzieści, potem dwadzieścia metrów od niej. Wspinając się Casanova ani na moment nie odrywał od niej wzroku. Czarna, pomalowana maska trwała nieporuszona, celowała prosto w nią.

Kate odwróciła się plecami do tej zwiastującej śmierć maski. Spojrzała w dół skalistego zbocza. Ze trzydzieści metrów, może więcej, pomyślała. Zawrót głowy, jaki czuła patrząc w dół, niemal tak samo ją przerażał jak widmo zbliżającej się za plecami śmierci.

Znowu krzyknął jej imię.

–Kate, nie!

Już się nie obejrzała. Kate McTiernan skoczyła.

Podkuliła nogi i trzymała się za kolana. Twój zwykły skok z trampoliny, powiedziała sobie w myśli.

W dole płynął strumień. Błękitnosrebrzysta wstęga zbliżała się ku niej z niesamowitą szybkością. Szum wody był coraz głośniejszy.

Nie miała pojęcia, jak tam jest głęboko, ale ileż może mieć głębokości taki strumyk? Pół metra? Metr? Najwyżej trzy, jeżeli są to najszcześniejsze sekundy jej życia, w co szczerze wątpiła.

–Kate! – dobiegł ją z góry ostatni okrzyk. – Już nie żyjesz!

Na pomarszczonej powierzchni strumienia widać było drobne grzywy fał. To oznaczało, że pod spodem są kamienie. O Boże drogi, nie chcę umierać.

Ciało Kate uderzyło o lodowatą wodę jak o ścianę – z całą siłą.

Spotkała się z dnem natychmiast, jakby w rwącym strumieniu w ogóle nie było wody. Przeszył ją straszliwy, przejmujący ból, całą. Nałykała się wody. Zdała sobie sprawę, że tonie. A więc śmierć, tak czy inaczej. Nie miała już siły – Bóg tak chciał.

## ROZDZIAŁ 46

Detektyw Nick Ruskin zadzwonił, żeby mnie poinformować, że właśnie znaleźli następną kobietę, i że nie jest to Naomi. Trzydziestojednoletnia stażystka z Chapel Hill została wyłowiona z Wykagil River przez dwóch chłopców, którzy chcieli spędzić dzień na wagarach, a zamiast tego spotkał ich okrutny los.

Ruskin podjechał po mnie jaskrawozielonym saabem turbo pod Washington Duke Inn. Zarówno on, jak Davey Sikes ostatnio zrobili się jakby bardziej chętni do współpracy. Sikes miał dziś wolny dzień, pierwszy od miesiący, jak powiedział jego partner.

Ruskin wyglądał na zadowolonego, że mnie widzi. Wyskoczył z auta przed hotelem i potrząsał moją dłońią jakbyśmy byli kumplami. Jak zwykle ubrany był jak człowiek sukcesu. Czarna sportowa kurtka od Armaniego, czarna koszulka z kieszonką.

Moje sprawy na Południu zaczynały wyglądać trochę lepiej. Miałem wrażenie, że Ruskin wie o moich powiązaniach z FBI i też chce z nich skorzystać. On nigdy nie zasypiał gruszek w popiele. Ta sprawa mogła mu przynieść niezły skok w karierze.

–To nasz pierwszy poważny przełom – powiedział.

–Co w tej chwili wiadomo o tej stażystce? – zapytałem po drodze do Szpitala Uniwersytetu Karoliny Północnej.

–Jakoś się tam trzyma. Najwyraźniej wpadła do Wykagil jak kamień. Mówią, że to istny cud. Żadnej większej kości nie ma złamanej. Ale jest w szoku, czy jeszcze nawet gorszym stanie. Nie może albo nie chce nic powiedzieć. Lekarze coś mówią o katatonii czy szoku potraumatycznym. Kto to wie w tej chwili? W każdym razie żyje.

Ruskin miał w sobie wiele entuzjazmu, zdawał się wręcz charyzmatyczny. Było pewne, że chce skorzystać z moich układów. Może ja skorzystam z jego.

–Nikt nie wie, jak się dostała do rzeki. I jak jej się udało uciec od niego – powiedział, gdy wjeżdżaliśmy do miasteczka uniwersyteckiego w Chapel Hill. Okropna była myśl, że to właśnie tutaj Casanova urządza swoje łowy na studentki. W takim ładnym, bezbronny miasteczku.

–I czy to w ogóle był Casanova – dorzuciłem po chwili. – Tego też nie wiemy na pewno.

–W dupie byliśmy, gówno widzieliśmy, co? – poskarżył się Ruskin skręcając w boczną uliczkę z napisem: SZPITAL. – Ale powiem ci jedno. Ta historia dostanie się do gazet z wielkim hukiem. Cały ten cyrk już jest w mieście. Patrz tam, przed nami.

Tu się nie mylił. Przed Szpitalem Uniwersytetu Karoliny Północnej zrobił się już dziennikarski dom wariatów. Reporterzy telewizyjni i prasowi koczowali na parking, w hallu wejściowym i na łagodnie pagórkowatych trawnikach wokół.

Kiedy wysiedliśmy, fotoreporterzy od razu strzelili mi zdjęcie i Ruskinowi też. Ruskin nadal był gwiazdą miejscowej policji. Wyglądało, że ludzie go lubią. Ja też stawałem się małą gwiazdką, czy przynajmniej ciekawostką tej sprawy. Mój udział w sprawie Soneji'ego nagłośnili już miejscowi dowcipnicy. Byłem pan doktor detektyw Cross, ekspert od ludzkich potworów z Północy.

–Powiedzcie, co się dzieje! – krzyknęła jakaś dziennikarka. – Zlituj się, Nick. O co

**naprawdę chodzi z tą Kate McTiernan?**

**–Jak się uda, może sama nam powie – rzucił Ruskin z uśmiechem, ale nie zatrzymywał się, dopóki nie dotarliśmy bezpiecznie do środka.**

**Mieliśmy obaj dalekie miejsca w kolejce, ale w końcu pozwolono nam zobaczyć ofiarę. Kyle Craig pociągnął za odpowiednie sznurki. Ustalono, że Katelya McTiernan nie zwariowała, tylko cierpi na syndrom stresu pourazowego. Wyglądało to na sensowną diagnozę.**

**Tego wieczora nie było tu już absolutnie nic do roboty. Mimo to zostałem jeszcze, gdy Ruskin odjechał, i przeczytałem wszystkie opisy lekarskie, karty chorobowe i notatki pielęgniarskie. Przejrzałem dokładnie raporty miejscowej policji, opisujące jak ofiara została odnaleziona przez dwóch dwunastoletnich chłopców, którzy zwiali ze szkoły, żeby łowić ryby i palić nad rzeką papierosy.**

**Podjeżdżałem, że wiem też, dlaczego Nick Ruskin mnie od razu wezwał. Był cwany. Doszedł do wniosku, że obecny stan Kate McTiernan może spowodować włączenie mnie do ścisłego śledztwa jako psychologa, szczególnie że miewałem już do czynienia z szokiem pourazowym.**

**Katelya McTiernan. Przeżyła. Ale ledwie, ledwie. Stałem przy jej łóżku całe pół godziny. Podłączono ją do kroplówki. Wysokie, boczne barierki łóżka otaczały ją ciasno. Ktoś już postawił w pokoju kwiaty. Przypomniał mi się smutny, przejmujący wiersz Sylvii Plath pod tytułem „Tulipany”. Mówił o jej zupełnie niesentymentalnej reakcji na kwiaty, przysłane do pokoju w szpitalu po próbie samobójstwa.**

**Próbowałem sobie przypomnieć, jak wyglądała Kate McTiernan, kiedy jeszcze nie miała sińców pod oczami. Widziałem zdjęcia. Teraz, z brzydko opuchniętą twarzą wyglądała, jakby założyła gogle albo maskę gazową. Szczególnie mocno spuchniętą miała okolicę szczęki. Według szpitalnego opisu straciła też ząb. Został wybity dwa dni przed odnalezieniem jej w rzece. Casanova ją pobił. Ten samozwańczy kochanek.**

**Bardzo mi było żal tej młodej kobiety. Chciałem jej jakoś powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.**

**Położyłem delikatnie rękę na jej dłoni i powtarzałem w kółko te same zdania.**

**–Jesteś wśród przyjaciół, Kate. W szpitalu w Chapel Hill. Jesteś już bezpieczna.**

**Nie wiedziałem, czy ciężko poraniona dziewczyna w ogóle mnie słyszy, czy coś rozumie. Ale chciałem jej powiedzieć coś uspokajającego, zanim sobie pójdę.**

**Kiedy tak stałem, przyglądając się nieprzytomnej młodej kobiecie, przemknął mi przed oczami obraz twarzy Naomi. Nie byłem w stanie sobie wyobrazić, że może nie żyć. Czy widziałaś Naomi Cross, Kate McTiernan? Czy z nią w porządku? miałem ochotę zapytać, ale ona przecież i tak nie mogła mi odpowiedzieć.**

**–Jesteś teraz bezpieczna, Kate. Śpij dobrze, śpij spokojnie. Nic ci nie grozi. Kate McTiernan nie mogła powiedzieć słowa o tym, co się stało. Przeszła przez straszliwy koszmar, gorszy niż byłem w stanie sobie wyobrazić. Spotkała Casanovę; sprawił, że zaniemówiła.**

## ROZDZIAŁ 47 KUTAS – TIK.

Młody prawnik Chris Chapin przyniósł do domu butelkę chardonnay de beaulieu i razem z narzeczoną, Anną Miller, popijali sobie kalifornijskie wino w łóżku. Nareszcie był weekend. Chrisowi i Annie znów chciało się żyć.

–Dzięki Bogu, że ten okropny tydzień wreszcie się skończył – stwierdził Chris. Miał dwadzieścia cztery lata i włosy koloru piasku. Był współnikiem w renomowanej firmie prawniczej w Raleigh. Może niezupełnie przypominał Mitcha McDeere z „Firmy” – nie dostał służbowego niemieckiego kabrioletu – ale był to całkiem niezły start do kariery.

–Ja niestety musiałam przynieść papiery do domu, bo w poniedziałek podpisujemy kontrakt – skrzywiła się Anna. Była na trzecim roku prawa. – W dodatku to dla tego sadysty Stackluma.

–Ale nie dziś, Anna – Banana. Pieprz tego Stackluma. Albo jeszcze lepiej, pieprz mnie. – Fajnie, że przyniosłeś wino – uśmiechnęła się wreszcie Anna. Miała olśniewająco białe zęby.

Chris i Anna świetnie się dobrali. Wszyscy tak mówili, wszyscy ich kumple prawnicy. Prawili sobie nawzajem komplementy, mieli bardzo podobny światopogląd, a przede wszystkim byli na tyle mądrzy, że nie próbowali zmieniać jedno drugiego. Chris miał obsesję na punkcie pracy. Dobra, w porządku. Anna zaś musiała przynajmniej dwa razy w miesiącu połączyć po sklepach z antykami. Wydawała wtedy pieniądze, jakby jutro miał nastąpić koniec świata. I też nie było sprawy.

–Chyba to wino musi trochę pooddychać – stwierdziła Anna z szelmowskim uśmiechem. – Mhm, a my poczekamy. – Zsunęła ramiączka białego koronkowego biustonosza. Kupiła go razem z koronkowym paskiem do pończoch w butik Victoria's Secret w pasażu handlowym.

–No. Dzięki Bogu, że to weekend – powtórzył Chris Chapin.

Zaczęli się obejmować i pieścić, żartując pieszczotliwie i całując się; rozbierali się nawzajem, pogrążali w tym pełnym erotyzmu momencie.

W połowie miłosnego aktu Annę Miller opanowało dziwne uczucie.

Poczuła, że ktoś jeszcze jest w ich sypialni. Odsunęła się od Chrisa.

Ktoś stał w nogach łóżka!

Miał na twarzy groźnie pomalowaną maskę. W czerwone i żółte smoki. Złe smoki. Wściekłe i groteskowe, szarpiące się nawzajem szponami.

–A coś ty za jeden? Co to jest?! – zawołał z przestachem w głosie Chris. Sięgnął po kij baseballowy, który trzymali pod łóżkiem, i trafił na jego uchwyt. – Ej, zadałem ci, kurwa, pytanie.

Intruz zawył jak dzikie zwierzę.

–No to masz, kurwa, odpowiedź! – Casanova podniósł prawą rękę, w której trzymał pistolet marki Luger. Wystrzelił tylko raz i na czole Chrisa Chapina wykwitła duża czerwona plama. Nagie ciało młodego prawnika osunęło się po desce wezglowia. Kij baseballowy wypadł mu z ręki na podłogę.

Casanova poruszał się błyskawicznie. Wyciągnął teraz pistolet ogłuszający i

**strzelił Annie w pierś.**

**–Przepraszam za to wszystko – szepnął czule, podnosząc ją z łóżka. – Bardzo przepraszam. Ale wszystko ci wynagrodzę, obiecuję.**

**Anna Miller była kolejną wielką miłością Casanovy.**

## ROZDZIAŁ 48

Następnego ranka rozpoczęła się zagadkowa, medyczna historia. Wszyscy w szpitalu uniwersyteckim byli bardzo podekscytowani, a ja najbardziej.

Wcześniej rano Kate McTiernan zaczęła mówić. Mnie tam nie było, ale Kyle Craig siedział na miejscu chyba od świtu. Niestety nasz bezcenny świadek mówił zupełnie od rzeczy.

Ta jakże inteligentna pani doktor bredziła bez związku przez całe przedpołudnie. Chwilami gadała jak nawiedzona, prawie jakby mówiła różnymi językami. Miała dreszcze, konwulsje i oznaki skurczów brzusznych i mięśniowych, jak to określono w szpitalnych raportach.

Odwiedziłem ją późnym popołudniem. Wciąż się obawiano, że doznała uszkodzenia mózgu. Przez większość czasu, jaki spędziłem w jej pokoju, nie odzywała się i nie reagowała na nic. Raz próbowała coś powiedzieć, ale wydała z siebie tylko okropny krzyk.

Przyszła na chwilę doktor Maria Ruocco, lekarz dyżurny. Rozmawiałem z nią już przedtem. Nie zależało jej na ukrywaniu przede mną istotnych informacji o pacjentce. Była bardzo sympatyczna. Powiedziała, że chciałaby przyczynić się do złapania tego kogoś, czy czegoś, co zrobiło taką rzecz tej młodej lekarce.

Podejrzałem, że Kate McTiernan wydaje się, iż jest nadal uwięziona. Obserwując jej walkę z niewidzialnymi siłami zła doszedłem do wniosku, że strasznie z niej zacięta zawodniczka. Zacząłem ją wręcz dopingować w tym szpitalnym pokoju.

Podjąłem się na ochotnika posiedzieć przy niej dłużej. Nikt nie walczył ze mną o ten przywilej. Może ona w końcu coś jednak powie. Jedno zdanie, słowo nawet mogło się stać ważną wskazówką w polowaniu na Casanovę. Gdybyśmy mieli choćby jeden ślad, sprawa mogła ruszyć z miejsca.

–Jesteś już bezpieczna, Kate – szeptałem jej co parę chwil do ucha. Nie wyglądało, żeby mnie słyszała, ale i tak robiłem swoje.

Około dziewiątej trzydzieści wieczorem wpadłem na pewien pomysł, nie mogłem mu się oprzeć. Lekarze opiekujący się Kate McTiernan poszli już do domu. Musiałem się tym z kimś podzielić, więc zadzwoniłem do FBI, żeby mi pozwolili skontaktować się z doktor Ruocco w jej domu w Raleigh.

–Alex, ty jeszcze jesteś w szpitalu? – spytała Maria Ruocco, gdy odebrała telefon. Bardziej ją chyba zaskoczył, niż rozzłościł ten nocny telefon do domu. W ciągu dnia przegadałem z nią już ładnych parę chwil. Oboje kończyliśmy Uniwersytet Johna Hopkinsa i powspominaliśmy trochę czasy studenckie. Bardzo ją interesowała sprawa Soneji'ego, czytała moją książkę.

–Siedzę tu i prześladują mnie myśli, jak zwykle. Zastanawiałem się, jak on zmuszał swoje ofiary do posłuszeństwa – zacząłem wyklądać doktor Ruocco swoją teorię i tłumaczyć, do czego już doszedłem. – Wykombinowałem, że być może on je narkotyzuje i że mógł użyć czegoś bardziej wymyślnego. Skontaktowałem się z waszym laboratorium i spytałem, jak wypadło badanie na trucizny. Powiedzieli, że znaleźli w jej moczu marinol.

–Marinol? – zdziwiła się Maria, tak samo jak ja kiedy to usłyszałem. – Hmm. Skąd



on, u diabła, zdobył marinol? A to ci grom z jasnego nieba. No, ale pomysł sprytny. Prawie znakomity. Marinol to świetny wybór, jeśli chciał ją zmusić do uległości.

–To może z tego tak dziś świrowała – powiedziałem. – Dreszcze, konwulsje, omamy – jak się to wszystko zbierze, pasuje jak ulał.

–Możesz mieć rację, Alex. Marinol, Jezu! Objawy wychodzenia z marinolu mogą dokładnie przypominać najcięższe stany *delirium termem*. Ale skąd on może tak dobrze znać marinol, łącznie ze sposobem użycia? Nie wierzę, żeby laik wpadł na coś takiego.

Ja też się nad tym zastanawiałem.

–A może sam przechodził chemioterapię? Mógł mieć raka. Może musiał brać marinol. Może też jest nie całkiem tego.

–A może jest lekarzem? Albo farmaceutą? – podsunęła inną hipotezę lekarka. Też już myślałem o tej możliwości. Mógł nawet być lekarzem w tym szpitalu.

–Słuchaj, nasza ulubiona stażystka może mieć o nim do powiedzenia coś takiego, co nam pomoże go złapać. Czy nie dałoby się czegoś zrobić, żeby wychodziła z tego trochę prędzej?

–Będę tam za dwadzieścia minut; nawet szybciej – powiedziała Maria Ruocco. – Zobaczymy, może się uda wyciągnąć tę biedną dziewczynę z jej złego snu. Myślę, że i ja chciałabym porozmawiać z Kate McTiernan.

## ROZDZIAŁ 49

Pół godziny później Maria Ruocco siedziała już ze mną w pokoju doktor McTiernan. Ani FBI, ani policji z Durham nie zawiadomiłem o swoim odkryciu. Chciałem z nią porozmawiać pierwszy. To mógł być przełom w sprawie, największy jak dotąd.

Doktor Ruocco badała swoją najważniejszą pacjentkę przez ponad godzinę. Była bardzo rzeczową ale przystępną lekarką. Atrakcyjna, popielata blondynka przed czterdziestką. Trochę taka „piękność z Południa”, ale naprawdę bardzo fajna. Przemknęło mi przez myśl, czy Casanova przymierzał się kiedyś może do Marii Ruocco.

–Ta biedaczka naprawdę przez to przechodzi – powiedziała do mnie. – Dostała taką dawkę marinolu, że mogłaby już nie żyć.

–Zastanawiam się, czy nie do tego zmierzał – zasugerowałem. – Może była jedną z tych jego „odrzutów”. Niech to szlag, tak bym chciał wreszcie z nią porozmawiać.

Kate McTiernan wyglądała teraz jak pogrążona we śnie. Niespokojnym, ale mimo wszystko śnie. Gdy dotknęły jej ręce doktor Ruocco, momentalnie jęknęła. Posiniaczona twarz wykrzywiła się w przerażającą maskę. Mieliśmy wrażenie, jakbyśmy obserwowali ją znów w niewoli mordercy. Jej przerażenie było wręcz namacalne, budziło grozę.

Doktor Ruocco działała ze szczególną łagodnością lecz ciche jęki i sieknięcia nie milkły. A potem Kate McTiernan nareszcie, nie otwierając oczu, odezwała się.

–Nie dotykaj mnie! Nie! Ani się waż mnie tknąć, ty gnoju! – krzyczała. Oczy wciąż miała zamknięte. Zaciskała mocno powieki. – Zostaw mnie, ty skurwysynu!

–Te młode lekarki – zażartowała doktor Ruocco. Mimo napięcia potrafiła zachować zimną krew. – Nie uszanują absolutnie niczego. I ten ich okropny język!

Kate McTiernan wyglądała teraz, tak jakby ją poddawano fizycznym torturom. Znów pomyślałem o Naomi. Czy jest w ogóle w Karolinie Północnej? Czy jakimś cudem w Kalifornii? Czy dzieje się z nią coś podobnego? Wyrzuciłem te dręczące myśli z głowy. Po kolei z tymi problemami.

Doktor Ruocco zajmowała się Kale jeszcze przez dalsze pół godziny. Podłączyła ją do kroplówki z librium. Potem włączyła ponownie monitor, na którym z powodu ciężkich obrażeń obserwowano pracę serca Kate. Kiedy skończyła, dziewczyna zapadła w jeszcze głębszy sen niż poprzednio. Dziś już nam nie wyjawi żadnej ze swych tajemnic.

–Podoba mi się twoja robota – szepnąłem do doktor Ruocco. – Udało się. Maria Ruocco dała mi znak, bym wyszedł za nią z sali. Na pogrążonym w półmroku szpitalnym korytarzu panowała zupełna cisza, unosiła się atmosfera niesamowitości, jak to bywa tylko nocą w szpitalu. Wróciła do mnie myśl, że Casanova może jest lekarzem właśnie tutaj. Nawet teraz, o tak późnej godzinie, mógł być w budynku.

–Na razie zrobiliśmy dla niej wszystko, co się dało, Alex – powiedziała Maria. – Niech teraz librium robi swoje. Naliczyłam trzech agentów FBI plus dwóch najlepszych z Durham; strzegą dziś naszej młodej lekarki przed demonem. Może byś wrócił do hotelu. Przespał się trochę. A może odrobina relanium, proszę szanownego

pana?

Oświadczyłem, że wolę spać w szpitalu.

–Nie sądzę, żeby Casanova przyłazł tu za nią, ale kto go tam wie. Właściwie mógłby – powiedziałem. Szczególnie jeśli jest lekarzem stąd, zastanowiłem się, ale nie podzieliłem się tą myślą z Marią. – Poza tym czuję jakiś związek z tą Kate. Od pierwszej chwili. Mogła widzieć Naomi.

Doktor Maria Ruocco popatrzyła na mnie. Byłem od niej wyższy co najmniej o trzydzieści centymetrów. Mówiła teraz z całkowicie obojętnym wyrazem twarzy.

–Wyglądasz na normalnego, czasem nawet coś powiesz normalnie, ale kwalifikujesz się jak nic do psychiatry – oznajmiła z uśmiechem. Jej błękitne oczy mrugały figlarnie.

–W dodatku jestem uzbrojony i niebezpieczny – dodałem.

–Dobranoc, doktorze Cross – rzuciła Maria posyłając mi ojcowski pocałunek.

–Dobranoc, doktor Ruocco. I dziękuję – odesłałem jej całusa i ruszyła głęb korytarza.

Zapadłem w niespokojną drzemkę na dwóch złączonych fotelach w pokoju Kate McTiernan. Pistolet umieściłem na podolku. Na pewno przyśni mi się coś miłego.

## ROZDZIAŁ 50

–Kim pan jest? Coś pan, cholera, za jeden, panie?

Zbudził mnie ostry okrzyk. Tuż obok, prawie przy samej twarzy. Jestem w Szpitalu Uniwersytetu Karoliny Północnej, przypomniałem sobie natychmiast. Wiedziałem dokładnie, gdzie w szpitalu. W pokoju Kate McTiernan, naszego zdobycznego świadka.

–Jestem policjantem – odezwałem się do zszokowanej stażystki łagodnym i, miałem nadzieję, uspokajającym tonem. – Nazywam się Alex Cross. Jesteś w szpitalu uniwersyteckim. Już wszystko w porządku.

W pierwszej chwili wydawało się, że Kate McTiernan zacznie płakać, ale jakoś się pozbierała. Widząc, jak odzyskuje kontrolę nad sobą zrozumiałem, jak przetrwała najpierw Casanovę, a potem rzekę. Patrzyłem na kobietę o wyjątkowo silnej woli.

–Jestem w szpitalu? – Jej słowa brzmiały trochę bełkotliwie, ale przynajmniej logicznie.

–Tak, zgadza się – uniosłem dłoń jak do przysięgi. – Jesteś teraz bezpieczna. Pobiegnę po lekarza. Zaraz wrócę, dobrze?

Doktor McTiernan nadal mówiła niewyraźnie, ale była wręcz przerażająco skoncentrowana.

–Zaraz, zaraz. J a jestem lekarzem. Niech się najpierw zorientuję w sytuacji, zanim zaczniemy zapraszać kogoś z wizytą. Tylko pozbieram myśli. Jesteś policjantem?

Skinąłem głową. Chciałem jej to ułatwić, jak tylko się da. Miałem ochotę ją utulić, potrzymać za rękę, zrobić coś, żeby ją wesprzeć, ale nie przestraszyć – po tym przez co przeszła w ostatnich dniach. Chciałem też jej zadać chyba ze sto bardzo ważnych pytań.

Kate McTiernan odwróciła ode mnie wzrok.

–Zdaje się, że mnie nafaszerował narkotykami. A może to był sen?

–To nie był sen. Zastosował bardzo silny lek o nazwie marinol. – Wyjaśniłem jej, co dotąd wiemy. Starłem się przy tym nie skierować Kate na błędny tor.

–Chyba miałam niezły odlot – próbowała gwizdnąć, ale wyszedł z tego jakiś śmieszny dźwięk. Zobaczyłem miejsce po wybitym zębie. Musiała mieć sucho w ustach, wargi jej opuchły, szczególnie górna.

Choć mogło się to wydać dziwne, stwierdziłem, że się uśmiecham. – Odleciałaś na chwilę na Planetę Dziwów. Miło widzieć cię z powrotem.

–Tak miło, że wróciłam – wyszeptała. Do oczu nabiegły jej łzy. – Przer praszam. Tak bardzo się starałam nie płakać w tym upiornym miejscu. Nie chciałam, żeby dostrzegł moją słabość i to wykorzystał. Ale teraz chce mi się beczeć.

–Tak, tak, wypłacz się porządnie, proszę – odparłem, również szeptem. Sam ledwie mogłem mówić i powstrzymać łzy. Czułem ucisk w piersi. Podeszedłem do szpitalnego łóżka i lekko trzymałem Kate za rękę, a ona płakała.

–Nie mówisz jak południowiec – odezwała się w końcu. Już brała się w garść. Imponowała mi ta jej umiejętność.

–Jestem z Waszyngtonu. Dziesięć dni temu zniknęła moja siostrzenica, studentka prawa na Duke. Dlatego przyjechałem do Karoliny Północnej. Jestem detektywem.

Jakby mnie dopiero teraz naprawdę zobaczyła. Widać było, że przypomina sobie coś ważnego.

–W tym domu, gdzie mnie uwięził, są też inne kobiety. Nie wolno nam było rozmawiać. Casanova kategorycznie zabronił wszelkiego porozumiewania się, ale ja złamałam przepisy. Rozmawiałam z kobietą, Naomi...

–Moja siostrzenica nazywa się Naomi Cross – wszedłem jej w słowo, usiłując zachować spokój. – Żyje? Co z nią jest? – Miałem wrażenie, że serce mi zaraz pęknie. – Powiedz wszystko, co pamiętasz Kate, błagam.

Kate McTieman spięła się jeszcze bardziej.

–Rozmawiałam z jakąś Naomi. Nie pamiętam nazwiska. Rozmawiałam leż z Kristen. Te narkotyki. O Boże, to była twoja siostrzenica?... Wszystko mi się zaciera w tej chwili, zaciemnia. Przepraszam... – głos Kate odpływał, jak gdyby ktoś wypuścił z niej powietrze.

Ścisnąłem lekko jej dłoń.

–Nic, nic. Odkąd tu przyjechałem, jeszcze nikt nie dał mi tyle nadziei co ty.

Kate McTirenan patrzyła mi teraz prosto w oczy. Wzrok miała skupiony, poważny. Wydawała się spoglądać w przeszłość, na coś strasznego, o czym chciałyby zapomnieć.

–Teraz nie mogę sobie wielu rzeczy uświadomić. To chyba efekt uboczny działania marinolu... Pamiętam, że chciał mi znowu zrobić zastrzyk. Kopnąłem go, oberwał tak, że mogłam uciec. Przynajmniej tak mi się zdaje... To był bardzo, bardzo gęsty las – ciągnęła. – Sosny karolińskie, wszędzie wiszące mchy... Pamiętam, przysięgam na Boga... ten dom... tam gdzie nas trzymał, ten dom zniknął. Dom, w którym byliśmy uwięzione, po prostu zniknął na moich oczach.

Kate McTieman powoli kiwała głową o długich brązowych włosach. Żrenice rozszerzyło jej zdumienie. Zadziwiła ją własna opowieść.

–Tak to pamiętam. Jak to możliwe? Jak dom może zniknąć?

Przeżywała na nowo bardzo niedawną, przerażającą przeszłość. Siedziałem tuż przy niej. Byłem pierwszym, który usłyszał historię jej ucieczki, pierwszym jaki dotąd, który usłyszał słowa naszego świadka.

## ROZDZIAŁ 51

Casanova wciąż nie mógł dojść do siebie po wstrząsie, jakim była dla niego utrata doktor Kate McTieman. Czuł zaniepokojenie i nie spał już od wielu godzin. Przewracał się w łóżku z boku na bok. Niedobrze. To było niebezpieczne. Popełnił pierwszy błąd.

Ktoś szeptał coś do niego w ciemnościach.

–Dobrze się czujesz? Czy coś się stało?

Kobięcy głos w pierwszej chwili go zaskoczył. Był w tym momencie Casanova. Ale zaraz przeobraził się gładko w swoje drugie ja – dobrego męża. „Wyciągnął rękę i delikatnie pogładził nagie ramię żony.

–Nic mi nie jest. Nic się nie stało. Tylko jakoś trudno mi zasnąć.

–Zauważyłam. Jakże by nie? Te ohydne krasnoludki znowu atakują, co? – W jej rozspanym głosie wyczuwało się uśmiech. Była dobra i kochała go.

–Przepraszam – szepnął Casanova i pocałował żonę w ramię. Pogłaskał ją po włosach i dalej myślał o Kate McTiernan. Kate miała dłuższe włosy.

Nie przestając głaskać żony wrócił znów do torturujących go myśli. Naprawdę nie miał z kim porozmawiać o tym wszystkim. Już nie. Przynajmniej na pewno nie tutaj, w Karolinie Północnej, nawet w tym picusiuowatym Trójkącie Uczelnianym.

W końcu wygramolił się z łóżka i ciężkim krokiem zszedł po schodach. Dowlókt się do swojego kąta i cicho zamknął drzwi na klucz.

Spojrzał na zegarek. Trzecia rano. Tam, w Los Angeles jest północ. Wykręcił numer.

Tak naprawdę Casanova miał kogoś, z kim mógł porozmawiać. Jediną osobę na świecie.

–To ja – powiedział, gdy usłyszał po drugiej stronie znajomy głos. – Trochę mi dzisiaj odbija. I oczywiście pomyślałem o tobie.

–Czyżbyś sugerował, że prowadzę rozwiązłe życie i jestem na wpół obłąkany? – spytał Dżentelmen chichocząc.

–To się rozumie samo przez się. – Casanova od razu poczuł się lepiej. Na szczęście był jednak ktoś, z kim mógł pogadać i podzielić się sekretami. – Wczoraj wziąłem następną. Opowiem ci o Annie Miller. Przyjacielu, ona jest fantastyczna.

## ROZDZIAŁ 52

Casanova znów uderzył.

Kolejna studentka, zdolna i piękna Anna Miller została porwana z własnego domu, w którym mieszkała z chłopakiem, też prawnikiem, niedaleko Uniwersytetu Stanowego w Raleigh. Casanova zastrzelił chłopaka w łóżku, to było coś nowego w jego zachowaniu. Nie zostawił na miejscu zbrodni żadnego liściku ani innych śladów. Po ostatnim błędzie pokazywał nam, że znów jest perfekcjonistą.

Spędziłem kilka godzin przy łóżku Kate McTiernan w szpitalu uniwersyteckim. Dogadywaliśmy się niezłe; czułem, że zostaniemy przyjaciółmi. Chciała mi pomóc ustalić psychologiczny profil Casanovy. Starła się opowiedzieć mi wszystko, co wiedziała o nim i jego więźniarkach.

Z tego co pamiętała, uwięzionych było sześć, łącznie z nią. Możliwe jednak, że miał ich więcej.

Casanova był wyjątkowym pedantem. Potrafił planować całe tygodnie naprzód i poznawać cechy i upodobania ofiar w najdrobniejszych szczegółach.

Chyba sam zbudował swój dom. Założył kanalizację, specjalny system dźwiękowy i klimatyzację, najwyraźniej dla wygody pojmanych kobiet. Kate widziała jednak ten dom będąc pod wpływem narkotyku i nie potrafiła opisać go zbyt dokładnie.

Casanova to prawdopodobnie świr kontrolowany, niesamowicie zazdrosny i wyjątkowo zaborczy. Był bardzo aktywny seksualnie, zdolny do kilkunastu erekcji w ciągu nocy. Seks i męski popęd seksualny stanowiły jego obsesję.

Potrafił okazać troskliwość na swój sposób. Bywał też „romantyczny”, jak to sam określał. Lubił się przytulać, całować i mógł rozmawiać z kobietami całymi godzinami. Twierdził, że je kocha.

W połowie tygodnia FBI i miejscowa policja zgodziły się w końcu wyznaczyć w szpitalu jakieś bezpieczne miejsce, gdzie Kate McTiernan mogłaby się po raz pierwszy spotkać z dziennikarzami. Konferencja prasowa miała się odbyć w szerokim hallu wejściowym na jej piętrze.

Dziennikarze z notatnikami i kamerzyści TV tłoczyli się w białym hallu, zapełniając go szczelnie aż po czerwony neon wskazujący wyjście. Korytarz obstawili też policjanci z automatami. Na wszelki wypadek, bo detektywi Nick Ruskin i Davey Sikes stali cały czas tuż przy Kate.

Kate McTiernan powoli stawała się postacią znaną w całym kraju. Teraz wreszcie opinia publiczna miała zobaczyć kobietę, której udało się uciec z katowni Casanovy. Byłem pewien, że on też ogląda ten program. Miałem tylko nadzieję, że nie na żywo, razem z nami w szpitalu.

Jakiś pielęgniarz o posturze kulturysty wjechał z Kate do zatłoczonego, rozbrzmiewającego gwarem korytarza. Szpital zażądał, by była na wózku inwalidzkim. Włożyła luźne spodnie dresowe z emblematem uczelni i prostą białą bawełnianą koszulkę. Długie, lśniące brązowe włosy miała rozpuszczone. Siniaki i opuchlizna na twarzy znacznie się już zmniejszyły. „Wyglądam prawie jak dawna ja”, powiedziała mi przedtem. „Ale jeszcze się tak nie czuję. Nie w środku”.

Kiedy pielęgniarz dojeżdżał już do stanowiska mikrofonów, Kate zadziwiła

obecnych. Wstała z nieporęcznego wózka i resztę drogi przeszła o własnych siłach.

– Witam, jestem Kate McTiernan. Jak widać – zwróciła się do dziennikarzy, którzy zaczęli się tłoczyć jeszcze bliżej najważniejszego świadka. – Chciał wygłosić tylko bardzo krótkie oświadczenie. – Jej głos brzmiał mocno i dźwięcznie. Panowała nad sobą doskonale, przynajmniej tak to wyglądało dla wszystkich widzów i słuchaczy.

Jej swoboda i subtelne poczucie humoru wywołały w tłumie uśmiechy. Jeden czy drugi dziennikarz usiłował zadać jakieś pytanie, ale w narastającej wrzawie trudno było ich usłyszeć. W nabitym szpitalnym korytarzu szumiały kamery i błyskały flesze.

Kate przerwała na moment i znów zrobiło się trochę ciszej. W pierwszej chwili wszyscy pomyśleli, że konferencja prasowa jest jednak dla niej zbyt wielkim, obciążeniem psychicznym. Najbliżej stojący lekarz ruszył w jej stronę, ale powstrzymała go gestem dłoni.

– Czuję się świetnie. Nic mi nie jest, naprawdę, dzięki. Jeżeli zakręci mi się w głowie czy coś, usiądę po prostu w wózku jak wzorowy pacjent. Nie mam zamiaru popisywać się brawurą.

Naprawdę panowała nad sytuacją. Była starsza niż większość studentów czy stażystów i wyglądała w istocie jak lekarz.

Rozejrzała się po sali – z ciekawością jak się wydawało. Może z lekkim zdumieniem. W końcu przeprosiła za chwilowe zapomnienie.

– Musiałam tylko pozbierać myśli... – powiedziała. – Chciałabym teraz opowiedzieć wam, co mi się przydarzyło – powiem wszystko, co w tej chwili mogę – ale na tym koniec. Nie będę odpowiadać na pytania. I proszę, byście to uszanowali. Czy to uczciwy układ?

Zważywszy na wszystkie okoliczności, Kate McTiernan zachowywała przed kamerami wyjątkową swobodę; mogłaby występować w telewizji zawodowo. Jej zrównoważenie imponowało. Wiedziałem już, że kiedy trzeba, potrafi być niezwykle zdecydowana i śmiała. A kiedy indziej znów, bezbronna i lękliwa jak każdy.

– Najpierw chciałabym zwrócić się do wszystkich rodzin i przyjaciół innych zaginionych dziewcząt. Proszę, nie porzucajcie nadziei. Człowiek znany jako Casanova używa przemocy tylko wówczas, gdy ofiara nie przestrzega ściśle jego poleceń. Ja złamałam te przepisy i zostałam brutalnie pobita. Ale udało mi się uciec. Tam, gdzie mnie więziono, są jeszcze inne kobiety. W głębi serca wierzę, że żyją i są bezpieczne.

Reporterzy nadal starali się stać jak najbliżej Kate. Nawet w tak oplakany stanie miała w sobie jakiś magnetyzm, promieniowała siłą. Kamerzyści byli zachwyceni. I widzowie też będą wiedzieli.

Jeszcze przez pewien czas zrobiła wszystko, co mogła, by ukoić lęki rodzin innych zaginionych. Ponownie podkreśliła, że pobito ją tylko dlatego, iż złamała przepisy ustalone przez Casanovę. Pomyślałem sobie, że być może w ten sposób próbuje też i jemu przekazać wiadomość. To wyłącznie moja wina, nie tamtych dziewczyn.

Przyglądając się jak Kate przemawia, zadawałem sobie w duchu pytania: Czy on rzeczywiście wybiera wyłącznie najniezwyklejsze kobiety? Nie tylko wyjątkowo



**piękne, ale szczególne pod każdym względem? Co to oznacza? Do czego właściwie dąży Casanova? Na czym polega jego gra?**

**Zacząłem podejrzewać, że morderca ma wprawdzie obsesję na punkcie fizycznego piękna, ale jednocześnie nie jest w stanie znieść kobiet mniej inteligentnych od niego. Czułem też, że strasznie tęskni za intymnością.**

**Wreszcie Kate skończyła mówić. W jej oczach połyskiwały łzy, jak kropelki przejrzystego szkła.**

**–To już wszystko – powiedziała cicho. – Dziękuję za przekazanie mojego przesłania rodzinom zaginionych. Mam nadzieję, że choć trochę im to ulży. I proszę o nic więcej na razie nie pytać. Wciąż jeszcze nie pamiętam wszystkiego, co się ze mną działo. Powiedziałam to, co byłam w stanie.**

**W pierwszej chwili zapadła zupełna cisza. Nikt się nie wyrwał z pytaniami. Wyraziła się jasno w tej kwestii. A potem dziennikarze i pracownicy szpitala zaczęli bić brawo. Wiedzieli, tak jak wiedział to Casanova, że Kate McTiernan to niezwykła osoba.**

**Bąłem się tylko jednego. Czy on jej tu z nimi nie oklaskuje?**

## ROZDZIAŁ 53

O czwartej rano Casanova spakował żywność oraz inne niezbędne rzeczy do nowiutkiego, zielonoszarego angielskiego plecaka. Wybierał się do swojej kryjówki na poranek długo oczekiwanych rozkoszy. Wymyślił już jakiś czas temu ulubioną nazwę dla tych zakazanych zabaw: „Całuj dziewczęta”.

Po drodze, w samochodzie, a potem podczas marszu przez gęsty las, fantazjował na temat najnowszej zdobyczy, Anny Miller. W wyobraźni oglądał wciąż na nowo to, co miał zamiar dziś z nią zrobić.

Kutas – tik.

Kiedy dotarł do kryjówki, puścił na cały regulator płytę Stonesów. Niezrównany „Beggar's Banquet”. Chciał dziś słuchać głośnego, antyspołecznego rocka. Mick Jagger ma już chyba pięćdziesiątkę? A on miał dopiero trzydzieści sześć. To jego czas.

Staął nago przed sięgającym podłogi lustrem i podziwiał swą smukłą, muskularną sylwetkę. Przeczesał włosy. Zarzucił na siebie lśniący, ręcznie malowany szlafrok, kupiony kiedyś w Bangkoku. Nie związał go paskiem, żeby wszystko było widać.

Dziś wybrał nową maskę; piękną, oryginalną maskę z Wenecji, którą kupił z myślą o takiej właśnie, szczególnej okazji. O chwili miłości i tajemnicy. Wreszcie był gotów na spotkanie z Anną Miller.

Anna była niesłychanie wyniosła. Absolutnie nieprzystępna. Miała wyjątkowe ciało. Musi ją złamać jak najszybciej.

Nic nie mogło się równać z tym fizycznym i psychicznym odczuciem: nagłym pobudzeniem, przyspieszonym biciem serca, radością wibrującą w każdym zakątku jego ciała.

Puścił rocka tak głośno, żeby dać Annie znak, że ma być gotowa. To sygnał. On w każdym razie na pewno był gotów.

## ROZDZIAŁ 54

Kate nadal pamiętała niewiele z tego dnia, gdy udało jej się uciec z piekła. Zgodziła się poddać hipnozie, w każdym razie zgodziła się, żeby ją spróbował, ponieważ przypuszczała, że jej naturalne mechanizmy obronne na to nie pozwolą... Postanowiliśmy, że zrobimy to późnym wieczorem w szpitalu, kiedy będzie już zmęczona i może bardziej podatna.

Hipnoza to w zasadzie dość prosty proces. Najpierw poprosiłem Kate, żeby zamknęła oczy i oddychała spokojnie i równo. Może wreszcie spotkam się dziś z Casanovą. Może uda mi się zobaczyć oczami Kate, w jaki sposób on działa.

–Wdychamy dobre powietrze, wydychamy złe – powiedziała Kate, nie tracąc dobrego humoru. – Coś w tym stylu, doktorze Cross?

–Oczyść umysł, jak tylko się da – poleciłem.

–Nie wyznaję się na tych mądrościach – uśmiechnęła się. – Na razie wciąż się o coś tam potykam. Jak na starym strychu, zastawionym zamkniętymi szafami i walizkami. – Jej głos brzmiał teraz nieco bardziej sennie. To był dobry znak.

–A teraz licz powoli od stu do jednego. Zacznij, kiedy chcesz – powiedziałem.

Weszła w hipnozę dość łatwo. To prawdopodobnie oznaczało, że ma do mnie zaufanie. Jej zaufanie oznaczało z kolei moją odpowiedzialność.

Była teraz zupełnie bezbronna. Nie chciałem Kate zranić pod żadnym pozorem. Przez pierwsze parę minut po prostu zwyczajnie rozmawialiśmy, tak jak wówczas, gdy była w pełni przebudzona i świadoma. Od samego początku lubiliśmy ze sobą rozmawiać.

–Czy pamiętasz swoje uwięzienie w domu Casanovy? – zadałem w końcu wprowadzające pytanie.

–Tak, przypominam sobie sporo w tej chwili. Pamiętam tę noc, kiedy przyszedł do mojego mieszkania. Jak mnie niesie przez las do tego miejsca, gdzie jest dom. Niósł mnie, jakbym nic nie ważyła.

–Opowiedz coś o tym lesie, Kate. – To był pierwszy przełom. Była teraz znów z Casanovą. W jego władzy. Pojmana. Nagle zdałem sobie sprawę z panującej w całym szpitalu absolutnej ciszy.

–Tam było za ciemno, naprawdę. Bardzo gęsty las, okropny. On miał przy sobie latarkę, powiesił ją na sznurku na szyi... Jest niesamowicie silny, jak zwierzę. Porównywał się do Heathcliffa z „Wichrowych Wzgórz”. Ma bardzo romantyczne wyobrażenia o sobie i o tym, co robi. Wtedy w nocy... szeptał mi do ucha, jakbyśmy naprawdę byli kochankami. Powiedział, że mnie kocha. I to brzmiało... szczerze.

–Co jeszcze pamiętasz, Kate? Wszystko może się przydać. Nie spiesz się. Obróciła głowę, jakby patrzyła na kogoś, kto siedzi po prawej stronie koło mnie.

–Za każdym razem miał inną maskę. Kiedyś założył nawet maskę do rekonstrukcji twarzy. Ta była najokropniejsza. W szpitalach i kostnicach mówią na nią „maska pośmiertna”, bo służy do rekonstrukcji twarzy ofiar wypadków, których nie sposób rozpoznać.

–To bardzo ciekawe o tej masce pośmiertnej. Mów, Kate, mów. Bardzo mi pomagasz.

–Wiem, że robi sieje posługując się fotografią czaszki, dowolnej czaszki. Nakładają na zdjęcie kalkę i odtwarzają rysy. Potem na tej podstawie konstruuje się maskę. W filmie „Gorky Park” była pokazana taka maska. Ich się raczej nie nosi. Zastanawiam się, skąd on ją zdobył.

Dobrze, Kate, mówiłem w myśli, teraz dalej o Casanovie.

–Co się zdarzyło w dniu twojej ucieczki? – próbowałem ją trochę podprowadzić.

Pierwszy raz wyglądała na zdenerwowaną moim pytaniem. Na ułamek sekundy otworzyła oczy, jakbym ją zbudził z płytkiego snu, potrząsając za ramię. Prawą stopą stukała gwałtownie o podłogę.

–Nie pamiętam wiele z tego dnia, Alex. Byłam chyba tak naćpana, że straciłam rozum, odleciałam zupełnie.

–Nie ma sprawy. Cokolwiek sobie przypomnisz, może mi się przydać. Idzie ci świetnie. Mówiłaś mi przedtem, że go kopnęłaś. Rzeczywiście kopnęłaś Casanovę?

–Tak, kopnęłam go. Gdzieś na trzy czwarte tempa. Wrzasnął z bólu i się przewrócił.

Nastąpiła kolejna dłuższa przerwa. Nagle oczy Kate wypełniły się łzami i zaczęła

**plakać, gwałtownie łkać.**

**Na twarz wystąpił jej pot. Uznałem, że czas wyprowadzić ją z hipnozy. Nie rozumiałem, co się w tym momencie stało, i trochę mnie to przeraziło.**

**Staralem się, by mój głos brzmiał łagodnie.**

**–Co jest, Kate? Coś nie tak? Jak się czujesz?**

**–Zostawiłam tam te wszystkie kobiety. Najpierw nie mogłam ich znaleźć. Potem byłam już taka strasznie otumaniona. Zostawiłam je.**

**Otworzyła oczy, pełne łez, ale i łęku. Sama wyszła z hipnozy. Taką miała w sobie siłę.**

**–Czego się tak przestraszyłam? – zapytała. – Co się przed chwilą stało? – Nie jestem pewien – odparłem. – Porozmawiamy o tym później, nie teraz. Unikała mojego wzroku. To było do niej niepodobne.**

**–Czy mogę zostać sama? – szepnęła. – Możesz mnie zostawić samą? Dziękuję.**

**Opuszczając pokój Kate czułem się niemal, jakbym ją zdradził. Ale nie byłem pewien, czy dałoby się to wszystko przeprowadzić w inny sposób. To w końcu było śledztwo w sprawie wielokrotnego mordercy. Jak dotąd bez rezultatów. Jak to w ogóle możliwe?**

## ROZDZIAŁ 55

Kate wypisano ze szpitala pod koniec tygodnia. Zapytała mnie, czy moglibyśmy codziennie trochę pogadać. Zgodziłem się chętnie.

–Nie chodzi o terapię, w jakiegokolwiek formie – wyjaśniła. Po prostu potrzebowała kogoś, z kim mogłaby roztrząsać pewne cięższe tematy. Po części za przyczyną Naomi, wytworzyła się dość szybko silna więź między nami.

Dodatkowe informacje czy nowe ślady powiązań Casanovy i Dzentelmena już się nie pojawiły. Beth Liebermann, dziennikarka z *Los Angeles Times*, nie chciała w ogóle ze mną gadać. Usiłowała prehandlować swój świeżutki towar w nowojorskich wydawnictwach.

Zamierzałem wybrać się do Los Angeles, żeby się z nią spotkać, ale Kyle Craig poprosił, żebym tego nie robił. Zapewnił mnie, że przekazuje mi wszystko, co Liebermann wie o sprawie. Musiałem komuś ufać, zaufałem więc Kyle'owi.

W poniedziałek po południu pojechaliśmy z Kate do lasów nad Wykagil River, tam gdzie znaleźli ją dwaj chłopcy. Żadne z nas nie powiedziało jeszcze tego głośno, ale wyglądało, że działamy teraz wspólnie. Z pewnością nikt nie wiedział o Casanovie więcej niż Kate. Mogło się przydać wszystko, co zdoła sobie jeszcze przypomnieć. Najdrobniejszy szczegół mógł się okazać tropem o przełomowym znaczeniu.

Gdy zagłębialiśmy się w ciemny, rozległy las na wschodnim brzegu Wykagil, Kate ucichła i widać było, że jato wyjątkowo przytłacza. Potwór w ludzkiej skórze mógł się tu gdzieś czaić; kto wie, czy nie grasował po lesie akurat w tej chwili. Może nawet nas obserwował.

–Uwielbiałam kiedyś chodzić po takich lasach. Jeżyny, słodki sasafrzan, pełno sójek i kardynałów. Przypomina mi się czas, kiedy byłam mała – mówiła Kate po drodze. – Codziennie biegałyśmy z siostrami kąpać się w takim strumieniu. Pływałyśmy na golasa, chociaż ojciec nam nie pozwolił. Robiłyśmy wszystko, czego nam surowo zabraniał.

–Przydały ci się te ćwiczenia pływackie. Kto wie, czy to nie dzięki nim przeżyłaś Wykagil.

Kate pokręciła głową.

–Nie, nie, raczej przez czysty upór. Poprzysięgłam sobie, że nie umrę tego dnia. Nie mogłam mu dać tej satysfakcji.

Nie przyznawałem się głośno do tego, ale i mnie było nieswojo w tym lesie. Częściowo mogłem przypisać to uczucie smutnej historii tych terenów i otaczających je pól. Niegdyś było tu mnóstwo farm tytoniowych. Niewolniczych farm. To krew i kości moich przodków. Niespotykane w historii uprowadzenie i zniewolenie czterech milionów Afrykanów, których przetransportowano do Ameryki. Zostali porwani.

–Ten teren mi w ogóle niczego nie przypomina – stwierdziła Kate po dłuższej chwili. Zanim wysiedliśmy z auta, zapiąłem sobie pod pachą kaburę z pistoletem. Kate skrzywiła się lekko na widok broni. Ale poprzestała na niemym proteście. Wyczuła, że jest ze mnie teraz pogromca smoków. A zły smok mieszkał gdzieś w okolicy. Spotkała go.

–Pamiętam, że biegłam, uciekałam przez taki właśnie las. Te wysokie sosny.

Niewiele światła, niesamowicie jak w jaskini z nietoperzami. Doskonale pamiętam ten moment, kiedy zniknął dom. Ale niewiele poza tym. Blokuję to chyba. Nawet nie wiem, jak się znalazłam w rzece.

Oddaliliśmy się już ze trzy kilometry od samochodu. Kierowaliśmy się na północ, trzymając się blisko rzeki, którą spłynęła Kate po swej cudownej ucieczce. Wszystkie drzewa, wszystkie krzaki wyciągały niestrudzenie gałęzie ku ledwo tu docierającym promieniom słońca.

–To mi się kojarzy z bachanaliami. – Kate wyduła górną wargę w ironicznym uśmiechu. – Z triumfem mrocznego, barbarzyńskiego chaosu nad cywilizowanym, ludzkim rozumem. – Mieliśmy w rażenie, jakbyśmy posuwali się pod prąd wysokiej, napierającej nieustępliwie fali roślinności.

Wiedziałem, że to aluzja do Casanovy i jego katowni, w której nadal trzymał tamte kobiety. Próbowła go lepiej zrozumieć. Oboje próbowaliśmy.

–On się nie godzi na pozostanie cywilizowanym, poddanie się ograniczeniom – podjąłem wątek. – Robi, co chce. Jest poszukiwaczem rozkoszy absolutnej. Taki hedonista naszych czasów.

–Szkoda, że nie słyszałeś, jak on mówi. Jest bardzo inteligentny.

–My też – przypomniałem jej. – W końcu popełni błąd, obiecuję ci to. Poznawałem Kate coraz lepiej, ona poznawała mnie. Rozmawialiśmy o mojej żonie, Marii, która zginęła przypadkowo w bezsensownej samochodowej strzelaninie w D.C. Opowiedziałem o Jannie i Damonie. Umiała słuchać, byłaby świetna przy łóżku chorego. Doktor Kate, lekarz wyjątkowy.

Do trzeciej po południu przeszliśmy chyba z sześć do ośmiu kilometrów. Czułem się złączony i trochę obolały. Kate nie skarżyła się na nic, ale na pewno miała już dość. Dzięki Bogu, że trening karate utrzymywał ją w takiej formie. Nie odnaleźliśmy ani śladu jej ucieczki przez las. Punkty orientacyjne w terenie niczego jej nie przypominały. Znikający dom się nie pojawił. Ani Casanova. Głęboki, ciemny las nie odpowiedział nam niczego szczególnego. Nie dał żadnego punktu oparcia.

–Jak to, cholera, jest, że on się tak w tym wyrobił? – mruknąłem, gdy wlekliśmy się do auta.

–Praktyka – skrzywiła się Kate. – Lata praktyki.

## ROZDZIAŁ 56

W Chapel Hill wstąpiliśmy coś zjeść do Spanky'ego. Byliśmy wykończeni, głodni jak wilki, a przede wszystkim spragnieni. W tej popularnej restauracji goście rozpoznawali Kate i po naszym wejściu podniósł się wokół sympatyczny szumek. Barman, muskularny blondyn imieniem Hack zaczął bić brawo i po chwili wszyscy wiwatowali.

Kelnerka, koleżanka Kate, usadziła nas przy honorowym stoliku pod frontowym oknem wychodzącym na Franklin Street. Robi doktorat z filozofii, wyjaśniła mi Kate. Verda, kelnerka – filozof z Chapel Hill.

–No i jak się czujesz w roli gwiazdy? – zażartowałem sobie, gdy zajęliśmy miejsca.

–Nienawidzę tego. Nienawidzę – odpowiedziała przez zaciśnięte zęby. – Słuchaj, Alex, jakbyśmy się tak dzisiaj urznęli, co? – rzuciła nagle. – Poproszę tequillę, kufel piwa i jakąś brandy – zwróciła się do Verdy. Kelnerka – filozof zmarszczyła nos, słysząc to zamówienie.

–Dla mnie to samo – powiedziałem. – Jak po studencku, to po studencku.

–To już na pewno nie jest terapia – oznajmiła Kate, gdy Verda odeszła. – Będziemy sobie pieprzyć głupoty przez cały wieczór.

–Przypomina terapię jak nic – stwierdziłem.

–No to leżymy na kozetce oboje.

Przez pierwszą godzinę rozmawialiśmy o najróżniejszych sprawach: o samochodach, o plusach i minusach pracy w szpitalu w dużym mieście i na wsi, o rywalizacji uniwersytetów w Durham i Chapel Hill, o literaturze romantycznej Południa, niewolnictwie, wychowaniu dzieci, zarobkach lekarzy i kryzysie w służbie zdrowia, słowach piosenek rockowych i bluesowych, o książce Michaela Oondatye „Angielski pacjent”, która podobała się nam obojgu. Potrafiliśmy rozmawiać tak ze sobą od samego początku. Niemal od pierwszej chwili w szpitalu przeskakiwała między nami jakaś iskierka.

Po pierwszej, szybkościowej kolejce drinków przerzuciliśmy się na powolne sączenie – ja piwa, a Kate wina. Trochę się napraliśmy, ale nie jakoś katastrofalnie. Kate miała rację co do jednego. Bardzo nam było potrzebne oderwanie się na chwilę od stres i związanego ze sprawą.

Gdzieś po trzech godzinach siedzenia w knajpie opowiedziała mi prawdziwą historię swego życia, niemal tak szokującą jak jej porwanie przez Casanovę. Gdy mówiła, jej brązowe oczy błyszczały w przyćmionym świetle baru.

–Teraz coś opowiem, Alex. My, południowcy, uwielbiamy opowieści. Jesteśmy ostatnimi strażnikami świętej, ustnej tradycji amerykańskiej historii.

–Opowiadaj, Kate. Bardzo lubię słuchać. Tak bardzo, że zrobiłem sobie z tego zawód.

Położyła dłoń na mojej dłoni. Wzięła głęboki wdech. Głos jej złagodniał, mówiła prawie szeptem.

–Dawno, dawno temu żyła sobie w Buck rodzina McTiernanów. Była z nich wesola kompania. Bardzo pozbierana, szczególnie dziewczęta: Susanne, Marjorie, Kristin, Carole Annę i Kate. Kristin i ja, najmłodsze dziewczuchy – to bliźniaczki. Była też Mary,

nasza matka, i Martin, nasz ojciec. Nie powiem wiele o Martinie. Matka wyrzuciła go z domu, gdy miałam cztery lata. Apodyktyczny typ i ciągle wściekał się jak nadeptany grzechotnik. Czort z nim. Już dawno uwolniłam się od ojca.

Kate mówiła jeszcze chwilę, a potem przerwała i spojrzała mi głęboko w oczy.

–Czy ktoś ci kiedykolwiek mówił, jakim jesteś niesamowitym, świetnym słuchaczem? Ma się wrażenie, jakby ciekawiło cię absolutnie każde słowo. Aż się chce dalej opowiadać. A jeszcze nigdy nikomu tego wszystkiego nie opowiadałam.

–Pewnie, że mnie ciekawi każde twoje słowo. Dobrze mi z tym, że chcesz się ze mną podzielić, że tak mi ufasz.

–Ufam. To nie jest opowieść szczęśliwa, więc muszę ci ufać.

–Mam to poczucie, Kate. – Uderzyło mnie po raz kolejny, jak piękną ma twarz. Prześliczne duże oczy. Usta nie zanadto wydatne, w sam raz. To jasne, czemu upatrzył ją sobie Casanova.

–Moje siostry i matka były fantastyczne, kiedy dorastałam. Stałam się ich małą niewolnicą i zwierzątkiem domowym. W domu się nie przelewało, więc zawsze miałyśmy mnóstwo roboty. Robiłyśmy przetwory, różne dżemy i sałatki. Brałyśmy od ludzi pranie i prasowanie. Same byłyśmy domowymi stolarzami, hydraulikami, nawet mechanikami samochodowymi. Miałyśmy szczęście – lubiłyśmy się nawzajem. Lubiliśmy się śmiać i śpiewać najnowsze przeboje z radia. Dużo czytałyśmy; rozmawiałyśmy o wszystkim – od aborcji po przepisy kulinarne. Poczucie humoru w naszym domu było obowiązkowe. „Coś ty taka poważna” – to najważniejsze domowe powiedzonko.

Co dalej się stało z rodziną McTiernan, Kate wyrzuciła z siebie w takim napięciu, aż pociemniała jej twarz.

–Najpierw zachorowała Marjorie. Stwierdzono raka jajników. Margie umarła mając dwadzieścia sześć lat i trójkę dzieci. Potem po kolei – Susanne, moja bliźniaczka Kristin i matka. Wszystko rak piersi albo jajników. Została Carole Annę, ja i ojciec. Żartujemy z Carole Annę, że odziedziczyłyśmy po ojcu wredne, burkliwe usposobienie, więc raczej umrzemy na ciężki zawał.

Zwiesiła nisko głowę. Potem znów spojrzała na mnie.

–Miałam zamiar powiedzieć, że nie wiem, dlaczego ci to opowiadam. Ale wiem. Bo cię lubię. Chciałabym się z tobą przyjaźnić. I żebyś ty też chciał. Czy to możliwe?

Zamierzałem powiedzieć coś o swoich uczuciach, ale Kate mi przerwała. Położyła mi palec na ustach.

–Nie wpadajmy w sentymentalizm. Nie pytaj mnie już o siostry. Teraz ty mi opowiedz coś, czego nigdy nie mówisz innym. Szybko, żebyś się nie zdążył rozmyślić. Zdradź jakiś swój sekret, Alex.

Nie zastanawiałem się, co powiedzieć. Po prostu wypuściłem to z siebie. Czułem, że tak jest w porządku, po tym co usłyszałem. Poza tym chciałem się z nią czymś podzielić, zwierzyć się jej. Spróbować przynajmniej, czy potrafię.

–Odkąd umarła moja żona, Maria, jestem zupełnie do niczego – ujawniłem Kate McTiernan jedną z tych tajemnic, które skrywam głęboko. – Co rano zakładałam na siebie ubranie i normalny wyraz twarzy, i sześciostrzałowy pistolet... ale wewnątrz



**czuję się wydrażony, prawie przez cały czas. Miałem pewną kobietę po Marii, ale to nie wypaliło. Rozleciało się w niezwykle widowiskowy sposób. I teraz w ogóle się nie nadaję, żeby być z kimkolwiek. Nie wiem, czy kiedyś to nastąpi.**

**–Och, Alex, mylisz się bardzo. Nadajesz się, i to jak – stwierdziła bez cienia wątpliwości w oczach czy głosie.**

**Iskierki.**

**Przyjaźń.**

**–Ja też bym chciał, żebyśmy się przyjaźnili – powiedziałem w końcu. Rzadko mówiłem coś takiego, nigdy po tak krótkiej znajomości.**

**Patrząc na Kate ponad stołem, ponad migoczącym płomieniem świecy, przypomniałem sobie znów o Casanovie. Cokolwiek by o nim powiedzieć, był świetnym znawcą kobiecej urody i charakteru. Niemal doskonałym.**

## ROZDZIAŁ 57

Cały harem dreptał powoli w kierunku następnego pomieszczenia w tajemniczym i odrażającym domu, znajdującego się za zakrętem, na końcu korytarza. Dom miał dwa piętra. Na dole był tylko jeden pokój. Na górze aż dziesięć.

Naomi Cross szła razem z innymi. Kazano im się zebrać we wspólnym pokoju, w salonie. Odkąd tu przybyła, liczba uwięzionych dziewcząt wahała się od sześciu do ośmiu. Czasem któraś odchodziła, czy raczej znikiała, ale zawsze na jej miejsce pojawiała się nowa.

Casanova już na nie czekał. Miał na twarzy kolejną maskę. Pomalowaną w białe i jaskrawozielone pręgi. Maską biesiadną. Twarz imprezowa. Na nagie ciało włożył złoty jedwabny szlafrok.

Pomieszczenie umeblowane było ze smakiem. Podłogę pokrywał wschodni dywan. Ściany świeżo pomalowano na białą.

–Wchodźcie, wchodźcie, moje panie. Nie bądźcie takie nieśmiałe. Nie wstyďte się – rzucił z drugiego końca pokoju. Stał w dziarskiej pozie, trzymając pistolet ogłuszający i rewolwer.

Naomi wyobrażała sobie jego uśmiech pod maską. Nade wszystko pragnęła ujrzeć jego twarz, choćby raz. A potem wymazać ją na zawsze z pamięci, roztrzaskać na kawałeczki i zetrzeć w proch.

Gdy weszła do salonu, serce jej zadrżało. Na stole obok Casanovy leżały jej skrzypce. Zabrał skrzypce z pokoju w akademiku i przyniósł w to okropne miejsce.

Casanova plesał tanecznym krokiem jak gospodarz jakiegoś wytwornego kostiumowego przyjęcia. Umiał zachować się z klasą, nawet z galanterią. Nosił się z wielką pewnością siebie.

Zapalił złotą zapalniczką damskiego papierosa. Zatrzymał się przy każdej z dziewcząt, by zamienić kilka słów. Tu musnął nagie ramię, tam pogłaskał policzek czy długie blond włosy.

Kobiety wyglądały wspaniale. Miały starannie zrobiony makijaż i włożyły swe najpiękniejsze stroje. Woń ich perfum wypełniała cały pokój. Gdyby tak mogły wszystkie naraz rzucić się na niego, myślała Naomi. Musiał być jakiś sposób, żeby go pokonać.

–Jak część z was zapewne już odgadła – podniósł głos Casanova – dzisiejszą zabawę urozmaici nam miła niespodzianka. Mały wieczór muzyczny.

Wskazał Naomi i przywołał ją gestem. Kiedy zbierał je razem, był zawsze bardzo ostrożny. Trzymał w ręce pistolet, bawiąc się nim od niechcienia.

–Zagraj nam coś, proszę – zwrócił się do Naomi. – Coś co sama wybierzesz. Naomi gra na skrzypcach, i to bardzo pięknie, muszę dodać. Nie wstydz się, kochanie.

Naomi nie mogła oderwać od niego wzroku. Szlafrok miał rozpięty, by widać było nagie ciało. Czasem kazał którejś z nich grać, śpiewać albo czytać poezję, czy po prostu opowiadać o swoim życiu przed tym piekłem. Dziś wypadło na nią.

Wiedziała, że nie ma wyboru. Postanowiła, że będzie dzielna, okaże pewność siebie.

Podniosła swój ukochany instrument. Przemknęły jej przez głowę bolesne wspomnienia. Dzielna... pewna siebie... powtarzała w myślach. Robiła to przecież od czasów, gdy była małą dziewczynką.

Jako młoda czarna kobieta nauczyła się sztuki działania z rozwagą. A w tym momencie potrzebowała całej rozwagi, na jaką było ją stać.

–Spróbuję zagrać *Sonatę* nr 1 Bacha – zapowiedziała cichym głosem. – To adagio, część pierwsza. Jest bardzo piękne.

Przymknęła oczy i uniosła skrzypce do ramienia. Wsuwając je pod brodę otworzyła oczy i zaczęła powoli stroić instrument.

Odważna... pewna siebie, powtórzyła w myśli.

I zaczęła grać. Jej gra daleka była od doskonałości, ale płynęła z serca. Naomi zawsze miała własny styl. Koncentrowała się bardziej na muzyce niż na technice. Zbierało jej się na płacz, ale powstrzymała łzy, stłumiła wszystko we wnętrzu. Jej uczucia ujawniły się tylko w muzyce.

–Brawo, brawo! – zawołał Casanova, kiedy skończyła.

Kobiety zaczęły klaskać. To było dozwolone. Naomi rozejrzała się po ich pięknych twarzach. Czowała ten sam, wspólny ból. Żałowała, że nie może z nimi porozmawiać. Ale razem gromadził je tylko po to, by popisać się swą absolutną władzą.

Casanova dotknął lekko ramienia Naomi. Jego dłoń była gorąca, dziewczyna miała wrażenie, jakby ją parzyła.

–Zostaniesz dzisiaj ze mną – oznajmił swym najłagodniejszym tonem. – To było takie piękne, Naomi. Ty jesteś taka piękna, najpiękniejsza z nich wszystkich. Wiesz o tym, kochanie? Pewnie, że wiesz.

Odważna, silna, pewna siebie, powtarzała. Nazywa się przecież Cross. Nie pozwoli, by widział jej lęk. I znajdzie sposób, by go pokonać.

## ROZDZIAŁ 58

Pracowaliśmy z Kate w jej mieszkaniu w Chapel Hill. Kolejny raz rozmawialiśmy o znikającym domu, próbując rozwikłać tę tajemniczą łamigłówkę. Tuż po ósmej ktoś zadzwonił do drzwi. Kate poszła otworzyć.

Widziałem, że z kimś rozmawia, ale nie wiedziałem z kim. Moja ręka powędrowała do rewolweru, dotknęła kolby. Kate wpuściła gościa.

To był Kyle Craig. Uderzyło mnie od razu, że twarz miał ściągniętą i poważną. Coś się musiało stać.

–Kyle mówi, że ma coś, co na pewno będziesz chciał zobaczyć – powiedziała Kate, wpuszczając agenta do pokoju.

–Wyśledziłem cię, Alex. Nie było to zbyt trudne – powiedział Kyle. Opadł na poręcz kanapy obok mnie. Chyba musiał usiąść.

–Powiedziałem w recepcji i w centrali telefonicznej, gdzie będę do dziewiątej.

–No, mówię właśnie, że to było łatwe. Spójrz tylko na wyraz jego twarzy, Kate. Teraz rozumiesz, dlaczego wciąż jest detektywem? Usidliła go Robota, chce rozwiązać wszystkie wielkie zagadki i te mniejsze też.

Pokręciłem głową z uśmiechem. Kyle miał trochę racji.

–Kocham moją pracę przede wszystkim dlatego, że mogę spędzać czas z tak subtelnymi i wybitnymi indywiduami jak ty. Co się stało, Kyle? Mów natychmiast.

–Dżentelmen złożył wizytę domową Beth Liebermann. Ona nie żyje. Najpierw ją zabił, a potem podpalił jej mieszkanie w Zachodnim Los Angeles. Pół domu stanęło w płomieniach.

Beth Liebermann nie zdołała jakoś zdobyć mojej sympatii, ale wiadomość o zamordowaniu jej zszokowała mnie i zasmuciła. Uwierzyłem słowu Kyle'a, że nie miała niczego, co warto by było podróży do L.A.

–Może wiedział, że w jej mieszkaniu jest jednak coś, co warto spalić – powiedziałem. – Może jednak miała coś istotnego.

Kyle znów spojrzał na Kate.

–Dobry jest, widzisz? To maszyna. Tak. Miała coś obciążającego – zwrócił się do nas obojga. – Tylko że w komputerze, w redakcji. I teraz my to mamy.

Kyle podał mi długi, zwinięty w trąbkę faks. Pokazał coś u dołu strony. Faks nadano z biura FBI w Los Angeles.

Przyjrzałem się stronicy i najpierw przeczytałem podkreślony fragment.

Prawdopodobny Dżentelmen – brzmiał tekst. Bardzo prawdopodobny podejrzany. Doktor William Rudolph. Kanalia pierwszej klasy.

Dom: Beverly Comstock. Praca: Centrum Medyczne Cedars – Sinai. Los Angeles.

–Wreszcie mamy przełom. W każdym razie pierwszorzędny trop – powiedział Kyle. – Dżentelmen to może być ten lekarz. Ta kanalia, jak go nazwała.

Kate popatrzyła na mnie, potem na Kyle'a. Wspominała nam już przecież, że Casanova jest być może lekarzem.

–Czy jest coś jeszcze w notatkach Beth Liebermann? – spytałem Kyle'a.

–Poza tym nic ciekawego nie znaleźliśmy. Nie możemy już niestety zapytać pani

**Liebermann o doktora Williama Rudolpha ani dlaczego zrobiła tę adnotację w komputerze. Ale pozwól, że przedstawię dwie nowe teorie, które krążą wśród: naszych speców od profili psychologicznych na Zachodnim Wybrzeżu – dodał. – Przygotuj się, przyjacielu, do niezwykłej podróży umysłu. Poprzez meandry spekulacji.**

**–Jestem gotów. Posłuchajmy tych wspaniałych, nowych pomysłów FBI – Zachód.**

**–Pierwsza teoria jest taka, że on jest jednocześnie Casanova i Dżentelmenem.**

**Jednym mordercą w dwóch osobach. Obaj specjalizują się w zbrodniach doskonałych. Są i inne podobieństwa. Może ma rozdwojenie osobowości. FBI – Zachód. Jak to nazywasz, prosi, żeby doktor McTiernan przyleciała natychmiast do Los Angeles. Chcą z nią porozmawiać.**

**Nie za bardzo mi się podobała hipoteza z Zachodniego Wybrzeża, ale nie mogłem jej tak całkiem zlekceważyć.**

**–A ta druga teoria z bardzo Dzikiego Zachodu? – zapytałem.**

**–Druga brzmi tak – odparł Kyle – że tylko jednak dwie osoby, które nie tylko się ze sobą kontaktują, lecz wręcz współzawodniczą w zbrodni. Takie upiorne zawody, Alex. Może się okazać, że wymyślili sobie taką zabawę, grę w potwory.**

# **CZEŚĆ TRZECIA**

## **DŻENTELMEN**

### **ROZDZIAŁ 59**

**Przedtem był dżentelmenem z Południa. Wykształconym dżentelmenem.**

**Teraz – najświetniejszym dżentelmenem w Los Angeles.**

**Tak czy inaczej, był nim zawsze. Serduszka i kwiaty, to cały on.**

**Pomarańczowoczerwone słońce zaczęło powoli opadać ku wodom Pacyfiku.**

**Przemierzając spacerowym krokiem Melrose Avenue, doktor William Rudolph pomyślał sobie, że widok jest zaiste urzekający.**

**Dżentelmen wybrał się tego popołudnia na poszukiwanie „towaru”. Chłonał obrazy i dźwięki gorączkowej krzątaniny wokół.**

**Wygląd ulicy przypomniawszy mu powiedzonko Raymonda Chandlera, jednego z największych twardzieli wśród autorów powieści detektywistycznych: „Kalifornia, ten dom towarowy”. To określenie nadal cholernie tu pasowało.**

**Większość atrakcyjnych kobiet, na które zwracał uwagę, to były dwudziesto – dwudziestopięcioletki. Zakończyły właśnie swój dzień pracy w ogłupiającym świecie agencji reklamowych, biur rachunkowych, prawniczych i maklerskich skupionych w rozrywkowej dzielnicy wokół Century Boulevard. Niektóre były na szpilkach, inne na płaskich obcasach, w obcisłych mini, w dopasowanych kostiumikach.**

**Wśluchiwał się w erotyczny szelest jedwabiu, w wojowniczy stukot modnych bucików, w zadzierzasty szurgot kowbojskich butów, które kosztowały więcej niż Wyatt Earp zarobił przez całe życie.**

**Robiło mu się gorąco i był już lekko podekscytowany. Przyjemnie podekscytowany. Dobrze się żyło w Kalifornii. W tym domu towarowym jego marzeń.**

**To była najlepsza część; gra wstępna przed dokonaniem ostatecznego wyboru. Policja Los Angeles wciąż tkwiła w martwym punkcie, zapędził ją w kozi róg. Może któregoś dnia dojdą wreszcie do wszystkiego, ale raczej nie. Był w tym po prostu za dobry. Doktor Jekyll i Mister Hyde współczesnej doby.**

**Przechadzając się między ulicami La Brea i Fairfax wąchał perfumy kobiet – musk, mocne zapachy kwiatowe, włosy pachnące rumiankiem i cytryną. Skórzane torby i spódnice też wydzielały wyraźną woń.**

**Wszystko to było ogromnie drażniące, ale on to uwielbiał. Cóż za ironia losu, że te śliczne, kalifornijskie suczki prowokowały i kusiły akurat jego.**

**Był przecież tylko małym, kochanym, puszystowłosym chłopczykiem, który zabłądził w sklepie ze słodyczami. No więc, którą z tych zakazanych słodkości ma dzisiaj wybrać?**

**Tę małą idiotkę w czerwonych szpilkach, z gołymi nogami? A może tę Juliette Binoche dla ubogich? Albo tę prowokatorkę w kremowo – czarnym kostiumie w kratkę?**

**Niektóre spośród kobiet wchodzących i wychodzących ze swych ulubionych sklepów obrzucały doktora Williama Rudolfa pełnym aprobaty spojrzeniem.**

**Był uderzająco przystojny, nawet jak na ostre hollywoodzkie kryteria.**

**Przypominał trochę Bono z irlandzkiej grupy rockowej U2. Właściwie Bono**

wyglądałby dokładnie jak on, gdyby postanowił zrobić karierę lekarza w Dublinie czy Cork, albo nawet w Los Angeles.

To był właśnie jeden z najintymniej szych sekretów Dzentelmena: niemal zawsze to kobiety wybierały jego.

Will Rudolph wszedł do Nativity, jednego z najmodniejszych butików na Melrose. To tutaj kupowało się biustonosze ze znanych kolekcji, obszywane norkami skórzane kurtki i „zabytkowe” zegarki firmy Hamilton.

Patrząc na prężne, młode ciała w pełnym ludzi sklepie, rozmyślał o Hollywood z jego szpanerskimi przyjaciółmi, knajpami i sklepami. Oto miasto bez reszty pochłonięte swym hierarchicznym rytuałem.

Świetnie rozumiał, co to znaczy mieć pozycję. Tak, tak, doktor Will Rudolph, najpotężniejszy człowiek w Los Angeles.

Delektował się poczuciem bezpieczeństwa, jakie mu to dawało, artykułami z pierwszych stron gazet, które upewniały go, że istnieje naprawdę, że nie jest tylko jakimś pokręconym wytworem własnej wyobraźni. Dzentelmen miał w swej mocy całe miasto, i to jakże potężne.

Przedefilował obok olśniewającej blondynki, wystrojonej z wymyślną zipani erą dwudziestolatki.

Oglądała leniwie biżuterię Inków, najwyraźniej znudzona całym tym biznesem: swoim życiem. Była w tej chwili najatrakcyjniejszą osobą w Nativity, ale nie dlatego wydała mu się tak pociągająca.

Była absolutnie niedostępna. Nawet w tym ekskluzywnym sklepie, nawiedzanym w większości przez atrakcyjne, dwudziestoparoletnie kobiety, nadawała wyraźny sygnał: Nie możesz mnie tknąć. W ogóle o tym nie myśl. Jesteś nikim, kimkolwiek jesteś.

Poczuł narastający w piersi krzyk. Miał ochotę wrzasnąć na cały głos w pełnym ludzi i zgiełku butik!

Ja mogę cię mieć! Ja tak! Nie masz o tym pojęcia, ale Dzentelmen – to ja.

Blondynka miała pełne, aroganckie usta. Wiedziała, że nie potrzebuje ani szminki, ani cieni do powiek. Była smukła, o szczupłej talii. Elegancka na swój własny, południowokalifornijski sposób. Ubrana w wypłowiałe bawełniane bolerko, wiązaną spódnicę i kolorowe mokasyny. Miała wspaniałą skórę, równo i zdrowo opaloną.

W końcu spojrzała w jego stronę. Trafiła wzrokiem, pomyślał doktor Will Rudolph. Jezu, ale oczy! Chciał je mieć całe dla siebie. Obracać w palcach, nosić w kieszeni na szczęście.

Ona natomiast ujrzała wysokiego, smukłego, interesującego mężczyznę tuż po trzydziestce. Szeroki w ramionach, zbudowany jak sportowiec, nawet tancerz. Brązowe kręcone włosy związane w kucyk. Niebieskie oczy irlandzkiego chłopaka. Will Rudolph miał na sobie nieco pognieciony biały fartuch lekarski, założony na bardzo tradycyjną, niebieską oksfordzką koszulę i akceptowany w szpitalu krawat w czerwone paski. Nosił drogie martensy – obuwie niezniszczalne. Wyjątkowo pewny siebie.

Odezwała się pierwsza. Wybrała go. Miała głębokie niebieskie oczy; spoglądała na

**Dżentelmena bez śladu zmieszania, niezwykle sexy dzięki tej swojej śmiałości. Bawiła się od niechcienia złotym kolczykiem w uchu.**

**–Coś może powiedziałam? – spytała.**

**Zaczął się śmiać, szczerze zachwycony pozbawionym naiwności poczuciem humoru, z jakim rozpoczęła flirt. To będzie wesoły wieczór, pomyślał. Był o tym przekonany.**

**–Proszę mi wybaczyć, nie mam w zwyczaju się tak gapić. Przynajmniej nigdy nie daję się złapać na gorącym uczynku – odparł ze śmiechem. To był swobodny, sympatyczny śmiech. Moneta obieguwa dnia dzisiejszego, szczególnie w Hollywood, Nowym Jorku i Paryżu – miejscach, które nawiedzał najchętniej.**

**–Przynajmniej jest pan co do tego szczery – podjęła piłeczkę. Teraz i ona się śmiała, aż pobrzękiwał złoty naszyjnik na jej biuście. Dałby się posiekać, by „móc go zerwać, móc polizać jej piersi.**

**Już przepadła, jeśli tylko on tego zapragnie, zażyczy sobie, jeśli będzie miał taki kaprys. Czy powinien to ciągnąć? Posunąć się trochę dalej?**

**W głowie czuł potężny łomot krwi. Spojrzał znów w nie zmałconie zmieszaniem oczy blondynki i ujrzał w nich odpowiedź.**

**–Nie wiem jak pani – powiedział, starając się zachować spokój – aleja już znalazłem tu coś, co najbardziej mi się podoba.**

**–Aha, ja też już chyba znalazłam to, czego szukałam – odparła po chwili ze śmiechem. – Skąd pan jest? Chyba pan nietutejszy, prawda?**

**–Pochodzę z Karoliny Północnej. – Przytrzymał przed nią otwarte drzwi i wyszli razem ze sklepu. – Sporo pracowałem, żeby zgubić akcent.**

**–I udało się panu – pochwaliła.**

**Była tak cudownie zapatrzona w siebie, bez najmniejszego śladu zażenowania. Roztaczała aurę zadufania i kompetencji – którą zamierzał rozbić w puch.” Boże, tę chciał mieć jak mało którą.**



## ROZDZIAŁ 60

–No to ruszamy, miłośnicy akcji. Wychodzi z Nativity z tą blondyną. Są już na Melrose Avenue – rozległo się z radia.

Obserwowaliśmy przez lornetkę to niesamowite spotkanie za oknem wystawowym ekskluzywnego butiku. Agenci FBI nastavili też na doktora Rudolpha i blondynkę mikrofony kierunkowe.

Obserwacja prowadzona była wyłącznie siłami FBI. Nawet nie wspomnieli o tym LAPD – Komendzie Policji miasta Los Angeles. To taktyka dość typowa dla Biura, tylko że tym razem byłem po ich stronie, dzięki uprzejmości Kyle Craiga. FBI chciało porozmawiać z Kate w L. A. Kyle załatwił, żebym mógł też przylecieć, gdy zacząłem mu suszyć głowę, przypominając o naszym układzie i tłumacząc, jak bardzo przełomowe może to mieć znaczenie dla naszego śledztwa w sprawie Casanovy.

Było tuż po wpół do szóstej; panował zgiełk i chaos godziny szczytu w słoneczny, przepiękny, kalifornijski dzień. Temperatura dochodziła do dwudziestu pięciu stopni. Nasze serca w samochodzie – do około tysiąca uderzeń na minutę.

Nareszcie mieliśmy dopaść jednego z potworów, przynajmniej taką mieliśmy nadzieję. Doktor Will Rudolph robił na mnie wrażenie współczesnego wampira. Spędził całe popołudnie włócząc się po stylowych butikach – Ecrú, Grau, Mark Fox. Nawet dziewczyny obijające się pod stylizowanym na lata pięćdziesiąte kioskiem z hamburgerami Johnny Rocket's stanowiły jego potencjalny cel. Dziś z pewnością ruszył na polowanie. Oglądał sobie dziewczęta. Ale czy to na pewno Dżentelmen?

Pracowałem w towarzystwie dwóch wyższych oficerów FBI. Siedzieliśmy w niewielkiej, nie rzucającej się w oczy furgonetce, zaparkowanej w bocznej uliczce tuż przy Melrose. Mieliśmy radio nastawione na mikrofony kierunkowe najnowszej generacji, znajdujące się w dwóch z pozostałych pięciu samochodów, z których śledzono domniemanego Dżentelmena. Impreza na całego.

–Ja chyba też znalazłam, to czego szukałam – mówiła blondynka. Przypomniła mi o tych wszystkich pięknych studentkach, wprowadzonych przez Casanovę na Południu. Czy możliwe, że to ten sam potwór? Morderca na skalę krajową? Z rozdzieleniem osobowości?

Specjaliści z FBI tu, na Zachodnim Wybrzeżu, byli przekonani, że znają odpowiedź. W ich opinii, ten sam gnojek dokonywał tak zwanych zbrodni doskonałych na obu krańcach Ameryki. Ani razu nie zostały zabite czy porwane dwie ofiary tego samego dnia. Niestety, istniało co najmniej tuzin takich teorii na temat Casanovy i Dżentelmena. A ja wciąż nie byłem przekonany do żadnej z nich.

–Od dawna jest pan w Hollywood? – usłyszeliśmy pytanie blondynki. Jej głos brzmiał ponętnie i erotycznie. Najwyraźniej flirtowała z Rudolphem.

–Na tyle długo by spotkać panią – padła odpowiedź. Jak dotąd był łagodny i pełen kurtuazji. Prawą ręką podejmował ją lekko za łokieć. Dżentelmen czy nie?

Nie kojarzył się z mordercą, ale kojarzył się z Casanovą z opisu Kate. Z wyglądu przystojniak, bez wątplenia atrakcyjny dla kobiet – i lekarz z zawodu. Oczywiście miał niebieskie – kolor, który ujrzała Kate pod maską Casanovy.

–Wygląda pierdolec, jakby mógł mieć każdą dziewczynę – zwrócił się do mnie

jeden z agentów.

–Ale nie do tego, co chce z nimi robić – odparłem.

–Tu masz rację.

Agent nazywał się John Asaro, pochodził z Meksyku. Pod pięćdziesiątkę, lekko łysawy, za to z sumiastym wąsem. Drugi z nich nazywał się Raymond Cosgrove. Obaj byli dobrymi ludźmi i znakomitymi profesjonalistami. Kyle Craig jak dotąd bardzo o mnie dbał.

Nie mogłem oderwać oczu od Rudolpha i blondynki. Wskazywała mu czarnego mercedesa. Był to kabriolet z odsuniętym dachem. W tle widziałem nazwy drogich sklepów. Jaskrawy neon, półtorametrowy but kowbojski, stanowił ramę dla jej rozwianych przez wiatr włosów.

Słuchaliśmy, jak rozmawiają na tłumnej ulicy. Mikrofony wyłapywały każde słowo. Nikt z nas się nie odzywał.

–To mój samochód, kotuś – powiedziała blondyna. – A ta ruda pani w samochodzie to moja ukochana. Naprawdę sobie myślałeś, że możesz mnie poderwać ot tak? – Strzeliła palcami, a kolorowe bransoletki na jej przegubie zadzwoniły Rudolphowi przed nosem. – Całuj się w nos, doktorze Kildare.

John Asaro wydał z siebie głośny jęk.

–Chryste, ale go spuściła! Załatwiła go na cacy. Czyż to nie piękne? Tylko w L.A.! Raymond Cosgrove rąbnął nadgarstkiem w deskę rozdzielczą.

–Skubana rasa! Ona naprawdę odchodzi. Wracaj do niego, słodziutka! P«K wiedz mu, że to tylko żart!

Już go prawie mieliśmy. Niedobrze mi się zrobiło na myśl, że się nam tym razem wywinie. Musieliśmy go złapać na czymś konkretnym, żeby można byłą dokonać aresztowania.

Blondynka przeszła na drugą stronę Melrose i wśliznęła się do czarnego mercedesa. Jej przyjaciółka miała krótkie, rude włosy i srebrne kółka w uszach, błyszczące w ostatnich promieniach słońca. Blondynka schyliła się i pocałowała swoją dziewczynę w policzek.

Doktor Will Rudolph patrzył na nie, jakby zupełnie go to nie ruszyło. Stał na chodniku, z rękami w kieszeniach białego fartucha i wyglądał na spokojnego, na luzie. Obojętnego. Jakby się nic nie stało. Czy mieliśmy przed sobą Dzentelmena w masce?

Dziewczyny w mercedesie pomachały mu, ruszając z rykiem silnika, a on Uśmiechnął się do nich, wzruszył ramionami i chłodno skinął głową.

–Ciao, miłe panie – usłyszeliśmy w głośniku jego syk. – Pokroiłbym was na kawałki i rzucił na pożarcie mewom na plaży w Venice. I zapamiętałem wasz numer rejestracyjny, durne cipy.

## ROZDZIAŁ 61

Pojechaliśmy za Rudolphem do jego luksusowego mieszkania na szczycie wieżowca na Beverly Comstock. FBI знаła oczywiście adres. Jednak także i tą informacją nie podzielili się z LAPD. Atmosfera w naszym aucie była pełna napięcia i rozczarowania. FBI prowadziło niebezpieczną grę, rolując w taki sposób miejscową policję.

Zszedłem z obserwacji około jedenastej w nocy. Rudolph był już w domu od ponad czterech godzin. Coś mi bez przerwy dzwoniło w głowie i nie chciało przestać. Ciągle jeszcze funkcjonowałem według czasu wschodniego. Dla mnie była już druga po północy i potrzebowałem trochę się przespać.

Federalni obiecali zadzwonić, jeśli tylko coś się będzie działo albo jeżeli Rudolph wyjdzie jeszcze tej nocy na łowy. Ta historia na Melrose musiała na niego okropnie podziałać i przypuszczałem, że niedługo będzie może chciał chwycić następną ofiarę.

Jeżeli był Dzentelmenem.

Samochód Biura zawiózł mnie do Holiday Inn na rogu Sunset Strip i Sepulveda Boulevard. Kate McTieman też się tam zatrzymała. FBI ściągnęło ją do Kalifornii, bo wiedziała o Casanovie więcej niż którykolwiek z przydzielonych do sprawy śledczych. Była w łapach tego gnoja, przeżyła i mogła o tym opowiedzieć. Być może uda jej się zidentyfikować mordercę, jeśli tych dwóch to ta sama osoba. Większość dnia przesiedziała na przesłuchaniach w kwaterze FBI w śródmieściu.

Jej pokój w hotelu znajdował się kilka numerów od mojego. Zastukałem tylko raz w białe drzwi z numerem 26. Otworzyła natychmiast.

–Nie mogłam zasnąć. Czekałam – powiedziała. – Co się wydarzyło? Opowiedz wszystko.

Po nieudanej próbie aresztowania Dzentelmena nie byłem chyba w zbyt rewelacyjnym nastroju.

–Niestety nic się nie wydarzyło – opowiedziałem jej od razu zakończenie.

Kate skinęła głową i czekała na dalszy ciąg. Miała na sobie jasnoniebieski jednoczęściowy kostium kąpielowy, szorty khaki i żółte klapki. Była całkiem rozbudzona i na pełnych obrotach. Ucieszyłem się, że ją widzę, nawet o wpół do trzeciej rano w taki gówniany dzień.

Wszedłem do pokoju i zaczęliśmy rozmawiać o akcji na Melrose Avenue. Opowiedziałem Kate, jak blisko byliśmy pochycenia doktora Willa Rudolpha. Pamiętałem każdy jego gest, każde słowo.

–Mówił jak dzentelmen. Zachowywał się też jak dzentelmen... aż do momentu gdy ta blondynka go wkurzyła.

–Jak on wygląda? – spytała Kate. Tak bardzo chciała pomóc. Nic dziwnego. FBI przywiozło ją do L.A. i kazało siedzieć w pokoju przez większość dnia.

–Wiem, co czujesz, Kate. Rozmawiałem z nimi i jutro będziesz mogła pojechać ze mną. Zobaczysz go sama, być może już rano. Teraz nie chciałbym cię w żaden sposób zasugerować. Dobrze?

Skinęła głową ale wiedziałem, że jato ubodło. Była naprawdę zła, że przynajmniej na razie odsunięto ją od wszystkiego.

**–Przepraszam. Nie zamierzałem odgrywać twardziela, jakiegoś pieprzonego policyjnego robota – powiedziałem w końcu. – Nie kłóćmy się.**

**–No, czułam ten dystans – odparła. – Ale ci wybaczam. Może lepiej trochę pośpijmy. Jutro też jest dzień. Może ten wielki?**

**–Aha, jutro może być ten wielki dzień. Naprawdę cię przepraszam, Kate.**

**–Wiem, wiem – uśmiechnęła się wreszcie. – Naprawdę ci przebaczam. Słodkich snów. Jutro go dorwiemy.**

**Wróciłem do swojego pokoju. Rzuciłem się na łóżko i myślałem chwilę o Kyle Craigu. Potrafił sprzedać swym kumplom mój mało ortodoksyjny styl tylko z jednego powodu: ten styl bywał skuteczny. Miałem już u pasa skalp jednego potwora. By go zdobyć, grałem wbrew regułom. Kyle to rozumiał i doceniał efekt. A teraz podobnie było z Biurem. Zresztą oni w Los Angeles też grali wyłącznie według własnych zasad.**

**Moją ostatnią myślą przed zaśnięciem była Kate w tych szortach khaki. Dech zapierało. Przemknęło mi przez głowę, że może wyjdzie na korytarz i zrobi puk, puk, puk do moich drzwi. W końcu byliśmy w Hollywood. Czy nie tak to pokazywali w filmach?**

**Ale Kate nie zapukała do mego pokoju. I to by było na tyle, panie Clint Eastwood.**

## ROZDZIAŁ 62

W Mieście Szpanu zapowiadał się wielki dzień. Polowanie wszech czasów w Beverly Hills. Zupełnie jak wtedy, gdy złapano tu w końcu zabójcę – dusiciela Richarda Ramireza.

Dziś go dorwiemy.

Było parę minut po ósmej rano. Siedzieliśmy z Kate w niebieskim taurusie zaparkowanym pół przecznicy od Centrum Medycznego Cedars – Sinai. W powietrzu rozbrzmiewało jakieś elektryczne brzęczenie, jakby całe miasto było podłączone do jednego gigantycznego generatora. Po głowie pałętało mi się stare porzekadło: „Piekło to miasto bardzo podobne do Los Angeles”.

Byłem zdenerwowany i spięty. Cały zdrętwiałem i mdliło mnie w żołądku. Syndrom wypalenia. Za mało snu. Za dużo stresu przez zbyt długi czas. Pogoń za potworem przez całą Amerykę.

–Oto doktor Will Rudolph, wysiada z BMW – powiedziałem do Kate. Czułem takie napięcie, jakby mnie ścisnęły jakieś potężne dłonie.

–Przystojny – mruknęła Kate. – I bardzo pewny siebie. Te jego ruchy. Doktor Rudolph.

Zamilkła, wpatrując się intensywnie w Rudolpha. Czy to Dzentelmen? Czy to zarazem Casanova? Czy może jakimś sposobem wpakowaliśmy się po prostu w kanał?

Temperatura tego poranka dochodziła do piętnastu stopni. Powietrze było rześkie, jak jesienią na Północnym Wschodzie. Kate włożyła stary dres z emblematami uczelni, wysokie adidas do biegania i tanie przeciwsłoneczne okulary. Długie brązowe włosy związała w koński ogon. Strój i fryzura w sam raz do obserwacji.

–Alex, FBI też go obserwuje, tak? – spytała nie odrywając lornetki od oczu. – Są tu w tej chwili? Sukinsyn nie ucieknie?

Potwierdziłem.

–Gdy tylko coś zrobi, cokolwiek, co nam wskaże, że to Dzentelmen, położą na nim łapę. To zatrzymanie ma iść oczywiście na ich konto.

Za to jednak FBI dawało mi całkiem wolną rękę, gdy tylko chciałem. Kyle Craig dotrzymywał obietnicy. Jak dotąd, w każdym razie.

Patrzyliśmy, jak doktor Will Rudolph wysiada z BMW, które postawił na prywatnym parkingu po zachodniej stronie szpitala. Miał na sobie ciemnoszary garnitur europejskiego kroju. Pewnie kosztował tyle co mój dom w D.C. Brązowe włosy Rudolpha związane były w modny kucyk. Na nosie miał ciemne okulary w okrągłych, szylkretowych oprawkach.

Lekarz z ekskluzywnego szpitala w Beverly Hills. Zadowolony jakby mu kto w kieszeń narobił. Przeklęty Dzentelmen, który pogrzyżył w panice całe miasto?

Najchętniej podbiegłbym do niego na tym parkingu i załatwił na miejscu. Zaciskałem zęby, aż mi szczęka zdrętwiała. Kate nie odrywała od Rudolpha wzroku. Czy to również Casanova? Czy to ten sam potwór? Tak czy nie?

Patrzyliśmy, jak idzie przez szpitalny parking. Szybkim, długim, sprężystym

krokiem. Nic go dziś nie trapiło. Wreszcie zniknął w bocznym wejściu, za szarymi metalowymi drzwiami.

–Lekarz – powtórzyła Kate, kiwając powoli głową. – To takie niesamowite, Alex. Cała się trzęsę w środku.

Gdy odezwało się samochodowe radio, aż podskoczyliśmy. Rozległ się głęboki, chrapliwy głos agenta Johna Asaro.

–Alex, widzieliście go, ludzie? Dobrze żeście się przyjrzeni? I co myśli pani McTiernan? Jaki wyrok na naszego doktora Świrka?

Spojrzałem na Kate. Wyglądała w tej chwili na te swoje trzydzieści jeden lat. Gdzieś zniknęła jej śmiałość i pewność. Trochę poszarzała na twarzy. Świadek koronny. Była doskonale świadoma śmiertelnej powagi tej chwili.

–Nie sędzę, żeby to był Casanova – odezwała się w końcu kręcąc głową. – To nie ten typ fizyczny. Jest szczuplejszy... nosi się inaczej. Nie jestem w stu procentach pewna, ale chyba to nie on, niech to szlag. – W jej głosie brzmiało rozczarowanie.

Wciąż kręciła głową.

–Jestem prawie pewna, że to nie Casanova. Musi ich być dwóch. Dwóch panów Świrków – jej brązowe oczy wpatrywały się we mnie z napięciem.

A więc jest ich dwóch. Czy rywalizują ze sobą? O co chodzi w tej ich cholernej grze od Atlantyku do Pacyfiku?

## ROZDZIAŁ 63

Pogaduszki czasu obserwacji, taka policyjna gadka – szmatka, to teren dobrze mi znany. Mieliśmy z Sampsonem w Waszyngtonie takie powiedzonko: „Bandyta grasuje, gliniarz odsiaduje”.

–Ile on może mieć jako wzięty lekarz w Beverly Hills? Tak na oko, Kate – zwróciłem się do mojego partnera w wozie. Nadal obserwowaliśmy prywatny parking dla lekarzy w Cedars – Sinai. Nie było nic innego do roboty, jak tylko wgapić się w nowiutkie BMW Rudolpha, czekać i gawędzić jak dwaj starzy kumple na ganku w D.C.

–Prawdopodobnie bierze sto pięćdziesiąt do dwustu za wizytę. Może zgarniać jakieś pięćset, może sześćset tysięcy rocznie brutto. Do tego dochodzą opłaty za operacje. Tyle, jeżeli ma sumienie i nie zdiera z ludzi, a wiemy przecież, że on sumienia nie ma.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem i w zamyśleniu potarłem dłonią podbródek.

–Muszę wrócić do prywatnej praktyki. Dzidźka chce nowe buciki.

–Tęsknisz za nimi, co, Alex? – uśmiechnęła się Kate. – Często mówisz o swoich dzieciach. Damon i Jannie. „Bilardowa Głowa” i „Rzeczio – Czepecio”.

Odwzajemniłem uśmiech. Kate zapamiętała już ksywki, jakie nadałem dzieciom.

–Aha, tęsknię. To moje dzieciaczki, moi mali kumple.

Roześmiała się. Lubiałem ją rozśmieszać. Przypomniała mi się ta słodko – smutna historia, którą mi opowiedziała o swojej rodzinie, o siostrze bliźniaczce. Śmiech to dobre lekarstwo.

Czarne BMW coupe stało sobie tymczasem połyskując w kalifornijskim słońcu. Obserwacja to syf, pomyślałem sobie, i bez znaczenia gdzie ją prowadzisz. Nawet w L.A. przy pięknej pogodzie.

Kyle Craig dawał mi rzeczywiście w Los Angeles zupełnie wolną rękę. Na pewno mogłem tu więcej niż na Południu. I zgodził się na Kate. Oczywiście liczył na coś w zamian. Ręka rękę myje. Kyle chciał, żebym przesłuchał Dzentelmena, kiedy go tylko złapią i od razu wszystko zrelacjonował mu osobiście. Podejrzywałem, że Kyle ma nadzieję, że sam złapie Casanovę.

–Myślisz, że oni rzeczywiście mogą ze sobą współzawodniczyć?, – spytała Kate po chwili.

–Z psychologicznego punktu widzenia jest w tym jakaś logika. – odparłem. – Możliwe, że odczuwają potrzebę „przebijania się” nawzajem. Dzentelmen poprzez swój dziennik chciał być może powiedzieć: „Widzisz, jestem lepszy od ciebie. Jestem sławniejszy”. Ale jeszcze nie mam pewności co do tego. Zwierzają się sobie z tych wyczynów chyba bardziej, żeby się podkręcić, niż by poczuć wzajemną bliskość. Lubią być nabuzowani.

Kate spojrzała mi w oczy.

–Alex, nie przechodzą cię czasem ciarki jak diabli, kiedy tak nad tym wszystkim kombinujesz?

–Dlatego właśnie chcę ich przyskrzynić – odparłem ze śmiechem. – Żeby ciarki przestały mi przechodzić.

Czekaliśmy przed szpitalem, póki doktor Will Rudolph nie pojawił się z powrotem.

Była już prawie druga po południu. Pojechał wprost do swego gabinetu na North Bedford, na zachód od Rodeo Drive. Tam przyjmował pacjentów. Głównie pacjentki. Pan doktor był chirurgiem plastycznym. Dzięki temu mógł tworzyć i kształtować. Kobiety były od niego zależne. No i... pacjentki przychodziły z własnej woli.

Potem, koło siódmej, pojechaliśmy za nim do domu. Pięćset, sześćset tysięcy rocznie, myślałem. Czy aż tyle forsy potrzebował, żeby być Dżentelmenem? Czy Casanova też jest taki bogaty? Czy też jest lekarzem? Czy to właśnie pomaga im popełniać zbrodnie doskonale?

Te pytania wciąż krążyły mi po głowie.

Wyjąłem z kieszeni spodni niewielką fiszkę. Zacząłem prowadzić „krótki spis” dotyczący Casanovy i Dżentelmena. Mogłem dodawać i odejmować cechy, które uważałem za najważniejsze w ich sylwetkach psychologicznych. Nosilem tę fiszkę cały czas przy sobie.

Siedzieliśmy z Kate przed mieszkaniem Rudolpha, a ja rozmyślałem o jego związkach z Casanovą. Bardzo tu pasował opis pewnego stanu psychologicznego. Nazywano go „zbliżniaczeniem”. To mógł być właściwy klucz. Zbliżniaczenie mogło stanowić wyjaśnienie dziwnego związku dwóch potworów. Najczęściej jego przyczyną było nieodparte pragnienie więzi, zwykle pojawiające się między dwiema samotnymi osobami. W momencie kiedy zostają „bliźniakami”, stają się „całością”, uzależniają się od siebie nawzajem, często obsesyjnie. Czasem też takie „bliźniaki” stale ze sobą rywalizują.

Zbliżniaczenie było swego rodzaju uzależnieniem od pozostawania w związku. Przynależenia do tajnego klubu. Tylko dwóch członków i nawet hasła nie trzeba.

Podzieliłem się swoim pomysłem z Kate. Była przecież bliźniaczką.

–Bardzo często w związkach bliźniaczych jedna osoba dominuje – wyjaśniłem. – Czy tak było z tobą i siostrą?

–Z Kristin tak chyba było – powiedziała Kate. – Ja miałam dobre stopnie w szkole. Trochę się rozpychałam łokciami. W liceum nawet mówiła na mnie „Spychacz”.

–Ten dominujący bliźniak może odgrywać rolę odpowiadającą strukturze zachowania mężczyzny – mówiłem dalej. Rozmawialiśmy z Kate jak lekarz z lekarzem. – Jednak niekoniecznie musi mieć większą zdolność do manipulacji drugim.

–Jak się może domyślasz, czytałam co nieco o tym zjawisku – wtrąciła Kate z uśmiechem. – Zbliżniaczenie wytwarza wyjątkowo silną strukturę psychologiczną, w której związana ze sobą para może operować w bardzo skomplikowany sposób. Coś w tym rodzaju?

–Zgadza się, doktor McTiernan. W wypadku Casanovy i Dżentelmena, każdy z nich posiada własnego wspierającego i ochraniającego go osobnika. Być może dlatego tak świetnie im idzie. Zbrodnie doskonale. Obaj mają wbudowany bardzo efektywny system wsparcia emocjonalnego.

Pytanie, które zaczęło mi teraz chodzić po głowie, brzmiało: Jak ci dwaj pierwszy raz się spotkali?” Na Duke? Czy Casanova też tam studiował? Możliwe.

Przypomniała mi się słynna sprawa Leopolda i Loeba w Chicago. Dwóch bardzo bystrych, bardzo fajnych chłopaków popełniało razem najbardziej występne uczynki.



**Opowiadali sobie wzajemnie podle pomysły i brudne tajemnice, ponieważ byli samotni i nie mieli z kim porozmawiać... zbliżniaczenie w najbardziej destrukcyjnej formie.**

**Może to wstęp do rozwiązania zagadki, zastanawiałem się. Czy Dzentelmen i Casanova są zbliżniaczeni? Czy działają wspólnie? O co chodzi w tej ich ohydnej grze? W co się bawią?**

**–Chodź, pójdziemy mu rozwalić te odblaskowe szyby łyżką do opon – powiedziała Kate. Ona też to czuła. Chętnie byśmy zrobili zadymę. Dali nauczkę temu wyrośniętemu Leopoldowi i Loebowi.**

## ROZDZIAŁ 64

Na stanowisku obserwacyjnym w samochodzie minęła ósma wieczorem. A może doktor Will Rudolph to lite Dzentelmen? Beth Liebermann z *Los Angeles Times*, mogła się pomylić. Ale już nie było sposobu, by ją o to zapytać.

Gwarzyliśmy sobie z Kate o Lakersach bez Magica Johnsona i Kareema, o ostatniej płycie Aarona Neville, o pożyciu Hillary i Billa Clintonów, plusach i minusach akademii medycznych – Uniwersytetu Johna Hopkinsa i Uniwersytetu Karoliny Północnej.

Wciąż krążyły między nami jakieś dziwne fluidy. Miałem z Kate parę nieoficjalnych sesji terapeutycznych i raz ją hipnotyzowałem. Wiedziałem jednak, że nie chcę, by coś się w nas rozpało. Dlaczego mi to nie pasowało? Nadszedł już czas, żeby rozpocząć życie na nowo, pogodzić się z utratą Marii. Myślałem, że między mną i Jezzie Flanagan zrodziło się coś fajnego, ale zostawiła mi tylko wewnętrzną pustkę, z którą ledwie sobie mogłem poradzić.

Stopniowo zaczęliśmy poruszać z Kate tematy bliższe sercu. Zapytała mnie, czemu stronie od bliższych związków (bo moja żona umarła, bo mój ostatni związek się zawalił, bo mam dwoje dzieci). Ja zaś zapytałem ją dlaczego i ona się wystrzega zaangażowania w coś poważniejszego (bała się, że umrze na raka piersi albo macicy, jak siostry; bała się, że jej ukochany umrze albo ją zostawi – że będzie tylko wszystkich tracić).

–Niezła z nas para – podsumowałem z uśmiechem.

–Oboje się chyba boimy znów kogoś utracić – powiedziała Kate. – Ale może lepiej kochać i przegrać, niż się bać.

Nim jednak poważniej zdołaliśmy się zagłębić w ten drażliwy temat, pojawił się doktor Will Rudolph. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał 22.20.

Rudolf wystroił się imprezowo, cały na czarno. Dopasowany blezer, golf, obcisłe portki, odlotowe kowbojskie buty. Tym razem, zamiast do BMW, wsiadł do białego rangę rovera. Wyszedł chyba prosto spod prysznic. I pewnie uciął sobie drzemkę. Zazdrościłem mu tego.

–Dobry pan doktor cały czarny – rzuciła Kate ze sztywnym uśmiechem. – Strój do mordowania?

–Może idzie z kimś na kolację – odparłem. – To dopiero ohyda. Najpierw z nimi je, potem je zabija.

–To mu pomaga dostawać się do ich mieszkań. Ależ to straszliwa kanalia. Dwie niebywałe kanalie grasujące bez przeszkód.

Włączyłem silnik i ruszyliśmy za Rudolphem. Nie widziałem wsparcia z FBI, ale byłem pewien, że są na swoim miejscu.

Biuro nadal nie wciągało do współpracy policji Los Angeles. Była to niebezpieczna, ale dość typowa dla FBI gra. Uważali się za najlepszych policjantów i za ostateczny autorytet w tej robocie. Uznali, że przestępstwo ma charakter międzystanowy, więc tylko oni się nim zajmują. Ktoś w Biurze musiał się zawziąć na tę sprawę.

–Wampiry polują nocą, uhuu – powiedziała Kate. Jechaliśmy przez miasto na

południe. – Tak mi się to wszystko kojarzy. „Dzentelmen”, autor: Abraham Stoker. Horror z życia wzięty.

Wiedziałem, co czuje. Czuję to samo.

–To bestia, bez dwóch zdań. Tylko że on stworzył sam siebie. I Casanova też, to kolejne podobieństwo między nimi. Abraham Stoker czy Mary Shelley tylko pisali o ludzkich potworach nawiedzających świat. A teraz mamy świrów, którzy wprowadzają własne, wymyślne rojenia w życie. Co za kraj.

–Kochaj albo rzuć, bracie – podsumowała Kate puszczając do mnie oko. W początkach mojej policyjnej kariery tak często uczestniczyłem w obserwacji, że nabrałem w tym niezłej wprawy. Ostateczny egzamin ze śledzenia podejrzanych zdałem, jak sądzę, podczas polowania na Soneji'ego. FBI z Zachodniego Wybrzeża też nieźle sobie jak dotąd radziło.

Gdy tylko ruszyliśmy, agenci Asaro i Cosgrwe zgłosili się przez radio. Dowodzili całym zespołem obserwującym Rudolpha. Nadal nie wiedzieliśmy, czy to on jest Dzentelmenem. Nie mieliśmy dowodu. Nie mogliśmy więc wykonać ostatecznego ruchu.

Ciągnęliśmy się za rangę roverem na zachód Los Angeles. Rudolf skręcił w końcu w Sunset Drive i pojechał nią aż do Pacific Coast Highway. Potem skierował się wzdłuż wybrzeża na północ. Zauważyłem, że na obszarze miasta starannie przestrzegał ograniczeń szybkości. Ale gdy tylko wyskoczył na autostradę, pomknął jak strzała.

–Dokąd on, cholera, jedzie? Serce mam już w gardle – przyznała się Kate.

–Nic nam nie grozi. Trochę ci straszno, bo to nocny pościg – uspokajałem ją. Miałem uczucie, jakbyśmy istnieli tylko my i on. Gdzież on, do diabła, jedzie? Czy jest na polowaniu? Jeśli nie zmienił zwyczajów, wkrótce znów zabije. Musiał się wciąż podkręcać.

Okazało się, że mieliśmy przed sobą jeszcze długą jazdę. Nad wybrzeżem Kalifornii świeciły jasno gwiazdy. Sześć godzin później nadal trzymaliśmy się autostrady U.S. Highway 1. W końcu rangę rover zjechał przy wymyślnym, drewnianym drogowskazie z napisem: PARK STANOWY BIG SUR.

Jakby dla potwierdzenia, że jesteśmy już w rezerwacie, wyprzedziliśmy zabytkową furgonetkę z nalepką na tylnym zderzaku: WYOBRAŹ SOBIE UPADEK PRZEMYSŁU.

–Wyobraź sobie, że doktor Rudolph schodzi na rozległy zawał – warknęła Kate pod nosem.

Gdy zjeżdżaliśmy z autostrady, spojrzałem na zegarek.

–Już po trzeciej. Trochę późno, żeby się jeszcze dzisiaj w coś poważnego wpackował – stwierdziłem. Taką przynajmniej miałem nadzieję.

–Jeśli ktokolwiek ma wątpliwości, to by przynajmniej stanowiło dowód, że on jednak wysysa nocą krew jak wampir – mruknęła Kate. Ramiona zaplotła ciasno na piersi, jechała tak prawie przez całą drogę. – Teraz pójdzie spać w ulubionej trumnie.

–Tak jest. I wtedy go przebijemy kołkiem osinowym – dodałem. Oboje już ślanialiśmy się ze zmęczenia. Ja połknąłem po drodze jakąś pobudzającą tabletkę. Kate odmówiła. Powiedziała, że zbyt dużo wie na temat leków i nie ufa większości z

nich.

Minęliśmy cały zestaw drogowskazów: Point Sur, Pfeiffer Beach, Big Sur Lodge, Ventana, Instytut Esalen. Will Rudolph pojechał na Big Sur Lodge, Sycaraore Canyon i kemping Bottchers Gap.

–Miałam nadzieję, że jedzie do kliniki Instytutu Esalen – dowcipkowała dalej Kate.  
– Nauczyć się medytacji i jak sobie radzić z niepokojem wewnętrznym.

–Co on, u diabła, dzisiaj kombinuje? – zastanawiałem się głośno. Co oni robili z tym Casanovą? Nic na razie nie było pewne.

–Może gdzieś w tych lasach ma kryjówkę? – podzieliłem się z Kate nową myślą. – Może też ma taki dom z horroru jak Casanova.

Bliźniacy, przypomniało mi się znowu. Było w tym sporo sensu. Mogli sobie stworzyć taki system wzajemnego wsparcia duchowego. Dwie bestie na równoległych torach. Ale gdzie się poznali? Czy polowali kiedyś wspólnie? Podejrzywałem, że mogli.

Biały rangę rover kluczył między wzgórzami po dość wyboistej bocznej drodze, biegnącej od strony oceanu na wschód. Po obu stronach wąskiej wstęgi szosy migwały wiekowe, posępne sekwoje. Błady, pełny krąg księżyca sunął po niebie przed roverem, jakby przed nim uciekał.

Starłem się teraz utrzymać bezpieczny dystans – auto Rudolpha właściwie zniknęło nam z oczu. Wydawało się, że olbrzymie jodły płyną za naszym samochodem. Jak cienie życia. Nasze reflektory wyłowiły z ciemności żółty napis: NIE. PRZEJEZDNE W CZASIE DESZCZU.

–On tam jest, Alex – ostrzeżenie Kate przyszło trochę za późno. – Zatrzymał się.

Mijając białego rangę rovera dostrzegliśmy, jak spod współprzymkniętych powiek Dżentelmen świdruje wzrokiem nasz samochód. Spostrzegł nas.

## ROZDZIAŁ 65

Doktor Will Rudolph skręcił w zwirowany, zryty koleinami podjazd, ledwie widoczny z głównej drogi. Stał teraz pochylony przy roverze, zbierając jakieś klamoty z tylnego siedzenia. Obrzucił nasze auto zimnym, pytającym spojrzeniem.

Pojechałem dalej asfaltem pod zwisającymi nad szosą pokrzywionymi czarnymi gałęziami. Kilkaset metrów dalej, zaraz za zakrętem, zjechałem w wąską odnogę. Zatrzymałem auto pod pogiętym metalowym znakiem, zwiastującym kolejne niebezpieczne zakręty i wiraże w górze drogi.

–Zatrzymał się przy leśnym domku – powiedziałem do mikrofonu. – Wysiadł z rovera i idzie na piechotę.

–Widzieliśmy. Mamy go, Alex – rozległ się głos Johna Asaro. – Jesteśmy po drugiej stronie tego domku. W środku ciemno. Teraz włącza światło. *El país grande del sur* - wielki kraj na południu. Tak nazywali to miejsce Hiszpanie dawno, dawno temu. Piękna okolica na łapanie takiego gnoja.

Wysiedliśmy z samochodu. Kate była trochę blada, nic zresztą dziwnego. Rześkie, górskie powietrze miało temperaturę w okolicach zera. Ale Kate trzęsa się nie tylko z zimna.

–Niedługo go złapiemy – powiedziałem. – Zaczyna popełniać błędy.

–Miałeś rację. Tu może być druga katownia – odparła stłumionym głosem. Patrzyła wprost przed siebie. Nie widziałem jej tak rozstrojonej od czasu pierwszego spotkania w szpitalu. – Czuję się, jakby tak było, Alex... dokładnie tak samo. Ciarki człowieka przechodzą. Nie jestem zbyt dzielna, co?

–Ja w tej chwili też się nie czuję zbyt bojowo. Wierz mi, Kate. Gęsta, nadmorska mgła zdawała się rozciągać w nieskończoność. W żołądku zrobiło mi się zimno i kwaśno. Musieliśmy ruszać.

Skierowaliśmy się ku ciemnej ścianie lasu, w stronę domku. Między strzelistymi sekwojami i jodłami, wył i świstał północny wiatr. Nie miałem pojęcia, co nas teraz czeka.

–Ale gównie – podsumowała Kate doświadczenia tej nocy. – Janie żartuję, Alex.

–I masz rację.

*El país grande del sur* o trzeciej nad ranem. Rudolph dotarł w odludne miejsce na końcu świata. Casanova też ma na Południu domek w lesie. „Znikający” dom, gdzie trzyma kolekcję młodych kobiet.

Przypomniały mi się koszmarne pamiętniki z *Los Angeles Times*. A może Naomi jest uwięziona w tym domku albo gdzieś w pobliżu? Może jakiś szalony impuls kazał psychopacie przenieść ją tutaj?

Przystanąłem nagle. Słysząc było pobrzękiwanie dzwonek wiatrowych, co w tych okolicznościach brzmiało szczególnie złowrogo. Stał przed nami niewielki domek. Różowy, z białymi drzwiami i okiennicami okien. Fajne miejsce na lato.

–Zostawił nam światło – szepnęła Kate za moimi plecami. Casanova zawsze puszczał głośnego rocka, kiedy był w domu.

Z trudem wracała znów myślami do tych dni niewoli i przeżywała je na nowo.

–Czy ten domek z czymkolwiek ci się kojarzy? – spytałem. Starłem się uspokoić

wewnętrznie, przygotować na spotkanie z Dzentelmenem.

–Z niczym. Tamto miejsce widziałam tylko od środka. Miejmy nadzieję ten domek nam nie zniknie.

–W tej chwili mam nadzieję na wiele rzeczy. Ale dopiszę i to do listy.

Domek miał prostą drewnianą konstrukcję o dwuspadowym dachu i prawdopodobnie zbudowano go z myślą o wakacjach czy wypadach na weekend. Sądząc z zewnątrz, mógł mieć trzy, cztery pomieszczenia.

Gdy podeszliśmy bliżej, wyciągnąłem glocka. Austriacki glock to dobra broń na warunki miejskie; załadowany ważył niewiele ponad pół kilograma i łatwo go było ukryć. W *elpais grande delsur* też powinien się dobrze spisać.

Kate trzymała się za mną; podeszliśmy do polanki, stanowiącej rodzaj podwórka na tyłach domku. Paliły się dwie lampy, przyciągające roje owadów. Jedna Oświeślała ganek od frontu. Druga wisiała na tylnej ścianie. Kierowałem się ku tej drugiej, słabszej. Dałem Kate znak, żeby została na miejscu.

To może być Dzentelmen, ostrzegłem się w myśli. Powoli. To może też być pułapka. Tu wszystko jest możliwe. Nic nie da się przewidzieć.

Mogłem już zajrzeć do środka przez tylne okno. Znajdowałem się teraz niecałe dziesięć kroków od ściany domku i prawdopodobnie od seryjnego mordercy, terroryzującego Zachodnie Wybrzeże. I wtedy go zobaczyłem.

Doktor Will Rudolph krążył po niewielkim, wyłożonym boazerią pokoju i mówił coś do siebie. Wyglądał na bardzo podekscytowanego. Obejmował się ramionami. Przynurzałem się bliżej i dostrzegłem, że poci się obficie. Był w bardzo kiepskiej formie. Cała ta scena przypominała mi „ciche pokoje” w szpitalach dla umysłowo chorych; pacjenci korzystają z nich, gdy chcą odreagować, wyrzucić z siebie problemy i rozhuśtane emocje.

Rudolph zaczął nagle wrzeszczeć na kogoś... ale tam nikogo poza nim nie było. Twarz i kark mu spurpurowiały, krzyczał i krzyczał... do pustego pokoju! Darł się, aż mu tchu brakowało. Żył mu nabrzmiały, jakby miały pęknąć.

Zmroził mnie ten widok i z wolna wycofałem się spod domku.

Ale wciąż dzwonił mi w uszach jego przenikliwy głos: „Niech cię szlag, Casanova! Całuj dziewczęta! Od dzisiaj sam sobie całuj te pierdolone dziewczęta!”

## ROZDZIAŁ 66

–Co ten Cross, u diabła, robi? – rzucił pytanie partnerowi John Asaro. Kryli się w gęstym lesie po drugiej stronie domku w Big Sur. Domek kojarzył się Asaro z pierwszą płytą The Band – „Musie from Big Pink”. Prawie już widział wylaniających się z mgły hippisów i dzieci – kwiaty.

–A może Cross to podglądacz, Johnny. Co ja tam wiem? – odparł Cosgrove, wzruszając ramionami. – To guru, spec od świrusów. Chłopak Kyle Craiga.

–To znaczy, że może robić, co mu się podoba?

–Prawdopodobnie. – Cosgrove powtórzył gest. Widział już w swojej karierze zbyt wiele nienormalnych sytuacji, zbyt wiele „przydziałów specjalnych”, żeby się przejmować tym tutaj.

–Po pierwsze – dodał – czy nam się to podoba czy nie, on ma błogosławieństwo Waszyngtonu.

–Jakoś dziwnie nienawidzę Waszyngtonu. I chyba nigdy nie przestanę – stwierdził Asaro.

–Każdy nienawidzi Waszyngtonu, Johnny. Po drugie, Cross na moje oko to jednak zawodowiec. Nie jakiś tam skubany ważniak. Po trzecie i najważniejsze – ciągnął starszy, bardziej doświadczony partner – to co w tej chwili mamy na Rudolpha to żaden dowód, że on jest tym świrusem. Gdyby tak nie było, już byśmy wzywali LAPD, wojsko, marynarkę i komandosów.

–Może nieboszczka pani Liebermann się pomyliła, kiedy go wrzucała w swój komputer?

–Że gdzieś zrobiła jakiś błąd, to nie ulega kwestii, Johnny. Mogła go podejrzewać przez pomyłkę.

–A może Will Rudolph to jej dawny facet? I wpisała jego nazwisko dla jaj?

–Wątpliwe. Ale nie wykluczone – odparł Cosgrove.

–To śledzimy Rudolpha i śledzimy Crossa, który śledzi Rudolpha? – spytał agent Asaro.

–Zgadłeś, partnerze.

–Może pan doktor Cross i pani doktor McTiernan dostarczą nam jakiejś ciekawszej rozrywki?

–Oj, z tymi sprawami to nigdy nic nie wiadomo – powiedział Raymond Cosgrove z uśmiechem. Uważał, że cała ta historia okaże się pewnie szukaniem wiatru w polu, ale nie pierwszy przecież raz. Tak czy inaczej sprawa była wielka i brzydka. W tej chwili już międzystanowa. I każdy możliwy trop badano z wyjątkową zaciekleścią. Świruski łącznik, od morza do morza.

Dlatego Cosgrove z partnerem i jeszcze dwoma ludźmi z FBI będą siedzieć w tych lasach całą noc, i jeśli trzeba, dzień. Będą pilnie obserwować letni domek chirurga plastycznego z L.A., który mógł okazać się groźnym mordercą a mógł być po prostu chirurgiem plastycznym z L. A.

Będą obserwować Alexa Crossa i doktor McTiernan i snuć domysły na ich temat. Cosgrove nie miał nastroju do takich atrakcji. Ale z drugiej strony, to duża sprawa. I jakby tak przypadkiem złapał Dzentelmena, sam zostałby skubanym ważniakiem. Al

**Pacino mógłby go zagrać w filmie. Pacino grywał gliniarzy, nie?**



## ROZDZIAŁ 67

Odeszliśmy z Kate na bezpieczną odległość od domku. Daliśmy nurka za kępę grubych jodeł.

–Słyszałam, jak się darł – oznajmiła Kate, gdy byliśmy już głębiej w lesie. – Co tam widziałeś, Alex?

–Widziałem diabła – wyjawilem jej prawdę. – Widziałem absolutnie złego i obłąkanego faceta, który mówi do siebie. Jeżeli to nie jest Dzentelmen, to odgrywa go rewelacyjnie.

W ciągu następnych kilku godzin obserwowaliśmy kryjówkę Rudolpha na zmianę. W ten sposób każde z nas mogło trochę odpocząć. Koło szóstej spotkałem się z ekipą FBI; dali mi kieszonkowe walkie – talkie na wypadek, gdyby trzeba się było błyskawicznie porozumieć. Nadal się zastanawiałem, ile mi powiedzieli z tego, co sami wiedzą.

Kiedy doktor Will Rudolph pojawił się po raz drugi, było już po pierwszej W sobotę po południu. Srebrzystobłękitna, nadmorska mgiełka nareszcie wyparowała w słońcu. W górze uwijały się ze skrzekiem sójki. W innych okolicznościach byłoby to bardzo przyjemne miejsce na weekend w górach.

Doktor Rudolph poszedł się myć pod prysznic, zainstalowany na dworze za domem. Był muskularny, brzuch miał płaski jak deska. Wyglądał na zwinnego i w dobrej kondycji. Wyjątkowo przystojny. Szedł nago, tańcząc i podskakując. Zachowywał się jakby trochę za elegancko. Dzentelmen.

–Jaki on jest niesamowicie zadufany w sobie, Alex – powiedziała Kate obserwując Rudolpha spoza drzew. – Tylko spójrz na niego.

Wszystko to wyglądało jak jakiś dziwny rytuał. Czy ten taniec stanowił część aktu zbrodni? Jego szablonu działania?

Kiedy skończył prysznic, przeszedł na drugą stronę podwórka do niewielkiego ogródka kwiatowego. Zerwał kilkanaście kwiatów i zaniósł je do domu. Dzentelmen nazbierał kwiatów! Co dalej?

O czwartej po południu Rudolph znów się pojawił w drzwiach z tyłu domku. Miał na sobie, obcisłe czarne dżinsy, białą koszulkę i czarne skórzane sandały. Wskoczył do rangę rovera i pojechał w stronę autostrady.

Jakieś dwie mile na południe skręcił do restauracji i kawiarni o nazwie Nepenthe. Oczekaliśmy chwilę na piaszczystym zjeździe, a potem ruszyliśmy za nim na obszerny, zatłoczony parking. Z głośników ukrytych między drzewami dobiegało głośne „Electric Ladyland” Hendrixa.

–A może to tylko zwyczajny, napalony doktorek z Los Angeles? – rzuciła Kate, gdy szukaliśmy miejsca na parkingu.

–Nie. To Dzentelmen jak nic. Nasz rzeźnik z Kalifornii. – Byłem już tego pewien, po tym co widziałem w nocy i rano.

W restauracji panował spory ruch, siedzieli tu głównie przystojni dwudziesto – trzydziestolatkowie, ale także garstka podstarzałych hippisów, niektórzy nawet powyżej sześćdziesiątki. Wszędzie powycierane dżinsy, najnowsze kreacje plażowe, kolorowe klapki albo drogie buty górskie.

I mnóstwo atrakcyjnych kobiet, jak zdążyłem spostrzec. Wszystkie roczniki, wszystkie rozmiary i grupy etniczne. Całuj dziewczęta.

Słyszałem już wcześniej o tym miejscu. Było bardzo popularne w latach sześćdziesiątych, ale jeszcze przedtem tę piękną jak marzenie posiadłość Orson Welles kupił dla Rity Hayworth.

Przyglądaliśmy się, jak doktor Rudolph działa przy barze. Był uprzejmy. Miły uśmiech dla barmana. Jakiś żarcik. Potem rozejrzał się po sali, zatrzymując uważnie wzrok na kilku atrakcyjnych kobietach. Chyba jednak nie dość atrakcyjnych.

Zapisał się na obszerny kamienny taras z rozległym widokiem na Pacyfik. Przez kosztujący pewnie krocie system nagłaśniający puszczano tu muzykę z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

–Świetne miejsce do tych celów – powiedziała Kate. – Cokolwiek mu chodzi po głowie.

–Chodzi mu po głowie sześć. Teraz szuka ofiary numer siedem – odparłem. Daleko w dole, na niedostępnej stąd plaży, widać było lwy morskie, brązowe pelikany, kormorany. Szkoda, że Damon i Jannie nie mogli ich zobaczyć. Gdy wyszliśmy na taras, wziąłem Kate za rękę. – Wyglądajmy, jakbyśmy byli ze sobą – wyjaśniłem, puszczając do niej oko.

–Może jesteście – odparła, puszczając oko do mnie.

Patrzyliśmy, jak Rudolph przymierza się do bardzo atrakcyjnej blondynki. W typie Dżentelmena. Tuż po dwudziestce. Zgrabna. Piękna twarz. I w typie Casanovy też, pomyślałem mimo woli.

Jej falujące, rozjaśnione słońcem włosy sięgały aż do szczupłej talii. Była ubrana w czerwono – żółtą sukienkę w kwiaty, spływającą ku czarnym, europejskim butom z wysoką cholewką. Poruszała się z gracją. Piła szampana ze szklanki.

Nie widziałem nigdzie agentów Cosgrove i Asaro i byłem z tego powodu troszkę wkurzony.

–Ale piękna, prawda? Po prostu wspaniała – szepnęła Kate. – Nie pozwólmy mu skrzywdzić tej nieszczęsnej dziewczyny.

–Nie pozwolimy – powiedziałem – ale musimy go złapać na gorącym uczynku, przynajmniej na uprowadzeniu, jeśli już nic więcej. Musimy udowodnić, że to Dżentelmen.

Dostrzegłem wreszcie Johna Asaro w głównej sali przy barze. Miał na sobie jaskrawo żółtą koszulkę i pasował do tła. Raya Cosgrove i pozostałych agentów nie było widać – co należało uznać za dobry znak.

Rudolph i blondynka natychmiast przypadli sobie do gustu. Ona wyglądała na osobę towarzyską i lubiącą się zabawić. Miała wspaniałe białe zęby i olśniewający uśmiech. Czy tego chciała, czy nie, robiła wrażenie w tym tłumie. Mózg mi zaczynał parować. Bądź co bądź oglądaliśmy Dżentelmena przy robocie.

–Poluje... i tak po prostu – Kate pstryknęła palcami – je sobie podrywa. Zdobywa prawie każdą którą sobie upatrzy. Tak właśnie to robi. Tak zwyczajnie... To jego wygląd tak na nie działa – ciągnęła. – Ma w sobie coś z buntownika i zarazem jest bardzo przystojny. To połączenie jakiemu niektóre kobiety nie są w stanie się

oprzeć. Ona udaje, że to jego gadka – szmatka ją bierze, a tak naprawdę to tylko seks.

–Czyli to ona podrywa jego? – spytałem. – Naszego przystojniaczka – mordercę? Kate skinęła głową. Nie mogła oderwać wzroku od tych dwojga.

–Poderwała właśnie Dżentelmena. Jemu oczywiście właśnie o to chodziło. Założę się, że zawsze je tak zdobywa i dlatego nikt go nigdy nie nakrył.

–Ale Casanova pracuje całkiem inaczej, prawda?

–Może Casanova nie jest taki przystojny. – Kate odwróciła się i spojrzała na mnie.

– To by mogło tłumaczyć, dlaczego zakłada te maski. Może jest brzydki albo zdeformowany i wstydzi się swojego wyglądu.

Miałem na temat masek Casanovy inną teorię, ale nie chciałem na razie nic mówić.

Dżentelmen i jego nowa dziewczyna zamówili „ambrozjaburgery”, specjalność zakładu. My z Kate też. Jak raj, to raj. Posiedzieli jeszcze w kafejce do siódmej i zaczęli się zbierać do wyjścia.

Kate i ja też wstaliśmy od stolika. Właściwie to było dość przyjemnie, mimo tak niesamowitych okoliczności. Mieliśmy stolik z widokiem na ocean. Pacyfik w dole rozbijał się o czarną ścianę skał i dobiegały do nas głośnie szczeknięcia morskich lwów.

Zauważyłem, że tamci w ogóle się nie dotykają, idąc przez parking. To świadczyło, że któreś z nich jest w głębi duszy bardzo nieśmiałe.

Doktor Will Rudolph uprzejmie przytrzymał drzwiczki rovera i blondynka, roześmiana, wskoczyła do środka. On się uklonił, lekko i elegancko. Dżentelmen.

Sama go wybrała, myślałem. To jeszcze nie porwanie. Wciąż mogła decydować za siebie.

Nie było go w ogóle za co ścigać, nie było go za co zamknąć.

Zbrodnie doskonałe.

Od morza do morza.

## ROZDZIAŁ 68

Podążaliśmy za rangę roverem w bezpiecznej odległości, z powrotem do letniego domku. Zaparkowałem jakieś czterysta metrów w górę drogi. Serce mi waliło mocno i głośno. Nadszedł moment prawdy, teraz już nieodwołalnie.

Zagłębiliśmy się z Kate ponownie w las, starając się znaleźć bezpieczny punkt obserwacyjny, niewidoczny z domu. Ustawiliśmy się niecałe pięćdziesiąt metrów od kryjówki doktora Rudolpha. Cały czas słyhać było łagodne granie poruszanych wiatrem dzwonek. Zimna i wilgotna mgła znad morza już się podnosiła i przez podeszwy butów czułem ciągnący od ziemi chłód.

We wnętrzu tego domku jest Dzentelmen. Szykuje się. Do czego?

W ściśniętym żołądku czułem pustkę. Najchętniej bym rozszarpał tego typu. Usiłowałem nie myśleć, ile razy doktor Will Rudolph robił to już przedtem. Zabierał gdzieś młodą kobietę. Okaleczał ją i znosił do domu pamiątki zbrodni.

Spojrzałem na zegarek. Rudolph i blondynka byli w środku dopiero od kilku minut. Dostrzegłem jakiś ruch w lesie po drugiej stronie domu. Ludzie z FBI. Robiło się straszno.

–Alex, a jeśli on ją zabije? – zapytała Kate. Stała tuż przy mnie i czułem bijące od jej ciała gorąco. Ona wiedziała, jak to jest, być uwięzioną w domu z horroru. Rozumiała niebezpieczeństwo tej chwili lepiej niż ktokolwiek inny.

–Nie rzuca się na ofiary, żeby je natychmiast zabić. Dzentelmen ma swój schemat działania – uspokajałem ją. – Każdą z dotychczasowych ofiar przetrzymywał przez cały dzień. Lubi się bawić. Na pewno nie wyłamie się z tego szablonu.

Wierzyłem, że tak będzie, ale pewności nie miałem. Może doktor Rudolph wiedział, że jesteśmy na zewnątrz... może chciał zostać złapany. Może, może, może.

Przypomniało mi się, jak podchodziliśmy Gary Soneji'ego. Trudno się było teraz powstrzymać od wtargnięcia do domku. Zaryzykować natychmiast. Możliwe, że w środku znaleźlibyśmy fizyczne dowody innych zabójstw. Może to właśnie w Big Sur je mordował. A może planował dla nas jeszcze jakąś inną niespodziankę. Cały dramat rozgrywał się zaledwie pięćdziesiąt metrów stąd.

–Spróbuję podejść trochę bliżej – powiedziałem w końcu do Kate. – Muszę zobaczyć, co się tam dzieje.

–Cieszę się, że to powiedziałaś – szepnęła.

Nasza wymiana zdań została nagle przerwana. Rozległ się ścinający krew w żyłach krzyk.

–Ratunku! Ratunku! Ludzie, ratujcie! – wrzeszczała blondynka. Popędziłem co sił do drzwi domku. Z drugiej strony wyskoczyło pięciu ludzi w ciemnoniebieskich wiatrówkach. Byli wśród nich Asaro i Cosgrove.

FBI, obwieszczał napis na ich kurtkach. Jasnożółty napis na granatowym tle. W Big Sur rozpętało się piekło. Biegliśmy na spotkanie Dzentelmena.

## ROZDZIAŁ 69

Dopadłem domku pierwszy, tak mi się zdawało. Runąłem całym Ciałem na drewniane tylne drzwi. Nie puściły. Za drugim razem pękła framuga i drzwi wyłamały się z trzaskiem. Rzuciłem się do środka z wyciągniętą bronią.

Zobaczyłem niewielką kuchnię, a dalej wąski korytarzyk i sypialnię. Blondynka była naga; leżała zwinięta na boku, na zabytkowym mosiężnym łóżku. Wokół jej ciała rozsypane były kwiaty. Ręce miała wykręcone do tyłu i skrępowane kajdankami. Cierpiała, ale przynajmniej była żywa. Dżentelmen zniknął.

Z dworu dobiegło mnie ostre, charakterystyczne kasznięcie, odgłos wystrzałów. Rozlegały się gwałtownie i szybko, jeden za drugim, jak seria, silnych petard.

–Jezus, nie zabijajcie go! – ryknąłem, wybiegając z domku.

W lesie zapanował kompletny chaos. Gdy wydostałem się na zewnątrz, rangę rover już wycofywał się ostro z podjazdu. Dwóch ludzi z FBI leżało na ziemi. Jednym z nich był agent Ray Cosgrove. Reszta ostrzeliwała rangę rovera.

Kule roztrzaskały boczą szybę. W karoserii rovera pojawiły się strzępiaste dziury. Terenowy pojazd zakołysał się na boki, jego koła buksowały w ziemi i żwirze.

–Nie zabijcie go! – krzyknąłem znowu. W tym dzikim zamieszaniu nikt nawet na mnie nie spojrział.

Popędziłem przez las, mając nadzieję odciąć drogę Rudolphowi, jeżeli skieruje się na zachód autostrady. Wyskoczyłem z lasu w chwili, gdy rangę rover skręcał na drogę, wchodząc z piskiem kół w poślizg. Strzał z karabinu roztrzaskał kolejną szybę. Świetnie! FBI strzelało teraz do nas obu.

Chwyciłem za klamkę i szarpnąłem drzwi po stronie pasażera. Były zamknięte. Rudolph dodał gazu, ale trzymałem się mocno. Rover zarzucił tyłem, ślizgając się nadal w pokrytym żwirem zagłębieniu podjazdu. To mi dało czas na uchwycenie wolną ręką poręczy bagażnika na dachu. Wciągnąłem się na górę.

Rudolph wydostał się wreszcie na betonową szosę i przyśpieszył. Cisnął gaz do dechy przez jakieś osiemdziesiąt metrów. A potem z całej siły zahamował!

Ubiegłem go myślą – jak na razie. Rozpląszczyłem się na dachu niczym niezniszczalna walizka firmy Samsonite.

Zamierzałem się na nim utrzymać, jeśli tylko będę w stanie. Ten człowiek zabił co najmniej sześć kobiet na terenie Los Angeles. Poza tym musiałem się dowiedzieć, czy Naomi jeszcze żyje. On znał Casanovę i na pewno wiedział coś o Scootchie.

Rudolph ponownie docisnął gaz, silnik ryczał i zgrzytały biegi, kiedy tak usiłował mnie strącić na dół. Zygzakował po całej szerokości drogi.

Drzewa i stare słupy telefoniczne śmigają obok mnie, zlewając się w jedno. Sosny, sekwoje i górskie wino migotały jak wzór w kalejdoskopie. Brunatnoszare i cierniste liście wina wyglądały jak winorośl z plantacji w Napa Valley. Oglądałem świat z nietypowej perspektywy.

Nie powiedziałbym jednak, że napawałem się widokami z tej grzędy na dachu Rovera. Musiałem użyć całej siły, żeby nie dać się zrzucić.

Rudolph pędził krętą wąską szosą jadąc sto dziesięć – sto trzydzieści, podczas gdy już dziewięćdziesiąt było tu niebezpieczne.

Ludzie z FBI nie byli w stanie nas dogonić. No bo jak? Musieli przecież najpierw pobiec do samochodów. Zostali ładnie parę minut z tyłu.

Zbliżaliśmy się do autostrady i mijaliśmy coraz więcej samochodów. Kierowcy patrzyli na nas w najwyższym zdumieniu. Zastanawiałem się, co kombinuje Rudolph. Już nie próbował mnie zrzucić. Jaki planuje następny ruch?

Chwilowo obaj byliśmy w klinczu. Jednak już wkrótce któryś musi przegrać, i to z kretesem. Will Rudolph okazywał się dotąd zbyt sprytny, by dać się złapać. I teraz też z pewnością nie zamierzał dać się zatrzymać. Ale jak się chce wywinąć z takiej sytuacji?

Usłyszałem głęboki pomruk diesla w furgonetce Volkswagena przed nami. Jej tył zbliżał się błyskawicznie. Wyprzedziliśmy ją jakby stała w miejscu.

Ruch z przeciwka narastał, dojeżdżaliśmy do nadmorskiej szosy. W autach siedziała głównie młodzież na popołudniowej przejażdżce. Niektórzy pokazywali sobie palcami rangę rovera; myśleli, że to wygłupy. Po prostu jakiś kompletny palant z Big Sur bawi się w kaskadera. Podtusiały wesolek, nażłopał się tequilli albo nawet naćpał prochów przeterminowanych od dwudziestu lat. Szalenciec, uczepiony dachu rangę rovera, pędzącego ponad setkę, co się pewnie skończy bardzo malowniczym parkowaniem.

Co ten cholernik teraz wykombinuje?

Rudolph ani myślał zwolnić na tej pełnej zakrętów, ruchliwej szosie. Jadący z przeciwka gniewnie trąbili. Nikt nic nie robił, żeby nas zatrzymać. No bo co mógł zrobić? A co ja mogłem? Trzymać się z całej siły i modlić.

## ROZDZIAŁ 70

Spoza zasłony jodeł i sekwoi zaczęła przebłyskiwać jaskrawa, szaroniebieska tafla oceanu. Z karawany aut, sunących powoli daleko przed nami, dobiegały pomieszane dźwięki głośnej muzyki: rapu, grunge'u z Zachodniego Wybrzeża, narkotycznego rocka sprzed trzydziestu lat.

W oczy znów uderzył mnie błękit Pacyfiku. Zachodzące słońce złociło gałęzie rozłożystych jodeł. Nad ich wierzchołkami krążyły z wolna rybitwy i mewy. A potem ujrzałem autostradę Highway 1 w całej okazałości.

Co on, u diabła, wyprawia? Chyba nie zamierza w ten sposób dojechać do Los Angeles? A może jest na tyle stuknięty, że spróbuje? Ale w końcu musi zatankować. Co wtedy zrobi?

Ruch na autostradzie w kierunku północnym był niewielki, ale w drugą stronę bardzo gęsty. Rangę rover nadal jechał setką albo lepiej – kładąc się na zakrętach z szybkością absolutnie niedopuszczalną na krętej bocznej drodze, w dodatku przed wjazdem na ruchliwą, nadmorską szosę.

Zbliżając się do zatłoczonej autostrady Rudolph w ogóle nie zwolnił! Widziałem rodzinne busy, jeepy z napędem na cztery koła, kabriolety. Kolejna, zwyczajna gorączka sobotniej nocy nad morzem w północnej Kalifornii. Tylko ze tym razem będzie dużo mniej zwyczajna.

Dzieliło nas pięćdziesiąt metrów od autostrady, a on nie zwalniał, może nawet przyspieszył. Ramiona miałem sztywne i zdrętwiałe. W gardle mi zaschło od spalin. Nie byłem pewien, jak długo jeszcze wytrzymam. A potem nagle uświadomiłem sobie, co chce zrobić.

–Ty skurwysynu! – wrzasnąłem, dla samego wrzaśnięcia. Rozpłaszczyłem się jeszcze mocniej na metalowych drążkach bagażnika.

Rudolph wymyślił na poczekaniu plan ucieczki. Ruchliwa autostrada była już dziesięć, najwyżej piętnaście metrów przed nami.

Kiedy dotarł do ostrego skrętu przed samą Highway 1, nagle gwałtownie wcisnął hamulec. Rozległ się głośny pisk opon, co z mojego miejsca zabrzmiało szczególnie przeraźliwie.

Jakiś brodacz wychylił się z kolorowej minifurgonetki i ryknął:

–Zwolnij, ty dupku!

Który dupku? – zastanawiałem się, bo dupek na dachu na pewno wołałby zwolnić.

Obciążony od góry rangę rover trzymał się swego toru jeszcze przez parę metrów, a potem zarzuciło nim: w prawo, w lewo, z powrotem w prawo.

Zrobił się kompletny dom wariatów. Wszyscy na autostradzie zaczęli trąbić. Kierowcy i pasażerowie nie wierzyli własnym oczom, widząc co się za chwilę na nich zwali z bocznej drogi.

Rudolph robił za kierownicą wszystko dokładnie odwrotnie niż trzeba. Chciał, żeby rover się odwrócił.

Opony auta kwiczały jak zarzynane zwierzę. Sunęło teraz lewym bokiem w stronę autostrady, zwrócone przodem na południe, w rzeczywistości jadąc na zachód, prosto w sznur pojazdów. A potem zaczęliśmy wjeżdżać na autostradę tyłem! Za

chwile w coś rąbniemy. Byłem pewien, że zginiemy obaj na miejscu. Twarze Jannie i Damona mignęły mi przed oczami.

Nie mam pojęcia, z jaką szybkością walnęliśmy w bok srebrzystej furgonetki. Nie próbowałem już nawet utrzymać się na dachu. Skoncentrowałem się na rozluźnieniu ciała, przygotowując się na uderzenie, które za parę sekund z pewnością połamie mi kości albo mnie zabije.

Krzyknąłem, ale mój głos utonął w donośnym łomocie zderzenia, w ryku klaksonów i krzykach przerażonych ludzi.

Wystrzeliłem z dachu jak odrzutowiec, przelatując o włos nad sznurem aut jadących na północ. Znowu klaksony. Frunąłem w powietrzu swobodnie jak ptak. Morski wiatr jednocześnie chłodził i szczypał moją twarz. Zbliżało się przymusowe lądowanie.

Wpadłem w siwobłękitną mgiełkę, rozpościerającą się między Pacyfikiem i autostradą. Uderzyłem o grube konary jakiejś jodły. Lecąc w dół poprzez szarpiące mnie i drapiące gałęzie drzewa wiedziałem już, że Dzentelmenowi uda się uciec.



## ROZDZIAŁ 71

Skok przed siebie. Rzut w przód. Obrót, upadek – głową w dół!

Byłem mocno poturbowany i posiniaczony, ale najwyraźniej podczas zderzenia i upadku niczego sobie nie połamałem. Rewelacyjna ekipa z przybyłej do wypadku „erki” zbadała mnie na miejscu. Chcieli mnie wpakować do najbliższego szpitala na badania i obserwację, ale miałem na ten wieczór inne plany.

Dżentelmen biegał sobie na wolności. Zarekwirował komuś samochód jadący na południe. Auto już odnaleziono, ale doktora Rudolpha nie. Przynajmniej na razie.

Kate, gdy dotarła do fatalnego miejsca na autostradzie, dostała szału. Też uważała, że powinienem pójść do miejscowego szpitala. Agent Cosgrove z FBI już tam leżał. Odbyliśmy bardzo ożywioną dyskusję, która zakończyła się tym, że złapaliśmy ostatni tramwaj powietrzny linii AirWest z Monterrey. Wracaliśmy do L. A.

Zdążyłem już dwa razy porozmawiać z Kyle Craigiem. Agenci rozłożyli się wokół mieszkania Rudolpha w Los Angeles, ale oczywiście nikt się nie spodziewał, że on tam wróci. Zaczęli już przeszukiwanie. Chciałem być tam z nimi. Musiałem się przekonać na własne oczy, jak mieszkał.

Podczas lotu Kate nie przestawała się zamartwiać o moje zdrowie. Już przybrała pozę superpielęgniarki przy łóżku chorego – ciepłej, empatycznej, ale zaskakująco stanowczej wobec tak upartego pacjenta jak ja.

Przemawiała do mnie z przekonaniem, ujmując lekko dłonią za podbródek.

–Alex, kiedy tylko dolecimy do Los Angeles, m u s i s z iść do szpitala. Mówię poważnie. Jak może zdążyłeś zauważyć, nie mam swojej zwykłej miny typu z – humorem – wobec – przeciwności – losu. Idziesz do szpitala od razu z lotniska. Hej! Czy ty w ogóle mnie słuchasz?

–Słucham cię, Kale. Tak się składa, że nawet się zgadzam z tym, co mówisz. W zasadzie.

–Alex, to żadna odpowiedź. To pierdoły.

Wiedziałem, że ma rację, ale brakowało mi dziś czasu na szpitalu. Trop doktora Willa Rudolpha był nadal ciepły, istniała szansa, że uda się go wywęszyć i dopaść w ciągu najbliższych paru godzin. Nikła szansa, ale jutro trop Dżentelmena już całkiem ostygnie.

–Możesz mieć krwotok wewnętrzny i nawet o tym nie wiedzieć – nie ustępowała Kate. – Mógłbyś nawet umrzeć tutaj, na fotelu w samolocie.

–Mam parę brzydkich siniaków oraz kontuzji i cały jestem obolały. Robią mi się pierwszorzędne strupy po całej prawej stronie, gdzie poszły pierwsze uderzenia!. Muszę obejrzeć jego mieszkanie, zanim je rozbiorą na kawałki. Zobaczyć, jak ten sukinsyn żyje.

–Za pół miliona rocznie? Żyje sobie znakomicie. Wierz mi – odpaliła Kate. – Natomiast ty możesz być w bardzo kiepskim stanie. Człowiek nie umie się odbijać.

–Noo, tego... czarny człowiek umie. Musieliśmy się nauczyć tej sztuczki, żeby przetrwać. Spadamy na ziemię i od razu się odbijamy.

Kate w ogóle się nie roześmiała. Założyła ręce na piersi i odwróciła się do okna. Już drugi raz w ciągu kilku godzin była na mnie zła. To chyba znaczyło, że jej na

mnie zależy.

Wiedziała, że ma rację, i wcale nie zamierzała ustępować. Podobało mi się, że się tak o mnie martwi. Naprawdę byliśmy przyjaciółmi. Cóż za fantastyczny pomysł na życie dla mężczyzny i kobiety lat dziewięćdziesiątych. Kate McTiernan i ja zostaliśmy przyjaciółmi w chwili, gdy każde z nas bardzo tego potrzebowało. A teraz gromadziliśmy powoli, jakże niezbędny, bagaż wspólnych doświadczeń. Sporo już się tego zebrało.

–Fajnie, że jesteśmy kumplami – odezwałem się w końcu do Kate cichym, konspiracyjnym tonem. Nie bałem się mówić jej takich słodkich głupstewek, zupełnie jakbym rozmawiał z dziećmiakami.

Odpowiedziała nie odwracając się od okna. Nadal była wkurzona. I słusznie. Pewnie na to zasłużyłem.

–Jakbyś naprawdę był przyjacielem, tobyś mnie słuchał, kiedy tak strasznie się martwię i boję o ciebie. Parę godzin temu miałeś wypadek samochodowy. Zleciałeś jakieś trzydzieści metrów do stromego wąwozu, koleżko.

–Najpierw po drzewie.

Odwróciła się w końcu i wyprostowanym palcem wycelowwała w moje serce.

–Wielkie mi co. Alex, ty czarny uparciuchu, naprawdę się martwię o twój tyłek. I to tak, że aż mnie brzuch rozboleł.

–To najmiłsza rzecz jaką usłyszałem od miesiąca – odparłem. – Raz, jak mnie postrzelili, Sampson też się trochę przejął. Na jakieś półtorej minuty.

Wpatrywała się we mnie ponuro brązowymi oczami, tak że nie mogłem odwrócić wzroku.

–Pozwoliłam, żebyś mi pomógł w Karolinie Północnej. Zgodziłam się, żebyś mnie zahipnotyzował. Rany boskie, Alex, dlaczego nie chcesz, żebyśmy ja teraz pomogła tobie? Pozwól mi.

–Powoli do tego dojrzewam – powiedziałem. I nie było to kłamstwo. – Wiesz, w pewnych sprawach dotrzeć do takich policjantów – twardzieli to orka na ugorze. Jesteśmy uczuleni na punkcie radzenia sobie samemu. Klasyczne Zosie – samosie. I w większości przypadków bardzo to lubimy.

–Oj, daj już spokój z tym psychobelkotem, który w ogóle do ciebie nie pasuje. Zachowujesz się, jakbyś nie był sobą.

–Dzisiaj nie jestem. Miałem właśnie okropny wypadek.

I tak to szło między nami aż do końca lotu. Niedługo przed Los Angeles przysnąłem z głową na ramieniu Kate. Bez komplikacji. Bez obciążeń. Miło i sympatycznie.

## ROZDZIAŁ 72

Niestety noc była jeszcze młoda i prawdopodobnie wyjątkowo niebezpieczna dla wszystkich związanych ze sprawą. Kiedy dotarliśmy do apartamentu Rudolpha w Beverly Comstock, pełno tam już było policji z Los Angeles. I z Federalnego Biura Śledczego też. Policyjny dom wariatów.

Już kilka przecznic wcześniej widziało się błyski czerwono – niebieskich kogutów. Ci z LAPD mieli słuszne pretensje do FBI, że nie wtajemniczono ich w sprawę. Bardzo nieładny, bardzo polityczny, bardzo wybuchowy bajzel. Nie pierwszy to raz FBI zachowała się protekcjonalnie wobec miejscowej policji. Zdarzyło mi się to już w Waszyngtonie. I to niejednokrotnie.

Pospolite ruszenie dziennikarskie też stawilo się w pełnym składzie. Prasa, lokalna telewizja i radio, nawet jacyś producenci filmowi. Nie byłem z tego zadowolony, bo wielu z nich znało już Kate i mnie z widzenia.

Kiedy przechodziliśmy przez policyjne zapory, zarzucili nas pytaniami.

–Kate, tylko chwila!

–Kate, zlituj się!

–Doktorze Cross, czy Rudolph to Dzentelmen?

–Co poszło nie tak w Big Sur?

–Czy to mieszkanie mordercy?

–Na razie bez komentarza – oznajmiłem nie podnosząc głowy i nie patrząc na nich.

–Ja też – dodała Kate.

Policjanci wpuścili nas do mieszkania Dzentelmena. We wszystkich pokojach luksusowego apartamentu kręcili się ludzie z ekipy technicznej. Nie wiem czemu,; ale detektywi z Los Angeles wydali mi się jacyś bystrzejsi, zgrabniejsi, bogatsi nawet niż gliny z innych miast.

Wystrój pokoju był raczej surowy, prawie jakby nikt tu nie mieszkał. Meble głównie skórzane, ale z marmurowymi i chromowanymi dodatkami. Wszystko kanciaste, żadnych krzywizn. Na ścianach nowoczesne, nieco przygnębiające w wyrazie malarstwo. Naśladowcy Jacksona Pollocka i Marka Rothko, coś w tym stylu. Wyglądało to wszystko jak muzeum – ale z wieloma lustrami i połyskliwymi powierzchniami.

Niektóre szczegóły były interesujące, mogły się okazać cennymi wskazówkami. Odnotowywałem wszystko. Zapisywałem. Zapamiętywałem.

W kredensie, w stołowym pokoju trzymał srebra wysokiej próby, porcelanę, prawdziwą kamionkę, drogie Iniane obrusy. Dzentelmen wiedział, jak nakrywać do stołu.

Na biurku firmowy papier listowy i koperty z eleganckim, srebrnym obrzeżem. Dzentelmen w każdym calu.

Na kuchennym stole egzemplarz „Kieszonkowej encyklopedii win” Hugh’a Johnsona.

Wśród tuzina drogich garniturów wisiały dwa smokingi. Szafa na garnitury była mała, wąska i och – jaka – schludna. Bardziej relikwiarz na ubrania niż szafa.

**Nasz dziwny, dziwny Dżentelmen.**

**Po mniej więcej godzinie takiego zwiedzania wróciłem do Kate. Przeczytałem już raporty miejscowych detektywów. Rozmawiałem z większością techników, ale na razie nie mieli nic specjalnego. Wszystkim wydawało się to niemożliwe. Z komendy miasta przywieziono najnowszy, laserowy sprzęt, Rudolph musiał gdzieś zostawić jakieś ślady. Ale nie zostawił! Jak dotąd było to jego największe podobieństwo do Casanovy.**

**–I co u ciebie? – spytałem Kate. – Obawiam się, i przez ostatnią godzinę byłem pogrążony we własnym świecie.**

**Staliśmy przy oknie wychodzącym na Wilshire Boulevard, a także na pole golfowe Los Angeles Country Club. W głębi ulicy stała jasno oświetlona tablica reklamowa z kontrowersyjnym plakatem Calvina Kleina. Przedstawiał nagą modelkę, leżącą na kanapie. Wyglądała na czternaście lat. OBSESSION, głosił napis. DLA PANÓW.**

**–Złapałam już drugi czy nawet trzeci oddech – odpowiedziała. – Cały świat wydał mi się nagle ohydny koszmarem. Znaleźli coś w ogóle?**

**Pokręciłem głową patrząc na nasze sylwetki odbite w ciemnej szybie.**

**–Oszaleć można. Rudolph też popełnia zbrodnie doskonale. Technicy mogliby dopasować jakąś nitkę z jego ubrań do znalezionych na miejscu jednej czy drugiej zbrodni, ale on jest niewiarygodnie ostrożny. Sądzę, że zna się na problematyce dowodów rzeczowych.**

**–Jest już na ten temat sporo literatury, prawda? Większość lekarzy bardzo dobrze przyswaja taką techniczną wiedzę, Alex.**

**Skinąłem głową na potwierdzenie jej słów. Też bym w ten sposób rozumował. Kate miała zadatki na detektywa. Wyglądała na zmęczoną. Ciekaw byłem, czy po mnie widać, jaki jestem wykończony.**

**–Nawet nie zaczynaj – zdobyłem się na uśmiech, uprzedzając ją.**

**–Nie idę do żadnego szpitala. Ale na dziś chyba tu skończyliśmy. Zgubiliśmy go, cholera jasna, zgubiliśmy ich obu.**

## ROZDZIAŁ 73

Opuściliśmy mieszkanie doktora Willa Rudolpha tuż po drugiej w nocy. Słaniałem się na nogach. Kate tak samo. Wymyśliliśmy dla siebie nazwę – „bracia sinialscy”. Oboje nieźle oberwaliśmy.

Oslabienie, wyczerpanie fizyczne, możliwe obrażenia wewnętrzne. Nie pamiętałem, żebym kiedykolwiek w życiu czuł się równie fatalnie. Gdy tylko dotarliśmy do Holiday Inn na Sunset, padliśmy na łóżko w pierwszym z naszych pokoi.

–Jak się czujesz? Nie wyglądasz mi za dobrze. – Należało się spodziewać, że Kate znów zacznie nadawać swoją reklamówkę Spółdzielni Lekarskiej McTiernan. Trzeba przyznać, że miała dar przekonywania. Marszczyła przy tym czoło, przez co wydawała się bardzo mądra i uczona.

–Nie umieram jeszcze. Jestem tylko śmiertelnie zmęczony – jęknąłem, opuszczając się ostrożnie na brzeg wygodnego łóżka. – Po prostu kolejny, ciężki dzień w biurze.

–Jaki ty jesteś cholernie uparty, Alex. Twardy glina ze stolicy. W porządku, sama cię w takim razie zbadam. Tylko nie próbuj mnie powstrzymywać, bo ci złamię rękę; a potrafię to zrobić.

Wyciągnęła z podróźnej torby słuchawki i ciśnieniomierz. Odpowiedzi „nie”, „nie ma mowy” i „w żadnym wypadku” nie wchodziły w grę.

Westchnąłem ciężko.

–Nie będę teraz przechodził żadnych badań lekarskich, a już na pewno nie tutaj – oświadczyłem z całą mocą, na jaką mogłem się w tych warunkach zdobyć.

–Już takich widziałam. – Kate wywróciła oczami i zrobiła srogą minę. A potem się uśmiechnęła. Właściwie to się roześmiała. Lekarz z poczuciem humoru. Wyobraźcie sobie.

–Zdejmuj pan koszulę, detektywie Cross – powiedziała. – Nie psuj mi dnia. Nocy właściwie.

Zacząłem ściągać koszulę przez głowę. Na wpół jęcząc, na wpół krzycząc. Już samo to bolało jak wszyscy diabli. Może naprawdę byłem poważnie ranny.

–O, jaki świeżutki i ogolony – stwierdziła doktor McTiernan ze złośliwym uśmiechem. – Nie może nawet zdjąć koszuli.

Pochyliła się nade mną nisko, bardzo nisko i słuchała mego oddechu przez stetoskop. A ja słyszałem jej oddech bez żadnych urządzeń. Miło było czuć jej serce bijące tak blisko.

Obmacała moją łopatkę. Potem poruszała ramieniem, w tę i z powrotem, i to zabolowało mnie. Może oberwałem mocniej, niż mi się zdawało. A może, co bardziej prawdopodobne, nie były to delikatne pieszczoty tylko badanie.

Zaczęła uciskać brzuch i żebra. Zobaczyłem gwiazdy w oczach, ale nawet nie pisnąłem.

–Czy to boli w ogóle? – spytała. Jak lekarz pacjenta. Obojętnie, profesjonalnie.

–Nie. Może. Tak, trochę. No, teraz bardziej. Au! Nie tak bardzo. Auu!

–Dać się przejechać przez pociąg to nie jest najlepszy sposób na utrzymanie ciała

ludzkiego w doskonałej, sportowej formie – powiedziała. Znowu dotknęła żeber, tym razem łagodniej.

–Nie było tego w planie – próbowałem się bronić.

–A co było w planie?

–Przemknęło mi przez głowę tam, w Big Sur, że może on wie, gdzie jest Naomi, i że nie mogę dać mu uciec. Mój najważniejszy cel to znaleźć Naomi. W tej chwili też.

–Kate badała teraz moją klatkę piersiową obiema dłońmi. Naciskała, ale niezbyt mocno. Zapytała, czy mnie boli, gdy nabieram powietrza.

–Prawdę mówiąc, dosyć mi się podoba ta część badania – oznajmiłem. –

Przyjemny masz dotyk.

–Aha. Teraz spodnie, Alex. Możesz zostać w majtkach, jeżeli tak wolisz. – W jej głosie zabrzmiał znajomy, przeciągły ton.

–W majtkach? – wyszczerzyłem się.

–W slipkach. W męskiej bieliźnie z reklamy w *Gentlemen's Quarterly*. Czy co tam dziś masz na sobie. No, pokazuj towar, Alex. Chcę zobaczyć trochę skóry.

–Najwyraźniej sprawia ci to wszystko cholerną radochę – stwierdziłem. Nagle zupełnie otrzeźwiałem. Podobał mi się sposób, w jaki mnie dotykała. Bardzo mi się podobał. Znowu zaiskrzyło, ale teraz trochę inaczej.

Ściągnąłem spodnie. Nie byłem w stanie dosięgnąć skarpetek.

–Mmm. Nie tak źle w sumie – wygłosiła opinię o tym czy owym. Zaczęło mi się robić nieznośnie gorąco w tych okolicznościach.

Kate ucisnęła mi lekko biodro, potem miednicę. Poprosiła, bym podnosił powoli wyprostowane nogi, podczas gdy ona trzymała mnie mocno w stawach biodrowych. Bardzo ostrożnie obmacała nogi, od pachwin aż do stóp. To też było miłe.

–Liczne obtarcia – powiedziała. – Szkoda, że nie mam pod ręką choć odrobiny bacitracyny w maści. To antybiotyk.

–Właśnie też o tym myślałem.

W końcu Kate przestała badać i uciskać, i odsunęła się ode mnie. Zmarszczyła brwi i nos, zagryzła górną wargę. Wyglądała profesjonalnie jak sam naczelny lekarz kraju.

–Ciśnienie masz troszkę za wysokie, tak na granicy. Ale chyba niczego sobie nie połamałeś – oświadczyła. – Nie podobają mi się przebarwienia na brzuchu i lewym biodrze. Jutro będziesz obolały i połamany. Pójdziemy do Cedars – Sinai i zrobimy parę rentgenów. Urnowa stoi?

Właściwie po badaniu Kate i jej oświadczeniu, że nie zejdem nagle podczas snu, poczułem się lepiej.

–Tak. Nie możemy przecież kończyć dnia bez którejś z tych naszych umów – odparłem. – Dziękuję za badanie, pani doktor... dzięki, Kate.

–Proszę bardzo. To dla mnie zaszczyt – uśmiechnęła się w końcu. – Wyglądasz jak Muhammad Ali, wiesz? Wielki Ali.

Już mi to mówiono.

–W jego szczytowej formie – zażartowałem. – I tańczę jak motylek.

–Niewątpliwie. A ja żądlę jak pszczoła – znów mrugnęła marszcząc jednocześnie

nos. Lubilem ten jej tik.

Kate wyciągnęła się na łóżku. Byłem tuż obok. Blisko, ale nie na tyle by jej dotykać. Co najmniej trzydzieści centymetrów od niej. Czułem się dziwnie, ale dobrze. Już zacząłem tęsknić za dotykiem jej dłoni.

Przez minutę czy dłużej leżeliśmy w milczeniu. Spojrzałem na nią. Może więcej niż spojrzałem. Miała na sobie czarną spódniczkę, czarne rajstopy i czerwoną wiązaną w pasie bluzkę. Sińce już znikwały z jej twarzy. Ciekaw byłem co z resztą ciała. Stłumiłem westchnienie.

–Nie jestem Królową Śniegu – powiedziała cicho. – Jestem normalna jak każdy, wierz mi. Skora do wygłupów, do zabawy, czasem lekko zwariowana. Przynajmniej taka byłam miesiąc temu.

Zaskoczyło mnie, że Kate sądziła, iż mógłbym tak o niej pomyśleć. Uważałem, że jest ciepła i współczująca.

–Jesteś naprawdę wspaniała, Kate. Prawdę mówiąc, strasznie cię lubię. – Wydusiłem to wreszcie. Ale chyba i tak nie do końca.

Pocałowaliśmy się delikatnie. Króciutko. Przyjemny był dotyk jej warg. Pocałowaliśmy się jeszcze raz, jakby dla udowodnienia, że ten pierwszy pocałunek nie był pomyłką. Albo że był.

Mógłbym ją tak całować całą noc, ale odsunęliśmy się powoli od siebie. To i tak było chyba więcej, niż każde z nas mogło w tej chwili spokojnie znieść.

–Czy podziwiasz moją samokontrolę? – spytała Kate z uśmiechem.

–I tak, i nie.

Włożyłem z powrotem swoją włosiennicę. Wymagało to pewnego wysiłku i powodowało piekielny ból. Jednak pójdę jutro na ten rentgen. Kate zaczęła płakać i ukryła twarz w poduszce. Odwróciłem się do niej i położyłem dłoń na ramieniu.

–Hej. Co ci jest?

–Przepraszam. Odstrzel mnie – szepnęła, próbując powstrzymać łzy. – Po prostu... ja wiem, że tego po mnie najczęściej nie widać, ale trochę mi odbija. Tyle widziałam tych okropieństw... Czy ta sprawa jest tak samo straszna jak te porwania dzieci w D.C.?

Trzymałem ją lekko w ramionach. Nie widziałem u niej dotąd takiej słabości, w każdym razie nigdy aż tak otwarcie jej nie okazywała. Nagle całe napięcie między nami jakby zelżało.

–Ta sprawa jest najgorsza ze wszystkich, jakie widziałem – szeptałem w jej włosy. – Jest najgorsza przez to, co się stało z Naomi i co się stało z tobą. Chcę go dorwać bardziej, niż chciałem Gary Soneji'ego. Chcę dorwać obie te bestie.

–Kiedy byłem małą dziewczynką – mówiła Kate, wciąż szepem – i uczyłam się dopiero mówić, miałam chyba cztery lata. – Uśmiechnęła się widząc, że przesadziła. – No nie, chyba dwa. I kiedy było zimno, a chciałam, żeby mnie ktoś wziął na ręce i przytulił, mówiłam: „wezimno”. To znaczy weź mnie, zimno mi. Wezimno, Alex.

–Przyjaciel nie odmawia – szepnąłem w odpowiedzi. Przytuliliśmy się do siebie i jeszcze trochę pocałowaliśmy, aż w końcu zapadliśmy w sen. Zbawczy sen.

Obudziłem się pierwszy. Hotelowy zegar pokazywał 5.11 rano.

**-Śpisz, Kate? – spytałem cicho. – Mmm hmm. Teraz już nie.**

**-Jedziemy z powrotem do mieszkania Dżentelmena – powiedziałem. Zadzwoiłem tam, żeby uprzedzić o naszym przybyciu, i zamieniłem parę słów z szefem zespołu FBI. Wytłumaczyłem mu, gdzie ma szukać i co może znaleźć.**



## ROZDZIAŁ 74

Starannie utrzymane mieszkanie doktora Willa Rudolpha przestało właściwie istnieć w swej pierwotnej formie. Trzypokojowy apartament wyglądał teraz jak laboratorium kryminalistyczne najnowszej generacji. Przyjechaliśmy tam z Kate parę minut po szóstej. Bardzo byłem podniecony swoim podejrzeniem.

–Miałeś jakiś sen o Dzentelmenie czy co? – chciała wiedzieć Kate. – Skąd ci się wziął ten pomysł?

–Aha. Przetwarzałem we śnie informacje. Już są przetworzone.

Na miejscu nadal pracowało kilku techników z FBI i z wydziału zabójstw policji miejskiej. Z radia leciała najnowsza płyta Pearl Jam. Wokalistę chyba coś straszliwie bolało. Szerokoekranowy telewizor mitsubishi Rudolpha był włączony, ale ze ściszym dźwiękiem. Jeden z techników zajadał z zatłuszczonego papieru kanapkę z jajkiem.

Ruszyłem na poszukiwanie agenta Phila Bectona, specjalisty od sylwetek psychologicznych z FBI. Ważnego Człowieka. Sprowadzili go specjalnie z Seattle; miał poskładać do kupy wszystkie dostępne informacje na temat Rudolpha, a potem porównać je z danymi na temat innych znanych psychopatów. Sylwetkowiec, jeżeli jest naprawdę dobry, może okazać się nieoceniony dla takiego jak nasze dochodzenia. Słyszałem od Kyle Craiga, że Becton jest „przeraźliwie dobry”. Zanim przeszedł do Biura, wykładał socjologię w Stanford.

–Obudził się pan już? Gotów na spotkanie? – zapytał Becton, gdy go w końcu znalazłem w sypialni pana domu. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt plus parę centymetrów wełnistej rudej czupryny. Sypialnia zasypana była plastikowymi torebkami i szarymi kopertami na dowody rzeczowe. Becton miał na nosie jedne okulary, a drugie dyndały mu na łańcuszku u szyi.

–Nie jestem pewien, czy się obudziłem – powiedziałem. – To jest doktor Kate McTiernan.

–Miło mi panią poznać. – Becton podał Kate rękę, jednocześnie studiując jej twarz. Stanowiła dla niego zbiór danych. Był przedziwnym człowiekiem, w sam raz do tej roboty. – Popatrzcie na to – powiedział, wskazując na drugą stronę pokoju. FBI rozebrało już na kawałki szafę na garnitury Dzentelmena. – Trafił pan w dychę. Znaleźliśmy fałszywą ściankę, którą pan doktor Rudolph Hess zbudował sobie w tej płyciutkiej szafie. Z tyłu jest jakieś czterdzieści pięć centymetrów dodatkowej przestrzeni.

Jego szafa na ubrania jest jakaś dziwnie płytka. Przyszło mi to do głowy w tym stanie dziwnego zawieszenia między snem a jawą. Szafa to jego skrytka. Sanktuarium, ale nie na drogie garnitury.

–Trzymał tam te swoje pamiątki? – domyśliłem się mądrze.

–A jak. Malutka zamrażarka. Gromadził w niej swoją kolekcję. – Becton wskazał zapieczętowane pojemniki z stopami, palcami i uszami.

–Było coś jeszcze w tej kolekcji? – spytałem Phila Bectona. Nie spieszyło mi się do oglądania trofeów z polowań na dziewczęta w L.A.

–Jak pan już pewnie wie z opisów miejsc zbrodni, lubi też zbierać ich bieliznę.

Świeżo zdjęte majteczki, biustonosze, rajstopy, podkoszulki z napisem: OSZOŁOMIONA I ZAWSTYDZONA, jeszcze pachnące perfumami. Ma też trochę zdjęć, kilka pukli kasztanowych włosów. Jaki on porządniczy. Każdy okaz w osobnym plastikowym woreczku. Mają nalepki z numerkami. Od numeru 1 do 31.

–Zatrzymują zapachy – mruknąłem. – Te woreczki.

Becton skinął głową i wyszczerzył się przy tym w głupawym uśmiechu jak gamoniowaty nastolatek. Kate popatrzyła na nas, jakbyśmy obaj byli z lekka stuknięci; zresztą byliśmy.

–Ale jest jeszcze coś, co powinniście zobaczyć – oznajmił ekspert. – To dopiero wam się spodoba. Chodźcie do mojego biura.

Na prostym drewnianym stole przy łóżku leżały niektóre ze skarbów i pamiątek Dżentelmena. Większość jego rzeczy osobistych została już oznakowana. Schwywanie świetnie zorganizowanego mordercy wymaga świetnie zorganizowanej ekipy specjalnej.

„Przeraźliwie dobry” Phil Becton opróżnił jedną z kopert z jej zawartości. Była to fotografia. Przedstawiała mężczyznę, w wieku dwudziestu paru lat. Stan zdjęcia jak i ubiór mężczyzny świadczyły o tym, że wykonano je wiele lat temu. Na moje oko osiem do dziesięciu.

Aż mi się włosy na karku podniosły. Odchrząknąłem.

–No i kto to ma być?

–Czy zna pani tego mężczyznę, doktor McTiernan? – Becton zwrócił się do Kate.  
– Widziała go pani kiedykolwiek?

–Ja... nie wiem – odpowiedziała. Przełknęła z wysiłkiem ślinę. W sypialni Dżentelmena zaległa cisza. Na zewnątrz, na ulicach Los Angeles podnosił się nad miastem pomarańczowoczerwony blask poranka.

Becton podał mi metalowe szczypce, które trzymał w kieszonce na piersi.

–Niech pan to odwróci. Tam są wszystkie dane biograficzne. Jak na tych kartach ze zdjęciami baseballistów, które się zbierało w dzieciństwie. W każdym razie w Portland się je zbierało.

Becton wyglądał mi na takiego, co zebrał w życiu dużo więcej niż tylko karty baseballowe. Ostrożnie odwróciłem zdjęcie.

Z drugiej strony widniała ręcznie wykaligrafowana legenda. Nana Mama opisywała w podobny sposób stare zdjęcia w domu. „Czasem się zapomina, kto to jest Alex. Po wielu latach nawet nie wiesz, kto stoi koło ciebie na zdjęciu”, mówiła. „Nie wierzysz mi, ale się kiedyś przekonasz”.

Nie podejrzewałem, żeby Will Rudolph miał zapomnieć, kogo przedstawia zdjęcie, ale mimo wszystko je opisał. Trochę mi się kręciło w głowie. Wreszcie naprawdę przełomowy trop w sprawie. Trzymałem go tuż przed nosem, w kryminalistycznych szczypcach.

Dr Wiek Sachs, głosił odręczny napis na fotografii.

Lekarz, pomyślałem. Jeszcze jeden lekarz. Coś podobnego.

Durham, Karolina Północna, czytałem dalej.

Pochodził z Trójkąta Uczelnianego. Z Południa.

**Casanova, napisał Rudolph pod spodem.**

## ROZDZIAŁ 75

Naomi Cross obudził ryk rocka wydobywający się z głośników w ścianie. Poznała grupę Black Crowes. Światło pod sufitem zapalało się i gasło. Wyskoczyła z łóżka, błyskawicznie wciągnęła na siebie wygniecione džinsy i golf, i podbiegła do drzwi pokoju.

Głośna muzyka i migające światło oznaczały zebranie. Stało się coś strasznego, przemknęło jej przez głowę. Serce miała w gardle.

Casanova otworzył drzwi kopniakiem. Miał na sobie obcisłe džinsy, wysokie buty i czarną skórzaną kurtkę. Maskę pomalował tym razem w kredowobiałe, podobne do błyskawic zygzaki. Był w amoku. Naomi nie widziała go jeszcze tak wściekłego.

–Do salonu! Już! – wrzasnął i chwycił ją za ramię, wyciągając z pokoju. Pod bosymi stopami czuła wilgotną i zimną podłogę korytarza. Zapomniała włożyć sandały. Już za późno, by po nie wracać.

Zrównała się z inną młodą kobietą. Szły niemal obok siebie. Zaskoczyło ją, gdy dziewczyna odwróciła szybko głowę i spojrzała jej w twarz. Miała duże ciemnozielone oczy. Naomi od razu nazwała ją w myślach Zielonooka.

–Jestem Kristen Miles – rzuciła tamta szeptem. – Musimy coś zrobić, jakoś sobie pomóc. Trzeba zaryzykować. I to szybko.

Naomi nie odpowiedziała, tylko wysunęła dłoń i musnęła rękę Zielonookiej.

Wszelkie kontakty były zakazane, ale w tym momencie czuła, że samo dotknięcie drugiej istoty w tym strasliwym więzieniu może bardzo pomóc. Naomi spojrzała tamtej w oczy i zobaczyła w nich bunt. Nie strach. To ją podniosło na duchu. Obie jakoś się jeszcze trzymały.

Inne więźniarki sunące w ciszy korytarza w kierunku salonu rzucały ku Naomi ukradkowe spojrzenia. W umęczonych, podkrążonych oczach miały pustkę. Niektóre już się nawet nie malowały i ich wygląd przeraził dziewczynę. Odkąd Kate McTiernan jakoś udało się uciec, robiło się z każdym dniem coraz gorzej.

Casanova sprowadził do katowni nową dziewczynę, Annę Miller. Anna nie przestrzegała regulaminu, tak jak Kate. Naomi słyszała jej wołanie o pomoc i Casanova też pewnie słyszał. Trudno było się zorientować, kiedy jest, a kiedy go nie ma. Miał dziwny rozkład dnia.

Ostatnio zostawiał je same na coraz dłuższe okresy. Nie miał zamiaru ich uwolnić, to tylko kolejne z jego kłamstw. Naomi była przekonana, że grozi im wszystkim coraz większe niebezpieczeństwo.

Czuła w atmosferze coś rozpaczliwego. Słyszała przed sobą okrzyki przerażenia, ale starała się opanować wzbierającą w niej samej falę paniki. Wychowała się w blokach Waszyngtonu. Widziała już rzeczy straszne. Zanim skończyła szesnaście lat, dwie z jej koleżanek zostały zamordowane.

A potem usłyszała jego głos. Mówił dziwnie podniesionym tonem. Szaleniec.

–Wchodźcie, panie. Nie krępujcie się. Nie stójcie w drzwiach! Chodźcie, chodźcie. Zapraszam na nasz wieczorek taneczny.

Casanova przekrzykiwał łomot erotycznego rock and rolla, dudniącego we wszystkich pomieszczeniach. Naomi przymknęła na moment oczy. Usiłowała się

**jakoś pozbierać. Cokolwiek to jest, nie chcę tego oglądać, ale muszę, przekonywała samą siebie.**

**Weszła w końcu do środka. Jej ciało zaczęło drżeć. To było gorsze od wszystkiego, co widziała w blokach. Musiała przycisnąć pięść do ust, by powstrzymać się od krzyku.**

**Pod belkami sufitu, kręcąc się leniwie w kółko wisiało smukłe, prawie nagie ciało kobiety, jedynie w srebrzystoblękitnych pończochach.**

**To musi być ta Anna, domyśliła się Naomi. Ta co wzywała pomocy. Złamała regulamin. Krzyczała, że nazywa się Anna Miller. Nieszczęsna Anna. Kimkolwiek byłaś, zanim cię porwał.**

**Casanova wyłączył muzykę i przemówił zza maski spokojnym tonem, jakby nic się w ogóle nie wydarzyło.**

**–Nazywa się Anna Miller i sama to sobie zrobiła. Rozumiecie wszystkie co mówię? Knęła spisek przez ścianę, gadała o ucieczce. Stąd nie ma uciezki!**

**Naomi wzdrygnęła się. Nie, z piekła nie ma uciezki, pomyślała. Zerknęła na Zielonooką i skinęła głową. Tak, trzeba będzie zaryzykować, i to szybko.**

## ROZDZIAŁ 76

Dżentelmen zrobił popas w Stoneman Lakę w Arizonie, żeby zagrać. Poranek był na to wprost wymarzony. Rześki i chłodny, z unoszącą się w powietrzu wonią płonących polan.

Usadowił się między głazami w lesie, na skraju polnej drogi. Nikt go nie mógł zobaczyć. Siedział tam i przemyślał, co począć dalej, obserwując spod w półprzymkniętych powiek przytulny, biały domek. Czuł, że bestia znów przejmuje nad nim władanie. Ta przemiana. Ta dziwna namiętność, która jej towarzyszy, Doktor Jekyll i Mister Hyde.

Z domu wyszedł mężczyzna i wsiadł do srebrnego forda aerostara. Mąż, spieszący się do pracy, pewnie już spóźniony. Żona została sama, może jeszcze w łóżku. Nazywała się Juliette Montgomery.

Zaraz po ósmej Dżentelmen wziął pusty kanister i poszedł w stronę budynku. Gdyby kogoś spotkał, zawsze może powiedzieć, że zabrakło mu benzyny w wynajętym samochodzie.

Nie spotkał nikogo. Prawdopodobnie w obrębie kilku kilometrów nikt nie mieszkał.

Dżentelmen wszedł na frontowe schody. Zatrzymał się na moment, po czym delikatnie obrócił klamkę. Niesłychane, ludzie w Stoneman Lakę w ogóle nie zamykali domów.

Boże, jakże kochał te chwile... żył dla nich... dla Mister Hyde'a.

Juliette akurat robiła sobie śniadanie. Skradając się przez salon słyszał, jak na wpół mruczy, na wpół podśpiewuje pod nosem. Zapach i skwierczenie bekonu przywiodły mu na myśl jego własny dom w Asheville.

Jego ojciec był prawdziwym dżentelmenem. Pułkownikiem armii amerykańskiej, pełnym dumy i arogancji z powodu swego stanowiska. Sztywniackim dupkiem, który nigdy nie okazał zadowolenia z tego, co robi jego syn. Wielbicielem grubego, skórzanego pasa jako narzędzia zaprowadzania dyscypliny. Tłukł go na kwaśne jabłko, drąc się przy tym wniebogłosy. Wychował syna doskonałego. Wzorowego ucznia i wybitnego sportowca. Członka Phi Beta Kappa już od pierwszych lat studiów. Obsypanego wyróżnieniami absolwenta medycyny na Duke. Potwora w ludzkiej skórze.

Dżentelmen przyglądał się Juliette Montgomery stojąc w wejściu do jej nieskazitelnie czystej kuchni. Żaluzje były podciągnięte i całe wnętrze zaalało światło słoneczne. Nadal sobie podśpiewywała – stary utwór Jimiego Hendrixa „Castles made of Sand”. Nietypowa piosenka w ustach tak ładnej kobiety.

Strasznie mu się podobało to patrzenie na nią – taką nieświadomą tego, że nie jest sama. Nucącą coś, co pewnie wstydziłaby się zaśpiewać w jego obecności. Starannie układającą trzy paski bekonu na papierowym ręczniku o kolorze dobranym do beżowo – brązowych tapet kuchennych.

Juliette miała na sobie przezroczystą, bawełnianą koszulę nocną, która owijała się wokół jej ud, gdy krążyła między piecykiem i stołem. Miała około dwudziestu pięciu lat. Długie nogi tancerki. Ładnie opalona. Bose stopy na linoleum. Kasztanowe włosy wyszczotkowała już, zanim zabrała się do śniadania.

Na kuchennym blacie stał komplet noży osadzonych w drewnianym kłocu. Wybrał tasak. Nóż zadzwonił lekko, gdy zawadził nim niechcący o stojący obok stalowy czajnik.

Odwróciła się. Śliczny profil. Świeżo wymyta, promienna twarz. Juliette też się sobie podobała. To było widać.

–Kim pan jest? Co pan robi w moim domu?

Wyrzucała słowa na przerywanym oddechu. Twarz jej pobladła.

Teraz się ruszaj, polecił sobie w umyśli.

Chwycił Juliette i uniósł wysoko tasak. Cienie „Psychozy” Hitchcocka; „Szał” też. Wymyślny melodramat.

–Nie zmuszaj mnie, bym cię zranił. Wszystko zależy od ciebie – powiedział łagodnie.

Powstrzymała krzyk, który już miał się wydobyć z jej ust, ale krzyczały wciąż jej oczy. Kochał to przerażenie na twarzy Juliette. Coś, dla czego warto żyć.

–Nie zrobię ci krzywdy, jeśli tylko ty nie będziesz próbowała zrobić jej mnie. Rozumiemy się do tego miejsca? Jasne jak słońce?

Skinęła posłusznie głową, kilka razy. Oczy miała dziwnie wywrócone ku górze. Bała się zbyt gwałtownie poruszyć głową żeby jej nie podciął gardła.

Westchnęła. Zadziwiająca. Jakby mu trochę ufała. To jego głos tak działał na ludzi. Jego styl i wykwintne maniery. Mister Hyde. Dżentelmen.

Patrzyła mu głęboko w oczy, szukając w nich jakiegoś wyjaśnienia. Widział to pytające spojrzenie już tyle razy przedtem. Dlaczego? – mówiło.

–Teraz zdejmę ci majtki. Bez wątpienia robiono to już przedtem, więc nie ma się czego bać. Masz taką gładką, przyjemną skórę. Naprawdę – mówił Dżentelmen.

Szybkie cięcie tasakiem.

–Lubię cię, Juliette, naprawdę cię lubię... jeśli potrafię lubić kogokolwiek – powiedział swym najłagodniejszym tonem.

## ROZDZIAŁ 77

Kate McTiernan wróciła do domu. Wróciła do domu, wróciła do domu, hopsasa. Najpierw zadzwoniła do siostry, Carole Annę, która mieszkała teraz w Maine. Potem do kilku najbliższych przyjaciół w Chapel Hill. Upewniła ich, że ma się znakomicie.

Co było oczywiście kompletną bzdurą. Wiedziała, że nie ma się nawet jako – tako, ale po co ich martwić. To nie w stylu Kate obciążać innych własnymi, nierozwiązywalnymi problemami.

Alex nie chciał się zgodzić na jej powrót do starego mieszkania, ale musiała to zrobić. Przecież tutaj mieszka. Usiłowała się jakoś rozluźnić, uspokoić choć trochę ten wielki, zły świat krążący w jej głowie. Piła białe wino, oglądała do nocy telewizję. Nie robiła tego od lat. Od wieków!

Czuła, że tęskni już za Alexem Crossem i to bardziej, niżby to chciała przyznać. Siedzenie w domu i oglądanie telewizji to dobry sprawdzian, lecz zdawała go z kiepskim skutkiem. Ależ była czasem durna.

Czyżby się skrycie podkochiwała w Aleksie? Jak uczennica w nauczycielu? Był silny, inteligentny, zabawny, miły. Kochał dzieci i potrafił zachować coś z dziecka w sobie samym. A do tego miał wspaniałe, rzeźbione ciało, rewelacyjny tors i w ogóle był bajecznie zbudowany. Tak, chyba się w nim podkochiwała.

To zrozumiałe i miłe. Tyle że to chyba coś więcej niż podkochiwanie. Miała ochotę zadzwonić do jego hotelu w Durham. Już parę razy podnosiła słuchawkę. Nie! Nie pozwoli sobie na coś takiego. Między nią i Alexem Crossem do niczego nie dojdzie.

Ona miała swój staż do odrobienia i wcale nie ubywało jej lat. On mieszkał w Waszyngtonie z dwójką dzieci i babcią. A pomijając już wszystko, byli zbyt do siebie podobni; i tak nic by z tego nie wyszło. Oboje zanadto uparci. Był detektywem od zabójstw... ale także wrażliwym, wielkodusznym i seksownym mężczyzną. Mało ją obchodziło, czy jest czarny, zielony czy purpurowy. Potrafił ją rozśmieszyć, sprawić, że czuła się szczęśliwa jak ryba w wodzie.

Ale między nią i Alexem do niczego nie dojdzie.

Będzie tak siedzieć w tym strasznym mieszkaniu, popijać tani pinot noir i oglądać kiepski, pseudoromantyczny hollywoodzki film. Będzie wystraszone i troszkę napalona. I pozwoli, żeby zrobiło się jeszcze gorzej. Tak właśnie robi, niech to szlag. Ukształtuje sobie charakter.

Musiała przyznać, że jednak boi się przebywać we własnym mieszkaniu. Nienawidziła tego uczucia. Tak bardzo pragnęła, żeby całe to zasrane wariactwo się skończyło, ale nic z tego. Ani, ani. Dwie przerażające bestie grasowały na wolności.

Wciąż słyszała w całym domu dźwięki jeżące włosy na głowie. Skrzyp starych desek. Łomot okiennic. Dzwonki wiatrowe, które sama powiesiła na starym wiązce na podwórzu. Te dzwonki przywodziły jej na myśl domek w Big Sur. Jutro musi je zdjąć, jeśli nie zaraz.

Kate zasnęła wreszcie z kieliszkiem wina na podolku, a właściwie ze starą szklanką po domowej musztardzie. Ta szklanka była prawdziwą relikwią z ich domu w Wirginii Zachodniej. Nieraz walczyła o nią z siostrami przy śniadaniu.

Teraz wypadła jej z dłoni i wino wylało się na kołdrę. Nieważne. Kate umarła dla



świata. Przynajmniej na tę jedną noc.

Nigdy nie piła wiele. Pinot noir rąbnął ją niczym pociąg towarowy, który: przetaczał się przez Buck, gdy była dzieckiem. Obudziła się o trzeciej nad ranem, z pulsującym bólem w skroniach. Pobiegła do łazienki i zwymiotowała.

Kiedy pochylała się nad zlewem, przez głowę przemknęły jej obrazy z „Psychozy”. Znowu przypomniła sobie odwiedziny Casanovy. Do łazienki też wchodził, prawda? Nie, no pewnie, że do łazienki nie... proszę, skończ już z tym. Skończ... z tym... natychmiast!

Wróciła do łóżka i wsunęła się pod kołdrę. Słyszała łomot okiennic poruszanych wiatrem. I te kretyńskie dzwonki. Myślała o śmierci – matka, Marjorie, Susanne, Kristin. Wszystkie nie żyją. Kate McTiernan naciągnęła koc na głowę. Czuła się znowu jak mała dziewczynka, bojąca się czarnego luda. Dobra, jakoś sobie z tym poradzi.

Kłopot polegał jednak na tym, że widziała Casanovę i jego straszliwą maskę śmierci za każdym razem, gdy zamknęła oczy. Gdzieś głęboko kielkowała w niej starannie ukrywana myśl: On znowu po mnie przyjdzie, prawda?

O siódmej rano zadzwonił telefon. To był Alex.

–Kate, byłem w jego domu – oznajmił.

## ROZDZIAŁ 78

Około dwudziestej drugiej tego wieczora, gdy wróciliśmy z Kalifornii, pojechałem do Hope Valley, willowej dzielnicy Durham. Pojechałem sam, żeby spotkać się z Casanową. Doktor detektyw Cross z powrotem w siodle.

Trzy poszlaki wydawały mi się jak dotąd kluczowe dla rozwiązania sprawy. Podsumowałem je kolejny raz w myślach podczas drogi. Po pierwsze, fakt, że obaj popełniali zbrodnie doskonałe. Po drugie, problem zbliźniaczenia, współzależności Dżentelmena i Casanovy. I wreszcie tajemnica znikającego domu.

Coś powinno wynikać z jednego z tych skrawków informacji; albo z nich wszystkich. Może się coś takiego wydarzy na przedmieściu Durham o nazwie Hope Valley – Dolina Nadziei. Miałem taką nadzieję.

Jechałem powoli Old Chapell Hill Road, aż dotarłem do oficjalnego wjazdu w dzielnicę wielkich rezydencji – bramy z białej cegły z dużym portalem. Czuję się, jakbym robił coś niestosownego, przekraczając tę bramę; może byłem pierwszym czarnym, który ją mijał nie mając na sobie roboczego ubrania.

Zdawałem sobie sprawę, że sporo ryzykuję, ale musiałem obejrzeć miejsce, w którym mieszkał doktor Wiek Sachs. Musiałem poznać go lepiej, poczuć go i to szybko.

Ulice w Hope Valley były bardzo kręte. Ta, którą jechałem, nie miała krawężników i rynsztoka, stało przy niej niewiele lamp. W tej nieprzyjemnie pagórkowatej okolicy zaczynałem mieć poczucie zagubienia, jakbym krążył po wielkiej pętli. Większość luksusowych rezydencji stanowiły stare domy zbudowane w stylu południowego pseudogotyku. Wrażenie, że w pobliżu mieszka morderca, jeszcze nigdy nie narzuciło mi się z taką siłą.

Doktor Wiek Sachs zajmował okazały dom z czerwonej cegły, położony na jednym z najwyższych wzgórz w głębi dzielnicy.

Dom miał biało pomalowane okiennice i rynny. Wyglądał stanowczo nie na kieszeń naukowca, nawet z takiej uczelni jak Duke, który nazywano „Harvardem Południa”.

Ciemne okna lśniły jak tabliczki łupku. Świeciła się tylko mosiężna lampa od powozu wisząca nad frontowymi drzwiami.

Wiedziałem już, że doktor Sachs ma żonę i dwoje małych dzieci. Jego żona była dyplomowaną pielęgniarką w Szpitalu Uniwersyteckim Duke. FBI sprawdziła jej referencje, miała znakomitą opinię i wszyscy wyrażali się o niej wyłącznie z uznaniem. Córeczka Sachsów, Faye Annę, miała siedem lat, a syn Nathan dziesięć.

Domyślałem się, że FBI prawdopodobnie obserwuje mnie, jak jadę do domu Sachsów, ale mało mnie to obchodziło. Ciekawe, czy był z nimi Kyle Craig... Bardzo się zaangażował w tę obrzydliwą sprawę, prawie tak mocno jak ja. Kyle także ukończył Duke. Czy on też traktuje to dochodzenie tak osobiście? Jak dalece?

Zlustrowałem bardzo powoli najpierw cały front domu, a następnie starannie utrzymany teren wokół. Panował tu wzorowy porządek. Piękno i perfekcja w każdym szczególe.

Przekonałem się już nieraz, że potwory w ludzkiej skórze mogą mieszkać

gdziekolwiek; najmyślniejsze wybierają właśnie typowe amerykańskie domy. Takie jak ten, przed którym stałem. Bestie są wszędzie. W Ameryce to już prawdziwa, wymykająca się spod kontroli epidemia. Statystyki są przerażające. Siedemdziesiąt pięć procent osobników polujących na ludzi mieszka w Ameryce. Reszta prawie w całości w Europie: Francji, Niemczech i Anglii, przede wszystkim w miasteczkach i wsiach.

Obejrzałem dokładnie cały dom z zewnątrz. Po południowo – wschodniej stronie miał tak zwany „Florida room”. Było tam patio wielkości salonu. Trawnik obsiano kostrzewą i starannie strzyżono. Żadnego mchu ani chwastów.

Wyłożona klinkierem dróżka od podjazdu była równiutka; w jej szparach nie znalazłoby się źdźbła trawy. Cegły ścieżki pasowały idealnie do cegieł budynku.

Perfekcyjny.

Skrupulatny.

Siedziałem w aucie, w głowie mi łomotało od nadmiaru napięcia i stresu. Nie wyłączałem silnika, na wypadek gdyby rodzina Sachsów wróciła nagle do domu.

Wiedziałem dokładnie, co chcę zrobić, co muszę zrobić, co planowałem zrobić od kilku już godzin. Włamać się do jego domu. Zastanawiałem się, czy ci z FBI nie będą próbowali mnie powstrzymać, ale chyba nie powinni. Podejrzywałem, że mogli wręcz pragnąć, bym się dostał do środka i rozejrzał. Wiedzieliśmy o doktorze Wicku Sachsie bardzo niewiele. Ja nadal pozostawałem poza oficjalnym polowaniem na Casanovę i mogłem próbować sposobów dla innych niedostępnych. Miałem być przecież wolnym strzelcem. Taki układ zawarłem z Kyle Craigiem.

Scotchie wciąż pozostawała uwięziona w nieznanym miejscu; modliłem się, żeby jeszcze żyła. Miałem nadzieję, że wszystkie zaginione kobiety jeszcze żyją. Jego harem. Jego odaliski. Jego kolekcja pięknych i niezwykłych kobiet.

Wyłączyłem silnik i, zanim wysiadłem z samochodu, odetchnąłem głęboko.

Przemierzyłem sprężysty trawnik szybkim krokiem, pochylony. Przypomniało mi się coś, co zwykł mawiać Satchel Paige: „Żeby się rozgrzać jak należy, trzeba się ruszać z nerwem”. Ruszałem się z nerwem.

Przed frontem domu rosły przystrzyżone krzaki bukszpanu i azalii. Pod gankiem leżał na ziemi czerwony dziecięcy rowerek ze srebrnymi chorągiewkami przy kierownicy.

Jak ładnie, pomyślałem przebiegając obok. Aż za ładnie.

Rowerek dziecka Casanovy.

Porządny, podmiejski dom Casanovy.

Perfekcyjne, fałszywe życie Casanovy. Zakamuflował się bezbłędnie. Zakpił sobie z nas wszystkich, potężnie i brzydko. Tu, w mieście Durham. Pokazał wała całemu światu.

Ostrożnie okrążyłem budynek w stronę patio, wyłożonego białymi kafelkami i obrzeżonego cegłą, taką jak w ścianach domu i na dróżce od frontu. Zauważyłem, że ściany tutaj zaatakował pnący bluszcz. Może jednak ta perfekcja miała jakieś braki.

Przeszedłem przez patio, kierując się do „Florida room”. Nie było teraz odwrotu. Zdarzało mi się już przedtem włamać czy wtargnąć do czyjegoś domu w imię

wyższych celów.

Wyłamałem małą szybkę w drzwiach i otworzyłem je. Nic. Żadnego dźwięku. Nie podejrzewałem zresztą, żeby Wiek Sachs chciał instalować system alarmowy. Wątpliwe, by życzył sobie policyjnego śledztwa w razie włamania.

Pierwszą rzeczą, jaką odnotowały moje zmysły, był intensywny, znajomy zapach cytrynowej politory do mebli. Ogólny szacunek. Uprzejmość. Porządek. Wszystko to fasada, świetnie pomyślana maska.

Byłem w domu potwora.

## ROZDZIAŁ 79

W środku było równie czysto i porządnie jak na zewnątrz. Może nawet bardziej. Ładnie, ładnie; aż za ładnie.

Nerwy i strach dawały o sobie znać, ale teraz to nieistotne. Przywykłem już do życia w niepewności i lęku. Przemieszczałem się ostrożnie z pokoju do pokoju. Wszystko poukładane na swoim miejscu, mimo dwojga dzieci w domu. Dziwne, dziwne, bardzo dziwne.

Wnętrze przypominało mi nieco mieszkanie Rudolpha w Los Angeles. Jakby nikt w nim tak naprawdę nie mieszkał. Kim ty jesteś? No pokaż, kim naprawdę jesteś, skurwielu. Ten dom to nie ty, prawda? Czy ktoś wie, jaki jesteś bez tych twoich masek? Dżentelmen wie, co?

Kuchnia jak żywcem wyjęta z czasopisma *Country Living*. Antyki i inne piękne „obiekty” niemal w każdym pokoju.

Natomiast niewielki gabinet zasypany był profesorskimi papierami, pokrywały każdą wolną powierzchnię. Taki niby czysty i porządny, pomyślałem, odnotowując ten sprzeczny z innymi szczegół. Kim on był?

Szukałem czegoś charakterystycznego, ale nie bardzo wiedziałem, gdzie mam patrzeć. W piwnicy znalazłem ciężkie dębowe drzwi. Otwarte. Prowadziły do niewielkiej kotłowni. Przeszukałem ją dokładnie. Na drugim końcu dostrzegłem kolejne drewniane drzwi. Wyglądały jak drzwi od szafy, od jakiejś mało używanej komórki.

Zamknięte były na haczyk, który podniosłem najciszej, jak się dało. Ciekawe, czy może się tam znajdować więcej pokoi. Może jakieś podziemia? Może jego katownia? Albo tunel?

Pchnąłem drzwi. Czarna ciemność. Zapaliłem światło i znalazłem się w pokoju, jakieś siedem na dwanaście metrów. Serce mi zamarło. Zrobiło mi się miękko w kolanach i trochę mnie zemdliło.

Nie było tu kobiet, żadnego haremu. Odkryłem za to pokój marzeń Wicka Sachsa. W jego własnym domu. Ukryty w odległym kącie piwnicy. Ten pokój nie pasował do planu reszty budynku. Musiał go zbudować specjalnie dla siebie. Lubił przecież budować, tworzyć.

To specjalne pomieszczenie wyglądało jak biblioteka. Stało tu ciężkie dębowe biurko, z dwoma klubowymi fotelami z czerwonej skóry po każdej stronie. Wszystkie cztery ściany pokrywały półki, wypełnione od podłogi aż po sufit książkami i czasopismami. Ciśnienie mi skoczyło chyba o pięćdziesiąt kresiek. Usiłowałem się uspokoić, ale nie potrafiłem.

Miałem przed sobą kolekcję wydawnictw pornograficznych i erotycznych, jakiej nie tylko jeszcze w życiu nie widziałem, ale o jakiej nawet nie słyszałem. Książek musiało być co najmniej tysiąc. Przesuwałem się wzdłuż ścian, półka za półką, odczytując tytuły.

„Najdziwniejsze zachowania seksualne w obyczajach miłosnych wszystkich ras. Z ilustracjami”.

„Ja – błonka: wydano dla Erotica Biblion Society w Nowym Jorku”.

**„Upokorzenia Anastasii i Pearl”.**

**„Znawca haremów: wypisy”.**

**„Aż zaczniesz krzyżeć”.**

**„Hymen: medyczo – prawne studium gwałtu.**

**Skoncentrowałem się i starałem zogniskować uwagę na tym, co mam tutaj do zrobienia. Po pierwsze – uciszyć ten hałas w głowie.**

**Miałem ochotę zostawić Wickowi Sachsowi znak, że tu byłem, że wiem już o jego sekretnym, świńskim pokoiku, że jego tajemnica przestała istnieć. Chciałem, by doświadczył takiego samego napięcia, stresu i lęku, jaki był udziałem nas wszystkich. Chciałem mu dopiec do żywego. Czułem do niego niewyobrażalną, wprost nienawiść.**

**Na biurku leżał folder reklamowy dystrybutora książek i czasopism erotycznych: „Nicholas J. Soberhagen, 1115 Victory Boulevard, Staten Island, N.Y. Tylko umówione spotkania”. Zanotowałem to szybko. Temu Soberhagenowi też chciałem dopiec.**

**Sachs, czy ktoś inny, zaznaczył kilka pozycji w folderze. Przejrzałem go szybko nadstawiając ucha na ewentualny odgłos samochodu z ulicy. Czas mi się kończył.**

**„Zakon Specjalny Świętej Teresy”. Nie przegap! Reprint z wyjątkowo rzadkiego oryginału, wydany około roku 1880. Prawdziwe wspomnienia o właściwym użyciu bicia w hiszpańskim klasztorze żeńskim pod Madrytem.**

**„Mistrz miłości”. Pełen życia opis przygód seksualnych tancerki w Berlinie – Jej spotkania z seksualnymi maniakami. Dla poważnych zbieraczy!**

**„Uwolnienie”. Pouczająca, pierwsza powieść oparta na prawdziwym i fikcyjnym życiu francuskiego seryjnego mordercy, Gillesa de Rais.**

**Przyglądałem się rzędom półek bezpośrednio za biurkiem. Jak długo jeszcze mogę prowokować los? O tej porze Sachs i jego rodzina powinni być dawno w domu. Zatrzymałem wzrok na półce dokładnie za jego krzesłem.**

**Poczułem ucisk w sercu. Stały tam książki na temat Casanovy! Odczytywałem tytuły z zapartym tchem.**

**„Pamiętniki Casanovy”.**

**„Casanova. 102 ryciny erotyczne”.**

**„Najpiękniejsze noce miłosne Casanovy”.**

**Pomyślałem o dwójce dzieci mieszkających w tym domu i zrobiło mi się ich żal. Nathan i Faye Annę. Ich ojciec, doktor Wiek Sachs, przeżywał w tym pokoju swoje deliryczne, przepojone złem rojenia. Stymulując się świńskimi książkami, tu właśnie decydował, które z tych rojeń przenieść w prawdziwe życie. Niemal czułem jego obecność w tym pokoju. Wreszcie zacząłem go poznawać.**

**Czy to możliwe, żeby trzymał gdzieś w pobliżu porwane kobiety? W samym mieście, w miejscu, w którym nigdy byśmy ich nie szukali? Czy to dlatego wszystkie poszukiwania jego katowni spełzyły dotychczas na niczym? Czy dom z horroru mógł się znajdować w przyzwoitej, willowej dzielnicy Durham?**

**Czyżby Naomi, wyczekująca, by ją ktoś odnalazł, była tak niedaleko? Jej sytuacja stawała się tym niebezpieczniejsza, im dłużej pozostawała w niewoli.**

**Na górze rozległ się jakiś hałas i zacząłem nasłuchiwać, ale się nie powtórzył. Może to urządzenie elektryczne albo wiatr, albo coś mi się oblużowało w głowie.**

**Był już najwyższy czas opuścić ten dom. Wbiegłem na górę i z powrotem przez patio. Korciło mnie, żeby narysować krzyż na broszurce na biurku Sachsa, zostawić mój osobisty znak. Oparłem się pokusie. On wiedział, kim jestem. Nawiązał ze mną kontakt, gdy tylko przybyłem do Durham. Ale tym razem to we mnie gotowała się krew!**

**Znalazłem się w hotelu tuż po północy, odrętwiały i pusty. Tylko adrenalina w moim ciele krążyła z obłądną szybkością.**

**Ledwo przekroczyłem próg pokoju, zadzwonił telefon. Nachalny, wstrętny „dzwonek hotelowego telefonu domagał się, by natychmiast go odebrać.**

**–Kogo tam diabli nadali? – mruknąłem. Byłem bliski obłądu. Miałem ochotę wybiec w noc i szukać Naomi, choćby na oślep, bez ładu i składu.**

**–Tak. Kto mówi? – rzuciłem wreszcie do słuchawki, chyba głośniej niż normalnie. To był Kyle Craig.**

**–No i co? – zapytał. – Znalazłeś coś?**

## ROZDZIAŁ 80

I znów nastał poranek, a w tym obrzydliwym dochodzeniu nic się właściwie nie zmieniło. Kate dalej była moim partnerem od łapania przestępców. Sama tak postanowiła, a ja się zgodziłem. W końcu znalazła Casanovę lepiej niż wszyscy inni. Obserwowaliśmy ogromny, piękny dom Sachsa z gęstego jodłowego lasu wcinającego się klinem w pobliże Old Chapel Hill Road. Wiek Sachs już raz się dzisiaj pojawił. Nasz szczęśliwy dzień.

Potwór wstał wcześnie. Był wysoki, wyglądał jak typowy naukowiec, z zaczesanymi do tyłu piaskowoblond włosami i okularami w rogowej oprawie na nosie. Robił wrażenie dobrze zbudowanego.

Wyszedł na ganek koło siódmej, po miejscową gazetę. Na czołówce był artykuł pod tytułem: „Czatowanie na Casanovę trwa”. Redaktorzy lokalnego dziennika nie mieli pojęcia, bo skąd, jak bardzo te słowa pasowały do naszej sytuacji.

Sachs zerknął na pierwszą stronę i niedbale wsunął gazetę pod pachę. Nic ciekawego dzisiaj nie piszą. Jeszcze jeden nudny dzień w biurze morderstw seryjnych.

Parę minut przed ósmą wyszedł znowu, wlokąc za sobą dzieci. Uśmiechał się do nich szeroko. Dobry tata zawiezie je do szkoły.

Chłopczyk i dziewczynka Sachsa byli ubrani, jakby ich zdjęto z wystawy Gaps For Kids albo Esprit. Jak kochane, małe laleczki. Pojedzie za nimi FBI.

–Czy to nie trochę niezwykle, Alex? Dwie takie obserwacyjne fuchy z rzędu? – zwróciła się do mnie Kate. Jej analityczny umysł nieustannie nicował problemy. Sprawa ją opętała tak samo jak mnie. Ubrała się dziś jak zwykle – dżinsy, koszulka, tenisówki. Ale jej uroda i tak świeciła pełnym blaskiem. Nie była w stanie jej ukryć.

–Dochodzenia w sprawie wielokrotnych morderców są przeważnie nietypowe. A to jest najdziwniejsze ze wszystkich – przyznałem, mając na myśli szczególnie aspekt zbliźniaczenia. Dwóch nieźle pokręconych mężczyzn, nie mających do kogo otworzyć ust, żeby się zwierzyć. Nikt ich nie rozumiał, dopóki nie trafili na siebie. I oto między zabójcami wytworzył się niezwykle silny związek.

Wiek Sachs wrócił do domu, gdy tylko wysadził dzieci pod szkołą. Maszerując przez swój nieskazitelny trawnik, pogwizdywał wesoło pod nosem. Rozmawialiśmy przez chwilę z Kate o tym, że on też był doktorem, tyle że filozofii.

Przez następne kilka godzin działo się niewiele. Sachs ani jego żona, śliczna pani Casanova, nie pokazali się.

Doktor Sachs wyszedł ponownie z domu o jedenastej. Zawalał dziś zajęcia na uczelni. Już opuścił konsultacje o dziesiątej, według rozkładu jaki dostałem od dziekana Lowella. Dlaczego to robił? W co on znów pogrywa?

Na półkolistym podjeździe stały dwa auta. Wybrał jaguara XJS w kolorze burgunda – kabriolet z brązowym dachem i dwunastoma cylindrami pod maską. Obok pysznił się czarny mercedes. Nie za skromnie jak na profesorską pensję. Dokądś wyjeżdża, rusza w trasę. Może odwiedzi swoje dziewczęta?



## ROZDZIAŁ 81

Sledziliśmy sportowego jaguara na Old Chapel Hill Road. Sunęliśmy przez Hope Valley, mijając okazałe rezydencje z lat dwudziestych i trzydziestych. Sachs nie bardzo się spieszył.

Na razie to jego gra. Nie znaleźliśmy nie tylko jej reguł, ale nawet nazwy. Casanova.

Bestia z Południowego Wschodu.

Kyle Craig rozpracowywał sytuację finansową Sachsa z pomocą Urzędu Skarbowego. Z pół tuzina jego ludzi zajmowało się ustalaniem wszelkich możliwych powiązań między Sachsem i Willem Rudolphem w przeszłości. Bez wątpienia byli kolegami z roku na Duke. Obsypywani wyróżnieniami. Phi Beta Kappa. Jednak mimo że się znali, chyba się nie przyjaźnili. Kyle zresztą również studiował wtedy na Duke, na wydziale prawa. Też należał do Phi Beta.

Kiedy się właściwie zaczęło to zbliżniaczenie? Jak się wytworzyła ta silna i chora więź? Coś mi w tej historii Rudolpha i Sachsa nie do końca pasowało.

–A jeśli on przyciśnie tego XJS do dechy? – zastanawiała się głośno Kate, gdy tak podążaliśmy za potworem do jego matecznika w lesie, do jego haremu, do „znikającego domu”. Jechaliśmy za nim moim starym porsche.

–Nie przypuszczam, żeby chciał zwracać na siebie uwagę – odparłem. Chociaż mercedes i jaguar jakby przeczyły tej teorii. – Poza tym XJS i tak nie ma startu do porscha.

–Nawet do porscha z ubiegłego stulecia? – zapytała.

–Cha, cha, cha – odpowiedziałem.

Sachs pojechał autostradą międzystanową nr 85, potem skręcił w drogę nr 40 i w końcu na zjazd do Chapel Hill. Jeszcze trzy kilometry przez miasto i zaparkował tuż przy kampusie Uniwersytetu Karoliny Północnej na Franklin Street.

–Strasznie dziwnie się z tym wszystkim czuję, Alex – stwierdziła Kate. – Facet wykłada na Duke. Żona i dwójka pięknych dzieci. Tej nocy kiedy mnie złapał, prawdopodobnie szedł za mną już od kampusu. Śledził mnie. Przypuszczam, że to gdzieś tutaj mnie wybrał.

Spojrzałem na nią z ukosa.

–Trzymasz się? – spytałem. – Powiedz, jakby coś było nie tak. Kate popatrzyła na mnie. Napięta do granic wytrzymałości, miała w oczach łęk. – A skończmy z tym wreszcie, cholera. Dorwijmy go dzisiaj. Stoi?

–Stoi – zgodziłem się.

–Mamy cię – mruknęła Kate w kierunku przedniej szyby.

Najoryginalniejsza i najładniejsza ulica Chapel Hill za kwadrans dwunasta tętniła życiem. Studencko – asystencki tłumek przewalał się przez lokale i księgarnie. Wszystkie popularne wśród akademickiej braci miejsca tłukły niezłe pieniądze. Atmosfera tego uniwersyteckiego miasta miała nieodparty urok – poczułem się jak w moich studenckich czasach. Akademia Medyczna Johna Hopkinsa; Cresmont Avenue w Baltimore.

Musieliśmy z Kate trzymać się co najmniej półtorej przecznicy za Wickiem

Sachsem. Łatwo mógłby nas teraz zgubić. Czy popędzi do domu w lesie? Odwiedzić dziewczęta? Czy Naomi wciąż tam jest?

Mógł wśliznąć się do baru Record albo do restauracji Spanky'ego na rogu. Wyjść bocznymi drzwiami i zniknąć. Zabawa w kotka i myszkę. Jego gra, jego reguły. Zawsze tak dotąd było.

–Coś za swobodnie się czuje, za bardzo jest zadowolony z siebie – stwierdziłem, utrzymując nadal rozsądną odległość od Sachsa. Nawet się nie odwrócił, żeby sprawdzić, czy nie jest śledzony. Bez troski profesorek spacerujący sobie na luzie w porze lunchu. A może to naprawdę nic poza tym?

–Trzymasz się? – sprawdziłem jeszcze raz Kate.

Obserwowała Sachsa jak pies podwórzowy przymierzający się, by chapnąć kogoś, kto załazł mu za skórę. Gdzieś tu niedaleko chodziła chyba na karate.

–Mmm, hmm. Ale przypominają mi się niemiłe rzeczy. Miejsce zbrodni i tamte sprawy – mruknęła.

Wiek Sachs zatrzymał się w końcu przed kinem Varsity Theatre, ładnym budynkiem w stylu retro w śródmieściu Chapel Hill. Stał tuż obok tablicy ogłoszeniowej, pełnej ręcznie pisanych komunikatów i plakatów, adresowanych głównie do studentów i wykładowców.

–A cóż to, gnida wybiera się do kina? – mruknęła Kate pełnym napięcia głosem.

–Może lubi uciekać w jakieś bardziej wysublimowane stany. Oto sekretne życie Wicka Sachsa. Przed naszymi oczami.

–Najchętniej rzuciłabym się na niego natychmiast. I dała mu w ryj.

–No. Ja też, Kate, ja też.

Zauważyłem już tę pokrytą kartkami tablicę podczas jednego z pobytów w mieście. Wisiało na niej kilka komunikatów o zaginionych osobach. Zaginionych studentkach. To jednak było niesamowite, że społeczność dotknięta tak okrutną plagą nie jest w stanie kompletnie nic zrobić, by ją powstrzymać. Nikt nie znalazł lekarstwa.

Wiek Sachs chyba czekał na kogoś lub na coś.

–Z kim on się mógł, cholera, umówić w Chapel Hill? – mruknałem pod nosem.

–Z Willem Rudolphem – wypaliła Kate bez wahania. – Starym kumplem ze szkoły. Najlepszym przyjacielem.

Już wcześniej przyszło mi do głowy, że Rudolph mógłby wrócić do Karoliny Północnej. Zbliżniaczenie mogło się przerodzić w uzależnienie fizyczne. W swej negatywnej formie opierało się na współzależności albo umożliwianiu sobie wzajemnie pewnych zachowań. Ci dwaj uprowadzali piękne kobiety, a potem je torturowali lub zabijali. Czy to była ta ich wspólna tajemnica? A może na tym się nie kończyło?

–Casanova bez maski mógłby wyglądać tak jak on – powiedziała Kate.

Wśliznęliśmy się do małego, kiczowato – słodkiego sklepiku o nazwie School Kids. – Ma ten sam kolor włosów. Ale to by go przecież mogło zdradzić. Sama maska to za mało.

–A może te maski wcale nie służą do ukrycia twarzy? Mogą w świecie jego

własnych fantazji oznaczać zupełnie coś innego – zasugerowałem. – Może być tak, że to postać Casanovy jest właściwie jego przebraniem. Wtedy maski, cała ta aura wyrzeczenia się człowieczeństwa, ten symbolizm – wszystko miałyby dla niego ogromne znaczenie.

Sachs nadal stał pod tablicą ogłoszeń. Czekał na co? Miałem jakieś przeczucie, że w tym obrazku coś się nie zgadza. Przyjrzałem się potworowi przez lornetkę.

Twarz miał spokojną, niemal pogodną. Dracula na spacerku. A może czegoś się naćpał i był na haju? Z pewnością znał się doskonale na środkach uspokajających.

Widziałem jego sylwetkę na tle rozwieszonych na tablicy ogłoszeń. Przez lornetkę mogłem je przeczytać.

Zaginiona – Carolyn Eileen Devito

Zaginiona – Robin Schwartz

Zaginiona – Susan Pyle

Kobiety na rzecz Jima Hunta w wyborach gubernatora

Kobiety na rzecz kandydatury Laurie Garniera na wicegubernatora

Mind Sirens zagrają w Cave

Nagle przyszło mi do głowy wyjaśnienie. Te komunikaty!

Casanova przekazywał nam oto okrutną wiadomość – przekazywał ją każdemu, kto by go obserwował, kto ośmieliłby się go śledzić.

Plasnąłem mocno dłonią w zakurzony parapet sklepowego okna.

–Ten skurwysyn bawi się w łamigłówki! – omal nie krzyknąłem na cały głos do tłumu klientów. Starszawy sklepikarz spojrział na mnie, jakbym był niebezpieczna otoczenia. I byłem.

–Coś się nie zgadza? – Kate przywarła do mnie całym ciałem, chcąc wyrzeć na ulicę ponad moim ramieniem, zobaczyć, co tam się dzieje. – Ten plakat za jego głową. Stoi pod nim już od dziesięciu minut. To jest jego przesłanie do tych, co go śledzą. Wszystko jest na plakacie, na tym żółto – pomarańczowym.

Podąłem jej lornetkę. Jeden z plakatów był większy i bardziej się rzucał w oczy od pozostałych. Kate odczytała go głośno.

–„Kobiety i dzieci głodują... właśnie w tej chwili, gdy przechodzisz tędy z drobnymi w kieszeni. Prosimy, zmień swoje postępowanie. Możesz uratować czyjeś życie”.

## ROZDZIAŁ 82

–O Jezu, Alex! – szepnęła Kate z przejęciem. – Jeśli nie będzie mógł pójść o kryjówki, one umrą z głodu, a jeśli nie przestaniemy go śledzić, nigdy tam nie pójdzie. To nam chce powiedzieć, prawda? Kobiety głodują... zmień swoje postępowanie.

Najchętniej bym Wicka Sachsa zakatrupił na miejscu. Wiedziałem, że nic kompletnie nie możemy mu zrobić. Nic zgodnego z prawem. Nic.

–Alex, zobacz! – Kate z podnieceniem w głosie podała mi lornetkę.

Do Sachsa podeszła jakaś kobieta. Przyjrzałem się jej. Wszystkie szklane i metalowe powierzchnie na Franklin Street błyszcząły, odbijając ostre słońce południa.

Kobieta była szczupła i atrakcyjna, ale wyraźnie starsza od tych, które zostały uprowadzone. Ubrana w czarną jedwabną bluzkę, czarne, obcisłe skórzane spodnie i czarne pantofle. W ręce trzymała teczkę pełną papierów i książek.

–Nie pasuje do jego modelowego wzorca – powiedziałem do Kate. – Ma dobrze po trzydziestce.

–Ja ją znam, Alex. Wiem, kto to jest – odparła szeptem.

–Rany boskie, Kate, skąd ją znasz?

–Nazywa się Suzanne Wellsley. Wykłada na anglistyce. Studenci mówią na nią „Zgoniona Sue”. Jest taki dowcip, że jakby Suzanne Wellsley rzuciła majtkami o ścianę, toby się przykleiły.

–Równie dobrze mógłby to być dowcip o Sachsie – stwierdziłem. – Ma kiepską reputację na uczelni jako znany erotoman. I to już od lat, ale nigdy nie podjęto żadnej akcji dyscyplinarnej przeciwko niemu. Następne przestępstwa doskonałe?

Wellsley i Sachs pocałowali się namiętnie przed „głodowym” ogłoszeniem. I bardzo gorąco się uściskali, nie bacząc na to, że są w miejscu publicznym.

Zacząłem mieć wątpliwości co do tego „przesłania”. To mógł być zwykły zbieg okoliczności. Tylko że przestałem już wierzyć w takie przypadki. A może Suzanne Wellsley była jakoś związana ze „znikającym domem” Sachsa? Mogło istnieć więcej takich osób. Może cała historia wiąże się z czymś w rodzaju sekty, kultu seksualnego? Wiedziałem, że podobne sekty istnieją, nawet w stolicy naszego kraju. Istnieją i kwitną.

Tamtych dwoje przeszło się kawałek po Franklin Street, niespiesznie i na luzie. Szli w naszym kierunku. Stanęli pod kasą Varsity Theatre. Trzymali się za ręce. Jakież to słodkie.

–Niech go szlag. Wie, że jest śledzony – powiedziałem. – W co on pogrywa?

–Ona patrzy w naszą stronę – zauważyła Kate. – Może też wie. – Hej, Suzanne. Co ty, kurcze, kombinujesz, wampirzyco?

Kupili bilety do kina jak normalni ludzie i weszli do środka. Reklama nad kinem głosiła: „Roberto Benigni jako Johnny Stecchino – porywająca komedia”. Nie mieściło mi się w głowie, żeby Sachsowi chciało się oglądać włoską komedię. Czyżby Casanova miał aż tak żelazne nerwy? Pewnie tak. Szczególnie jeśli się to wszystko okazało częścią jakiegoś planu.

–Czy reklama filmu też może być przesłaniem, Alex? – zastanawiała się Kate. – Co on nam chce powiedzieć?

–Że to, co robi, jest dla niego porywającą komedią? Może i tak.

–On ma poczucie humoru, Alex. Gwarantuję ci. Widziałam, jak się śmiał z własnych kiepskich żartów.

Zadzwoiłem do Kyle Craiga z automatu w pobliskiej lodziarni Ben Jerry. Powiedziałem mu o plakacie. Zgodził się, że to mogła być wiadomość dla nas. Z Casanovą nigdy nic nie wiadomo.

Wyszedłem z lodziarni. Sachs i Suzanne Wellsley nadal siedzieli w Varsity. Pewnie porywał ich śmiech na widok włoskiego komika Roberto Benigniego. A może Sachs śmiał się z nas? Kobiety i dzieci głodują.

O wpół do trzeciej opuścili kino. Spacerkiem doszli do rogu Franklin i Columbus, zajęło im to chyba z dziesięć minut. Dali nurka do obleganej jak zwykle restauracji Spanky'ego i zjedli późny lunch.

–Czyż to nie słodkie. Młodzi zakochani – syknęła Kate. – A żeby go pokręciło. I ją też. I Spanky'ego, za to że daje im żreć.

Zajęli stolik przy frontowym oknie restauracji. Specjalnie? Trzymali się za ręce i kilka razy pocałowali. Casanova Kochanek? Na randce z koleżanką z uczelni? Nic się tu na razie nie trzymało kupy.

O wpół do czwartej wyszli od Spanky'ego i wrócili pod tablicę ogłoszeń. Pocałowali się znowu, ale tym razem bardziej powściągliwie i wreszcie się rozstali. Sachs pojechał do domu w Hope Valley. Uznałem za przesądzone, że prowadzi z nami jakąś grę. Bawi się z nami, dla własnej przyjemności.

W kotka i myszkę.

## ROZDZIAŁ 83

Postanowiliśmy z Kate zjeść późną kolację w knajpce Frog and the Redneck w centrum Durham. Kate stwierdziła, że należy nam się odrobina przerwy w pracy. I miała rację.

Przed kolacją chciała wstąpić do domu i umówiliśmy się, że po nią wpadnę za parę godzin. Nie spodziewałem się ujrzeć takiej Kate, jaka mi otworzyła drzwi. Zrezygnowała ze swojego luzackiego stylu. Miała na sobie wąską, dopasowaną sukienkę z beżowego lnu, a na to bluzkę w kwiaty jako żakiet. Długie brązowe włosy związała żółtym jedwabnym szalikiem.

–Zawsze się tak ubieram na obiady w – niedzielę – po – kościele – oznajmiła z konspiracyjnym mrugnięciem. – Tylko że z pensji stażystki nigdy mnie nie stać najedzenie w knajpach. Najwyżej czasem w Kentucky Fried Chicken albo w Arby.

–Na randkę się wybierasz czy co? – zażartowałem w swoim zwykłym stylu. Ale nie byłem pewien, kto tu z kogo żartuje. Wzięła mnie od niechcienia pod rękę.

–W gruncie rzeczy może i tak. Ładnie dziś wyglądasz. Wystrzałowo, bardzo fajnie. Ja też dziś zrezygnowałem z codziennego ubrania. Włożyłem wystrzałowe i fajne. Z samej jazdy do restauracji niewiele pamiętam poza tym, że całą drogę gadaliśmy. Zawsze świetnie nam się rozmawiało. Co jedliśmy, też niewiele pamiętam poza tym, że było to niezłe, regionalno – kontynentalne żarcie. Majaczy mi się jakaś kaczka na dziko i bita śmietana z czarnymi jagodami i śliwkami.

Najżywiej pamiętam Kate, opartą ramieniem o stół, z twarzą spoczywającą lekko w zagłębieniu dłoni. Bardzo ładny portret. Pamiętam też, że w pewnej chwili ściągnęła z włosów żółty szal.

–Już wystarczy – oznajmiła z uśmiechem. – Mam nową teoryjkę, hasło dnia na temat nas dwojga. Chyba jest prawdziwa. Chcesz usłyszeć? – spytała. Była w dobrym nastroju, pomimo udręki i frustracji. Ja też.

–Nie – e – oświadczył ten mądrała we mnie, co się boi uczuć. Może później. Kate zignorowała mnie i zaczęła rozwijać swoją teorię.

–Zaczynam... Alex, oboje bardzo, bardzo się boimy przywiązań w tym momencie naszego życia. I to jest oczywiste. Za bardzo się boimy, tak uważam. – Poruszała się ostrożnie. Wyczuła, że to dla mnie trudny teren, i miała rację.

Westchnąłem. Nie byłem pewien, czy w ogóle chcę się w to teraz zagłębiać, ale się zagłębiałem.

–Kate, nie opowiadałem ci wiele o Marii – rzekłem. – ...Kiedy umarła, bardzo byliśmy w sobie zakochani. I to od sześciu lat. To nie jest z mojej strony pamięć selektywna. Zawsze sobie powtarzałem: „Boże, jakież to szczęście, że spotkałem kogoś takiego”. Maria też tak to czuła. – Uśmiechnąłem się. – W każdym razie tak mi mówiła. No więc masz rację, boję się przywiązań. Głównie dlatego, że nie chciałbym znów stracić kogoś, kogo tak bardzo kocham.

–Ja też się boję utraty drugiej osoby, Alex – odparła cicho Kate. Ledwie słyszałem jej słowa. Czasem robiła wrażenie nieśmiałej i bardzo mnie to wzruszało. – W jednym z filmów, który kiedyś oglądałam, jest taka magiczna kwestia, dla mnie w każdym razie. „Wszystko, co kochałem, zostało mi odebrane i nie umarłem”.

Ująłem jej rękę i leciutko pocałowałem. Ogarnęła mnie fala nieprzeparłej czułości dla Kate.

–Znam to – wyszeptałem.

Widziałem niepokój w jej ciemnobrązowych oczach. Może rzeczywiście powinniśmy ciągnąć to, co zaczynało się dziać między nami, nie bacząc na ryzyko.

–Mogę ci jeszcze coś powiedzieć? – spytała. – Jeszcze jedno niełatwe wyznanie? Naprawdę ciężkie.

–Powiedz. Pewnie że tak. Wszystko co chcesz powiedzieć.

–Boję się, że umrę tak samo jak siostry, że też dostanę raka. W moim wieku jestem medyczną bombą zegarową. Och, Alex, tak się boję, że się z kimś związę, a potem mu zachoruję i umrę. – Kate westchnęła głośno. Niewątpliwie było to dla niej trudne.

Potem trzymaliśmy się długo za ręce. Popijaliśmy porto. Oboje zamilkliśmy, pozwalając by te nowe, silne uczucia w nas zapadły.

Po kolacji wróciliśmy do mieszkania Kate. Najpierw sprawdziłem dokładnie, czy nie mamy jakichś nieproszonych gości. Po drodze usiłowałem namówić ją na przeprowadzkę do hotelu, ale Kate jak zwykle powiedziała nie. Casanova i jego gierki doprowadzały mnie do paranoi.

–Jesteś uparta jak diabli – oświadczyłem, podczas gdy sprawdzaliśmy wszystkie okna i drzwi.

–Niežnośnie niezależna to o wiele lepsze określenie – odpaliła w odpowiedzi. – Tego się nabywa razem z czarnym pasem w karate. Drugiego stopnia. Pilnuj się.

–Pilnuję – odparłem ze śmiechem. – Poza tym ważę czterdzieści kilo więcej od ciebie.

–To ci nie pomoże – pokręciła głową.

–Pewnie masz rację – śmiałem się dalej.

W mieszkaniu w Alei Starszych Pań nikt się nie czał. Nie było nikogo poza nami. Może tego bałem się najbardziej.

–Proszę, nie uciekaj od razu. Zostań chwilkę. Chyba że nie chcesz albo nie możesz – mówiła Kate. Stałem nadal w jej kuchni. Z rękami niezręcznie wciśniętymi w kieszenie.

–Nic mnie nie goni – odparłem, trochę niespokojny i podekscytowany.

–Mam butelkę chateau de la chaize. Chyba tak się nazywa. Tylko dziewięć dolców, ale całkiem przyzwoite wino. Kupiłam je jakby specjalnie na dziś, tylko że wtedy jeszcze tego nie wiedziałam – wyjaśniła z uśmiechem. – Trzy miesiące temu, kiedy je kupowałam.

Usiedliśmy na kanapie w salonie. Panował tu porządek, ale nie sztywniacki. Na ścianach wisiały czarno – białe zdjęcia sióstr i matki Kate. Było też niesamowite jej zdjęcie w różowym uniformie kelnerki, z czasów kiedy zarabiała na studia w knajpie dla tirowców. Ta ciężka praca była jednym z powodów, dla których tak sobie ceniła swoją medycynę.

Może sprawiło to wino, w każdym razie opowiedziałem Kate o Jezzii Flanagan trochę więcej, niżbym chciał. Od śmierci Marii była to jedyna moja próba

**poważniejszego związania się z kobietą. Kate opisała mi w zamian życie ze swoim byłym przyjacielem, Peterem McGrathem, profesorem historii na Uniwersytecie Karoliny Północnej. Gdy tak o nim mówiła, zaczęła mnie nękać myśl, że może zbyt szybko wykreśliliśmy go z listy podejrzanych.**

**Nie potrafiłem zostawić sprawy w spokoju, nawet na jeden wieczór. A może po prostu próbowałem uciec w pracę. Tak czy inaczej, zakonotowałem sobie, żeby jeszcze raz dokładnie sprawdzić Petera McGratha.**

**Kate przechyliła się na kanapie w moją stronę. Pocałowaliśmy się. Nasze usta świetnie do siebie pasowały. Nie byliśmy nowicjuszami w kwestii pocałunku; a może właśnie byliśmy.**

**–Zostaniesz? Zostań, proszę – szepnęła. – Tylko jedną noc, Alex. Nie mamy się przecież czego bać, prawda?**

**–Nie, nie mamy – odparłem też szeptem. Czuję się jak uczeń. Może zresztą i dobrze.**

**Nie bardzo wiedziałem, co mam teraz zrobić, jak dotykać Kate, co mówić, czego nie robić. Słyszałem jej cichy oddech. Pozwoliłem, by wszystko działo się naturalnie.**

**Znów się pocałowaliśmy, chyba jeszcze nigdy nikogo nie całowałem tak delikatnie. Oboje chcieliśmy tego, ale zarazem czuliśmy się bezbronni.**

**Przenieśliśmy się do sypialni. Trzymaliśmy się długo w objęciach. Rozmawialiśmy szeptem. Spaliśmy ze sobą. Ale nie kochaliśmy się tej nocy.**

**Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. I nie chcieliśmy tego zrujnować.**



## ROZDZIAŁ 84

Naomi doszła do wniosku, że traci resztki zdrowego rozsądku. Właśnie zobaczyła, jak Alex zabija Casanovę. Widziała strzelaninę na własne oczy, choć wiedziała dobrze, że to się nigdy nie zdarzyło. Miała halucynacje i nie była już w stanie powstrzymać tych fał ułudy.

Czasem mówiła do siebie. Brzmienie własnego głosu wydawało jej się krzepiące. Siedziała na fotelu w ciemnej celi, milcząca i zamyślona. Miała w pokoju skrzypce, ale nie grała od wielu dni. Bała się teraz z zupełnie nowego powodu. Może on już nigdy nie przyjdzie.

Może Casanova został złapany i nie chce powiedzieć policji, gdzie trzyma pojmane kobiety. To był jego ostatni atut. Jego diaboliczny sekret. Ostatnia szansa i karta przetargowa.

Albo może już zginął w strzelaninie. Jeżeli nie żyje, policja nie ma szans odnaleźć jej i innych dziewcząt. Coś się stało, pomyślała. Nie ma go już od dwóch dni. Coś się zmieniło.

Rozpaczliwie pragnęła ujrzeć błękitne, słoneczne niebo, trawę, neogotyckie wieże uniwersytetu, tarasy Sarah Duke Gardens albo chociaż rzekę Potomac w jej błotnisto – szarym majestacie w rodzinnym Waszyngtonie.

W końcu wstała z fotela. Bardzo powoli poczłapała po podłodze z gołych desek do zamkniętych drzwi i przycisnęła mocno policzek do chłodnego drewna.

Miałabym zrobić coś tak szalonego? Zastanawiała się. Podpisać na siebie wyrok śmierci?

Z trudnością chwytiała powietrze. Nasłuchiwała dźwięków tajemniczego domu, choćby najdrobniejszego, nic nie znaczącego odgłosu. Pokoje były wytłumione, ale jeśli zrobiło się dość hałasu, dźwięk jednak niósł się po tej niesamowitej budowli.

Powtórzyła sobie w myśli, co chce powiedzieć, słowo po słowie.

Nazywam się Naomi Cross. Gdzie jesteś, Kristen? Zielonooka? Uznałam, że masz rację. Musimy coś zrobić... Musimy zrobić coś razem... On już nie wróci.

Naomi przemyślała to wszystko dokładnie – jak miała nadzieję – ale w tej chwili nie była w stanie wypowiedzieć tych słowna głos. Wiedziała, że spiskowanie może oznaczać śmierć.

Kristen Miles wołała ją w ciągu ostatniej doby już kilka razy, ale Naomi się nie odezwała. Rozmowy były zakazane, pokaz sprzed paru dni to przestroga dla dziewcząt. Ta powieszona kobieta. Nieszczęsna Anna Miller. Też studentka prawa.

Ale teraz nic nie słyszała. Cisza dzwoniła w uszach. Łagodny pomruk wieczności. Nigdy zresztą nie docierały do nich nawet dźwięki silnika samochodu ani trzaśnięcie drzwiczek, ani klakson.

Naomi uznała, że muszą znajdować się pod ziemią, i to kilka pięter. Czy to on sam zbudował ten podziemny kompleks, ten „kompleks winy”? Wymyślił sobie to wszystko, wymarzył, a potem wcielił w czyn w jakimś paroksyzmie psychopatycznej, furiackiej energii? Chyba mogło się tak zdarzyć.

Zbierała się w sobie, by przerwać milczenie. Musiała porozmawiać z Kristen, z Zielonooką. Czowała suchość w ustach. Były jak z waty. Przesunęła po nich językiem.

**–Zabiłabym dla paru łyków czegoś do picia; jego bym zabiła dla jednej buteleczki coli – szeptała do siebie. – Mogłabym go zabić, gdybym tylko miała szansę.**

**Byłabym w stanie zabić Casanovę. Popęlnić morderstwo. Posunąć się do czegoś takiego, pomyślała i stłumiła łkanie.**

**–Kristen, słyszysz mnie?! – krzyknęła wreszcie Naomi silnym, donośnym głosem. – Kristen? Tu Naomi Cross!**

**Drżała, a po jej policzkach płynęły ciepłe łzy. Wystąpiła przeciwko niemu i jego świętemu, zasranemu regulaminowi.**

**Zielonooka odezwała się natychmiast. Tak dobrze było usłyszeć jej głos.**

**–Słyszę cię, Naomi! Jestem chyba tylko kilka drzwi od ciebie. Słyszę cię dobrze. Mów dalej. Jestem pewna, że go nie ma.**

**Naomi przestała się już zastanawiać nad tym, co robi. Może go nie było, a może był. To już nie miało znaczenia.**

**–On nas zabije! – zawołała w odpowiedzi. – Coś się zmieniło. Na pewno chce nas zabić. Jeśli mamy coś zrobić, to musimy działać przy najbliższej okazji.**

**–Naomi ma rację! – głos Kristen dobiegał przytłumiony, jakby z dna studni. – Czy słyszycie ją wszystkie? Pewnie że słyszycie!**

**–Mam pewien pomysł, zastanówcie się nad nim! – Naomi krzyczała teraz jeszcze głośnie. Chciała podtrzymać tę wymianę zdań. Wszystkie więźniarki Casanovy powinny ją usłyszeć. – Jak następnym razem zbierze nas w salonie – musimy spróbować. Jeżeli rzucimy się na niego w szóstkę, może zranić niektóre, ale nie powstrzyma wszystkich. Co o tym myślicie?**

**W tym momencie ciężkie drewniane drzwi jej celi zaczęły się otwierać. Ujrzała smugę światła z zewnątrz.**

**Naomi patrzyła na uchylające się drzwi sztywna z przerażenia. Nie była w stanie się poruszyć ani wykrztusić słowa.**

**Jej serce łomotało w piersi aż do bólu, nie mogła złapać tchu. Zdawało jej się, że umiera. On tam był, czekał, słuchał, przez cały czas.**

**Drzwi otworzyły się na oścież.**

**–Cześć, nazywam się Will Rudolph – przedstawił się miłym głosem wysoki, przystojny mężczyzna, który stanął w wejściu. – Bardzo mi się podoba twój plan, ale sądzę, że nie dojdzie do skutku. Pozwól, że ci wyjaśnię z jakiego powodu.**

## ROZDZIAŁ 85

W środę rano znalazłem się na międzynarodowym lotnisku Raleigh – Durhaim parę minut przed dziewiątą. Przybywała z odsieczą kawaleria. Zupełnie świeże oddziały. Grupa Sampson znów w akcji.

Poranny tłum ludzi na lotnisku stanowił kontrast dla ulic Durham i Chapel Hill, gdzie unosiła się atmosfera jeżącego włosy strachu i paranoi. Ci tutaj, w ciemnych, odprasowanych garniturach i kwiecistych sukienkach od Neimana Marcusa czy Dillarda, zajęci byli swoimi sprawami, zdając się nie myśleć o zagrożeniu. I mieli rację. Wypieranie faktów ze świadomości to też metoda. Podobało mi się to.

Wreszcie dojrzałem Sampsona, jak przedziera się przez bramkę USAir długim, zdecydowanym krokiem. Pomachałem do niego miejscową gazetą. To nas odróżniało od siebie – ja zawsze machałem, a Człowiek Góra nie. Ale posłał mi krótki, wielkomięsko – chłodny ukłon. Zepsuty do szpiku. Lek na całe zło.

Po drodze do Chapel Hill wprowadziłem Sampsona w sprawę.

Miałem zamiar dokładnie przepatrzyć teren nad Wykagil River. Kolejne przeczucie, które być może do czegoś doprowadzi... na przykład do umiejscowienia „znikającego domu”. Zapewniłem sobie pomoc doktora Louisa Freeda, byłego nauczyciela i mentora Setha Samuela. Freed był poważanym, czarnym historykiem wojny secesyjnej, okresu, który i mnie interesował. Niewolnictwo i wojna w Karolinie Północnej. A szczególnie Kolej Podziemna, używana przez niewolników uciekających na Północ.

Gdy wjechaliśmy do Chapel Hill, Sampson mógł zobaczyć na własne oczy, co uczyniły z tym spokojnym, uniwersyteckim miasteczkiem kolejne porwania i ohydne morderstwa. Ta koszmarna atmosfera przypominała mi niektóre przejażdżki metrem w Nowym Jorku. Przypominała też moje miasto, stolicę kraju. Mieszkańcy Chapel Hill przemykali teraz malowniczymi uliczkami pochylając nisko głowy. Unikali nawiązywania kontaktu wzrokowego, szczególnie z nieznanymi. Ten strach i lęk wyparły zaufanie. Słodka małomiasteczkowość wyparowała zupełnie.

–Sądysz, że Casanovie podoba się ta atmosfera jak z „Inwazji porywaczy ciał?” – spytał Sampson, gdy krążyliśmy po bocznych uliczkach otaczających kampus Uniwersytetu Karoliny Północnej, macierzystej uczelni Michaela Jordana i tylu innych gwiazd NBA, że trudno by było je zliczyć.

–Sądzę, że się rozsmakował w udawaniu miejscowej gwiazdy, to na pewno. Lubi się bawić w tę grę. Szczególnie jest dumny ze swej twórczości artystycznej – dzieła własnych rąk.

–A nie potrzebowałby większego pola do popisu? Większego blejtramu? – dopytywał się Sampson, gdy wspinaliśmy się na kolejne łagodne pagórki, od których niewątpliwie wzięła swą nazwę miejscowość.

–Tego jeszcze nie wiem. Możliwe, że jest wielokrotnym mordercą ściśle związanym z jednym terenem. Niektórzy wielokrotni tacy byli: Richard Rarnirez, Syn Sama, zabójca z Green River.

Następnie objaśniłem Sampsonowi moją teorię zblźniaczenia. Im więcej o niej myślałem, tym bardziej znacząca mi się wydawała. Nawet FBI zaczęło w nią trochę

wierzyć.

–Ci dwaj muszą mieć jakąś wielką, wspólną tajemnicę. I uprowadzanie pięknych kobiet to tylko część większej całości. Jeden z nich uważa się za „kochanka” i artystę. Drugi jest zabójcą brutalnym, bardziej przypominającym innych seryjnych morderców. Uzupełniają się nawzajem, wspierają tam, gdzie są słabi. Wspólnie są najprawdopodobniej nie do powstrzymania. I co ważniejsze, oni chyba też tak uważają.

–Który jest przywódcą? – Sampson zadał bardzo dobre pytanie. Kierował się wyłącznie intuicją. Zawsze tak rozwiązuje problemy.

–Moim zdaniem Casanova. Ma zdecydowanie więcej wyobraźni. I nie popełnił dotąd żadnego poważniejszego błędu. Ale Dżentelmena najwyraźniej nie zadowala rola naśladowcy. Prawdopodobnie dlatego przeprowadził się do Kalifornii – żeby spróbować, jak mu pójdzie samemu. I poszło kiepsko.

–Czy Casanova to ten pieprzony profesor, o którym mi wspominałeś? Doktor Wiek Sachs, uczony od pornografii? Czy to nasz facet, Koteńku?

Zerknąłem na Sampsona. No, wreszcie się zaczęło. Jak glina z gliną.

–Czasem mi się wydaje, że to Sachs. I że celowo pozwala nam się domyślać, kim jest. Cieszy go, gdy widzi, jak się skręcamy z niemocy. Chce ostatecznie udowodnić, kto tu rządzi.

Sampson kiwnął głową.

–A kiedy indziej, doktorze Freud, jak przebiega alternatywny proces pańskiego rozumowania w kwestii doktora Sachsa?

–Kiedy indziej zastanawiam się, czy go nie wrobili. Casanova jest bardzo bystry i wyjątkowo ostrożny. Podrzuca nam błędne informacje, które sprawiają, że wszyscy kręcą się w kółko za własnym ogonem. Nawet Kyle Craig już zaczyna dostawać szału.

Sampson obnażył wielkie, bardzo białe zęby. Może się uśmiechał, a może zamierzał mnie ugryźć.

–O ja cię pieprzę – oświadczył. – Wygląda na to, że zjawilem się w samą porę.

Przed znakiem stopu na końcu uliczki zwoleń i w tym momencie od zaparkowanego z boku samochodu oderwał się jakiś facet z pistoletem i podbiegł do nas. Ani ja, ani Sampson nic nie mogliśmy zrobić, żeby go zatrzymać.

Mężczyzna przyłożył mi do policzka lufę smith wessona.

No to koniec zabawy, pomyślałem.

Klik!

–Policja miejska! – wrzasnął tamten w otwarte okno. – Wysiadać z samochodu i łapy na dach!

## ROZDZIAŁ 86

–Zjawileś się w samą porę – mruknąłem półgębkiem do Sampsona. Wysiadaliśmy z auta bardzo powoli i ostrożnie.

–Na to wygląda – odparł. – Ale się nie rzucaj. Bo nas zastrzelą albo stłuką Alex. Ironia losu mało mnie bawi.

Wiedziałem chyba, co się dzieje, i strasznie mnie to wkurzało. Uznali mnie i Sampsona za „podejrzanych osobników”. A dlaczego? Bo byliśmy dwójką czarnych facetów jeżdżących bocznymi ulicami pieprzonego Chapel Hill o dziesiątej rano.

Widziałem, że Sampson też jest wściekły, ale objawiał ten gniew po swojemu. Kiwał głową uśmiechając się przy tym blado.

–Mocna sprawa – oznajmił. – Ale atrakcje.

Do policjanta przyłączył się jego partner. Dwaj twardziele koło trzydziestki. Długie fryzury. Sumiaste wąsy. Muskuly prosto z siłowni. Nick Ruskin i Davey Sikes na praktyce.

–Twoim zdaniem to śmieszne, co? – ten drugi odezwał się bezbarwnym głosem i tak cicho, że ledwie słyszałem jego słowa. – Myślisz, żeś taki rozrywkowy, pedrylu? – zapytał Sampsona. Wyciągnął zakończoną ołowiem pałkę i trzymał ją przy biodrze, gotową do ciosu.

–Na więcej mnie nie stać – odrzekł Sampson, z nie zmienionym wyrazem twarzy. Nie bał się pałek.

Włosy mi się lekko zjeżyły, a po plecach zaczął ściekać pot. Nie pamiętałem już, kiedy mnie ostatnio pałowali, i wcale nie chciałem sobie przypomnieć. Wszystkie złe doświadczenia, jakie mnie spotkały, odkąd tu przyjechałem, zwały się teraz w jedno. Co nie znaczy, że gnojenie czarnych przez gliny jest specjalnością wyłącznie Karoliny Północnej czy Południa. Już nie.

Spróbowałem im wyjaśnić, kim jesteśmy.

–Nazywam się...

–Zamknij ryj, palancie. – Jeden z nich dźgnął mnie w krzyż, zanim skończyłem zdanie. Nie na tyle mocno, żeby zrobić siniaka, ale zawsze był to kuksaniec. Bolało zresztą nie tylko fizycznie.

–On mi wygląda na naćpanego. Oczy mu nabiegły krwią – oświadczył ten cichy partnerowi. – Jest na haju. – Mówił to o mnie.

–Jestem Alex Cross. I jestem policjantem, ty pierdolony gnoju! – ryknąłem nagle na niego. – Biorę udział w szukaniu Casanovy. Dzwon do Ruskina i Sikesa, i to już! Albo do Kyle Craiga z FBI!

Jednocześnie wykonałem błyskawiczny obrót i rąbnąłem jednego z nich w krtań. Padł na ziemię jak kawka. Jego kumpel rzucił się na mnie, ale Sampson rozłożył go na chodniku, nim zdążył zrobić jakieś głupstwo. Wyjąłem mojemu byczkowi pistolet z ręki tak łatwo, jakbym rozbrajał małolata z gangu w D.C.

–Łapy na dach? – rzucił Samson do swego „podejzranego osobnika”. W jego głosie nie było uciechy. – Ilu braci poczęstowałeś już tym gównem? Ilu młodych mężczyzn nazwałeś pedrylem, ilu upokorzyłeś? Tak jakbyś w ogóle miał pojęcie o ich życiu. Rzygać się chce.

**–Dobrze, cholera, wiecie, że wielokrotny morderca znany jako Casanova nie jest czarny – teraz ja przemówiłem do glin z Chapel Hi 11. – Zaręczam wam, panowie, że nasze spotkanie będzie miało dalszy ciąg. Możecie mi wierzyć.**

**–W tej okolicy było ostatnio dużo włamań – tłumaczył się ten o cichym głosie. Nagle jakoś spokorniał i zaczął odgrywać szopkę w stylu „Wspólna Ameryka”.**

**–Wsadź sobie w dupę swoje przeprosiny – oświadczył Sampson i teraz on ich szturchnął pistoletem; niech panowie policjanci też poznają, co to upokorzenie.**

**Wsiedliśmy z powrotem do auta. Zatrzymaliśmy sobie ich broń. Na pamiątkę miłego dnia. Niech się tłumaczą szefom na komendzie.**

**–A to skurwysyny! – zawołał Sampson, gdy ruszyliśmy. Rąbnąłem dłonią w kierownicę. I jeszcze raz. Cała ta historia wstrząsnęła mną bardziej, niżbym przypuszczał, być może dlatego, że byłem przemęczony i podenerwowany.**

**–Z drugiej strony – dodał Sampson – rzuciliśmy się na tych chłopaków jak narwani. Jakaś rasistowska pierdoła, a mnie od razu dymi pod czaszką. Demony się budzą. No i dobrze. Teraz mam kopa do pracy.**

**–Przyjemnie znów zobaczyć twój wredny pysk – powiedziałem do niego. I roześmiałem się wreszcie. On też. Śmialiśmy się na cały głos.**

**–Twój też, Czekoladko. Ucieszysz się, jak ci powiem, że wyglądasz nieźle. Jeszcze nie widać po tobie napięcia. Więc do roboty. Wiesz co, nie chciałbym być w skórze tego biednego psychola, jeżeli go dzisiaj złapiemy – co jest, jak sądzę, bardzo prawdopodobne.**

**Sampson i ja też byliśmy zblźniaczeni. Czulem się z tym dobrze jak nigdy.**

## ROZDZIAŁ 87

Odszukaliśmy z Sampsonem dziekana Browninga Lowella. Ćwiczył w siłowni w nowej sali gimnastycznej. Sala wyposażona była w błyszczące nowością ostatnie osiągnięcia techniki kulturystycznej.

Dzekan Lowell pracował hantlami. Chcieliśmy z nim porozmawiać o Wicku Sachsie, doktorze pornografii.

Przyglądaliśmy się, jak wykonuje zestaw ostrych bocznych unosów, a potem przysiady i wyciskanie. Robiło wrażenie, nawet na takich dwóch wyjadaczach siłownianych jak Sampson i ja. Lowell był niezłym okazem siły fizycznej.

–A więc to tak wyglądają z bliska bogowie Olimpu – powiedziałem, gdy ruszyliśmy przez parkiet w jego stronę. Z głośników leciała piosenka Whitney Houston. Przy Whitney wszystkie profesorskie byczki pompowały na maks.

–Boga z Olimpu to ty masz przy sobie – przypomniał mi Sampson.

–Łatwo się zapominam w obecności wielkich, acz skromnych – oświadczyłem szczerząc zęby.

Dzekan Loweli usłyszał stukot naszych butów i uniósł głowę. Powitał nas przyjacielskim uśmiechem, naprawdę robił sympatyczne wrażenie. Stawał na głowie, żeby je robić.

Miał informacje z pierwszej ręki i chciałem wydobyć od niego, co się da, i to szybko. Gdzieś w Karolinie Północnej znajdował się nadal brakujący kawałek puzzla, który mógł ukazać jakiś sens wszystkich tych morderstw i knowań. Przedstawiłem Sampsona i przeszliśmy do rzeczy bez wstępnych uprzejmości. Zapytałem Lowella, co wie o Wicku Sachsie.

Dzekan był wyjątkowo skłonny do współpracy, tak jak przy pierwszym naszym spotkaniu.

–Sachs to zakąła uczelni od lat. Chyba każdy uniwersytet musi mieć takiego – oznajmił Loweli marszcząc brwi. Zauważyłem, że nawet zmarszczki na czole miał muskularne. – Jest powszechnie znany pod przydomkiem Doktor Świntuch. Ale ma dożywotni kontrakt, poza tym nikt go nigdy nie złapał na czymś skrajnie niestosownym. Pewnie powinienem kierować się wobec niego domniemaniem niewinności, ale nie będę.

–Czy słyszał pan kiedykolwiek o kolekcji erotycznych książek i filmów, którą trzyma w domu? Pornograficznych właściwie, udających erotyczne. – Sampson wyręczył mnie w zadaniu następnego pytania.

Loweli przerwał swoje energiczne wymachy. Zanim się znów odezwał, przyglądał nam się przez dłuższą chwilę.

–Czy doktor Sachs jest poważnym podejrzanym w sprawie zaginięć tych młodych kobiet? – zapytał.

–Podejrzanym jest wielu, dziekanie Loweli. Tylko tyle mogę panu w tej chwili powiedzieć – oświadczyłem zgodnie z prawdą.

–Powiem panom parę rzeczy o Sachsie, które być może są istotne. – Odłożył już ciężarki. Wycierał ręcznikiem ramiona i potężny kark. Miał ciało jak polerowana skała. Wycierając się nadal skrupulatnie, zaczął opowiadać.

–Niech zacznę od początku. Otóż kawał już czasu temu została w okropny sposób zamordowana para studentów. To było w osiemdziesiątym pierwszym. Wiek Sachs był wtedy na pierwszych latach studiów humanistycznych. Liberał, świątły umysł. Ja już kończyłem uczelnię. Kiedy zostałem dziekanem, dowiedziałem się, że Sachs był jednym z podejrzanych w sprawie tego morderstwa, ale został całkowicie oczyszczony z zarzutów. Nie było przeciwko niemu żadnych dowodów. Nie znam szczegółów, ale na komendzie w Durham dowiedzieć się wszystkiego. Wiosna osiemdziesiątego pierwszego. Zamordowani nazywali się Roe Tierney i Tom Hutchinson. To był straszny skandal, pamiętam. W tamtych latach pojedyncze, zwykle morderstwo potrafiło jeszcze wstrząsnąć opinią publiczną. Nigdy nie wykryto sprawcy.

–Dlaczego nie powiedział mi pan tego wcześniej? – spytałem.

–FBI wiedziało wszystko na ten temat. Sam im powiedziałem. Wiem, że rozmawiali z Sachsem już parę tygodni temu. Odniosłem wrażenie, że go jednak nie podejrzewają i że nie widzą związku między tamtym morderstwem a obecnymi. Jestem o tym przekonany.

–Uczciwie pan stawia sprawę – rzekłem do Lowella. Poprosiłem go jeszcze, aby odkopał dla mnie te materiały, których zażyczyło sobie FBI. Chciałem też przejrzeć księgi pamiątkowe Duke z czasów Sachsa i Willa Rudolpha. Zaliczyć ważne ćwiczenia z roku 1981.

Koło siódmej wieczór spotkaliśmy się z policjantami z Durham. Między innymi z detektywami Ruskinem i Sikesem. Też już odczuwali trudy śledztwa.

Nim przeszliśmy do podsumowywania wyników dochodzenia, odciągnęli nas na stronę. Było widać, że są zestresowani i że uszło z nich sporo pary.

–Słuchajcie, wyście już pracowali przy takich dużych, beznadziejnych sprawach – zaczął Ruskin. Jak zwykle gadał tylko on. Davey Sikes nie znosił nas chyba tak samo jak pierwszego dnia. – Wiem, że mój partner i ja na początku trochę daliśmy wam popalić. Ale chcę, żebyście wiedzieli, że w tej chwili mamy w głowie tylko jedno: skończyć z tymi morderstwami.

Sikes pokiwał swoim wielkim, graniastym łbem.

–Chcemy dorwać Sachsa – przemówił wreszcie. – Ale przy takim szefostwie jak nasze tylko kręcimy się w kółko.

Ruskin zdobył się na uśmiech i ja w końcu też. Wszyscyśmy dobrze znali te polityczne gierki naszej góry. Jednak nadal nie miałem zaufania do funkcjonariuszy wydziału zabójstw policji w Durham. Byłem przekonany, że chcą nas albo wykorzystać, albo usunąć z drogi.

I czułem przez skórę, że nadal ukrywają przed nami dowody.

Wyjaśnili, że ugrzęźli po uszy w sprawdzaniu wszystkich lekarzy z Trójkąta Uczelnianego, którzy kiedykolwiek otarli się o przestępstwo. Wiek Sachs był głównym podejrzany, ale nie jedynym.

Nadal istniała poważna szansa, że Casanova okaże się ktoś, o kim jeszcze nigdy nie słyszeliśmy. To się często zdarzało w sprawach wielokrotnych zabójstw. Ten Człowiek istniał – ale nie mieliśmy zielonego pojęcia, kto by to mógł być. To właśnie



**najbardziej mnie przerażało i frustrowało.**

**Ruskin i Sikes zaprowadzili nas do wiszącej na ścianie tablicy ze spisem podejrzanych. Widniały na niej nazwiska siedemnastu mężczyzn. Pięciu z nich to byli lekarze. Kate od początku sądziła, że Casanova to lekarz, Kyle Craig tak samo.**

**Przeczytałem te pięć nazwisk.**

**Dr Stefan Bowen**

**Dr Francis Constantini**

**Dr Richard Dilallo**

**Dr Miguel Fesco**

**Dr Kelly Clark**

**Zacząłem się znów zastanawiać, czy w sprawę domu Z horroru nie jest przypadkiem zamieszanych więcej osób. I czy Wiek Sachs jest naprawdę naszym facetem. Czy jest Casanovą?**

**–Pan jesteś główny guru – odezwał się nagle Davey Sikes, pochylając się nad moim ramieniem. – Kto to może być? Pomóż pan biednym glinom z wiochy. Złap pan tego czarnego luda, doktorze Cross.**

## ROZDZIAŁ 88

Późnym wieczorem Casanova znów ruszył do akcji. Na polowanie. Przez ostatnie dni brakowało mu dreszczyku emocji, ale tej nocy czekało go ważne wydarzenie.

Z łatwością przeniknął rozłazący się w szwach system ochrony Centrum Medycznego Uniwersytetu Duke, przedostając się przez rzadko używaną, metalową bramkę na parkingu dla lekarzy. Po drodze do wyznaczonego celu minął parę rozszczebiotanych pielęgniarek i kilku lekarzy o poważnych minach. Część z nich skinęła mu głową, niektórzy nawet z uśmiechem.

Jak zawsze, Casanova wtapiał się perfekcyjnie w otoczenie. Mógł pójść, dokąd chciał – i zwykle tam trafiał.

Przemierzając w pośpiechu sterylnie białe szpitalne korytarze, Casanova przeprowadzał sobie bardzo skomplikowane i ważne kalkulacje dotyczące przyszłości. Przez dłuższy czas szło mu w Trójkącie Uczelnianym i na Południowym Wschodzie znakomicie, ale ten czas się definitywnie kończył. I to od dziś.

Alex Cross i reszta tych przebrzydłych pracusiów kręcili się już zbyt blisko niego. Nawet policja z Durham robiła się niebezpieczna. Był dla nich „miejscowy”. Wiedział, jak bardzo się mylili w tej swojej terminologii. Ale w końcu ktoś trafi na dom w lesie. Albo jeszcze gorzej – trafi na niego, przez jakiś głupi przypadek.

Tak, najwyższy czas się ruszyć. Może powinni z Willem Rudolphem przenieść się do Nowego Jorku, pomyślał. Albo na słoneczną Florydę, która tak pociągała Teda Bunny'ego? W Arizonie też jest przyjemnie. Spędzić sezon jesienny w Tempe albo Tuscon. Pomyszkować sobie po miejscowościach uniwersyteckich, pełnych łatwej zdobyczy. Mogliby się też zakotwiczyć w pobliżu któregoś z tych wielkich kampusów w Teksasie. Austin chyba jest sympatyczne. A może Urbana w Illinois? Madison w Wisconsin? Columbus w Ohio?

W zasadzie jednak skłaniał się coraz bardziej ku Europie. Londyn, Monachium albo Paryż. Wielkie tournee w jego własnym wykonaniu. Może to najlepszy pomysł na dzisiejsze czasy? Wielkie tournee prawdziwych mistrzów w swoim fachu. Kto będzie chciał oglądać „Draculę”, skoro po kraju grasują dzień i noc prawdziwe bestie?

Casanova zastanawiał się, czy ktoś byłby go w stanie śledzić w tej płątanie korytarzy Centrum Medycznego. Na przykład Alex Cross? Kto wie. Wytrwałość doktora Crossa była zaiste godna podziwu. Przechytrzył tego pozbawionego wyobraźni porywacza dzieci, tego operetkowego mordercę – psychola z Waszyngtonu. Nim ruszą z Willem Rudolphem na poszukiwanie mocniejszych wrażeń, Cross powinien zostać wyeliminowany. Inaczej będzie ich ścigał do piekła i z powrotem.

Casanova dotarł isticie bizantyńskim labiryntem korytarzy do Bloku Drugiego. • Szło się tędy do szpitalnej kostnicy i do pomieszczeń technicznych, dlatego ruch był tutaj mniejszy.

Obejrzał się w głąb długiego, białego korytarza. Nikt nie szedł jego tropem. Takie to czasy; bez autorytetów, bez ikry, bez pomysłu.

Może po prostu jeszcze o nim nie wiedzą. Może do niczego nie doszli. Ale w końcu dojdą. Trop istniał. Prowadził w przeszłość, do sprawy Roe Tierney i Toma

Hutchinsona. Nie rozwikłane morderstwo „złotej pary”. Jego i Willa Rudolpha pierwsze kroki. Boże, jak to dobrze, że przyjaciel wreszcie wrócił. Z Rudolphem u boku zawsze czuł się lepiej. Rudolph naprawdę rozumiał, czym jest pożądanie i w rezultacie – wolność. Rudolph rozumiał go jak nikt inny.

Casanova zaczął biec truchtem po wyfroterowanych na błysk posadzkach Bloku Drugiego.

Dźwięk jego kroków odbijał się echem wśród pustych korytarzy. W parę chwil potem znalazł się w Bloku Czwartym, na samym końcu północno – zachodniego skrzydła szpitala.

Obejrzał się ponownie.

Nikt go nie śledził. Nikt jeszcze nie zgadł. I może nigdy nie zgadnie.

Wydostał się na skąpany w pomarańczowym świetle lamp plac parkingowy, gdzie przy samej ścianie stał czarny jeep. Nonszalanckim gestem otworzył drzwiczki i wsiadł do auta.

Pojazd miał rejestrację Karoliny Północnej, z literkami MD – doktor medycyny. Jeszcze jedna maska.

Znów czuł się silny i pewny swego. Cudownie wolny i pełen życia. Uskrzydłony radością chwili, jednej z najwspanialszych w jego życiu, niemal ulatywał w jedwabistą czerń nieba.

Szedł odzyskać łup, który mu się słusznie należał.

Doktor Kate McTiernan znów była na czele listy.

Bardzo za nią tęsknił.

Bardzo ją kochał.

## ROZDZIAŁ 89

Dżentelmen też ruszył do akcji. Doktor Will Rudolph nieubłaganie – zbliżał się poprzez noc ku nie podejrzewającej niczego ofierze. Soki jego ciała wzbierały i krążyły ożywczo. Zamierzał złożyć wizytę domową, jak przystało na wybitnego lekarza, w każdym razie takiego, który naprawdę dba o pacjentów.

Casanova nie chciał, by Dżentelmen włóczył się po ulicach Durham czy Chapel Hill. Właściwie zabronił mu tego. To zrozumiałe i godne podziwu, ale niemożliwe do wykonania. Pracowali przecież razem. Poza tym nocą niebezpieczeństwo było minimalne, a korzyści znacznie przewyższały ryzyko.

Następną scenę tego przedstawienia należało odegrać natychmiast i mógł to. uczynić tylko on. Will Rudolph był o tym przekonany. Nie ciążył mu żaden bagaż emocjonalny. Nie miał pięty achillesowej. A Casanova tak... Nazywała się Kate McTiernan.

W pewnym sensie, pomyślał, stała się jego konkurentką. Casanova związał się z nią w sposób szczególny. Była bardzo bliska ideału „kochanki”, którego, jak twierdził, poszukiwał tak obsesyjnie. I w tym kontekście zagrażała bardzo wyjątkowemu związkowi Willa Rudolpha z Casanovą.

Wjechał do Chapel Hill rozmyślając o swym „przyjacielu”. Coś się między nimi odmieniło i ta odmiana sprawiała mu satysfakcję. Trwająca niemal rok rozłąka sprawiła, że jeszcze bardziej cenił sobie ich związek, silniejszy teraz niż poprzednio. Nie było na świecie nikogo, z kim mógł pogadać, tylko ten jeden człowiek.

Jakie to smutne, pomyślał Rudolph.

Jakie komiczne.

Przez ten rok w Kalifornii Will Rudolph przypomniał sobie aż nazbyt dobrze bolesną samotność, której doświadczał jako chłopiec. Dorastał w Fort Bragg w Karolinie Północnej, potem w Asheville. Był synem pana pułkownika, maskotką pułku, prawdziwym synem Południa. Od samego początku miał dość sprytu, by zachowywać pozory: wyróżniający się student, uprzejmy, uczynny, przynoszący zaszczyt swemu środowisku. Dżentelmen doskonały. Nikt nie miał pojęcia o jego prawdziwych potrzebach i żądach... dlatego właśnie samotność tak mu doskwierała.

Pamiętał, kiedy dobiegła końca. Dokładnie gdzie i kiedy. Pamiętał pierwsze, przyprawiające o zawrót głowy spotkanie z Casanovą. Miało miejsce nie gdzie indziej, tylko na kampusie Duke i było bardzo niebezpieczne dla nich obu.

Dżentelmen nigdy nie zapomni tej sceny. Miał swój pokój, jak każdy w akademiku. Pewnej nocy, już dobrze po drugiej, zjawił się w nim Casanova. Will niemal narobił w portki ze strachu.

Kiedy otworzył drzwi, zobaczył kogoś niesamowicie pewnego siebie. Był tam stary, teatralny thriller i ta scena wydawała się żywcem wzięta stamtąd.

–Nie zaprosisz mnie do środka? Chcesz, żebym powiedział to, co mam do powiedzenia, na cały korytarz? – rzucił kpiąco tamten.

Rudolph wpuścił go. Zamknął drzwi. Serce miał w gardle.

–Czego chcesz? Jezu, jest prawie druga w nocy. Znów ten uśmieszek. Taki

**zadufany. Wszystkowiedzący.**

**–Zabiłeś Roe Tierney i Toma Hutchinsona. Łaziłeś za nią prawie rok. I jak sądzę, masz w tym pokoju pamiątkę swojej miłości do Roe. Jej język.**

**To była najstraszniejsza chwila w życiu Willa Rudolpha. Ktoś odkrył, kim on naprawdę jest. Ktoś go zdemaskował.**

**–Nie bądź taki przerażony – uspokajał go intruz. – Wiem także, że nie ma sposobu, żeby ci kiedykolwiek udowodnili to morderstwo. Popełniłeś zbrodnię doskonałą. No, prawie doskonałą. Moje gratulacje.**

**Odgrywając oburzenie najlepiej jak w tych okolicznościach potrafił, Rudolph roześmiał się swemu oskarżycielowi w twarz.**

**–Kompletnie ci odbiło. Masz natychmiast stąd wyjść. Czegoś tak obłądnego jeszcze w życiu nie słyszałem.**

**–Ja też nie – odparł tamten. – Ale całe życie czekałeś, by to usłyszeli; I powiem ci jeszcze coś, co zawsze pragnąłeś usłyszeć. Rozumiem to, co zrobiłeś i dlaczego. Sam robię takie rzeczy. Jestem bardzo do ciebie podobny, Will.**

**Rudolph od razu poczuł silną więź z tamtym. Pierwszą prawdziwie ludzką więź w swoim życiu. Może tak właśnie wygląda miłość? Czy zwyczajni ludzie mogą odczuwać coś więcej niż on? Czy tylko karmią się złudzeniami? Tworząc pretensjonalnie romantyczne fantazje na temat jakże pospolitych czynności rozrodczych?**

**Dżentelmen nawet nie zauważył, kiedy dojechał na miejsce. Zatrzymał auto pod strzelistym starym wiązem i wyłączył światła. Na ganku domu, w którym mieszkała Kate McTiernan, stało dwóch czarnych mężczyzn.**

**Jednym z nich był Alex Cross.**

## ROZDZIAŁ 90

Kilka minut po dziesiątej Sampson i ja jechaliśmy ciemną, krętą ulicą na przedmieściach Chapel Hill. Obaj mieliśmy za sobą ciężki dzień na froncie.

Przedtem zabrałem Sampsona na spotkanie z Sethem Samuelem. Odbyliśmy też rozmowę z jednym z byłych nauczycieli Setha, doktorem Louisefn Freedem. Przedstawiłem Freedowi swoją teorię na temat „znikającego domu”; zgodził się przeprowadzić pewne badania, które mogły pomóc w jego lokalizacji.

Niewiele dotąd rozmawiałem z Sampsonem na temat Kate McTiernan. Teraz nadszedł czas, by ich ze sobą poznać. Nie do końca byłem pewien charakteru naszej przyjaźni i Kate też. Może Sampson coś mi podpowie, gdy ją zobaczy. Byłem pewien, że to zrobi.

–I ty tak codziennie wyrabiasz te nadgodziny? – dopytywał się, gdy wjechaliśmy w ulicę Kate, Aleję Starszych Pań, jak ją nazywała.

–Codziennie, dopóki nie znajdę Scootchie albo nie uznam, że nie jestem w stanie. Wtedy wezmę sobie całą noc wolnego.

–A ty cholero! – zarżał w odpowiedzi Sampson.

Wyskoczyliśmy z auta i podeszliśmy do drzwi. Zadzwońłem.

–Nie mamy kluczyka? – spytał mój partner z kamienną twarzą.

Kate zapaliła dla nas lampę na ganku. Zastanawiałem się, czemu nie włącza światła na całą noc. Żeby oszczędzić pięć centów na miesiąc? Żeby nie przyciągać owadów? Bo jest uparta i chce jeszcze raz spróbować się z Casanovą? Najpewniej to ostatnie, znając ją tak, jak zaczynałem ją znać. Marzyła, by go dorwać, równie mocno jak ja.

Podeszła do drzwi w starej buroszarej bluzie od dresu i obszarpanych džinsach. Była boso, ale paznokcie stóp miała pomalowane. Przycięła włosy do ramion i wyglądała prześlicznie. Nie da się ukryć.

–Cholera z tymi owadami – stwierdziła, rozglądając się po ganku.

Uściskała mnie i pocałowała w policzek. Przemknęło mi przez głowę wspomnienie ubiegłej nocy, gdy zasnęliśmy przytuleni. Dokąd nas to wszystko doprowadzi? A czy musi dokądś prowadzić?

–Cześć, Johnie Sampson – potrząsnęła na powitanie jego dłonią, – Wiem o tobie parę rzeczy, łącznie z tym jak się poznaliście w wieku dziesięciu lat. Możesz coś dodać, jeśli chcesz, przy szklaneczce zimnego piwa. Przedstawić swoją wersję – zakończyła z uśmiechem. Fajnie się człowiek czuł na drugim końcu takiego uśmiechu.

–Więc to ty jesteś ta słynna Kate. – Sampson nie puszczał jej dłoni i spoglądał głęboko w jej oczy. – Ktoś mi opowiadał jakieś legendy, że przetrwałaś na medycynie pracując na stacji benzynowej czy coś w tym stylu. No i czarny pas drugiego stopnia. *Nidan*. - Uśmiechnął się lekko i skłonił z szacunkiem.

Kate uśmiechnęła się szeroko do Sampsona odwzajemniając ukłon.

–Uciekajmy do środka od tych diabelnych insektów i piekielnego gorąca. Coś mi się widzi, że Alex obgadywał nas za plecami. Odpowie nam za to. Zjednoczymy się przeciwko niemu?

–To właśnie Kate – oznajmiłem Sampsonowi wchodząc za nim do mieszkania. – I co myślisz?

Obejrzał się na mnie.

–Z jakiegoś niewiadomego powodu ona cię lubi. Lubi nawet mnie, CO ma juk o wiele większy sens.

Usiedliśmy sobie w kuchni i potoczyła się swobodna, niekrępująca rozmowa, jak zwykle w obecności Kate. Sampson i ja piliśmy piwo, a ona mrożoną herbatę. Widać było, że przypadli sobie do gustu. Obojga trudno było zresztą nie lubić. Jedno i drugie cechuje niezależność natury, bystrość umysłu i brak małostkowości.

Zapoznałem ją z rezultatami naszej dzisiejszej roboty detektywistycznej i bezowocnego spotkania z Ruskinem i Sikesem. Ona opowiedziała o swoim dniu w szpitalu, zacytowała nawet jakieś zrobione już po pracy notatki.

–Wygląda, że oprócz czarnego pasa masz też doskonałą pamięć – rzekł Sampson unosząc brew wielkości bumerangu. – Nic dziwnego, że doktor Alex jest pod takim wrażeniem.

–A jest? – przyjrzała mi się spod oka. – Jakoś nic mi o tym nie wspominał.

–Możesz mi nie wierzyć – zwróciłem się do Sampsona – ale Kate jest nie za bardzo zapatrzona w siebie. Rzadkie to schorzenie w naszej ćwierci stulecia. To dlatego, że ogląda za mało telewizji i czyta za dużo książek.

–To niegrzecznie analizować charakter przyjaciół w obecności innych przyjaciół – skarciła mnie dając lekkiego kuksańca w ramię.

Pogadaliśmy jeszcze trochę o sprawie. O doktorze Sachsie i jego łamigłówkach. O haremach. Maskach. „Znikającym domu”. O mojej najnowszej teorii związanej z doktorem Louistem Freedem.

–Trochę sobie poczytałam przed waszym przyjściem – oznajmiła Kate. – Taki esej o męskim popędzie seksualnym, o jego naturalnym pięknie i mocy. Jest tam mowa o współczesnym mężczyźnie próbującym się zdystansować od matki, uwolnić od przytłaczającej go kosmologicznej mamuśki. Autor twierdzi, że wielu mężczyzn potrzebuje tego wyzwolenia, by potwierdzić swoją męską tożsamość, ale dzisiejsze społeczeństwo nieustannie im to udaremnia. Jakież uwagi, panowie?

–Mężczyźni to mężczyźni. – Sampson obnażył znów białe zębiska. – W sumie teoria do przyjęcia. W głębi serca zawsze będziemy tygrysami i lwami. Co do kosmologicznej mamuśki nie będę się wypowiadał, bo nigdy żadnej nie spotkałem. – A jak ty uważasz, Alex? – naciskała mnie Kate. – Jesteś lwem albo tygrysem?

–U większości mężczyzn pewne rzeczy nigdy mi się nie podobały – odpowiedziałem. – Ale rzeczywiście podlegamy niewiarygodnej presji. Jesteśmy więc jednobarwni. Niepewni swego, w defensywie. Rudolph i Sachs usiłują potwierdzić swoją męskość w sposób ekstremalny. Odmawiają poddania się społecznym konwenansom czy prawom.

–Tam – tara – dam! – Sampson wykonał werbel jak przed telewizyjną debatą.

–Wydaje im się, że są sprytniejsi od wszystkich – dodała Kate. – W każdym razie Casanovie. Nabija się z nas. Ohydny skurwiel.

–I po to ja tu jestem – zwrócił się do niej Sampson. – Żeby go schwytać, wsadzić

do klatki, zamknąć i wynieść go za siódmą górę. Aha, a w klatce i tak już będzie trup.

I tak upływał nam czas, przelatywał jak błyskawica. W końcu zrobiło się późno i musieliśmy iść. Próbowałem jeszcze raz namówić Kate, żeby przeniosła się do hotelu. Przerabialiśmy już ten temat wielokrotnie i odpowiedź zawsze była ta sama.

–Dzięki za troskę, ale nie – oświadczyła, odprowadzając nas do drzwi. – Nie mogę dopuścić, żeby mnie wygnał z własnego domu. Co to, to nie. Jak wróci, będzie zadyma.

–Alex ma rację co do hotelu – rzekł do niej Sampson łagodnym tonem, którego używa tylko wobec przyjaciół. No i proszę, dostała podwójną radę od dwóch najostrzejszych glin w okolicy.

Ale Kate tylko pokręciła głową i wiedziałem, że nie ma sensu się z nią dalej spierać.

–Mowy nie ma. Wszystko będzie świetnie. Obiecuję – podsumowała. Nie pytałem jej, czy mogę zostać, choć pragnąłem tego. Ale nie wiedziałem nawet, czy ona by chciała. Trochę to było skomplikowane ze względu na Sampsona. Mogłem w zasadzie dać mu samochód, ale zrobiło się już w pół do drugiej. Tak czy inaczej powinniśmy się wszyscy wyspać. Więc wyszliśmy.

–Bardzo fajna. Bardzo interesująca kobieta. Bardzo bystra. Nie w twoim typie – powiedział Sampson, gdy ruszaliśmy spod domu. Nieczęsto słyszało się taką ocenę z jego ust. – W moim typie – dodał.

Gdy dojeżdżaliśmy do przecznicy, obejrzałem się na dom. Było teraz chłodniej, koło dwudziestu stopni; Kate zgasła już światło na ganku i wróciła do środka. Była uparta, ale mądra i bystra. Dzięki temu przetrwała trudne lata na studiach. Przetrwała śmierć tak wielu osób, które kochała. Poradzi sobie, jak zawsze.

Gdy znaleźliśmy się w hotelu, zadzwoniłem jednak do Kyle Craiga.

–Jak tam nasz pan Sachs? – spytałem.

–Świetnie. Otuliłem go kołderką do snu. Nic się nie martw.



## ROZDZIAŁ 91

Kiedy statek ratowniczy m/s „Alex i Sampson” już odpłynął, Kate starannie sprawdziła wszystkie drzwi i okna w mieszkaniu. A potem jeszcze raz. Były dokładnie pozamykane. Polubiła Sampsona od razu. Był wielki i straszny, sympatyczny i straszny, słodki i straszny. Alex chciał ją pokazać najlepszemu kumplowi; podobało jej się to.

Robiąc kolejną rundę wokół kochanego mieszkania, przemyśliwała nad nowym życiem, gdzieś daleko od Chapel Hill i wszystkich okropności, których tu doświadczyła. Kurczę blade, żyję jak w filmie Hitchcocka, pomyślała. Oczywiście gdyby Hitchcock dożył i zdążył zareagować na obłąd i horror lat dziewięćdziesiątych.

Wyczerpana ciężkim dniem wsunęła się w końcu pod kołdrę.

–Auu... – Wyczuła pod nogą jakiś zeschnięty chleb czy okruchy ciastka. Nie pościeliła rano łóżka.

Nie za wiele ostatnio osiągnęła i to ją też złościło. Gdyby wszystko szło według planu, na wiosnę kończyłaby pierwszy rok stażu. A teraz nie była pewna, czy go zaliczy przed jesienią.

Podciągnęła kołdrę pod brodę. Na początku czerwca! Zrobiła się ostatni© niemożliwa. Ale wiedziała, że nic nie ukoji jej nerwów, dopóki ten potwór Casanova pozostanie na wolności. Myślała o zabiciu go. Jej pierwsze i jedyne marzenie o zadaniu komuś bólu. Wyobrażała sobie, jak wchodzi do domu Wicka Sachsa. Oko za oko. Pamiętała ten fragment Księgi Wyjścia. Doskonała pamięć, rzeczywiście.

Bardzo pragnęła, żeby Alex został, ale nie chciała go wprawiać w zakłopotanie w obecności Sampsona. Mogliby teraz rozmawiać jak tyle razy przedtem, mógł by leżeć przy niej. Pragnęła, żeby ją przytulił. A może nie tylko. Może była już gotowa na więcej. Co noc kawałek dalej.

Nie miała pewności, w co jeszcze wierzy, czy wierzy w cokolwiek w ogóle. Ostatnio zaczęła się modlić, więc może wierzy. Formułki z pamięci, ale zawsze coś. Ojciec nasz, któryś jest... Zdrowaś Mario, łaskiś... Ciekawa była, ilu ludzi jeszcze to robi.

–Uwielbiam ten pomysł, że Ty istniejesz, Boże – szepnęła w końcu. – Proszę, Ty też uwielbiaj pomysł, że ja istnieję.

Nie przestawała jednak obsesyjnie rozmyślać o Casanovie, o doktorze Wicku Sachsie, o tajemniczym, znikającym domu – katowni i nieszczęsnych kobietach nadal tam uwięzionych. Tak się już jednak przyzwyczaiła do nieustających koszmarów, że w końcu mimo wszystko zapadła w sen.

I nie słyszała w ogóle, jak dostał się do mieszkania.

## ROZDZIAŁ 92

**KUTAS – TIK. Kutas – tak.**

**Kutas – tik, pała – cyk.**

**Kate obudził w końcu jakiś dźwięk. Z prawej strony sypialni skrzypnęła deska w podłodze.**

**Tylko tyci, tyci... ale na sto procent.**

**Nie w wyobraźni, nie we śnie. Wiedziała, że to on jest znowu w jej sypialni.**

**Niech to będzie złudzenie; niech to będzie scena z koszmaru; niech cały przeszły miesiąc stanie się koszmarem, który tylko mi się śni.**

**O Boże, Jezu, nie! – pomyślała.**

**Jest w pokoju. Wrócił! To było tak okropne, że ledwie mogła się zmusić, by w to uwierzyć.**

**Kate wstrzymała oddech, aż poczuła ból w piersi. Tak naprawdę nigdy do końca nie wierzyła, że Casanova mógłby wrócić.**

**Teraz wiedziała, że popełniła straszny błąd. Najgorszy w życiu, ale miała nadzieję, że będzie jej dane popełnić ich więcej.**

**Kim jest ten niesłychany szaleniec? Czyżby aż tak jej nienawidził, że postanowił zaryzykować wszystko? A może mu się zdaje, że aż tak ją kocha? Chory, żaloszny sukinsyn.**

**Usiadła spięta na krawędzi łóżka i nasłuchiwała w skupieniu. Była gotowa rzucić się na niego. O, znowu... ten cichutki skrzyp podłogi. Nadal z prawej strony pokoju.**

**Wreszcie dostrzegła wyprostowaną, ciemną sylwetkę. Przełknęła łapczywie powietrze, niemal ją zatkało.**

**Tam jest, niech go piekło pochłonie.**

**Przepływały między nimi jakieś prądy, jakaś potężna, przesycona nienawiścią energia. Ich oczy w końcu się spotkały. Nawet w tych ciemnościach miała wrażenie, że jego wzrok przepalają na wylot. Pamiętała ten wzrok aż za dobrze.**

**Chciała odsunąć się od niego, usunąć z toru jego pierwszego ciosu.**

**A pierwszy cios był błyskawiczny i silny. Casanova nie utracił nic ze swej szybkości. Rozdzierający ból przeszył jej ramię i lewy bok.**

**Zaprawa z karate utrzymała ją jednak w ruchu. I zwykły upór. Wola przetrwania, która stała się jej znakiem firmowym. Wstała z łóżka. Na równe nogi, Gotowa do walki.**

**–Pomyłka – szepnęła. – Twoja, tym razem.**

**Znów ujrzała zarys jego sylwetki – na tle padającej przez okno księżycowej poświaty. Ogarnęły ją jednocześnie lęk i nienawiść. Miała wrażenie, że serce zaraz przestanie jej bić, po prostu w jednej chwili odmówi posłuszeństwa.**

**Wyrzuciła nogę w potężnym kopnięciu. Trafiła go w twarz i usłyszała trzask kości. Okropny dźwięk, ale jakże cudowny.**

**Aż kwiknęła cienkim głosem z bólu. Trafiony!**

**Jeszcze raz, Kate. Podskok, szybki ruch i kopnięcie ciemnej, zmieniającej pozycję postaci, tym razem w okolice żołądka. I znowu jęknął z bólu.**

**–I jak ci się teraz podoba, co?! – wrzasnęła do niego. – Jak ci się to podoba?!**

Miała go i przysięgła sobie, że tym razem nie da się pokonać. Schwyta Casanovę i to całkiem sama. Był już gotów. Ale najpierw mu jeszcze przyłoży.

Rąbnęła go ponownie. Krótko, zwięźle, szybko jak błyskawica i mocno. Sprawilo jej to niewyobrażalną przyjemność. Zataczał się i głośno jęczał.

Głowa mu odskoczyła do tyłu. Włosy się zmierzwiły. Zamierzała go powalić na ziemię. Może nieprzytomnego. A potem zapali światło. I może jeszcze kopnie leżącego.

–To z miłości – oznajmiła mu. – Tak na początek.

Patrzyła, jak się potyka. Jak pada.

Łup! – ktoś? coś? – walnęło ją prosto w plecy. Odebrało jej dech.

Nie mieściło jej się w głowie, że tak się dała podejść. Jej ciało poraził ból jakby dostała kulę.

Łup!

Znowu oberwała.

W pokoju było ich dwóch.

## ROZDZIAŁ 93

Mimo straszliwego bólu Kate utrzymywała się jeszcze na nogach i w końcu zobaczyła drugiego mężczyznę. Zamachnął się i z całej siły uderzył ją w czoło. Usłyszała jakiś metaliczny dźwięk i poczuła, że się przewraca, pada.

Słyszała nad głową dwa głosy. Dwóch bestii w swoim pokoju. Koszmar stereo.

– Miało cię tu nie być – poznała głos Casanovy. Mówił do demona numer dwa. Do doktora Willa Rudolpha?

– Nie, to właśnie ja powinienem tu być. Bo mnie nic nie łączy z tą głupią suką. Mam ją dokładnie gdzieś. Przemyśl to sobie. Bądź mądry.

– W porządku, Will, w porządku. Co z nią zrobisz? – odezwał się znów głos Casanovy. – To twoja impreza. Tego przecież chciałeś, prawda?

– Osobiście najchętniej bym ją zjadł, po kawaleczku – odparł doktor Will Rudolph. – Czy to może zbyt zboczone?

Roześmiali się jak dwaj kumple podczas pogawędki w barze. Kate już niemal nie brała udziału w tej scenie. Opuszczała to miejsce. Dokąd się udawała?

Will Rudolph oznajmił, że kupił jej kwiaty. Zaczęli rechotać z dowcipu. Znowu razem, na myśliwskiej wyprawie. Nikt ich nie powstrzyma. Do Kate docierała woń ich ciała, silny zapach, który zdawał się obejmować we władanie cały świat.

Okazało się, że jeszcze długo pozostawała przytomna. Walczyła z całych sił. Uparcie, dumnie, z pełną świadomością. W końcu zgasła, jak ekran starego telewizora. Najpierw rozmazany obraz, potem mały jasny punkt, wreszcie ciemność. Tak po prostu, tak zwyczajnie.

Kiedy skończyli, zapalili w sypialni światło, żeby wszyscy wielbiciele Kate McTiernan mogli się jej dobrze przyjrzeć po raz ostatni.

Zamordowanej bez zimnej krwi.

## ROZDZIAŁ 94

Przez całe osiem kilometrów z Durham do Chapel Hill nogi i ręce trzęsły mi się tak, że ledwie mogłem prowadzić samochód. Trzęsła mi się nawet szczęka, a zęby dzwoniły.

W końcu musiałem zjechać z szosy, bo chyba rozwalilibym się na pierwszym drzewie.

Siedziałem skulony w aucie, a we włączonych światłach tańczyły pyłki kurzu i oszalałe owady, unoszące się w powietrzu poranka.

Oddychałem głęboko, usiłując wciągnąć w płuca trochę spokoju. Było po piątej i ptaki już zaczęły śpiewać. Zatkalem dłońmi uszy, nie chcąc słyszeć ich świergotu. Sampson został w hotelu, jeszcze spał. W ogóle zapomniałem, że tam jest.

Kate nigdy nie czuła strachu przed Casanovą. Wierzyła, że umie sobie radzić sama, nawet już po uprowadzeniu.

Wiedziałem, że obwinianie siebie jest zupełnie irracjonalne, ale czułem się winny. W którymś momencie na przestrzeni ostatnich paru lat przestałem się zachowywać jak w pełni profesjonalny detektyw. Nie było to do końca złe, ale też niezbyt dobre. Jeśli pozwalałeś sobie w Robocie odczuwać ból, pojawiało się go coraz więcej. To najprostsza droga, żeby się wypalić do cna.

**Wreszcie wróciłem na szosę. Jakies piętnaście minut potem podjechałem pod znajomy drewniany dom.**

**Aleja Starszych Pań – tak nazywała swoją ulicę Kate. Wciąż miałem przed oczami jej twarz, słodki, niewymuszony uśmiech i pełne entuzjazmu przekonanie do spraw, które miały dla niej znaczenie. Wciąż słyszałem jej głos.**

**Byliśmy z Sampsonem w tym domu zaledwie trzy godziny temu. Oczy miałem pełne łez, głowa mi pękała z bólu. Traciłem panowanie nad sobą.**

**Przypomniały mi się jej ostatnie słowa. Słyszałem je: „Jak wróci, będzie zadyma”.**

**Wzdłuż całej ulicy stały już czarno – białe wozy policyjne, posępne „erki” pogotowia i telewizyjne busy. Nie było gdzie palca wetknąć. Rzygać mi się już chciało od oglądania tych wszystkich miejsc zbrodni. Można było pomyśleć, że pod oknami Kate zgromadziło się pół miasta.**

**W świetle poranka wszystkie twarze wyglądały blado i ponuro. Ściągnięte gniewem i zszokowane. Ich spokojne i tolerancyjne uniwersyteckie miasteczko miało być bezpieczną przystanią w chaosie i obłędzie reszty tego świata. Dlatego ludzie się tu osiedlali. Ale już nie będą. Casanova zmienił wszystko i na zawsze.**

**Wygrzebałem zakurzone, brudne okulary słoneczne, które leżały od miesięcy w szufladce pod deską rozdzielczą. Należały kiedyś do Sampsona. Potem dał je Damonowi, żeby mógł wyglądać na takiego samego twardziela jak on, gdy będzie miał jakiś problem ze mną. Teraz ja chciałem wyglądać na twardziela.**

## ROZDZIAŁ 95

Ruszyłem stronę domu Kate na niepewnych, gumowych nogach. Może i wyglądałem jak najtwardszy skurwiel w okolicy, lecz serce miałem niesamowicie kruche i ciężkie zarazem.

Fotoreporterzy trzaskali mi zdjęcie za zdjęciem. Odgłos fleszy brzmiał jak suche, stłumione strzały z pistoletu. Sunął ku mnie tłum dziennikarzy ale odprawiłem ich gestem ręki.

–Odsuń się, facet – ostrzegłem jednego czy drugiego. – Nie Wleń chwili. Nie teraz! Spostrzegłem jednak, że nawet oni wyglądali na zszokowanych, zmieszanych i zdezorientowanych.

Miejsce tego niesłychanego, tchórzliwego napadu obstały już szczelnie FBI i policja z Durham. Poznałem wielu miejscowych gliniarzy. Nick Ruskin i Davey Sikes też się zjawili. Sikes obrzucił mnie złym spojrzeniem, jakby chciał zapytać, czego ja tu właściwie szukam.

Kyle Craig również był na miejscu. To on zadzwonił do hotelu z tą straszliwą wiadomością.

Podszedł do mnie, otoczył ramieniem i rzekł cicho:

–Bardzo z nią kiepsko, Alex, ale jakimś cudem się trzyma. Musi mieć niesamowitą wolę życia. Zaraz powinni ją wynosić. Zostań tu przy mnie. Nie wchodź tam. Zaufaj mi tym razem, dobra?

Słuchałem jego słów i miałem wrażenie, że zaraz wybuchnę płaczem na oczach kamer i wszystkich znajomych i nieznajomych. W głowie i w sercu czułem kompletny chaos. W końcu przemogłem się i wszedłem jednak do budynku, by obejrzeć tyle, ile będę w stanie znieść.

Znowu wlaź do jej sypialni... był tutaj, dopiero co.

Coś mi jednak w tym wszystkim nie pasowało... coś nie trzymało się kupy. Coś... co się tu nie zgadza?

Ekipa z „erki” Centrum Medycznego Duke przeniosła Kate na specjalne nosze, używane przy złamaniach kręgosłupa i ciężkich urazach głowy. Jeszcze nie widziałem, żeby kogoś niesiono tak delikatnie, nawet w najtragiczniejszych okolicznościach. Lekarze wynosili ją na zewnątrz, twarze mieli szare jak popiół. Gdy pojawili się z noszami na ganku, tłum nagle ucichł.

–Zawiozą ją do Duke. Ci z Chapel Hill może będą protestować, ale tam będzie miała najlepsze warunki w całym stanie – mówił Kyle. Starał się podtrzymywać mnie na duchu na swój gładki, mechaniczny sposób. Był w tym zresztą całkiem niezły.

Coś tu nie gra... coś nie pasuje... Rusz głową. Pozbieraj jakoś te myśli. To może być ważne. Jednak nie byłem w stanie myśleć logicznie. Jeszcze nie.

–A co z Wickiem Sachsem? – zapytałem Kyle'a.

–Wrócił do domu przed dwudziestą drugą. Jest tam w tej chwili... Nie możemy być do końca pewni, czy nam się nie wymknął. Podejrzewam, że mógł się jakoś prześliznąć. Może ma ukryte wyjście. Chociaż nie sądzę.

Zostawiłem Kyle'a i podszedłem do stojącego obok karetek lekarza. Wokół nas wciąż wybuchały flesze. Nocne robactwo wykonywało setki „niezapomnianych” zdjęć

**z miejsca zbrodni.**

**–Czy mogę z nią pojechać? – zwróciłem się do lekarza.**

**–Nie, proszę pana – doktor bardzo łagodnie pokręcił głową. Mówił jak w zwolnionym tempie. – Tylko rodzina może znajdować się w karetce, proszę pana. Przykro mi, doktorze Cross.**

**–Dzisiaj ja jestem jej rodziną – oświadczyłem. Odepchnąłem go i wdrapałem się na tył ambulansu. Nie próbował mnie powstrzymać. I tak by nie dał rady.**

**Cały zeszywniałem. Kate leżała pośród monitorów i urządzeń reanimacyjnych, wypełniających zamkniętą przestrzeń karetki. Przestraszyłem się, że może umarła, akurat gdy wsiałem albo kiedy ją nieśli na noszach.**

**Usiałem koło niej i trzymałem koniuszki jej palców.**

**–To ja, Alex – szeptałem. – Jestem tu z tobą. Bądź silna, proszę. Zawsze byłaś, to i teraz się postaraj.**

**Lekarz, który przed chwilą nie pozwalał mi wsiaść do karetki, zajął teraz miejsce koło mnie. Czuł się w obowiązku zapoznać mnie z przepisami, ale nie miał zamiaru ich egzekwować. Na plakietce widniało jego nazwisko: Dr B. Stringer, Zespół Reanimacyjny Uniwersytetu Duke. Byłem mu winien przysługę.**

**–Czy może mi pan powiedzieć choć słowo o jej szansach? – zwróciłem się do niego, kiedy karetka z wolna ruszyła, opuszczając tę koszmarną scenerię.**

**–Bardzo trudno na to odpowiedzieć. W każdym razie żyje i to już jest cud sam w sobie – odparł przyciszonym, poważnym tonem. – Ma wielokrotne złamania kości, liczne uszkodzenia ciała, część z otwartymi, głębokimi ranami. Pęknięcie obu kości policzkowych. Być może zwicnięcie karku. Chyba musiała udawać martwą. Miała jeszcze na tyle przytomności umysłu, że udało jej się go zwieść.**

**Twarz Kate była strasznie opuchnięta i poraniona. Niemal nierozpoznawalna. Wiedziałem, że tak samo wygląda całe jej ciało. Ambulans pędził do Centrum Medycznego, a ja nie puszczałem jej ręki z łagodnego uścisku. Na tyle przytomności umysłu, że go zwiódła? Tak, to cała Kate. Choć nie byłem pewien czy cała.**

**Uczepiłem się teraz innej, porażającej myśli. Spadła na mnie jak grom jeszcze tam, przed domem. Chyba wiedziałem, co się nie zgadzało w sypialni Kate.**

**To Will Rudolph złożył jej wizytę. To Dzentelmen ją napadł. Na pewno on. Poznałem jego styl. Ordynarna, skrajna przemoc. Szał.**

**Niewiele wskazywało na Casanovę. Żadnego aryzmu. Tylko ta niesłychana brutalność, chociaż... Przecież to bliźniacy! Jeden potwór w dwóch osobach. Może Rudolph znienawidził Kate, bo Casanova się w niej kochał. I w jego skrzywionym odbiorze stanęła między nimi. Kto wie, może nie dobili jej celowo – żeby została rośliną na resztę życia.**

**Teraz przecież pracowali wspólnie. Trzeba schwytać, powstrzymać dwie bestie zamiast jednej.**

## ROZDZIAŁ 96

FBI i komenda w Durham postanowiły nazajutrz z samego rana oficjalnie przesłuchać doktora Wicka Sachsa. To było coś, kluczowa decyzja w sprawie.

Przesłuchanie należało prowadzić wyjątkowo delikatnie, toteż sprowadzono specjalnego śledczego z Wirginii. Nazywał się James Heekin i był jednym z najlepszych w branży. Przepytował Sachsa przez całe przedpołudnie.

Siedziałem w Komendzie Policji Durham z Sampsonem, Kyle Craigiem, Ruskinem i Sikesem. Obserwowaliśmy przesłuchanie przez fałszywe lustro. Czułem się jak wygłodzony żebrak sterczący na ulicy, z nosem przyklepionym do szyby drogiej restauracji. Ale za tą szybą nie podawano żarcia.

Śledczy z FBI był dobry; bardzo cierpliwy i dorównujący kunsztem niejednej gwiazdzie prokuratury okręgowej. Ale Wiek Sachs też. Wygadany i wyjątkowo opanowany w tym słownym ogniu, chwilami wręcz kpiący.

–Skurwiel ma przekichane – rozległ się w cichej kabinie obserwacyjnej głos Daveya Sikesa. Dobrze było widzieć, że wreszcie ich z Ruskinem coś ruszyło. Współczułem im nawet do pewnego stopnia – byli detektywami stąd, a mogli się przyglądać tej denerwującej rozgrywce tylko przez szybę.

–Co macie na tego Sachsa? Ukrywacie coś przede mną czy nie? – zwróciłem się do Ruskina nalewając kawy z ekspresu.

–Przywieźliśmy go tu, bo nasz szef jest głupim dupkiem – odrzekł. – Jak dotąd nic na Sachsa nie mamy.

Nie byłem pewien, czy mogę mu wierzyć. I w ogóle komukolwiek związanemu ze sprawą.

Po dwóch godzinach pełnej napięcia słownej przepychanki agentowi Heekinowi udało się ustalić zaledwie tyle, że Sachs jest kolekcjonerem erotyki i że w ciągu ubiegłych jedenastu lat miał pozamałżeńskie stosunki ze studentkami i koleżankami z uczelni, za ich zgodą.

Sam strasznie chciałem przygwoździć Sachsa, ale nie mogłem tym razem pojąć po co to przesłuchanie. Akurat teraz?

–Wiemy już, skąd bierze szmal – wyjaśnił mi rano część powodów Kyle. – : Sachs jest właścicielem agencji towarzyskiej działającej w Raleigh i Durham. Nazywa się Kissmet. Ciekawa nazwa. Ogłaszają się w książce telefonicznej jako „modelki w bieliźnie”. Przynajmniej będzie miał problemy z Urzędem Skarbowym, jeśli już nic poza tym. Waszyngton uznał, że powinniśmy go przycisnąć. Boją się, żeby nam nie zwiął.

–Nie zgadzam się z twoim Waszyngtonem – oświadczyłem. Nie było tajemnicą, że część agentów mówi o dyrekcji FBI „Disneyland Wschód”. Zrozumiałem dlaczego. Mogli w tej chwili rozwalić całe dochodzenie i to za pomocą zdalnego sterowania.

–A kto się zgadza z Waszyngtonem? – Kyle wzruszył szerokimi, kościstymi ramionami. Przyznał w ten sposób, że nie ma już pełnej kontroli nad sytuacją. Sprawa się strasznie rozrosła. – Przy okazji, jak się ma Kate McTiernan? – spytał.

Dzwoniłem, do Centrum Medycznego już trzy razy. Podałem im numer w komendzie, na wypadek gdyby jej stan się zmienił.



**–Nadal figuruje jako stan ciężki, ale jakoś się trzyma – poinformowałem go.**

**Tuż przed jedenastą dano mi szansę porozmawiania z Wickiem Sachsem. Kyle poszedł na ustępstwo.**

**Zanim przekroczyłem próg pokoju przesłuchań, usiłowałem wyrzucić z głowy myśli o Kate. Ale gniew narastał we mnie jak burza. Nie byłem pewien, czy zdołam się opanować. Nie byłem nawet pewien, czy chcę.**

**–Może ja to zrobię, Alex. Ja tam wejdę do niego, co? – Sampson przytrzymał mnie za ramię przed drzwiami. Wyrwałem mu się i ruszyłem na spotkanie z doktorem Wickiem Sachsem. – Sam go załatwię.**

## ROZDZIAŁ 97

–Witam, doktorze Sachs.

Oświetlenie niewielkiego, bezosobowego pokoju przesłuchań było jeszcze jaskrawsze i ostrzejsze, niż się wydawało z za fałszywego lustra. Sachs mrugał czerwonymi oczami i wydawało się, że jest równie zdenerwowany jak ja. Twarz miał ściągniętą, ale zachowywał się wobec mnie z tą samą pewnością siebie, jak wobec agenta Heekina z FBI.

Czyżbym spoglądał w oczy Casanovy? – zastanawiałem się. Czy to jest ten potwór w ludzkiej skórze?

–Nazywam się Alex Cross – oznajmiłem, opadając ciężko na odrapane metalowe krzesło. – Naomi Cross to moja siostrzenica.

Sachs mówił przez zaciśnięte zęby. Lekko zaciągał. Casanova, zdaniem Kale, nie miał zauważalnego akcentu.

–Wiem, cholera, kim pan jest. Czytam gazety, doktorze Cross. Pańskiej siostrzenicy nie znam. Czytałem, że została porwana.

Skinąłem głową.

–Skoro pan czyta gazety, to pewnie pan słyszał o dokonaniach szumowiny mieniającej się Casanovą?

Sachs uśmiechnął się głupawo, tak mi się przynajmniej wydawało. Jego błękitne oczy pełne były pogardy. Nietrudno było się domyślić, czemu cieszył się na uczelni powszechną niechęcią. Blond włosy zaczesał gładko do tyłu, ani włoszek nie odstawał. Rogowe okulary nadawały mu natrętnie protekcyjny wygląd.

–W całej mojej przeszłości nie ma ani śladu uciekania się do gwałtu. Nigdy nie byłbym w stanie popełnić tak odrażających zbrodni. Nie potrafię nawet zabić komara w domu. Moja awersja do przemocy jest w pełni udokumentowana.

Jasne, że jest, pomyślałem. W całym twoim sprytnie uporzorowanym, fałszywym życiu wszystko jest doskonale na swoim miejscu. Kochająca żona – pielęgniarka. Dwójka dzieci. I w pełni udokumentowana awersja do przemocy też.

Potarłem twarz obiema dłońmi. Z całej siły powstrzymywałem się, by go nie rąbnąć. Nadal był hardy i nieprzystępny.

Pochyliłem się ponad stołem i powiedziałem cicho:

–Oglądałem pańską kolekcję książek erotycznych. Byłem w tej piwnicy, doktorze Sachs. To zbiór pełen perwersji i przemocy seksualnej. Obrazuje fizyczne upodlenie kobiet, mężczyzn i dzieci, może to nie wystarczy, by udokumentować pańskie upodobanie do gwałtu, ale coś mi jednak podpowiada na temat pańskiego prawdziwego ja.

Sachs zbył moje słowa lekceważącym ruchem ręki.

–Jestem cenionym filozofem i socjologiem. To prawda, że badam erotyzm – tak jak pan bada umysł przestępcy. Nie cierpię na rozpustniczą demencję, doktorze Cross. Ta kolekcja erotyki stanowi klucz do mojego rozumienia wyobrazeniowej strony życia w kulturze Zachodu oraz narastającej wojny między mężczyzną i kobietą. – Mówił coraz głośniej. – Nie muszę się też tłumaczyć przed panem z mojego życia prywatnego. Nie złamałem prawa. Jestem tu z własnej woli. Pan ze swej strony

wtargnął do mojego domu bez nakazu przeszukania. Spróbowałem wytrącić go z równowagi innym pytaniem.

–Dlaczego, pana zdaniem, ma pan takie powodzenie u młodych kobiet? Wiemy o pańskich podbojach seksualnych wśród studentek. Osiemnasto – dwudziestolatki. Śliczne dziewczęta. Czasem pana studentki. Jest to oczywiście w pełni udokumentowane.

Przez moment wzięła w nim górę złość. Potem opanował się i zrobił coś dziwnego, być może odkrywając swe drugie ja. Ujawnił głęboką potrzebę władzy, kontrolowania sytuacji, potrzebę gwiazdorstwa nawet w moich oczach – choć tak niewiele dla niego znaczyłem.

–Czemu mam powodzenie, doktorze Cross? – odrzekł z uśmiechem, poruszając końcem języka wysuniętym spomiędzy zębów, w subtelny, acz jasnym przesłaniu. Dawał mi do zrozumienia, że potrafi sterować pragnieniami seksualnymi większości kobiet.

Nie przestawał się uśmiechać. Obleśny uśmiech obleśnego mężczyzny.

–Wiele kobiet pragnie, by je wyzwolić z zahamowań seksualnych. Szczególnie nowoczesne, młode kobiety z kampusów. I ja je wyzwalam. Wyzwalam tyle, ile się tylko da.

Tego już było za wiele. Rzuciłem się na niego poprzez stół. Sachs przewrócił się z krzesłem. Spadłem nań całym ciężarem. Jęknął z bólu.

Przyciskałem go całym ciałem do ziemi. Ręce i nogi mi się trzęsły. Zawahałem się jednak przed zadaniem mu ciosu. Kompletnie nie jest w stanie mnie powstrzymać, uzmysłowiłem sobie. Nie potrafi walczyć. Jest słaby i kiepsko umięśniony.

Do pokoju przesłuchań wpadli jak burza Ruskin z Sikesem, za nimi Kyle Craig i Sampson. Rzucili się, by mnie odciągnąć od Sachsa.

Ale nie musieli, odsunąłem się sam. Nawet go nie drasnąłem, nie miałem zamiaru. Szepnąłem Sampsonowi do ucha:

–On jest słaby fizycznie. A Casanova silny. To nie ten potwór. Sachs nie jest Casanovą.

## ROZDZIAŁ 98

Tego wieczora poszliśmy z Sampsonem na kolację do całkiem niezłej knajpki w Durham. Jak na ironię nazywała się U Nany.

Żaden z nas nie był szczególnie głodny. Olbrzymie steki z szalotką i góry puree z czosnkiem poszły do śmieci. Rozgrywka z Casanovą dobiegała końca, a my mieliśmy wrażenie, że cofamy się na pole początkowe.

Rozmawialiśmy o Kate. W szpitalu poinformowano mnie, że jej stan nadal jest kiepski. Jeżeli przeżyje, stwierdzili lekarze, ma niewielką szansę całkowitego powrotu do zdrowia, a także do zawodu lekarza.

–Byliście czymś więcej niż, no wiesz, przyjaciółmi? – spytał w końcu Sampson. Badał mnie łagodnie, jak to potrafi, gdy chce.

–Nie, John – pokręciłem głową. – Byliśmy przyjaciółmi. Mogłem z nią rozmawiać o wszystkim, i to tak jak już dawno nie rozmawiałem. Nigdy jeszcze nie czułem się tak dobrze z kobietą po tak krótkim czasie, może z wyjątkiem Marii.

Sampson kiwał tylko głową i słuchał nie przerywając, jak wyrzucam to wszystko z siebie. Znał mnie dobrze, od zawsze.

Nadal jeszcze dłubaliśmy w olbrzymich porcjach pożywienia na talerzach, gdy odezwał się mój pager. Zszedłem na dół i zadzwoniłem z automatu do Kyle Craiga. Złapałem go w samochodzie. Był w drodze do Hope Valley.

–Jedziemy aresztować Wicka Sachsa z oskarżenia o morderstwa popełnione przez Casanovę – oznajmił. Niemal upuściłem słuchawkę.

–Jedziecie co zrobić?! – wrzasnąłem. Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. – Kiedy to chcecie zrobić, u diabła? Kto podjął taką debilną decyzję? No kto?!

Kyle zachowywał swój zwykły chłód. Człowiek z Lotbi.

–Za parę minut wchodzimy do jego domu. Tym razem to rozgrywka szefa komendy z Durham. Coś znaleźli u Sachsa. Dowód rzeczowy. To ma być wspólne aresztowanie – FBI we współpracy z policją miejską. Chciałem, żebyś o tym wiedział, Alex.

–On nie jest Casanovą – tłumaczyłem Kyle'owi. – Zostawcie go. Nie zamykajcie Wicka Sachsa. – Krzyczałem niemal do słuchawki. Automat znajdował się w wąskim korytarzyku i co chwilę ktoś wchodził albo wychodził z sal obok. Przyciągałem spojrzenia, niektóre gniewne, inne wystraszone.

–Sprawa jest przesądzona – odparł Kyle. – Samemu mi głupio. – A potem się rozłączył. Koniec dyskusji.

Popędziliśmy z Sampsonem na przedmieście, do domu Sachsa. Człowiek Góra najpierw nic nie mówił, a potem zadał pytanie za sto czterdzieści tysięcy punktów:

–Czy to możliwe, że mają na niego dość, by go skazać, a tobie nic o tym nie powiedzieli? – Było to dla mnie trudne pytanie. Oznaczało: jak dalece jestem na bocznym torze?

–Nie sądzę, żeby Kyle miał. Powiedziałby mi o tym. A policja? Za cholerę nie wiem, co oni kombinują. Ruskin i Sikes przecież rozpracowywali na razie tych lekarzy. My sami robiliśmy ich robotę.

Gdy dotarliśmy do Hope Valley, okazało się, że nie tylko my mieliśmy asystować

przy arestowaniu. Cichą, podmiejską ulicę wypełniały dziesiątki aut. Stało tam kilka wozów lokalnej telewizji; auta patrolowe policji i limuzyny FBI zajmowały każdą wolną przestrzeń.

–Ależ to spierdolili. Impreza na całego – rzucił Sampson, gdy wysiedliśmy z wozu.

– Najgorsza chyba jaką widziałem. Najgorzej spieprzona.

–Od samego początku zresztą – zgodziłem się. – Wielokompetencyjny koszmar. – Trząsałem się jak menel zimą na ulicy w D.C. Dostawałem kolejny raz w łeb. Nic już się kompletnie nie trzymało kupy. Jak dalece byłem na bocznym torze?

Zobaczył mnie Kyle. Podszedł i silnie uściskał mi dłoń. Czulem, że gotów jest mnie zablokować własnym ciałem, jeśli będzie trzeba.

–Wiem, jak cholernie jesteś wściekły. Ja też jestem – brzmiały jego pierwsze słowa. Jakby mnie przeproszał, ale widziałem, że aż kipi z gniewu. – To nie nasza robota, Alex. Durham wystawiło nas do wiatru. Komisarz podjął decyzję osobiście. Władze stanowe go naciskają. Coś tu śmierdzi i to tak, że mam ochotę zatkać nos. – Ale co oni, cholera, znaleźli w tym domu? – dopytywałem się. – Co za dowody rzeczowe? Nie te świńskie książki?

Kyle pokręcił głową.

–Damską bieliznę. Miał tego całą szafę. Między innymi koszulkę z emblematem uczelni, własność Kate McTiernan. Casanova najwyraźniej też zbierał pamiątki. Jak Dżentelmen w Los Angeles.

–To niemożliwe. On jest zupełnie inny niż Dżentelmen – upierałem się. – W kryjówce ma dość i dziewcząt, i ich bielizny. Jest obsesyjnie ostrożny. To jest obłąd, Kyle. To żadne rozwiązanie. Po prostu kompletny syf.

–Nie możesz tego wiedzieć na pewno. Zresztą żadne, nawet najlepsze teorie już niczego nie zmieniają.

–A co z logiką i odrobiną zdrowego rozsądku?

–Obawiam się, że nic.

Poszliśmy w kierunku tylnego ganku domu Sachsa. Kamery wkroczyły do akcji, filmując wszystko co się rusza. Był to pełnospektaklowy, piętrowy cyrk telewizyjny, katastrofa absolutna.

–Zrobili rewizję późnym popołudniem – opowiadał Kyle po drodze. – Z psami. Sprowadzili je aż z Georgii.

–Ale czemu? Czemu, cholera, akurat w tym momencie? Niech to szlag.

–Dostali cynk i mieli powód w niego uwierzyć. Tak mi to przedstawiono. Ja też wypadłem z akcji, Alex. I nie podoba mi się to tak samo jak tobie.

Mój wzrok sięgał nie dalej niż pół metra. Tak mi się zawężyło pole widzenia na skutek stresu. I wściekłości.

Miałem ochotę rozedrzeć się na kogoś wniebogłosy. Rozwalić wszystkie lampy na ganku.

–Powiedzieli ci cokolwiek o tym anonimowym kablowniku? Jezus Maria, Kyle. Niech to piekło pochłonie! Anonimowy cynk. Do jasnej cholery!

Wicka Sachsa przyskrzyniono w jego własnym, pięknym domu. Policji z Durham najwyraźniej zależało, by ten historyczny moment zarejestrowały kamery lokalnej i

**krajowej telewizji. Dla nich to był koniec sprawy. Oto stróże prawa z Karoliny Północnej w pełnej glorii.**

**Złapali nie tego faceta i zamierzali się nim pochwalić przed całym światem.**

## ROZDZIAŁ 99

Szefa durhamskiej policji rozpoznałem z daleka. Komisarz Robby Hatfield miał po czterdzieście i wyglądał jak były profesjonalny obrońca futbolowy. Ponad metr osiemdziesiąt, szeroka szczęka, mocno zbudowany. Nagle naszła mnie paranoiczna myśl, że to może on jest Casanovą. Trochę na niego w każdym razie wyglądał, pasowała nawet jego psychika.

Sikes i Ruskin stali po obu stronach doktora Wicka Sachsa, aresztanta. Rozpoznałem paru innych detektywów z Durham. Wyglądali na zdenerwowanych, ale zadowolonych jak wszyscy diabli. Wreszcie im ulżyło. Sachs za to wyglądał jakby właśnie wziął prysznic w ubraniu. I jakby był winny.

Jesteś Casanovą? Jesteś tą Bestią czy nie? Jeśli tak, to po cholere się teraz zgrywasz? Miałem do Sachsa setki pytań, ale nie mogłem ich zadać.

Ruskin i Sikes wymieniali żarciki z innymi oficerami tłoczącymi się w sieni. Przypominali mi paru kutasów z pracy, których znałem w Waszyngtonie. Tamci też uwielbiali światła reflektorów, dla niektórych stanowiło to życiowy cel. Chyba większość gliniarzy w Durham była do nich podobna.

Lśniące, zaczesane do tyłu czy raczej przylizane włosy Nicka Ruskina przylegały mu gładko do czaszki. Już gotów do występu. Davey Sikes tak samo. Lepiej byście dalej sprawdzali swój spis lekarzy, mięśniaki, miałem ochotę im powiedzieć. Nic się nie skończyło! To dopiero początek. Casanova ma z was niezły ubaw. Może nawet patrzy sobie z tłumem.

Przepchałem się w pobliże Wicka Sachsa. Chciałem zobaczyć wszystko, co było do zobaczenia. Poczuc. Usłyszeć. I być może zrozumieć.

Żonę Sachsa i dwójkę jego ślicznych dzieciaków trzymano tuż obok w jadalni. Wyglądali bardzo smutno: zranieni, zdezorientowani. Oni też czuli, że coś tu nie jest w porządku. Nie mieli poczucia winy.

Szef Hatfield i Davey Sikes w końcu mnie dostrzegli. Sikes wyglądał jak ulubiony piesek komisarza. Pokazywał na mnie palcem.

–Doktorze Cross, jesteśmy wdzięczni za całą pańską pomoc. – Hatfield postanowił w chwili triumfu okazać wielkoduszność. Zapomniałem już, że to ja byłem tym bohaterem, który przywiózł zdjęcie Sachsa z mieszkania Dzentelmena w Los Angeles. Jakież wspaniałe osiągnięcie detektywistyczne... odkryć tak cholernie pasujący im trop.

Wszystko źle. Ja się źle czułem, sprawa źle pachniała. Podpucha pierwszej klasy. A jaka skuteczna. Casanova właśnie się nam wymykał. Nikt go nigdy nie złapie.

Komisarz wyciągnął do mnie dłoń. Chwyciłem ją uścisnąłem mocno i nie puszczałem.

Chyba się przestraszył, że pójdę z nim przed kamery. Dotąd miałem go tylko za urzędnika, umywającego od wszystkiego ręce. A teraz, razem z gwiazdami miejscowej detektywistyki, miał wyprowadzić z całą pompą Wicka Sachsa. Oszalająca chwila przy pełni księżyca i w oślepiającym blasku telewizyjnych reflektorów. Brakowało tylko wycia gończych psów.

–Wiem, że pomogłem go odszukać, ale Sachs tego nie zrobił – rzuciłem

**Hatfieldowi prosto w twarz. – Zamykacie nie tego faceta. Wytłumaczę to panu. Proszę mi dać dziesięć minut.**

**Uśmiechnął się do mnie i był to cholernie protekcyjny uśmiech. Hatfield wyglądał, jakby na moment skamieniał. A potem odwrócił się bez słowa i wyszedł.**

**Wyszedł przed kamery, w światło reflektorów i odegrał pięknie swoją rolę. Tak się zapamiętał w sobie, że niemal zapomniał o Sachsie.**

**To Casanova zadzwonił do nich, żeby poszukali bielizny, powiedziałem sobie w myśli. Czułem w duchu, że jestem bliżej odkrycia, kim on jest. Zrobił to Casanova. W każdym razie on za tym stoi.**

**Gdy wyprowadzali Wicka Sachsa, przeszedł tuż koło mnie. Był w białej bawełnianej koszuli i czarnych spodniach. Cały ten wspaniały strój miał przesiąknięty potem. Nogi mu chyba pływały w butach – czarnych mokasynach ze złotymi sprzączkami. Ręce skuli mu za plecami. Arogancja opuściła go już dawno.**

**–Nic nie zrobiłem – powiedział do mnie cichym, łamiącym się głosem. Wzrok miał błagalny. Sam nie mógł w to wszystko uwierzyć. A potem dodał coś już kompletnie żalnego. – Ja nie krzywdzę kobiet. Ja je kocham.**

**Gdy tak stałem na ganku, uderzyła mnie zupełnie zwariowana, szalona myśl.**

**Przez moment poczułem, jakbym zrobił fikołka i stanął z powrotem na nogi. Czas też stanął. To jednak jest Casanova! – zrozumiałem w jednej chwili.**

**Wiek Sachs był modelem, oryginalnym wzorcem Casanovy. Na tym polegał plan tych potworów od samego początku. Mieli gotowego faceta, który kiedyś pójdzie siedzieć za ich zbrodnie doskonale i wyczyny jak z de Sade'a.**

**Doktor Wiek Sachs był więc w zasadzie Casanovą ale nie którąś z tych dwóch bestii. Casanova też stanowił kamuflaż. Nie miał pojęcia o prawdziwym „kolekcjonerze”. Też stał się ofiarą.**



## ROZDZIAŁ 100

–Jestem Dzentelmen – oznajmił Will Rudolph składając uprzejmy, teatralny ukłon. Był w smokingu i smokingowej koszuli z czarnym krawatem. Włosy związał w ciasny kucyk. Kupił na tę szczególną okazję białe róże.

–A mnie już znacie, drogie panie. Wyglądacie dziś ślicznie – zwrócił się do nich stojący obok Casanova. Uderzająco kontrastował ze swym partnerem. Opięte czarne dżinsy. Czarne buty kowbojskie. Bez koszuli. Brzuch twardy jak tarka do prania. Na twarzy budząca lęk maska, czarna, w ręcznie namalowane szarawe pasy.

Mordercy przedstawili się, gdy kobiety wypełniły główny pokój kryjówki i ustawiły się naprzeciw długiego stołu.

To będzie szczególna uroczystość, poinformowano je wcześniej.

–Ten wściekły pies Casanova został wreszcie złapany – oznajmił im Casanova. – Podają to we wszystkich dziennikach. Okazało się, że to jakiś stuknięty profesor. I komu tu można zaufać w dzisiejszych czasach?

Polecił kobietom, by włożyły wieczorowe stroje, to co wybrałyby na specjalne wyjście. Suknie z gołymi plecami, wieczorowe pantofle na szpilkach, przezroczyste pończochy, perły, kolczyki. Poza tym żadnej biżuterii. Miały wyglądać „elegancko”.

–Tylko siedem pięknych pań tu masz – zauważył Rudolph, przyglądając się wraz z Casanową ustawionym w szereg kobietom. – Jesteś chyba zbyt wybredny, wiesz? Prawdziwy Casanova był kochankiem nienasyconym i zupełnie nie miał wymagań.

–Ale musisz przyznać, że moja kolekcja to arcydzieło – odpowiedział Casanova przyjacielowi. – Ta siódemka jest zupełnie wyjątkowa, najlepsza na świecie.

–Całkowicie się z tobą zgadzam – odrzekł Dzentelmen. – Są jak z obrazka. Zaczniemy?

Umówili się, że zagrają w swoją ulubioną starą grę. „Szczęśliwa siódemka”. Kiedy indziej była to „szczęśliwa czwórka” albo „Jedenastka”, albo „dwójka”. W zasadzie to zabawa Dzentelmena. To był jego wieczór. Może ich ostatni wspólny wieczór w tym domu.

Powoli przededefilowali przed rzędem dziewcząt. Najpierw zatrzymali się przed Melissą Stanfield. Miała na sobie obcisłą sukienkę do kolan, z czerwonego jedwabiu. Jasne włosy upięła z jednej strony głowy. Przypominała Casanovie młodą Grace Kelly.

–Czy zarezerwowałaś coś specjalnie dla mnie? – zapytał ją Dzentelmen. Melissa uśmiechnęła się skromnie.

–Zarezerwowałam swoje serce dla kogoś wyjątkowego.

Ta zręczna odpowiedź wywołała uśmiech Rudolpha. Poglądził dziewczynę po policzku wierzchem dłoni. Potem pozwolił, by jego ręka osunęła się na jej szyję i jędrne piersi. Poddała się temu nie okazując lęku ani obrzydzenia. To była jedna z zasad gry.

–Jesteś bardzo, bardzo dobra w tej zabawie – pochwalił ją. – Wartościowy z ciebie gracz, Melisso.

Następna w szeregu stała Naomi Cross. Włożyła koktajlową sukienkę w kolorze kości słoniowej. Bardzo szykowną. Naomi byłaby gwiazdą wieczoru na każdym balu

prawników w Waszyngtonie. Zapach jej perfum przyprawił Casanovę o lekki zawrót głowy. Kusiło go, by powiedzieć Dżentelmenowi, że ta jedna jest nie dla niego. Nie lubił przecież jej wuja, Alexa Crossa.

–Może jeszcze wrócimy do Naomi – rzekł Dżentelmen. Pocałował lekko jej dłoń. – *Enchante*, urocza.

Rudolph uklonił się i stanął przed szóstą dziewczyną w szeregu. Rzucił jeszcze okiem na ostatnią i wrócił wzrokiem do numeru sześć.

–Jesteś wyjątkowa – rzekł cichym, niemal nieśmiałym głosem. – Zupełnie niezwykła.

–To Christa – przedstawił ją Casanova z domyślnym uśmiechem.

–Na dziś wieczór wybieram Christę – oznajmił Dżentelmen entuzjastycznie. Dokonał już wyboru. Casanova dał mu prezent – i może z nim zrobić, co tylko zapragnie.

Christa Akers usiłowała zdobyć się na uśmiech. Taki był przepis. Ale nie mogła. I to właśnie podobało się w niej Dżentelmenowi najbardziej: rozkoszny strach w jej oczach.

Był gotów zagrać w „całuj dziewczęta”.

Ten ostatni raz.

**Część piąta**  
**Całuj dziewczęta**  
**ROZDZIAŁ 101**

Nazajutrz po aresztowaniu doktora Wicka Sachsa Casanova szedł spacerowym krokiem przez korytarz Centrum Medycznego Duke. Z całym spokojem skręcił w stronę izolatki Kate McTiernan.

Mógł pójść teraz wszędzie, gdzie chciał. Odzyskał swobodę.

–Witaj, kochanie. I co tam na wojnie? – szepnął do Kate.

Leżała zupełnie sama, choć na piętrze dyżurował nadal policjant. Casanova przysiadł obok niej na szpitalnym krześle. Spojrzał na nieszczęsny wrak człowieka, który był niegdyś niezwykle piękną osobą.

Nawet już nie czuł do niej złości. Właściwie nie było się na kogo złościć, prawda? Światelko jeszcze się pali, pomyślał spoglądając w nieobecne, brązowe oczy, ale już pusto pod sufitem, co Kate?

Dobrze się czuł w tym pokoju – to go ożywiało, podniecało, unosiło jego duszę w wyższe rejony. Samo siedzenie przy jej łóżku dawało mu ukojenie.

A to w tej chwili ważne. Nastął czas podejmowania decyzji. Jak rozegrać do końca sprawę z Wickiem Sachsem? Dorzucić jeszcze do tego ognia, czy to go może zadusi? Co byłoby niebezpieczne samo w sobie.

Jeszcze jedno trzeba przemyśleć jak najszybciej. Czy muszą z Dzentelmenem rzeczywiście opuścić teren Trójkąta Uczelnianego? Nie chciał tego – tu był jego dom – ale może się to okazać konieczne. I co właściwie z Willem Rudolphem?

Najwidoczniej doznał w Kalifornii wstrząsu emocjonalnego. Szpikował się relanium, halcionem i xanaxem – a czym jeszcze po kryjomu? Wcześniej czy później wpakuje ich obu w kłopoty. Z drugiej strony Casanova czuł się tak nieznośnie samotny, gdy Rudolpha nie było w pobliżu. Jak przecięty na pół.

Usłyszał jakiś ruch przy drzwiach pokoju. Odwrócił się – i uśmiechnął na widok przybysza.

–Akurat miałem wychodzić, Alex – powiedział wstając z krzesła. – U niej bez zmian. Coś okropnego.

Casanova minął się z Alexem Crossem w drzwiach izolatki.

Wszędzie się umiem wpasować, pomyślał ruszając w głąb korytarza. Nigdy go nie złapią. Miał maskę doskonałą.

## ROZDZIAŁ 102

W barze Washington Duke Inn stało znakomite, stare pianino, właściwie szpinet. Siedziałem tam sobie grając Big Joe Turnera i Blind Lemona Jeffersona między czwartą a piątą rano. Grałem bluesa i smutek, przygnębienie i zniechęcenie, zgryźliwość i złość. Służba hotelowa była pod wrażeniem.

Próbowałem podsumować wszystko, co wiem. Wracałem wciąż do tych samych trzech czy czterech punktów zaczepienia, filarów, na których zbudowałem dochodzenie.

Zbrodnie doskonale – i tu, i w Kalifornii. Obeznanie sprawcy z procedurą stosowaną na miejscu przestępstwa i dowodową.

Bliźniacza więź tych dwóch bestii. Męska więź, jakiej świat jeszcze nie widział. Znikający dom w lesie. Rzeczywiście zniknął. Jak to się mogło stać?

Harem Casanovy, złożony z wyjątkowych kobiet – a co ważniejsze, jego „odrzuty”.

Doktor Wiek Sachs był wykładowcą uniwersyteckim o wątpliwej moralności i wynikającym z niej postępowaniu. Ale czy mordercą bez sumienia? Bydlakiem, który uwięził kilkanaście kobiet gdzieś w okolicach Durham i Chapel Hill? Współczesnym de Sade'em?

Nie wierzyłem w to. Byłem niemal pewien, że policjanci z Durham aresztowali niewłaściwego człowieka, a prawdziwy Casanova jest na wolności i naigrawa się z nas wszystkich. Albo jeszcze gorzej. Podchodzi właśnie kolejną ofiarę.

Później tego ranka zajrzałem jak zwykle do Kate w Centrum Medycznym. Była wciąż w śpiączce, nadal stan ciężki. Zabrali już nawet policjanta sprzed jej drzwi.

Czuwałem przy niej usiłując nie pamiętać, jaka była przedtem. Przez całą godzinę trzymałem ją za rękę i przemawiałem cicho. Dłoń miała bezwładną, niemal bez życia. Bardzo mi brakowało Kate. Nie reagowała na nic i czułem, jak w mojej piersi otwiera się przepaścista dziura.

W końcu musiałem już iść. Zapomnieć się w pracy.

Prosto ze szpitala pojechałem z Sampsonem do domu doktora Louisa Freeda w Chapel Hill. Poprosiłem go, żeby sporządził dla nas specjalną mapę rejonu Wykagil River.

Siedemdziesięciosiedmioletni profesor historii spisał się znakomicie. Miałem nadzieję, że jego mapa pomoże nam odnaleźć „znikający dom”. Ten pomysł przyszedł mi do głowy, kiedy czytałem relacje prasowe o zamordowaniu w 1981 „złotej pary”. Ponad dwanaście lat temu. Ciało Roe Tierney znaleziono wówczas w pobliżu opuszczonej farmy, w której piwnicach ukrywano niegdyś zbiegłych niewolników. Te ogromne piwnice przypominały niemal podziemne domy, w niektórych było nawet do dwunastu pokoi czy pomieszczeń”.

Podziemne domy.: Znikający dom.

Musiał tam gdzieś być. Domy nie znikają ot, tak.

## ROZDZIAŁ 103

Pojechałem z Sampsonem do Brigadoon. Mieliśmy zamiar przedostać się lasami do miejsca, gdzie wyłowiono Kate. Ray Bradbury napisał kiedyś: „Ryzykować życie to znaczy skoczyć ze skały i po drodze budować skrzydła”. Byliśmy gotowi do skoku.

W niosącym złe skojarzenia gęstym lesie niemal nie było światła; jego dostęp do niższych partii odcinały potężne dęby i wybijały sosny. W gęstym, stojącym powietrzu rozbrzmiewały tysięczne chóry cykad.

Wyobraziłem sobie, prawie widziałem Kate, przedzierającą się tędy zaledwie kilka tygodni temu, walczącą o życie. A teraz to życie istniało wyłącznie dzięki podtrzymującym je urządzeniom. W uszach wciąż brzmiał mi odgłos ich pracy. Szsz – klik, szsz – klik. Sama myśl o tym raniła mi serce.

–Nie przepadam za takim gęstym i ciemnym lasem – wyznał Sampson, gdy szliśmy pod grubym parasolem poskręcanych pnączy i rozpostartych jak namioty wierzchołków drzew. Miał na sobie koszulkę, dżinsy, buty z wysoką cholewką i nieodłączne odblaskowe okulary przeciwsłoneczne. – Kojarzy mi się z Jasiem i Małgosią. „Nienawidziłem tej bajki jako dzieciak. Pierdoły zza stodoły, bracie.

–Nigdy nie byłeś dzieciakiem – przypomniałem mu. – W wieku jedenastu lat miałeś metr osiemdziesiąt i doprowadziłeś do perfekcji to swoje zimne spojrzenie.

–Może i tak, ale braci Grimm i tak nienawidzę. Ciemnej strony niemieckiej duszy, posługiwanie się najohydniejszymi rojeniami, żeby wypaczyć umysły miłych Niemiaszków. To musiało mieć swoje skutki.

Uśmiechnąłem się, słysząc te jego wypaczone teorie o naszym wypaczonym świecie.

–Nie boisz się chodzić w nocy po slumsach w D.C., a taka przechadzka po lesie cię bierze? Nic ci nie będzie. To tylko sosny. Winorośl. Krzaki jeżyn. Może i wyglądają groźnie, ale są nieszkodliwe.

–Wyglądają groźnie, to są groźne. Oto moje motto.

Sampson przepychał swe potężne ciało przez ciasne zagajniki młodych drzewek i kapryfolium. Kapry folium tworzyło miejscami prawdziwą sieć, rosło chyba splątane od samego dołu.

Zastanawiałem się, czy Casanova czasem nas nie obserwuje. Musiał być bardzo cierpliwym obserwatorem. Zarówno on, jak Will Rudolph byli wyjątkowo sprytni, ostrożni i świetnie zorganizowani. Robili to, co robili, od tylu już lat i nikt ich nie nakrył.

–I czego się dowiedziałeś o historii niewolników na tym terenie? – spytałem Sampsona, żeby odwrócić jego uwagę od jadowitych węży i wężowych pnączy. Miał się teraz skoncentrować na mordercy, czy mordercach – być może towarzyszących nam w lesie nawet w tej chwili.

–Przejrzałem sobie E.D.Genovese i trochę Mohameda Auda – odparł. Nie byłem pewien, czy naprawdę czytał prace historyczne. Ale jak na człowieka czynu Sampson jest całkiem odczytany.

–Podziemna kolej działała tu bardzo pręźnie – wyjaśniłem. – Całe rodziny

zbiegłych niewolników znajdowały bezpieczne schronienie w miejscowych farmach na wiele dni, nawet tygodni. Nazywano je „stacjami”. To właśnie jest na mapie doktora Freeda. Napisał o tym książkę.

–Nie widzę żadnych farm, doktorze Livingstone – poskarżył się Sampson rozgarniając gałęzie długimi ramionami. – Tylko jakieś zaszranie dzikie wino.

–Te wielkie farmy tytoniowe położone były na zachód stąd. Od sześćdziesięciu lat nikt w nich nie mieszka – ciągnąłem. – Mówiłem ci o tej studentce, zgwałconej i zamordowanej w osiemdziesiątym pierwszym? Jej rozkładające się ciało znaleźli właśnie tutaj. Przypuszczam, że zabił ją Rudolph albo Casanova. Chyba wtedy się poznali. Freed naniósł na mapę położenie wszystkich stacji podziemnej kolei. Część z farm miała rozległe piwnice, wręcz podziemne pomieszczenia mieszkalne. Farmy już się rozpadły. Z powietrza niczego się nie wypatrzy. Zarosły kapryfolium j jeżynami. Ale piwnice nadal tam są.

–Hmm. I ta twoja mapka nam powie, gdzie stały te wszystkie stare farmy, tak?

–No. Mam mapę. Mam kompas. Mam glocka – odparłem, klepiąc kaburę pistoletu.

–Najważniejsze – rzekł Sampson – że masz mnie.

–To też. Niech Bóg ma wszystkich łotrów w opiece przed nami.

Szliśmy i szliśmy, przez całe popołudnie. Dokuczały nam owady, upał i wilgoć. Udało nam się odnaleźć trzy miejsca, w których kwitła niegdyś uprawa tytoniu. W których przerażeni czarni, czasem całymi rodzinami, ukrywali się po piwnicach, nim udało im się przedrzeć na Północ, na wolność – do miast takich jak Waszyngton, D.C.

Dwie piwnice znajdowały się dokładnie tam, gdzie je narysował doktor Freed. Kawałki starych desek i pordzewiałego metalu stanowiły jedyny ślad, że kiedyś były tu gospodarstwa. Całkiem jakby jakiś rozgniewany bóg zstąpił na ziemię i zniszczył te miejsca niewolniczej udręki.

Koło szesnastej dotarliśmy do dumnej niegdyś i kwitnącej farmy Jasona Snydera i jego rodziny.

–Skąd wiesz, że to akurat tutaj? – Sampson rozglądał się po niewielkiej, J opustoszałej polanie, na której się zatrzymałem.

–Tak jest na mapie. I według kompasu. Reed to znany historyk, nie mógł się pomylić.

Jednak Sampson miał rację. Nie było tu kompletnie niczego. Dom Snydera całkiem zniknął. Zupełnie jak w relacji Kate.

## ROZDZIAŁ 104

–To miejsce działa mi na nerwy – oznajmił Sampson. – - Ta niby farma tytoniowa.

Miejsce gdzie kiedyś mieszkali Snyderowie było naprawdę niesamowite, jak nie z tego świata. Aż ciarki człowieka przechodziły. Choć nie było widać śladów ludzkiej działalności, miało się wrażenie, że wśród tych nie istniejących już nawet ruin unosi się duch niewolniczego cierpienia.

Drzewka sasafrzanowe, krzaki kaliny, z których kiedyś Indianie wyrabiali strzały, kapryfolium i bluszcz zarastały wszystko gęstym, sięgającym do piersi dywanem. Teren prosperującej sto lat temu farmy wyznaczały wiekowe i potężne, czerwone i białe dęby, jawory i gumowce. Ale budynki zniknęły.

Poczułem w piersi ukłucie zimna. Czy to złe miejsce jest właśnie tutaj? Czyżbyśmy byli w pobliżu tego domu z horroru, jak go określiła Kate?

Szliśmy najpierw na północ, potem na wschód. Niedaleko stąd przebiegała autostrada stanowa i żałowałem, że nie zostawiłem tam auta na poboczu. Z grubsza licząc, nie było do niej dalej niż trzy do pięciu kilometrów.

–Ekipy poszukujące Casanovy nigdy nie przeszły całej trasy – stwierdził Sampson, gdy buszowaliśmy wokół polany. – Te zarośla są wyjątkowo gęste i wstrętne. I nie ma śladów, żeby ktoś po nich deptał.

–Freed uważa, że był ostatnią osobą, która w ogóle badała stacje Podziemnej kolei. Potem tak wszystko zarosło, że nikt przypadkowy by tu nie zawędrował – wyjaśniłem.

Krew i kości moich przodków. Ta myśl nasuwała mi się z nieprzepartą siłą. Chodzę po miejscach, gdzie przez dziesiątki lat trzymano ludzi w niewoli.

Nikt się nie zjawiał, by ich uwolnić. Kogo to obchodziło. Nie było wtedy detektywów, którzy by ścigali ludzkie bestie za porwanie całych murzyńskich rodzin z ich ojczyzny.

Próbowałem wyznaczyć położenie piwnicy Snydera za pomocą zaznaczonych na mapie naturalnych punktów odniesienia. Próbowałem też przygotować się wewnątrz na wypadek, gdybyśmy znaleźli coś, czego bym nie chciał znaleźć.

–Prawdopodobnie szukamy bardzo starej klapy do podziemi – wyjaśniłem Sampsonowi. – Na mapie nic nie jest zaznaczone. Piwnica powinna być jakieś dwanaście, piętnaście metrów od tamtych jaworów. Jeśli to są te, powinniśmy w tej chwili nad nią stać. Ale gdzie, u diabła, jest wejście?

–Pewnie tam, gdzie nikt nie mógłby na nie wleźć przez pomyłkę – stwierdził Sampson. Wydeptywał ścieżkę w najgęstszych, splątanych zaroślach.

Za plataniną winorośli otwierała się łąka – pole, na którym kiedyś sadzono tytoń. Dalej znowu gęsty las. W powietrzu wciąż wisiał upał i wilgoć. Sampson zaczynał tracić cierpliwość i wściekle tłukł splątane kapryfolium. Tupał co chwilę, usiłując zlokalizować ukryte wejście. Nasłuchiwał głuchego dźwięku, jaki mogły wydać zakryte trawą deski lub metal.

–Ta ogromna piwnica miała kiedyś dwa piętra. Casanova mógł ją jeszcze rozbudować. Powiększyć tę swoją katownię – mówiłem do niego, rozgarniając krzaki.

Myślałem o Naomi, uwięzionej tak długo pod ziemią. Przez wszystkie te dni i

tygodnie stanowiła moją obsesję. Aż do dziś. Sampson miał rację co do lasu. Był niesamowity, czułem, że stoimy w miejscu przesiąkniętym złem, gdzie dokonywano potajemnie rzeczy zakazanych. Naomi mogła się znajdować w pobliżu, tuż pod moimi stopami.

–Te, jonasz, znów chcesz mi przynieść nieszczęście? Znów kombinujesz jak ten świr? Jesteś pewien, że nasz emerytowany doktor Sachs to nie Casanova? – pytał Sampson ryjąc po krzakach.

–Nie, nie jestem. Ale tak samo nie wiem, dlaczego ci z Durham go zamknęli. Skąd się dowiedzieli, że ta bielizna jest w jego domu? I skąd ona się tam naprawdę się wzięła?

–Może stąd, że to Casanova, koteczku. Może stąd, że zbierał sobie damską bieliznę, żeby ją wachać w długie zimowe wieczory? FBI i ci łowcy bandytów z Durham zamkną teraz sprawę?

–Jeśli przez jakiś czas nie będzie następnych uprowadzeń ani morderstw, to tak. A jak tylko ją zamkną, prawdziwy Casanova będzie miał luz. Może robić plany na przyszłość.

Sampson wyprostował się i wyciągnął szyję. Westchnął głęboko i głośno jęknął. Koszulkę miał przepoconą. Zerknął na zwisające z góry pnącza.

–Czeka nas długa droga do samochodu. Daleko, ciemno, gorąco i pełno insektów.

–Jeszcze nie. Słuchaj mnie tym razem. Nie miałem zamiaru przerywać w tej chwili poszukiwań. Świadomość, że Sampson jest ze mną dodawała mi sił. Na mapie Freeda widniały jeszcze trzy farmy. Dwie wyglądały obiecująco, trzecia wydawała się zbyt mała. Może więc Casanova wybrał właśnie tę na kryjówkę. Był przecież pełen sprzeczności.

Ja też. Mógłbym prowadzić poszukiwania przez całą noc, las nie las, węże nie węże, mordercy nie mordercy.

Pamiętałem przerażającą opowieść Kate o znikającym domu i o tym, co się w nim działo. A co się naprawdę działo z Kate w dniu jej ucieczki? Jeżeli domu nie było w tutejszych lasach, to gdzie go szukać, na Boga? Nie, na pewno jest pod ziemią Inne rozwiązanie nie wchodziło w grę.

Tylko że na razie nie dostrześliśmy żadnych śladów.

Chyba że ktoś celowo oczyścił dokładnie teren z wszelkich szczątków farm.

Chyba że ktoś użył starego drewna do zbudowania czegoś nowego.

Wyciągnąłem pistolet i rozejrzałem się za czymkolwiek, w co mógłbym sobie postrzelać. Sampson obserwował mnie spod oka. Z zaciekawieniem, ale na razie w milczeniu.

Nie ma choćby kawałka spróchniałej deski ze stodoły. Nic.

Wystrzeliłem w końcu serię w gruzłowaty pień najbliższego drzewa. Ogarnął mnie szal i zawężenia pnia skojarzyły mi się z ludzką głową. Głową Casanovy. Strzelałem i strzelałem. Prosto w cel, bez pudła. Zabiłem Casanovę!

–Lepiej ci? – spytał Sampson patrząc na mnie ponad okularami. – : Trafieś czarnego luda w oko?

–Trochę mi lepiej. Ale nie bardzo – pokazałem mu rozwartym na milimetr kciukiem



**i palcem wskazującym.**

**Sampson opierał się o chude drzewko wyglądające jak szkielet człowieka, Tej małej sosence brakowało światła.**

**–Chyba jednak czas zabrać zabawki i wracać do domu – stwierdził.**

**I wtedy usłyszeliśmy krzyki.**

**Krzyki kobiet dobiegające spod ziemi!**

**Były mocno stłumione, ale słyszeliśmy je wyraźnie. Ich źródło znajdowało się nieco na północ, głębiej w gęstych jeżynach, ale bliżej łąki, która kiedyś była polem tytoniu.**

**Całe moje ciało znalazło się nagle jakby w potężnym uścisku. Bezwiednie pochyliłem głowę, nasłuchując.**

**Sampson wyciągnął pistolet i wystrzelił jeszcze dwa razy, dając sygnał uwiezionym kobietom, że je słyszemy.**

**Krzyki, choć nadal zduszone, przeszły we wrzask, jak z ostatnich kręgów piekieł.**

**–Jezu kochany, John – wyszeptalem. – Znaleźliśmy je. Znaleźliśmy dom z horroru.**

## ROZDZIAŁ 105

Rzuciliśmy się na kolana. Na czworakach szukaliśmy gorączkowo ukrytego wejścia do podziemi, raniąc sobie dłonie o żdźbła traw i korzenie krzewów. Ręce mi się trzęsły. Strzeliłem jeszcze parę razy, żeby upewnić kobiety, że je słyszeliśmy, i że nie odchodzimy. Błyskawicznie przeładowałem.

–Jesteśmy na górze! – wrzasnąłem tuż przy ziemi. Chwasty kaleczyły mi twarz. – Jesteśmy z policji!

–Alex, mam! – zawołał do mnie Sampson. – Tu jest wejście. Jakaś kłapa. w każdym razie.

Bieg przez gęste, wysokie chwasty przypominał przedzieranie się przez wodę. Sampson znalazł ukryte wejście w kapryfolium i wysokiej do pasa trawie. Kłapa została dodatkowo obłożona warstwą darni i przysypana igliwem. Ekipa poszukiwawcza nie byłaby w stanie na nią natrafić, tym bardziej przypadkowy turysta.

–Schodzę pierwszy – powiedziałem. Krew pulsowała mi w uszach. Zazwyczaj Sampson się spierał w podobnych sytuacjach, ale nie tym razem.

Rzuciłem się w dół po wąskich drewnianych schodach, wyglądających jakby miały sto lat. Sampson zaraz za mną. Dobre bliźniaki.

Stój! – ostrzegłem się w myśli. Powoli. U stóp schodów były następne drzwi. Ciężkie dębowe drzwi, niemal jak nowe, wstawione z rok czy dwa temu. Ostrożnie nacisnąłem klamkę. Zamknięte.

–Wchodzę! – krzyknąłem, na wypadek gdyby ktoś za nimi stał. Następnie strzeliłem dwa razy w zamek, rozleciał się w drobny mak. Pod naciskiem ramienia drzwi ustąpiły.

Znalazłem się więc nareszcie w katowni Casanovy. Widok, który ujrzałem, przyprawił mnie o mdłości. W pomieszczeniu przypominającym wygodnie urządzonej salon, na kanapie, leżało ciało kobiety. Zaczęło się już rozkładać. Twarz ofiary była nie do rozpoznania.

Ruszaj się, musiałem sobie powiedzieć. Dalej! Już!

–Jestem za tobą – oznajmił Sampson ściszym, głębokim głosem, właściwym na miejscu zbrodni. – Uważaj teraz, Alex.

–Tutaj policja! – zawołałem chrapliwie, drżącym głosem. Bałem się tego, co mogliśmy znaleźć w głębi kryjówki. Czy jest tu Naomi? Czy żyje?

–Tu jesteśmy! – krzyknęła jakaś kobieta. – Słyszycie mnie?

–Słyszemy! Idziemy do ciebie! – odkrzyknąłem.

–Pomóżcie nam! – odezwał się drugi kobiecy głos, gdzieś dalej. – Tylko ostrożnie. On jest bardzo przebiegły!

–Przebiegły. Rozumiesz? – szepnął do mnie Sampson. Ten nigdy nie traci rezonu.

–On jest w domu! Jest tutaj! – krzyknęła ostrzegawczo następna. Sampson nadal stał tuż za moimi plecami. – Nie chcesz odpuścić, partnerze? Stąpasz nad przepaścią, wiesz? – Wiem, że to ja mam znaleźć Scootchie. Muszę ją znaleźć. Nie oponował.

–Myślisz, że nasz kochaś gdzieś tu się kryje? Casanova?

**–Tak ludzie mówią – rzuciłem, ruszając wolno przed siebie. Obaj trzymaliśmy pistolety gotowe do strzału. Nie mieliśmy pojęcia, czego się spodziewać. Spotkania z kochasiem?**

**Ruszaj! Ruszaj! Dalej do przodu!**

**Wyszedłem pierwszy z pustego salonu. Dalej był oświetlony neonówkami korytarz. Jak on tu dociągnął prąd? A transformator? A prądnicę? O czym to świadczyło? Że jest z niego złota rączka? Że ma znajomości w elektrowni?**

**I le czasu musiało mu zająć doprowadzenie piwnicy do takiego wyglądu? – zastanawiałem się. Urządzenie jej? Wprowadzenie rojeń w życie?**

**Wnętrze podziemnego domu było rozległe. Weszliśmy w długi korytarz biegnący z salonu na prawo. Miał po obu stronach rzędy drzwi, zamkniętych na zasuwę, jak więzienne cele.**

**–Pilnuj tyłów – poleciłem Sampsonowi.: – Wchodzę w drzwi numer jeden.**

**–Zawsze pilnuję ci tyłów – szepnął.**

**–To pilnuj też swoich. Podszedłem do pierwszych drzwi.**

**–Jestem z policji! – zawołałem. – Tu detektyw Alex Cross. Proszę się nie obawiać.**

**Pchnąłem drzwi na oścież i zajrzałem do środka. Modląc się, żeby tam była Naomi.**

## ROZDZIAŁ 106

–Co za skończeni durnie – powiedział Dżentelmen, nietoleraacyjny i niecierpliwy jak zwykle. – Pajace przebrane za Murzynów.

Casanova uśmiechnął się z przekąsem; tracił już nerwy do tego Dżentelmena. – A czego się, cholera, spodziewałeś? Chirurgów mózgu z kliniki Waltera Reeda w Waszyngtonie? To parka zwykłych krawężników.

–Może jednak nie takich zwykłych. Znaleźli dom, no nie? Są właśnie w środku.

Dwaj przyjaciele przyglądali się wszystkiemu z dogodnego ukrycia w lesie. Chodzili za detektywami całe popołudnie, obserwując ich przez lornetkę. Knując i planując, ale też i bawiąc się ze swą zdobyczą. Zachowywali się bardzo ostrożnie, w przewidywaniu ostatecznej konfrontacji.

–Dlaczego nie przyprowadzili innych? Nawet FBI? – zastanawiał się głośno Rudolph. Jak zawsze dociekliwy i logiczny. Logiczna, pozbawiona serca maszyna do zabijania.

Casanova znów spojrział przez potężną niemiecką lornetkę. Widział otwartą klapę prowadzącą do podziemnego domu, tego arcydzieła, które zbudowali z Rudolphem własnymi rękami.

–To ta ich policyjna arogancja – odpowiedział w końcu na pytanie. – W pewnym sensie są do nas podobni. Szczególnie Cross. Nie dowierza nikomu.

Zerknął na Willa Rudolpha i uśmiechnęli się obydwaj. Piękna ironia losu. Dwóch detektywów kontra dwóch morderców.

–Crossowi się chyba wydaje, że nas zrozumiał, to znaczy nasz wzajemny związek – rzekł Dżentelmen. – Może trochę i tak. – Miał obsesję na punkcie Crossa od chwili, gdy ledwie umknął obławie w Kalifornii. Cross go przecież wytropił i to było przerażające. Ale Dżentelmen uważał także, że Cross to ciekawy przeciwnik. Bawiła go ta rozgrywka, krwawe zawody.

–Coś tam zrozumie, uchwyci jakiś schemat i od razu myśli, że wszystko wie. Tylko cierpliwości, jeszcze obnażymy jego miękkie podbrzusze – odparł Casanova.

Uważał, że dopóki działają w sposób przemyślany i zachowują cierpliwość, mają zwycięstwo w kieszeni. Nikt ich nie złapie. Tak było od lat, od pierwszej chwili gdy się poznali na Duke.

Casanova zdawał sobie sprawę, że Will Rudolph zachował się w Kalifornii nieostrożnie. Nawet jeszcze jako wybitny student medycyny posiadał tę uciążliwą skłonność. Brak mu było cierpliwości, a kiedy zabił Roe Tierney i Toma Hutchinsona, zrobił się melodramatyczny i rozmemłany. Niewiele brakowało, by go wtedy złapali. Był przesłuchiwany przez policję jako jeden z głównych podejrzanych w tej słynnej sprawie.

Casanova wrócił myślą do Alexa Crossa, rozpatrując jego mocne i słabe strony. Cross był bardzo uważny, skończony profesjonalista. Najpierw myślał, potem działał, niemal zawsze. Z pewnością najzdolniejszy z całej tej bandy. Gliniarz = psycholog. No i znalazł kryjówkę. Dotarł aż tutaj, dalej niż ktokolwiek inny.

John Sampson wydawał się bardziej impulsywny. To on był słabym punktem, chociaż nie wyglądał na to. Niezwykle silny fizycznie, ale jego złamią pierwszego.

**Złamać Sampsona znaczyło złamać Crossa. Byli przecież bliskimi przyjaciółmi, wyjątkowo do siebie przywiązani.**

**–To było głupie z naszej strony, że się rozdzieliliśmy, poszliśmy każdy swoją drogą w zeszłym roku – odezwał się Casanova do jednego, jedyne przyjaciela jakiego miał na świecie. – Gdybyśmy nie zaczęli się ścigać i bawić w egocentryczne gry, Cross nigdy by się niczego o nas nie dowiedział. Nie wytropiłby ciebie i nie musielibyśmy teraz zabijać dziewcząt ani niszczyć domu.**

**–Ja się zajmę doktorem Crossem, dobrze? – poprosił Rudolph. Nie zareagował na słowa Casanovy. Nigdy nie okazywał emocji, choć jednak poczuł się samotny tam, w L. A. t przecież wrócił.**

**–Nikt się nie będzie nim zajmował w pojedynkę – odparł Casanova. – Załatwimy ich wspólnie. Dwóch na jednego, tak nam wychodzi najlepiej. Najpierw Sampson, potem Cross. Ja wiem, co on robi. Wiem, jak myśli. Obserwowałem go. W zasadzie to polowałem na niego, odkąd się zjawił na Południu.**

**Dwie ludzkie bestie ruszyły w stronę podziemnego domu.**

## ROZDZIAŁ 107

Zapałem lampę na suficie pierwszego pokoju i ujrzałem jedną z uwięzionych. Maria Jane Capaldi skuliła się pod przeciwległą ścianą jak przerażona mała dziewczynka. Poznałem ją jakiś tydzień temu widziałem się z jej rodzicami. Pokazali mi zdjęcia, tak teraz dla nich cenne.

–Nie rób mi krzywdy, proszę. Już dłużej tego nie wytrzymam – zwróciła się do mnie błagalnym, chrapliwym szeptem.

Obejmowała się ramionami i kołysała w tył i w przód. Miała na sobie postrzępione czarne dżinsy i wygniecioną koszulkę z Nirvaną. Maria Jane miała dopiero dziewiętnaście lat. Zaczęła właśnie studia na Uniwersytecie Stanowym w Raleigh, na specjalizacji artystycznej; chciała zostać malarką.

–Jestem policjantem – przemówiłem do niej, najłagodniej jak się dało. – Nikt ci już nic nie zrobi. Nie pozwolimy im.

Maria Jane jęknęła, z jej oczu trysnęły łzy ulgi. Trzęsa się cała.

–On już cię nie skrzywdzi, Mario Jane – zapewniłem ją powtórnie. Starłem się mówić łagodnie, ale sam ledwie mogłem wydobyć z siebie głos. – Teraz muszę poszukać innych. Wróć do ciebie, obiecuję. Zostawiam drzwi otwarte. Jeśli chcesz, możesz wyjść. Jesteś już bezpieczna.

Musiałem pomóc reszcie. To właśnie tutaj; to jest ten harem doborowych kobiet. Naomi jest jedną z nich.

Wpadłem do następnego pokoju. Oddychałem ciężko. Byłem podekscytowany, wystraszony, zasmucony – wszystko naraz.

Wysoka blondynka, którą tam zastałem, powiedziała, że nazywa się Melissa Stanfield. Pamiętałem to nazwisko. Chodziła do szkoły pielęgniarskiej. Miałem do niej mnóstwo pytań, ale czasu tylko na jedno.

Dotknąłem delikatnie jej ramienia. Wzdrygnęła się, po czym oparła o mnie, żeby nie upaść.

–Czy wiesz, gdzie jest Naomi Cross? – spytałem ją.

–Nie jestem pewna – odrzekła Melissa. – Nie znam tu całego rozkładu. – Pokręciła głową i rozplakała się. Chyba nawet nie wiedziała, o kim mówię.

–Jesteś już bezpieczna. Koszmar się skończył, Melisso. Teraz muszę pomóc innym – tłumaczyłem jej cicho.

Wróciłem na korytarz. Sampson akurat otwierał jakieś drzwi. Usłyszałem, jak mówi:

–Jestem oficerem policji. Niebezpieczeństwo minęło. – Głos miał kojący. Sampson łagodny.

Uwolnione kobiety, jeszcze zdumione i oszołomione, zaczęły wychodzić z cel. Przytulały się i obejmowały. Prawie wszystkie płakały, ale czuło się ich ulgę, nawet radość, że wreszcie doczekały się pomocy.

Na końcu korytarza był następny korytarz. Kolejne drzwi. Czy jest tu gdzieś Naomi? Czy żyje? Serce omal mi nie wyskoczyło z piersi.

Otworzyłem pierwsze drzwi po prawej i – była tam. Zobaczyłem Scootchie. Najwspanialszy widok na świecie.

Z oczu popłynęły mi łzy. Teraz to ja nie mogłem wykrztusić słów a. Przemknęło mi przez głowę, że tę chwilę będę pamiętał przez całe życie. Każde słowo, spojrzenie, każdy szczegół tej sceny.

–Wiedziała, że po mnie przyjdiesz, Alex – powiedziała po prostu Naomi. Rzuciła mi się w ramiona i przytuliła mocno.

–Och, słodka, kochana Naomi – szeptałem. Czuję się, jakbym ważył tonę mniej. – Warto było przejść przez to wszystko dla takiej chwili. No, prawie.

Musiałem popatrzeć na nią z bliska. Trzymałem jej najdroższą twarz w obu dłoniach. Wydawała się taka malutka i krucha w tym strasznym pokoju. Ale żywa! Wreszcie ją znalazłem.

–Znalazłem Naomi! – zawołałem do Sampsona. – Znaleźliśmy ją, John! Tutaj! Tu jesteśmy!

Scotchie i ja tuliliśmy się w ramionach, jak w dawnych czasach. Jeśli kiedykolwiek żałowałem, że jestem policjantem, ten moment wynagrodził mi wszystko. Uświadomiłem sobie, że chyba uznałem już, że ona nie żyje – tylko nie byłem w stanie odpuścić. Nigdy nie odpuszczam.

–Wiedziała, że przyjdiesz, po prostu wiedziała. Śniłam o tym. Żyłam dla tej chwili. Modliłam się o to codziennie i wreszcie jesteś. – Na jej twarzy zagościł najpiękniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałem. – Kocham cię.

–Ja też cię kocham. Tęskniłem jak wariat. Wszyscy tęsknili. – Po chwili łagodnie odsunąłem się od Naomi.

Nie zapomniałem o potworach, i o tym co musi im w tej chwili przychodzić do głowy. Knucie kolejnych zbrodni. Leopold i Loeb całkiem już dorośli i popełniają przestępstwa doskonale.

–Już w porządku? Na pewno? – spytałem próbując się uśmiechnąć. Widziałem, że oczom Naomi wraca dawny blask, wraca życie.

–Idź, Alex. Wypuść resztę – nalegała. – Wypuść je z tych klatek.

I wtedy dobiegł nas z korytarza dziwny, straszny dźwięk. Okrzyk bólu. Wybiegłem z pokoju Naomi i ujrzałem coś, czego nie byłem w stanie sobie dotąd wyobrazić, nawet w najgorszym sennym koszmarze.

## ROZDZIAŁ 108

Ten potężny ryk bólu wydobywał się z ust Sampsona. Mój partner potrzebował pomocy. Tłukło go dwóch mężczyzn w upiornych maskach. Casanova i Rudolph.

Byli na drugim końcu korytarza. Sampson otworzył usta w grymasie bólu i szoku. W środku jego pleców tkwił nóż czy szpikulec do lodu.

W podobnej sytuacji znalazłem się dotąd dwa razy podczas patrolowania ulic Waszyngtonu. Partner w opałach. Nie miałem wyboru i najpewniej tylko jedną szansę. Nie zawahałem się. Podniosłem glocka i wystrzeliłem.

Zaskoczył ich ten natychmiastowy strzał. Nie spodziewali się, że to zrobię, gdy trzymają Sampsona. Wyższy z potworów złapał się za ramię i padł do tyłu. Drugi spojrzał na mnie poprzez korytarz. Lodowate spojrzenie dzikiej maski miało stanowić ostrzeżenie. A jednak osłabiłem ich impet.

Strzeliłem ponownie, celując w drugą z masek. Nagle w podziemnym domu zgasły wszystkie światła. Jednocześnie z ukrytych gdzieś w ścianach głośników ryknęło „Welcome to the Jungle” Guns'n Roses.

Zapadła ciemność. Dudnienie rocka wstrząsało korytarzem. Przygnałem do ściany i przesuwalem się z wolna w stronę miejsca, gdzie upadł Sampson.

Wybałuszałem oczy w czerń korytarza i nagle zdjął mnie straszliwy lęk. Zaskoczyli Sampsona, a to nie była bułka z masłem. Pojawili się nie wiadomo skąd. A może jest tu drugie wejście?

Usłyszałem znajome, basowe porykiwanie. Sampson był nadal przede mną.

–Tu jestem. Nie upilnowałem tyłów – wydusił z siebie.

–Nic nie mów. – Przesunąłem się w stronę jego głosu. Mniej więcej wiedziałem, gdzie leży. Bałem się tylko, że może oni wciąż tam są. Udało im się przechylić szalę na swoją korzyść i teraz zapewne zechcą napaść na mnie.

Lubili atakować dwóch na jednego. Musieli bliźniaczyć. Potrzebowali siebie nawzajem. Razem byli nie do pokonania. Jak dotąd.

Przyciskając plecy do ściany, przesuwalem się cal po calu w stronę kształtu mającego na końcu korytarza.

Za zakrętu docierał jednak nikły, pomarańczowy poblask. Dostrzegłem Sampsona zwiniętego na podłodze. Serce mi waliło tak szybko, że nie było prawie przerw między uderzeniami. Mój partner został ciężko ranny. Coś takiego nigdy nam się dotąd nie przydarzyło, nawet gdy biegaliśmy jako chłopaki po ulicach D.C.

–Już jestem – powiedziałem klękając przy nim. Trąciłem go w ramię. – Nie wykrwaw się na śmierć, bo będę wściekły – ostrzegłem. – W ogóle się nie ruszaj.

–Nie pękaj. Nawet nie jestem w szoku. Nic mnie już nie szokuje – stęknął.

–Nie rznij bohatera. – Przygarnąłem lekko jego głowę do boku. – Masz nóż wbity dokładnie w środek pleców.

–Ja jestem bohaterem... ruszaj!... Nie daj im teraz zwiąć. Jednego już trafiłeś. Pobiegli do schodów. Tych, którymi zeszliśmy.

–Idź, Alex. Musisz ich złapać! – Odwróciłem się słysząc głos Naomi. Klęknęła przy Sampsonie. – Ja się nim zajmę.

–Wróć – rzuciłem. I już mnie nie było.



**Skręciłem w pierwszy, dłuższy korytarz. Pochylony, z bronią gotową do strzału. Pobiegli do schodów, mówił Sampson.**

**Szedłem w półmroku coraz szybciej. Światelko w tunelu? Czyhające po drodze potwory? Nic mnie nie powstrzyma. Chyba, że Rudolph i Casanova. Dwóch na jednego, i to na ich boisku.**

**Dotarłem wreszcie do dębowych drzwi. Z tej strony nie miały klamki. Otworzyłem je z kopa.**

**Schody były puste, kłapa otwarta, w prześwicie widziałem ciemne korony sosen na tle nieba. Czy czekali na mnie tam, na górze? Sprytne bestie!**

**Wspiąłem się szybko po drewnianych stopniach. Palec na spuście glocka. Sytuacja wymykała się spod kontroli.**

**Rzuciłem się na ostatnie stopnie jak zawodowy futbolista w lukę między obrońcami. Wyprysnąłem przez kwadratowy otwór w ziemi. Wykonałem niema! akrobatyczny przewrót. Wstałem strzelając na oślep. Moja komandoska zagrywka może choć utrudniła komuś celowanie.**

**Ale nikt do mnie nie strzelał ani nie oklaskiwał mego występu. Głęboki las stał cichy i pusty.**

**Potwory zniknęły... i domu też już nie widziałem.**

## ROZDZIAŁ 109

Wybrałem mniej więcej kierunek, z którego przybyliśmy. Z pewnością była to jedna z dróg wyjścia z lasu i może Casanova z Rudolphem tędy pobiegli. Czułem się okropnie zostawiając Sampsona i kobiety, ale nie miałem wyboru.

Wsunąłem glocka do kabury pod pachą i ruszyłem biegiem. Coraz szybciej, w miarę jak moje nogi się rozgrzewały, przypominały sobie, co to znaczy biec szybko.

Ślad świeżej krwi na liściach prowadził w głąb zarośli. Jeden z nich musiał mocno krwawić. Miałem nadzieję, że wkrótce umrze. W każdym razie byłem na właściwym tropie.

Brnąłem przez gęste zarośla, a pnącza i kłujące krzewy szarpały mnie za ubranie. Gałęzie biczowały mnie liśćmi po twarzy. Niech biczują.

Przebiegłem chyba ponad kilometr. Pocilem się obficie, a pierś rozrywał mi kłujący ból. Głowa parowała jak przegrzany silnik. Z każdym krokiem było gorzej.

Przypuszczałem, że cały czas skracam dystans, jaki mnie od nich dzieli. Ale mogli też znajdować się za mną. Może obserwowali, jak wychodzę z podziemi? I teraz mnie śledzą? Krążą wokół mnie jak sępy? Nie bardzo mi się podobało, że jest dwóch na jednego.

Rozglądałem się w poszukiwaniu kolejnych śladów krwi czy strzępów ubrania. Jakiegoś znaku, że tędy szli. Płuca mnie paliły i byłem zlany potem. Ból nóg przechodził w odrętwienie.

Migały mi przed oczami obrazy z przeszłości. Biegłem ulicami Waszyngtonu z rannym Marcusem Danielsem w ramionach, widziałem jego twarz. Sampson krzyczał z bólu w podziemnym domu. Naomi płakała.

Coś zamajaczyło przede mną – dwie sylwetki biegnących mężczyzn. Jeden z nich trzymał się za ramię. Casanova? Czy Dżentelmen? Nieważne – i tak chciałem mieć obu. Tylko to mi przywróci spokój.

Ranny potwór wydawał się w ogóle nie zwalniać. Wiedział, że już go dopadam, i wydał z siebie ścinający krew w żyłach wrzask. To mi przypomniało, że mam do czynienia z nieobliczalnym szaleńcem najgorszego sortu. Aaaaarrghhhh! odbiło się echem wśród jodeł, jak ryk dzikiego zwierza.

A potem jeszcze raz: Aaaaarghhhh! To ten drugi świr.

Zbliźniaczeni, pomyślałem. Obaj by li jak zwierzęta. W pojedynkę nie mieli szans na przeżycie.

Zaskoczył mnie nagły odgłos wystrzału. Koło ucha przeleciała mi drzazga odłupana od pnia najbliższej sosny. Pięć centymetrów zabrakło, żebym zginął na miejscu. Któryś z potworów obrócił się i strzelił tak celnie w biegu.

Kucnąłem za drzewem, które przyjęło przeznaczoną dla mnie kulę. Wyjrzałem ostrożnie. Nie było ich widać. Czekałem. Odliczałem sekundy. Zbierałem się do startu. Który strzelał? Który jest ranny?

Zbiegli z drugiej strony stromego leśnego pagórka. Czy uciekają dalej? Czy czekają tam na mnie? Wysunąłem się z wolna spomiędzy bezpiecznej osłony gałęzi i rozejrzałem wokół.

Znów ta niesamowita cisza. Żadnych wrzasków. Żadnych strzałów. Nikogo w

**zasięgu wzroku. Co oni, u diabła, kombinują? A jednak dowiedziałem się o nich czegoś nowego. Pojawił się następny trop. Przed chwilą zobaczyłem coś istotnego.**

**Ruszyłem sprintem w stronę łysawego wierzchołka. Nic! Serce mi zamarło, zapadło się w bezdenną otchłań. Tak po prostu uciekli? Po tym wszystkim?**

**Biegłem dalej. Nie pozwolę na to obrzydlistwo. Nie pozwolę, żeby bestie zwiały.**

## ROZDZIAŁ 110

Znałem położenie szosy stanowej i skierowałem się w tamtą stronę. Złapałem drugi oddech, a może trzeci. Biegło mi się łatwiej. Alex Tropiciel.

Zobaczyłem ich znowu dwieście metrów przed sobą. A potem ukazała się znajoma szara wstęga krętej szosy. Zamajaczyły białe drewniane domy i stare słupy telefoniczne. Szosa. Ich szansa ucieczki.

Biegli w stronę rudery, w której mieścił się przydrożny bar. Obaj mieli maski na twarzach. To oznaczało, że dowodzi Casanova. Urodzony przywódca. Uwielbiał te swoje maski. Stanowiły symbol tego, za kogo się w istocie uważał: złego boga, którego nic nie powstrzyma, który jest władcą nas wszystkich.

Na dachu baru migotał czerwono – niebieski neon: Trail Dust. Była to jedna z tych przydrożnych, wódczanych spelunek, w których wszędzie jest pełno. Biegły do niej dwie bestie.

Casanova i Dzentelmen wskoczyli do nowiutkiego pick – upa z odkrytą skrzynią stojącego na parkingu. Na takim knajpianym parkingu żadne auto nie wzbudzało podejrzeń. Jako detektyw dobrze o tym wiedziałem. Przebiegłem na drugą stronę szosy i popędziłem w stronę baru.

Jakiś człowiek, rudy, o długich kędzierzawych włosach, wdrapywał się właśnie do plymoutha duster. Ubrany w koszulę roboczą ze znakiem coca – coli, pod pachą trzymał wypchaną brązową papierową torbę. Zakupy w płynie.

–Policja – mignąłem mu plaketką tuż przed nie ogoloną twarzą. – Muszę wziąć twój samochód! – Pistolet już miałem w ręce na wypadek kłopotów. Auto było moje bez dwóch zdań.

–Rany boskie, facet. To wóz mojej dziewczyny – wyrzucił z siebie. Nie odrywał wzroku od glocka. Oddał mi kluczyki.

Wskazałem ręką, skąd przybiegłem.

–Dzwoń na policję. Jakies trzy kilometry stąd są te porwane kobiety. Powiedz, że jest z nimi ranny policjant! Powiedz, że to kryjówka Casanovy.

Wskoczyłem do duster i miałem sześćdziesiątkę na liczniku, jeszcze nim wyjechałem z parkingu. Widziałem w lusterku, że facet wciąż jeszcze się na mnie gapi. Wolałbym sam zadzwonić do Kyle Craiga i wezwać pomoc, ale nie mogłem tracić ani chwili, jeśli nie chciałem zgubić Casanovy i jego kumpla.

Niebieski pick – up pędził w kierunku Chapel Hill... do miasta, w którym Casanova próbował zabić Kate, w którym ją przedtem porwał. Może to tam miał bazę wypadową? Może był pracownikiem Uniwersytetu Karoliny Północnej? Może lekarzem? Kimś, o kim jeszcze w ogóle nie słyszeliśmy? To ostatnie było nie tylko możliwe, ale nadal bardzo prawdopodobne.

W granicach miasta zbliżyłem się do nich na odległość czterech samochodów. Nie miałem pojęcia, czy wiedzą, że za nimi jadę. Pewnie wiedzieli. Zaczynała się właśnie godzina szczytu w wersji Chapel Hill. Franklin Street zmieniała się w wąski potok ruchu, sunący z wolna wzdłuż szpaleru drzew okalających campus.

Dojeżdżaliśmy do zabawnego budynku Varsity Theatre, w którym tak niedawno Wiek Sachs oglądał włoski film z Suzanne Wellsley. Po prostu zdradzał żonę i nic

poza tym. Został zrobiony przez Casanovę i Rudolpha. Pasował do roli podejrzanego idealnie. Miejscowy miłośnik pornografii. Casanova wszystko o nim wiedział. Jakim sposobem?

Byłem już o krok od schwytania ich, czułem to. Musiałem się oswoić z tą myślą. Na rogu Franklin i Columbus zatrzymało ich czerwone światło. Między stojącym autami przeciskali się studenci w powyciąganych koszulkach z emblematami Nike, Championa, Bass Ale. Z czyjegoś radia dobiegał ryk „I Know I Got Skillz” śpiewającego koszykarza Shaquille O'Neala – „Ja niestety, po prostu, mam talent”.

Kiedy światło z głośnym klik przeskoczyło na czerwone, odczekałem parę sekund. I rzuciłem się, by zjeść ten cały pasztet. Właściwy moment czy nie, idę po was. Teraz albo nigdy, potwory.

## ROZDZIAŁ 111

Wysunąłem się z dusterą i pobiegłem schylony środkiem jezdni, glocka miałem w ręce, ale trzymałem go przy udzie, żeby wyglądać mniej podejrzanie. Niech mi tu nikt nie panikuje i nie wrzeszczy. Niech to choć raz pójdzie jak należy.

Tamci dwaj musieli chyba spostrzec, że duster ich śledzi. Tak przypuszczałem. Gdy tylko dotknąłem stopą ziemi, wyskoczyli po obu stronach pick – upa.

Jeden się odwrócił i strzelił szybko trzy razy. Pach, pach, pach. Tylko jeden wyciągnął broń. Znow jakaś klapka w głowie mi się otworzyła, przypomniałem sobie scenę z lasu. Coś się powiązało. Przebłysk zrozumienia.

Kucnąłem za czarnym nissanem, czekającym w kolejce do świateł, i krzyknąłem na cały głos:

–Policja! Policja! Wszyscy na ziemię! Wszyscy z samochodów!

Większość kierowców i pieszych posłuchała. Jakże inaczej niż na ulicach D.C. Rzuciłem okiem w uliczkę błyszczących karoserii między rzędami samochodów. Morderców nigdzie nie było widać.

Przesuwałem się wzdłuż czarnego sportowego auta, przygięty niemal do ziemi. Przechodnie i sklepikarze przyglądali mi się zafrasowani z chodnika.

–Policja! Na ziemię! Na ziemię! Zabierzcie, kurwa, tego chłopczyka!

Znow migaly mi w głowie szalone obrazy. Sampson... z nożem w plecach. Kate... pobita na krwawą miazgę. Puste spojrzenia uwięzionych pod ziemią kobiet.

Trzymałem się tuż przy ziemi, ale jeden z potworów mnie dostrzegł i usiłował trafić w głowę. Obaj strzeliliśmy jednocześnie.

Jego kula drasnęła boczne lustro auta. To mnie prawdopodobnie uratowało. Nie mogłem jednak dostrzec efektu mego strzału.

Padłem znow między samochody. Dusił mnie smród spalin i oleju. W oddali odezwała się policyjna syrena, przybywała odsiecz. Ale nie Sampson. Nie ta odsiecz, której bym pragnął.

Ruszaj się, ruszaj. Nie trać ich z oczu... ich obu! Dwóch na jednego. Albo lepiej – dwóch za cenę jednego!

Zastanawiałem się, jak sobie poradzą w tej sytuacji. Jak rozumują. Co planują. Czy Casanova nadal dowodzi? Kim on jest?

Uniosłem głowę i ujrzałem gliniarza. Stał na rogu z pistoletem w ręce. Nie zdążyłem krzyknąć, by go ostrzec.

Z jego lewej strony rozległy się dwa strzały i upadł na ziemię. Ludzie na ulicy zaczęli wrzeszczeć w panice. Zblazowanym studencikom nagle przeszło całe ich „zmęczenie życiem”. Dziewczyny płakały. Może wreszcie zrozumiały, jak łatwo to życie stracić.

–Na ziemię! – zawołałem jeszcze raz. – Wszyscy na ziemię, do kurwy nędzy!

Pochylony za autami, zacząłem z wolna się podnosić. Gdy tylko moje oczy znalazły się ponad lśniąca burtą srebrnego minibusa, dostrzegłem jednego z potworów.

Następny strzał był mniej ambitny, żadnego rżnięcia bohatera. Chciałem trafić w cokolwiek. Pierś, ramiona, brzuch. Strzeliłem!

Cwany strzał, pierdolcu jeden. Zobacz sobie. Kula przebiła oba boczne okna opuszczonego przez pasażerów forda taurusa. I trafiła jednego z bandytów w pierś, nieco pod krtanią.

Runął, jakby ktoś wyciągnął spod niego nogi. Rzuciłem się do miejsca, w którym przed chwilą stał. Który to? – ryczało mi w głowie. I gdzie jest drugi?

Nurkowałem między stojącymi autami. Zniknął! Nie ma go! Gdzie, u diabła, jest ten, co dostał? I gdzie się kryje drugi cwaniak?

Zobaczyłem tego trafionego. Leżał w pozycji orła, na rogu pod sygnalizatorem. Mimo maski na twarzy wyglądał teraz całkiem zwyczajnie, w białej koszuli, brązowych skórzanych spodniach i wiatrówce.

Nie widziałem przy nim pistoletu. Nie ruszał się, widać było, że jest ciężko ranny. Klęknąłem, żeby mu się przyjrzeć, rozglądając się jednocześnie dookoła. Uważaj! Uważaj, ostrzegłem się w myśli. Jego partner zniknął. Gdzieś tam musi być. I umie strzelać.

Ściągnąłem maskę z twarzy leżącego. Już nie miał się za czym skryć. A więc nie jesteś bogiem. Krwawisz jak każdy.

To był doktor Will Rudolph. Dżentelmen umierał na środku ulicy w Chapel Hill. Jego szaroniebieskie oczy robiły się szkliste. Zebrała się już pod nim spora kałuża tętnicznej krwi.

Tłum z chodnika zaczął się przybliżać. Przerażeni ludzie łapali powietrze otwartymi ustami, wybałuszając oczy. Większość z nich pewnie nigdy z bliska nie widziała konającego. Ja tak.

Uniosłem jego głowę. Dżentelmen. Mordercza plaga miasta Los Angeles. Wprost nie mógł uwierzyć, że go zastrzeliłem, nie potrafił się z tym pogodzić. Powiedziało mi o tym jego wściekłe, przerażone spojrzenie.

–Kim jest Casanova? – zapytałem. Chciałem wydusić to z Rudolpha. – Kim on jest? Powiedz mi.

Oglądałem się co chwilę za siebie. Gdzie jest Casanova? Nie pozwoli chyba przyjacielowi umrzeć w ten sposób? Pojawiły się wreszcie dwa wozy patrolowe. Biegło ku mnie kilku miejscowych gliniarzy z bronią gotową do strzału.

Rudolph usiłował skupić wzrok, zobaczyć mnie wyraźniej, a może zobaczyć po raz ostatni świat. Na jego ustach wykwitła krwawa bańka, a potem się rozprysnęła. Powoli wydobywał z siebie słowa.

–Nigdy go nie znajdziesz – uśmiechnął się. – Jesteś marny, Cross. Daleko ci do niego. On jest najlepszy na świecie.

Z gardła Dżentelmena wydobył się charczący skowyt. Wśród odgłosów jego śmiertelnego rżenia nałożyłem z powrotem na twarz potwora maskę śmierci.

## ROZDZIAŁ 112

Tej sceny dzikiego triumfu nigdy nie będę umiał wymazać z pamięci. Przez całą noc przybywali do Centrum Medycznego Duke najbliżsi i przyjaciele uwolnionych dziewcząt. Podekscytowany tłum studentów i mieszkańców miasta jeszcze długo po północy gromadził się na pagórkowatych trawnikach szpitala i na parkingu przy Erwin Road. Były to dla mnie niezapomniane chwile.

Fotografie uratowanych powiększono do rozmiarów afiszy. Wykładowcy i studenci trzymając się za ręce śpiewali spiritualsy i nieodłączne „Give Peace a Chance”. Choć na tę jedną noc wszyscy woleli zapomnieć, że Casanova nadal jest na wolności. Sam próbowałem przez parę godzin to zrobić.

Sampson, cały i żywy, dochodził do siebie w Centrum. Kate również. Zupełnie mi nie znani ludzie podchodzili i ściskali wylewnie moją dłoń w ogarniętym nagle świąteczną atmosferą szpitalu. Ojciec jednej z uwolnionych kobiet nie wytrzymał i popłakał się w moich ramionach. Jeszcze nigdy wykonywanie tego zawodu nie sprawiło mi tyle frajdy.

Wsiadłem do windy i pojechałem na czwarte piętro, zobaczyć Kate. Przed drzwiami jej pokoju zrobiłem głęboki wdech. Potem wszedłem. Z twarzą poowijaną bandażami wyglądała jak tajemnicza mumia. Jej stan się ustabilizował. Wiadomo już było, że nie umrze, ale wciąż pozostawała w śpiączce. Trzymałem ją za rękę i przekazywałem najnowsze wieści...

–Dziewczęta są wolne, Kate. Byliśmy tam z Sampsonem. One już są bezpieczne. Teraz ty wracaj do nas. Najlepiej jeszcze dziś – mówiłem jej do ucha.

Tak strasznie pragnąłem znów usłyszeć jej głos, chociaż raz. Ale jej usta milczały. Nie wiedziałem, czy mnie słyszy, czy moje słowa cokolwiek dla niej znaczą. Pocałowałem ją leciutko przed wyjściem.

–Kocham cię, Kate – szepnąłem w bandaż na policzku, choć wątpiłem, żeby to do niej dotarło.

Sampson leżał piętro wyżej. Człowiek Góra był już po zabiegu, wpisano mu do karty „stan dobry”.

Nie spał, gdy się u niego zjawiłem.

–Jak Kate, jak dziewczyny? – zapytał na wstępie. – Ja zaraz stąd wychodzę.

–Kate nadal w śpiączce. Właśnie od niej idę. Twój stan jest „dobry”, jeśli chcesz wiedzieć.

–Powiedz lekarzom, żeby zmienili na „doskonały”. Słyszałem, że Casanova zwiął.

–Zaniósł się kaszlem, widziałem, że jest wściekły.

–Wyluzuj się. Jeszcze go dorwiemy. – Czułem, że na mnie pora.

–Nie zapomnij przynieść moich okularów słonecznych – rzucił za mną. – Za dużo tu lamp. Czuję się jak w supersamie.

O wpół do dziesiątej znalazłem się z powrotem w pokoju Scootchie w szpitalu. Był tam Seth Samuel. Tych dwoje robiło wrażenie. Tacy silni, a tacy kochani. Zaczęło mi sprawiać przyjemność myślenie o nich – Naomi i Seth.

–Ciocia Scootch! Ciocia Scootch! – usłyszałem nagle za plecami znajomy głos. I to było wspaniałe. Nana, Cilla, Damon i Jannie wpadli do pokoju. Przylecieli z



**Waszyngtonu pierwszym samolotem. Cilla poryczyła się na widok swego dziecka. Widziałem, że Nana Mama też ociera łzy. A potem Naomi i Cilla nadały słowu „uścisk” zupełnie nowe znaczenie.**

**Dzieci spoglądały na swoją ciocię Scootch w tym okropnym szpitalnym łóżku i oczy im błyszczały łęką i zmieszaniem. Szczególnie Damonowi, który stara się zawsze być dzielny w obliczu niepewnych czy groźnych sytuacji. Porwałem dzieciaki w ramiona. Przytuliłem je mocno.**

**–Cześć, synu, moja mała kuleczko bilardowa w bocznej łuzie! Jak się ma moja Jannie? – zwróciłem się do nich. Rodzina liczy się dla mnie najbardziej na świecie. Chyba po części dlatego robię to, co robię. Na pewno. Doktor detektyw Cross.**

**–Znalazłeś ciocię Scootch – szepnęła mi Jannie do ucha. Obejmowała mnie mocno rączkami i nóżkami. Podekscytowana jeszcze bardziej niż ja.**

## ROZDZIAŁ 113

Dla mnie to nie był koniec. Dopiero połowa roboty. Dwa dni później brnąłem znów przez nieźle już wydeptaną ścieżkę od szosy 22 do podziemnego domu. Policjanci, których mijalem, byli poważni i milczący. Wychodzili z lasu z opuszczonymi głowami, nie rozmawiając ze sobą, twarze mieli blade i bez wyrazu.

Odbyli bliskie spotkanie z ludzką bestią. Obejrzeliby upiorne dzieło rąk doktora Willa Rudolpha i jego kumpla potwora, zwanego Casanovą. Niektórzy zwiedzili ich dom z horroru.

Większość z nich już mnie znała. Bywaliśmy razem w ogniu piekielnym. Pozdrawiali mnie gestem głowy czy dłoni. Odpowiadałem tym samym.

Zaczęło mnie wreszcie w Karolinie Północnej trochę akceptować. Dwadzieścia lat temu coś takiego byłoby nie do pomyślenia, nawet w tak drastycznych okolicznościach. Mnie też zaczęło się podobać na Południu, bardziej niżbym się spodziewał.

Miałem nową, dość prawdopodobną teorię na temat Casanovy. Wiązała się ściśle ze strzelaniną w lesie i na ulicach Chapel Hill. Nigdy go nie znajdziesz, wracały do mnie słowa umierającego Rudolpha. Nigdy nie mów nigdy, Will.

Tego ciepłego, lekko mglistego popołudnia do katowni przybył też Kyle Craig. A oprócz niego ze dwie setki policjantów i policjantek z Chapel Hill i Durham oraz żołnierze z Fort Bragg. Zawierali osobistą znajomość z potworami w ludzkiej skórze.

–To niesamowite uczucie, być w tym momencie gliną. I to żywym – rzekł Kyle. Za każdym naszym spotkaniem jego poczucie humoru robiło się bardziej ponure. Niepokoiłem się o niego. Był takim samotnym wilkiem. I karieroholikiem. Zmierzał zawsze prosto do celu – konsekwentny, prawomyślny. Wyglądał na takiego już na zdjęciu w księdze pamiątkowej Duke.

–Żał mi tych wszystkich miejscowych, że muszą to oglądać – powiedziałem. Przesunąłem z wolna wzrokiem po upiornej scenerii miejsca zbrodni. – Nie zapomną tego aż do samej śmierci. Będzie im się śniło przez parę najbliższych lat.

–A jak z tobą Alex? – spytał Kyle. Przenikliwe spojrzenie jego szaroniebieskich oczu spotkało się z moim. Czasem mi się nawet zdawało, że go trochę obchodzę.

–Ach, ja mam do wyboru tyle koszarów, że nie potrafiłbym wybrać jednego ulubionego – wyznałem z kwaśnym uśmiechem. – Niedługo jadę do domu. Położę się spać w jednym wyrku z dziećmi. One to uwielbiają. Ja też. Chociaż nie domyślają się prawdziwej przyczyny. Z nimi na straży na pewno zasną jak niemowlę. A jak mi się coś przyśni, walną mnie w łeb.

Kyle zdobył się na uśmiech.

–Dziwny z ciebie facet, Alex. Niesamowicie skryty, a jednocześnie otwarty.

–Z każdym dniem dziwniejszy – odparłem. – Jak znów trafisz na jakiegoś potwora, nawet nie próbuj dzwonić. Jestem zapotworowany na śmierć. – Chciałem spojrzeć mu w oczy, ale nie całkiem mi się udało. Kyle też był skryty, nie widziałem jeszcze, żeby się przed kimś otworzył.

–Postaram się nie dzwonić – odparł. – Odpoczywaj sobie. W tej chwili jeden grasuje po Chicago. Drugi w Lincoln i Concord, w Massachusetts. Inny, bardzo zły,

**porywa dzieci w Austin w Teksasie. Prawieniemowlaki. A w Orlando i Minneapolis mamy seryjne zabójstwa.**

**–Jeszcze tutaj też jest robota – przypomniałem mu.**

**–Naprawdę? – Kyle aż kipiał ironią. – Jaka robota, Alex? Chyba przy. łopacie?**

**Przyglądaliśmy się niesamowitej scenie rozgrywającej się wokół podziemnego domu. Około siedemdziesięciu ludzi rozkopywało łąkę od zachodu. Szukali ciał ofiar morderstw. Przy łopacie.**

**Od 1981 roku dwa potwory uprowadzały i zabijały wyróżniające się urodą i intelektem kobiety z całego Południa. Trzydzieści lat królowania horroru. Najpierw zakochuję się w kobiecie. A potem ją sobie biorę. Tak napisał w swoim kalifornijskim pamiętniku Will Rudolph. Akcent sentymentalny pewnie nie pochodził od niego, tylko od bliźniaka. Ciekawe jak mocno tęskni teraz za nim Casanova. Jak go oplakuje. Jak zamierza sobie poradzić z tą stratą. Czy już ma nowy plan?**

**Przypuszczałem, że Casanova spotkał Rudolpha właśnie w osiemdziesiątym pierwszym. Mieli wspólną występłą tajemnicę: uwielbiali porywać, gwałcić i czasem torturować kobiety. W pewnym momencie wpadli na pomysł utworzenia haremu, złożonego z najatrakcyjniejszych, na tyle wyjątkowych, by zdołały ich fascynować przez dłuższy czas. Dotąd nie mieli komu się zwierzyć. I nagle odnaleźli się nawzajem. Próbowałem sobie wyobrazić, jak to jest, nie mieć kompletnie komu zaufać – przez całe życie – i nagle trafić na kogoś takiego, w wieku ledwie dwudziestu paru lat.**

**Potem już wspólnie się bawili w te ohydne gry, gromadzili kolekcję piękności. Współzawodniczyli też ze sobą. Do tego stopnia, że Will Rudolph w końcu musiał wyjechać, żeby się usamodzielnic. Do Los Angeles, by zostać tamtejszym Dżentelmenem. Chciał być na swoim. Casanova, bardziej przywiązany do miejsca, działał dalej na Południu, ale nie tracili kontaktu. Opowiadali sobie o wszystkim. Musieli to robić. Z dzielenia się doświadczeniami też czerpali podniecie. Rudolph zaczął potem przekazywać te opowieści dziennikarce z „Los Angeles Times”. Zachciało mu się być sławnym. Z Casanovą inaczej – to typ samotnika. Moim zdaniem bardziej twórczy, niemal genialny.**

**Zdawało mi się, że wiem, kto nim jest, że widziałem Casanovę bez maski.**

**Takie to dziwne myśli krążyły mi po głowie na miejscu przestępstwa. Byłem wypalony do cna, ale to nie miało znaczenia. Ani teraz, ani przedtem.**

**Casanova, miejscowy morderca. Przypuszczalnie nadal krążył gdzieś po Durham lub Chapel Hill. Jak dotąd planował wszystko w niezwykle przemyślany sposób, perfekcyjnie. Ale popełnił wreszcie błąd, dwa dni temu w czasie strzelaniny. Niewielki błąd, ale to czasem wystarczy... i dlatego sądziłem, że wiem, kim on może być. Nie mogłem się tym podzielić z FBI. Byłem przecież „wolnym strzelcem” w tej sprawie. Człowiekiem z doskoku. I niech tak już zostanie.**

**Patrzyliśmy z Kyle Craigiem w to samo miejsce wśród wysokich traw i kapryfolium, gdzie akurat kopano. Masowe groby, przemknęło mi przez głowę. W końcu dwudziestego wieku.**

**W jednym z głębokich dołów wyprostował się nagle wysoki, łysiejący mężczyzna.**

**Machał rękami nad błyszczącą od potu głową.**

**–Tutaj Bob Shaw! – zwołał donośnym głosem.**

**Wywołanie własnego nazwiska oznaczało odnalezienie ciała kolejnej kobiety.**

**Ekipa medyków sądowych uczestniczących w tej koszmarnej akcji zjechała się chyba z całej Karoliny Północnej. Jeden z biegłych pobiegł w stronę kopacza dziwnym, koślawym, kaczym krokiem. W innych okolicznościach pewnie byśmy się z Kyle'em roześmiali. Medyk podał Shawowi rękę i wyciągnął go z grobu.**

**Shaw był żołnierzem z Fort Bragg. Zaraz otoczyli go kamerzyści. Jedna, z dziennikarek, atrakcyjna młoda kobieta, przed wejściem na wizję poprawiła makijaż.**

**–Odkopano właśnie dwudziestą trzecią z kolei ofiarę – oznajmiła z należytą powagą. – Wszystkie dotychczas odnalezione ciała to kobiety. Te odrażające morderstwa...**

**Odwróciłem się plecami do kamer i westchnąłem głośno. Wyobraziłem sobie dzieci, takie jak Damon i Jannie, oglądające ten spektakl w telewizji. Oto świat, który odziedziczą. Pełen grasujących ludzkich bestii. Szczególnie w Ameryce i Europie. Skąd to się bierze? Z wody w kranie? Z tłuszczu w jedzeniu? Z telewizji w sobotni poranek?**

**–Jedź do domu w cholerę, Alex. – powiedział Kyle. – Już po wszystkim. Już go nie złapiesz, zaręczam ci.**

## ROZDZIAŁ 114

Nigdy nie mów nigdy. Oto moje gliniarskie motto. Po ciele ściekał mi zimny pot. Tętno biło nierówno. Nareszcie będzie z tym koniec. Musiałem w to wierzyć.

Czaiłem się w upalnej, nieruchomej ciemności pod niewielkim drewnianym domem w Edgemont, dzielnicy Durham. Typowa dzielnica klasy średniej. Domy klasy średniej, samochody średnio w połowie japońskie, w połowie amerykańskie, przyszyte trawniki, znajome zapachy z kuchni. Tutaj siedem lat temu osiedlił się Casanova.

Całe popołudnie przesiedziałem w redakcji „Durham Herald Sun”. Ponownie przeczytałem wszystko, co napisała gazeta na temat zabójstwa Roe Tierney i Toma Hutchinsona. Jedno z wymienionych w tekstach nazwisk pomogło mi pozbierać wszystko w całość; a w każdym razie potwierdziło moje obawy i podejrzenia. Setki godzin żmudnego dochodzenia. Czytania w kółko policyjnych raportów. A potem jedna linijka w gazecie i – żyła złota.

Nazwisko pojawiło się w gazecie tylko raz, na wewnętrznych stronach. Aleje dojrzałem.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w artykuł. Myślałem o spostrzeżeniu, jakiego dokonałem podczas strzelaniny na ulicach Chapel Hill. O całym problemie „zbrodni doskonałych”. Teraz wszystko pasowało. Gem, set, mecz.

Casanova wypadł z roli tylko raz. Ale stało się to na moich oczach. Nazwisko w gazecie stanowiło potwierdzenie. Po raz pierwszy połączyło Casanovę materialnie z Willem Rudolphem. Wyjaśniało też, jak się ci dwaj spotkali, dlaczego zaczęli rozmawiać.

Casanova był zdrów na umyśle i całkowicie odpowiedzialny za swoje czyny. Planował każdy ruch z zimną krwią. To właśnie było najbardziej niezwykle i przerażające na długim szlaku zbrodni. On wiedział, co robi. Był kanalią, która z własnego wyboru porwała piękne, wchodzące w życie młode kobiety. Z własnego wyboru gwałcił i zabijał, wciąż i wciąż. Kobiety doskonale stały się jego obsesją; jego miłością, jak to nazywał.

Czekając na Casanovę w samochodzie przed jego domem, przeprowadzałem z nim wyimaginowany wywiad. Miałem tę twarz przed oczami tak wyraźnie jak wskaźniki na desce rozdzielczej.

–Więc nic kompletnie nie czujesz? – pytałem w myślach.

–Ależ czuję. Na przykład uniesienie. Całkowity odlot, kiedy chwytał kolejną panią. Czuję różne odcienie podniecenia, oczekiwania, zwierzęcej żądzy. I to niesamowite wrażenie wolności, którego większości ludzi nigdy nie będzie dane poznać.

–Ale nie masz wyrzutów sumienia?

Siedząc w aucie widziałem jego afektowany, głupawy uśmiezek. Widziałem go zresztą już przedtem. Znałem tego człowieka.

–Nie mam poczucia niczego, co by mogło mnie powstrzymać.

–Czy w ogóle ktoś cię wychowywał jako dziecko, darzył miłością, odwzajemnianą miłością?

–Próbowali chyba. Aleja nigdy nie byłem dzieckiem. Nie przypominam Sobie,

**żebym myślał lub działał jak chłopiec.**

**Znowu zacząłem się posługiwać takim myśleniem bestii. Byłem pogromcą potworów. Nienawidziłem tej odpowiedzialności. Nienawidziłem tej części mnie, która sama stawała się bestią. Ale w tej chwili nic nie mogłem na to poradzić.**

**Siedziałem przed domem Casanovy. Już czwartą noc z rzędu. W sercu czułem lekki trzepot lęku.**

**Bez partnera. Bez wsparcia.**

**Ale to nie problem. Byłem nie mniej cierpliwy niż przeciwnik., To ja teraz polowałem.**

## ROZDZIAŁ 115

Zaczerpnąłem powietrza głęboko, chrapliwie; poczułem szum w głowie. Idzie! Casanova wychodził z domu. Obserwowałem jego twarz, czytałem język jego ciała. Był spokojny, bardzo pewny siebie.

Detektyw Davey Sikes podszedł niespiesznie do swego auta. Po jedenastej w nocy, czwartego dnia wyczekiwania. Był potężnym mężczyzną atletycznie zbudowanym. Miał na sobie dżinsy, ciemną kurtkę, czarne adidas z wysoką cholewką. Wsiadł do dziesięcio – dwunastoletniej toyoty cressidy, którą trzymał w garażu.

To był jego pojazd łowcy, nie rzucający się w oczy samochód do podrywu. „Zbrodnie doskonałe”. Davey Sikes był bez wątpienia fachowcem. Brał udział w dochodzeniu, i to od ponad dwunastu lat. Wiedział, że gdy do sprawy włączy się FBI, przede wszystkim przebadają miejscowych policjantów. Przygotował więc sobie alibi „doskonałe”. Zmienił nawet datę przestępstwa, by mieć „dowód”, że nie było go tego dnia w mieście.

Zastanawiałem się, czy odważy się teraz dobrać do następnej kobiety. Czy jedzie właśnie na ostrożne łowy lub podchodzenie? Co teraz czuje? O czym myśli? – zastanawiałem się patrząc, jak wyprowadza swą toyotę na podmiejską ulicę. Czy bardzo mu brak Rudolpha? Czy będzie dalej prowadził tę ich grę, czy może zrezygnuje? Czy jest w stanie zrezygnować?

Tak bardzo pragnąłem go dopaść. Sampson powiedział zaraz na początku, że podchodzę do sprawy zbyt osobiście. I miał rację. Jeszcze żadnej sprawy w mojej karierze zawodowej aż tak osobiście nie traktowałem.

Próbowałem myśleć jak on. Dostroić się do jego rytmu. Podejrzywałem, że ma już upatrzoną ofiarę, chociaż jeszcze nie odważył się jej pochwycić. Czy będzie to jak zwykle piękna, zdolna studentka? A może zmieni teraz schemat? Wątpiłem w to. Za bardzo był zakochany w swym życiu i twórczości.

Jechałem za potworem przez ciemne, puste ulice południowo – zachodniego Durham. Krew pulsowała mi w skroniach z taką siłą że niewiele poza tym słyszałem. Dopóki Sikes trzymał się bocznych uliczek, nie zapalałem świateł. A może jechał tylko do sklepu nocnego po papierosy i piwo?

Byłem przekonany, że udało mi się w końcu rozwikłać zagadkę morderstwa „złotej pary” w 1981, morderstwa, które wstrząsnęło miejscową społecznością tu i w Chapel Hill Will Rudolph popełniał brutalne morderstwa na tle seksualnym, gdy był jeszcze studentem. „Kochał” Roe Tierney, ale ona wolała gwiazdę futbolu. W trakcie prowadzonego wówczas śledztwa policyjnego detektyw Davey Sikes przesłuchiwał Rudolpha.

W którymś momencie musiał zacząć dzielić się z tym wybitnym studentem medycyny własnymi, mrocznymi tajemnicami. Dowiedzieli się o sobie. Wyczuli się nawzajem. Zbliźniaczyli.

A teraz zabiłem mu jedyne przyjaciela. Czy Davey Sikes marzył o zemście? Czy wiedział, że wciąż go ścigam? Jakie myśli w tej chwili się w nim kłębiły? Chciałem nie tylko złapać człowieka, ale pochwycić też jego umysł.

Casanova skręcił na autostradę międzystanową nr 40 i pojechał na południe. Kierował się w stronę Garner i McCullers, jak oznajmiały zielono – białe drogowskazy. Na międzystanowej panował spory ruch, więc mogłem trzymać się za nim w bezpiecznej odległości czterech, pięciu samochodów. Jak dotąd nieźle. Detektyw kontra detektyw.

Skręcił na zjazd 35, w stronę McCullers. Przejechał jakieś pięćdziesiąt kilometrów. Zbliżało się wpół do dwunastej. Godzina duchów.

Zamierzałem dopaść go tej nocy, choćby nie wiem co. Nigdy dotąd tak nie postępowałem, ani razu przez wszystkie lata pracy w wydziale zabójstw w Waszyngtonie.

Ale tym razem to sprawa osobista.



## ROZDZIAŁ 116

Jechaliśmy szosą nr 41. W pewnym momencie z niewidocznej bocznej drogi wyskoczył czerwony ford półciężarówka. Niespodziewanie, ale szczęśliwie dla mnie. Władował się między Sikesa i mnie, co dawało pewną osłonę. Niezbyt wielką, ale na krótki dystans w sam raz.

Kilka kilometrów za McCullers cressida zjechała w końcu z głównej drogi. Sikes zatrzymał się na zatłoczonym parkingu baru Sports Page Pub. Wśród tylu aut jego toyota zupełnie nie rzucała się w oczy.

Właśnie to go zaczęło zdradzać. Właśnie dlatego nawet Kyle Craig znajdował się na mojej liście podejrzanych. Casanova znał każdy ruch policji, zanim zdążyła go wykonać. Prawdopodobnie dokonał niektórych uprowadzeń przedstawiając się jako detektyw. Detektyw Davey Sikes! Podczas strzelaniny w Chapel Hill wykonał profesjonalny przysiad strzelecki. Zorientowałem się wtedy, że to musi być gliniarz.

Sikesa przydzielono jako młodego glinę do pierwszego zespołu śledczego w sprawie „złotej pary”. Przesłuchiwał wówczas studenta nazwiskiem Will Rudolph, ale nigdy nikomu z nas o tym nie wspomniał. Nie przyznał się, że poznał Rudolpha już w 1981 roku.

Minąłem Sports Page Pub i zjechałem na pobocze za najbliższym zakrętem. Wysiadłem z auta i pośpieszyłem w stronę baru. Zdążyłem tam dotrzeć, gdy Sikes przechodził na drugą stronę szosy.

Casanova z rękami w kieszeniach poszedł boczną drogą. Wyglądał jak zwyczajny mieszkaniec miasteczka. A w jednej z tych głębokich kieszeni pistolet ogłuszający, co, kotuś? Już cię znów zaświerbiło? Dreszczyk wrócił?

Wszedłem za Sikesem w sosnowy zagajnik. Przyśpieszył kroku. Jak na człowieka tej postury poruszał się szybko. Mógłby mnie teraz zgubić. I w tej spokojnej okolicy czyjeś życie znów zawisłoby na włosku. Następna Scootchie Cross. Następna Kate McTiernan. Przypomniały mi się jej słowa: Przebij go kołkiem osinowym, Alex.

Wysunąłem z kabury pod pachą mego glocka kaliber dziewięć. Lekki. Skuteczny. Półautomatyczny. Dwanaście śmiertcionośnych strzałów. Aż mnie rozboleły zęby, tak mocno je zaciskałem. Odbezpieczyłem broń. Byłem gotów pojmać Daveya Sikesa.

Szedłem pod baldachimem zwisających złowieszczo sosnowych gałęzi. Zobaczyłem przed sobą dom, odcinający się na tle kotary bladożółtego księżycowego światła. Sunąłem szybko po miękkim dywanie sosnowych igieł. Poruszałem się bezgłośnie. Dokładnie w rytmie i tempie tamtego.

Casanova zbliżał się do budynku nabierając szybkości. Znał drogę. Był tu już chyba nieraz. Pewnie tutaj snuł swoje plany, studiował kolejne ofiary, dopracowywał szczegóły.

Podbiegłem pod sam dom. Casanovy nie było. Straciłem go na sekundę z oczu. Może wśliznął się do środka. W domu świeciło się tylko jedno okno.

Czułem, że jeśli go nie załatwię, chyba mi serce pęknie. Nie zdejmowałem palca ze spustu.

Przebij go kołkiem osinowym, Alex.

Załatwić Sikesa.

Staralem się odzyskać panowanie nad emocjami, odnaleźć w sobie obszar spokoju. Przekradałem się w stronę pograżonej w ciemności tylnej werandy. Dobiegł mnie nagle niewyraźny szum pracującego wewnątrz klimatyzatora. Na pomalowanych na biało drzwiach spostrzegłem oblażącą nalepkę: WARTO ŻYĆ DLA CIASTECZEK HARCEREK.

Pewnie sobie znalazł jakąś następną ładniutką. Pewnie ją sobie dziś zgarnie. Bestia nie mogła się powstrzymać.

–Cześć, Cross. A teraz rzuć broń. Powolutku, bohaterze – rozległ się za mną w ciemności głęboki głos.

Zaniknąłem na chwilę oczy. Opuściłem pistolet i rzuciłem go w trawę i igliwie. Moje ciało zmieniło się w klatkę windy, która się zerwała z liny.

–Odwróć się, skurwielu. Ty wścibski gównojadzie.

Odwróciłem się i ujrzałem twarz Casanovy. A więc wreszcie jest, w zasięgu ręki. Celował mi w pierś z browninga.

Żadnych więcej dywagacji, powiedziałem sobie w myśli. Tylko instynkt. Ugiąłem lewą nogę udając, że tracę równowagę, i walnąłem go zniecacka w skroń. To był potężny, miążdzący cios wagi ciężkiej.

Sikes opadł na jedno kolano, ale natychmiast się podniósł. Chwyciłem go za szmaty i rzuciłem na ścianę. Rąbnął o nią ramieniem i rewolwer wypadł mu z ręki. Pod stopami czułem twardy grunt i ruszyłem znów ku niemu. Prawdziwa, w starym, dobrym stylu bójka uliczna. Tego mi było trzeba. Moje ciało domagało się fizycznego kontaktu, uwolnienia energii. – No chodź, kutasie – rzucił mi wyzwanie. On też tego pragnął. – Nie ma sprawy – syknąłem. – Już idę. Wewnątrz budynku ktoś zapalił światło.

–Kto tam jest? – Dźwięk kobiecego głosu zbił mnie z tropu. – Kto tam, proszę się odezwać!

Wyrzucił sierpowego. Całkiem szybki, celny sierpowy. Był z niego przyzwoity zawodnik, nie jakiś ciaptak. Pamiętałem słowa Kate, że jest przerażająco silny. Nie miałem jednak w planach pozostawiania zbyt długo w szponach mordercy.

Sparowałem cios ramieniem, które mi z miejsca zdrętwiało. Miał parę, nie ma co. Nie daj mu jej wykorzystać, ostrzegłem się w myśli. Przyłóż mu za to. Przyłóż porządnie.

Rąbnąłem go prawym hakiem w żołądek. Brzuch mu zmiękł. Chyba dostał poniżej pasa. Sikes jęknął i zwinął się, jakby miał już dość. Ale to był trik dla zmylenia przeciwnika.

Uderzył i trafił mnie w głowę. Przywalił, aż zadzwoniło. Prychnąłem i wykonałem parę zwodów, żeby widział, że nic mi nie jest. Bójka w stylu waszyngtońskim. No, chodź, białasku. Chodź do mnie, panie potworze. Tak, tego mi właśnie było trzeba.

Walnąłem go jeszcze raz pięścią w brzuch. Zabić ciało, głowa sama zdechnie. Ale i głowę chciałem mu popsuć. Rąbnąłem go precyzyjnie w nos. Ten cios wyszedł mi najlepiej z dotychczasowych. Sampson byłby z niego dumny. Ja też.

**–To za Sampsona – objaśniłem Sikesowi przez zęby. – Prosił mnie, żebym ci to doręczył. Do rąk własnych.**

**Uderzyłem go w krtań i zaczął się krztusić. Wciąż robiłem zwody. Nie tylko byłem trochę podobny do Alego; jak trzeba, to i walczyłem jak on. Bronilem tego, co wymagało obrony. Jak się inaczej nie dało, potrafiłem się zachować jak twardziel ze slumsów.**

**–A to za Kate. – Palnąłem go znowu w nos, w sam czubek. Potem prosty w oko i poprawka prawym. Twarz mu pięknie puchła. Przebij go kołkiem osinowym, Alex.**

**Miał jednak dobrą kondycję, silny i wciąż niebezpieczny. Pamiętałem o tym. Rzucił się na mnie jeszcze raz. Szarżował jak ranny byk na *plaza ciel toros*. Usunął się i rąbnął w ścianę, jakby chciał zrównać dom z ziemią. Domek aż zadrżał w posadach.**

**Trafiłem go ponownie w skroń. Głowa mu odskoczyła i uderzyła w aluminiową okładzinę ściany z taką siłą, że zostawiła w niej wgłębienie. Ślaniał się już na nogach, chwycił powietrze haustami. Nagle w oddali rozległo się wycie syren. To chyba ta kobieta wezwała policję. Przecież policja to ja.**

**Ktoś mnie walnął w plecy, naprawdę mocno. O Jezu, nie, jęknąłem, usiłując strząsnąć z siebie ból.**

**To niemożliwe! To nie może być prawda!**

**Kto mnie uderzył? Dlaczego? Nie mogłem się połapać, zrozumieć, zamęt w głowie nie ustępował.**

**Choć ogłupiały i obolały, odwróciłem się jednak.**

**Ujrzałem kędzierzawą blondynkę w za dużej koszulce z napisem: POMOC ROLNIKOM. Trzymała w rękach szpadel, którym właśnie trzasnęła mnie w plecy.**

**–Zostaw mojego chłopaka! – wrzasnęła mi w twarz. Była czerwona z wściekłości. – Odwal się od niego, albo znów oberwiesz. Odwal się od mojego Daveya!**

**Mojego Daveya?... O Jezu! W głowie mi się kręciło, ale dotarło do mnie. Tak mi się zdawało w każdym razie. Davey Sikes przyjechał na randkę z dziewczyną. Na nikogo nie polował. Nikogo nie zamierzał zabijać. Był tylko narzeczoną Pomocy Rolnikom.**

**Może się pogubiłem, pomyślałem odsuwając się od Sikesa. Może się wypaliłem do cna, nie do poznania, nie do uratowania. A może byłem po prostu przepracowany ponad miarę i cholernie omylny, jak wszyscy prawie detektywi z wydziału zabójstw, których znałem. Popełniłem błąd. Pomyliłem się co do Daveya Sikesa – tylko że nie miałem pojęcia, jak to się stało.**

**Kyle Craig pojawił się pod domem w McCullers w ciągu godziny. Jak zwykle absolutnie spokojny i nieporuszony. Przemówił do mnie cichym głosem:**

**–Detektyw Sikes miał romans z tą kobietą od ponad roku. Wiedzieliśmy o tym. Detektyw Sikes nie jest podejrzanym. Nie jest Casanovą. Jedź do domu, Alex. Po prostu jedź do domu. Tutaj już nic po tobie.**

## ROZDZIAŁ 118

Nie pojechałem do domu. Poszedłem odwiedzić Kate w Centrum Medycznym Uniwersytetu Duke. Nie wyglądała najlepiej. Była blada i wymizerowana; chuda jak patyk. Mówiła też nie najlepiej. Ale jej stan znacznie, znacznie się poprawił. Wyszła ze śpiączki.

–Patrzcie, kto się wreszcie obudził – powiedziałem od drzwi.

–Załatwiłeś jednego brzydkiego pana, Alex – szepnęła na mój widok. Uśmiechnęła się słabo, ale słowa wmawiała powoli, niepewnie. To była Kate, ale nie ta, którą znałem.

–Widziałaś to we śnie? – spytałem.

–Aha. – Uśmiechnęła się znowu, tym swoim słodkim uśmiechem. Mówiła strasznie wolno. – Żebyś wiedział.

–Przyniosłem ci mały prezent – oznajmiłem. Pokazałem jej pluszowego misia ubranego w strój lekarza. Wyciągnęła po niego rękę. Czarodziejski uśmiech nadał jej wygląd niemal tej dawnej Kate.

Pochyliłem się nad jej twarzą. Pocałowałem obrzmiałą głowę, jakby to był najdelikatniejszy na świecie kwiat. Znowu te fluidy, dziwne, ale chyba najsilniejsze z dotychczasowych.

–Tęskniłem za tobą tak, że nie da się tego opisać – szepnąłem w jej włosy.

–Opisz – znowu się uśmiechnęła. I ja też. Mówiła może powoli, ale myślała szybko.

Dziesięć dni później stała już na nogach, wsparta o pogięty metalowy chodzik. Narzekała na te „mechaniczne wynalazki” i odgrażała się, że za tydzień opuści szpital. Opuściła za cztery, ale nawet to uznano niemal za cud.

Pozostał jej ślad po pobiciu, w kształcie półksiężycowatego wklęśnięcia z prawej strony czoła. Odmawiała jak dotąd poddania się operacji plastycznej, by je zlikwidować. Uważała, że to dodaje jej charakteru.

W pewnym sensie miała rację. Oto czysta, niezafałszowana Kate McTiernan.

–To część mojego życiorysu, więc zostaje – oświadczyła. Mówiła już prawie jak przedtem, z każdym tygodniem wyraźniej.

Kiedy widziałem ten półksiężyc, przypominał mi się zawsze Reginald Denny, kierowca ciężarówki, dotkliwie pobity podczas rozruchów w Los Angeles. Pamiętam, jak wyglądał po pierwszym wyroku w sprawie Rodneya Kinga. Denny miał w głowie potężne wgniecenie, właściwie dziurę w skroni. W rok po tym zdarzeniu zobaczyłem go w telewizji. Nic się nie zmienił. Przychodziło mi też na myśl jedno z opowiadań Nathaniela Hawthorne'a. To wklęśnięcie było jedyną niedoskonałością Kate. Ale mnie wydawała się jeszcze piękniejsza i bardziej wyjątkowa niż przedtem.

Prawie cały lipiec spędziłem z rodziną w Waszyngtonie. Dwa razy wyskoczyłem do Durham zobaczyć się z Kate, ale to wszystko. Ilu ojców ma szansę przebywania cały miesiąc z dziećmi, obserwowania ich niepowstrzymanego biegu poprzez dzieciństwo? Damon i Jannie tego lata oboje brali udział w rozgrywkach baseballowych. Nadal byli nałogowcami muzyki, filmów, ogólnego dawania czadu i podżerania czekoladowych ciasteczek. Przez pierwsze kilkanaście dni spali ze mną pod jednym patchworkiem – regenerowałem w ten sposób siły i starałem się

zapomnieć o minionych tygodniach spędzonych w piekle.

Obawiałem się, że Casanova będzie chciał się zemścić na mnie za to, że zabiłem jego najlepszego przyjaciela, ale jak dotąd nie dał o sobie znać. W Karolinie Północnej ustały uprowadzenia pięknych kobiet. Było już przesądzone, że to nie Davey Sikes. Przesłuchano kilku miejscowych policjantów, łącznie z jego partnerem Nickiem Ruskinem, a nawet komisarzem Hatileldem. Wszyscy gliniarze mieli alibi i okazali się czysti. Więc kto, u diabła, był w końcu Casanova? Czyżby miał zniknąć na zawsze, jak ten jego podziemny dom? Upięły mu się te wszystkie straszliwe zbrodnie? Czy będzie w stanie powstrzymać się od następnych?

Mama Nana nieodmiennie miała dla mnie w pogotowiu całe tony zbawiennych porad psychologicznych i innych. Większość z nich dotyczyła moich związków uczuciowych i kwestii rozpoczęcia „dla odmiany” normalnego życia. Chciała bym zajął się prywatną praktyką, wszystkim, tylko nie pracą w policji.

–Dzieci muszą mieć babcię, ale matki też im trzeba – oświadczyła Nana Mama pewnego poranka znad kuchennego blatu, gdzie szykowała śniadanie.

–To co, mam wyjść na ulicę i znaleźć matkę dla Jannie i Damona? To mi chciałaś powiedzieć?

–Tak, masz, Alex. I zrób to, zanim stracisz ten swój chłopięcy wdzięk i przystojny wygląd.

–Zaraz się tym zajmę – powiedziałem. – Do końca lata złapię im jakąś matkę, a sobie żonę.

Nana Mama palnęła mnie łyżką. A potem jeszcze raz dla równowagi.

–Ty mi się tu nie mądrzyj – ostrzegła. Zawsze musiała mieć ostatnie słowo.

Telefon zadzwonił koło pierwszej w nocy pod koniec lipca. Nana i dzieciaki już poszli na górę do łóżek. Grałem sobie na pianinie jazzowe kawałki na werandzie, tak dla zabawy, pomagając nie paść paru ćpunom na Fifth Street za pomocą standardów Milesa Davisa i Dave Brubecka.

Dzwonił Kyle Craig. Aż jęknąłem usłyszawszy jego spokojny, przeprasający głos.

Spodziewałem się oczywiście złych wieści, ale nie takich, które miałem usłyszeć tej nocy.

–Co jest, Kyle, do cholery? – spytałem natychmiast, usiłując obrócić cały ten telefon w żart. – Mówiłem ci, żebyś już nigdy do mnie nie dzwonił.

–W tej sprawie musiałem, Alex. Musisz o tym wiedzieć – zasyczał w słuchawkę. – A teraz słuchaj mnie uważnie.

Kyle przemawiał do mnie chyba z godzinę i zupełnie nie o tym, czego się spodziewałem. O czymś o wiele gorszym.

Kiedy skończyliśmy rozmowę, wróciłem na werandę. Siedziałem tam bardzo długo, zastanawiając się co teraz począć. Właściwie nic nie mogłem zrobić, kompletnie nic. – To się nigdy nie skończy – szepnąłem do czterech ścian – prawda?

Poszedłem po pistolet. Nienawidziłem nosić go w domu. Sprawdziłem wszystkie drzwi i okna. W końcu położyłem się spać.

Leżałem w ciemnej sypialni, a słowa Kyle'a dźwięczały mi w głowie jak wyrocznia. Słyszałem, jak opowiada swoją rewelację. Widziałem twarz, której nie chciałem

ogłądać już nigdy. Przypomniało mi się wszystko.

–Gary Soneji uciekł z więzienia, Alex. Zostawił list. Napisał w nim, że wpadnie któregoś dnia zobaczyć się z tobą.

To się nigdy nie skończy.

Leżałem w łóżku i myślałem o tym, że Gary Soneji wciąż chce mnie zabić. Sam mi to powiedział. W więzieniu miał dość czasu, by obsesyjnie rozpamiętywać jak, kiedy i gdzie to zrobi.

Wreszcie zasnąłem. Było już prawie runo. Zaczynał się kolejny dzień. To nie ma końca.

## ROZDZIAŁ 119

Miałem nadal dwie zagadki do rozwikłania, a w każdym razie powinienem znaleźć do nich odpowiednie podejście. Jedna to tajemnica Casanovy. Druga dotyczyła Kate i mnie.

W końcu sierpnia pojechaliśmy na mierzeję Outer Banks, na wybrzeżu Karoliny Północnej. Zatrzymaliśmy się przez tydzień w pobliżu malowniczego kurortu Nags Head.

Kate pozbyła się już nieporęcznego chodzika, ale nosiła ze sobą staromodną laskę z gruzlowatego drewna orzechowego, używając jej głównie do ćwiczeń karate. Ćwiczyła na plaży, kręcąc laską młynka wokół ciała i głowy, jak kijem karateckim, z wielką wprawą i zręcznością.

Obserwując Kate pomyślałem sobie, że wygląda wręcz świetliście. Wróciła już prawie do formy. Jej twarz również wydawała mi się taka jak dawniej, z wyjątkiem wklęśnięcia na czole.

–To przez ten mój upór – stwierdziła. – Już się do śmierci nie zmienię.

Panował niemal sielankowy nastrój. Wszystko wydawało się nam sprzyjać. Byliśmy zdania, że zasługujemy oboje na wakacje i na coś znacznie więcej.

Jadaliśmy śniadania na werandzie z długich poszarzałych desek, wychodzącej na połyskliwy Atlantyk. Kiedy był mój dyżur, sam robiłem jedzenie; Kate natomiast przynosiła z targu w Nags Head słodkie lukrowane bułeczki z rodzynkami i drożdżówki z budyniowym kremem. Robiliśmy długie spacery wzdłuż wybrzeża. Zarzucaliśmy wędki na błękitka i smażyliśmy ryby na plaży. Czasem po prostu obserwowaliśmy lśniące kutry patrolujące ocean. Raz wybraliśmy się na wycieczkę do Parku Stanowego Jockey's Ridge, żeby popatrzeć na szaleństwa lotniarzy startujących z wysokich wydm.

Czekaliśmy na Casanovę. Zachęcaliśmy go wręcz, żeby się pojawił. Na razie nie był zainteresowany, w każdym razie tak się mogło wydawać.

Przyszła mi na myśl książka i film „Księżę przyływów”. Kate i ja trochę przypominaliśmy Toma Wingo i Susan Lowenstein, tylko połączonych w inny, aczkolwiek równie powikłany sposób. Jak pamiętałem, Lowenstein uzmysłowiła Tomowi Wingo jego ukrytą potrzebę odczuwania i dawania miłości. My też uczyliśmy się o sobie wszystkiego co ważne – a byliśmy zdolnymi uczniami.

Któregoś poranka weszliśmy w czyste błękitne fale przed domem. Większość plażowiczów jeszcze spała. Samotny brunatny pelikan sunął nad wodą.

Trzymaliśmy się za ręce ponad falami. Świat wyglądał jak na widokówce. Dlaczego więc czułem, jakbym zamiast serca miał ziejącą dziurę? Czemu wciąż obsesyjnie myślałem o Casanovie?

–Masz złe myśli, prawda? – Kate trąciła mnie mocno biodrem. – Hej, jesteś na wakacjach. Miej wakacyjne myśli.

–Tak się składa, że miałem dobre myśli, tylko że źle się od nich poczułem – odparłem.

–Znam ten zasrany numer – powiedziała. Uściskała mnie mocno, by potwierdzić, że jesteśmy w tym razem, cokolwiek by to było.

–Chodź, pobiegniemy. Ścigamy się do Coquina Beach – oświadczyła. – Do startu, gotowi, ty przegrywasz.

Ruszyliśmy truchtem. Kate w ogóle nie kulała. Przyśpieszyliśmy. Była silna, pod każdym względem. Oboje byliśmy. Pod koniec pędziliśmy na całego, aż padliśmy w srebrzystobłękitne fale. Nie chcę stracić Kate, myślałem w czasie biegu, nie chcę, żeby to się skończyło. I nie wiedziałem, co mam robić.

W ciepły, sobotni wieczór leżałem z Kate na starym indiańskim kocu na plaży. Poruszaliśmy sto tysięcy tematów naraz. Obżarliśmy się właśnie pieczoną kaczką z borówkami, którą razem przyrządziliśmy. Kate miała na sobie dres z napisem: ZAUFAJ MI, JESTEM LEKARZEM.

–Ja też bym chciała, żeby to trwało wiecznie – rzekła z ciężkim westchnieniem. I dodała: – Alex, porozmawiajmy o tym, dlaczego oboje uważamy, że to się musi skończyć.

Pokręciłem głową i uśmiechnąłem się, słysząc typową dla niej bezpośredniość.

–Och, Kate, tak naprawdę to się nie skończy nigdy. Ten czas zawsze będzie z nami. Jest jednym z tych skarbów, na które udaje się czasem trafić w życiu.

Kate chwyciła mnie za ramię obiema rękami i nie puszczała. Jej brązowe oczy wpatrywały się we mnie z napięciem.

–W takim razie czemu musi się skończyć tutaj?

Oboje znaleźliśmy część odpowiedzi na to pytanie, ale nie całą.

–Za bardzo jesteśmy do siebie podobni. Oboje mamy skłonność do obsesyjnej analizy – mówiłem z odrobiną przekory w głosie. – Mamy tak zdroworozsądkowe podejście do życia, że znamy co najmniej kilka powodów, dla których to nie może wypalić. Jesteśmy uparci i stanowczy. I w końcu byłoby z tego wielkie bum.

–Samospełniająca się przepowiednia, stary numer – odparła Kate. Jednak oboje wiedzieliśmy, że mówię prawdę. Smutną prawdę? Czy istnieje w ogóle coś takiego? Chyba tak.

–W końcu mogłoby z tego być wielkie bum – powtórzyła Kate i uśmiechnęła się słodko. – I potem nie moglibyśmy nawet zostać przyjaciółmi. Nie zniosła – t bym utraty ciebie jako przyjaciela. Dla mnie to nadal istotny aspekt tego wszystkiego. Nie mogę na razie ryzykować takiej straty.

–Jesteśmy też zbyt silni fizycznie. Pozabijalibyśmy się w końcu. *Nidan* – przypomniałem jej. Próbowałem rozładować atmosferę.

Ścisnęła mnie trochę mocniej.

–Nie żartuj sobie z tego. Nie rozśmieszaj mnie, niech cię cholera, Alex. Chcę, żebyśmy byli smutni. Mnie jest tak smutno, że się chyba rozbeczę. Już beczę. Widzisz?

–To jest smutne – zgodziłem się. – Najsmutniejsze na świecie.

Leżeliśmy na gryzącym, plażowym kocu trzymając się w objęciach aż do rana. Zapadliśmy w sen pod gwiazdami, wsłuchani w miarowy puls Atlantyku. Tej nocy na Outer Banks wszystko zdawało się dotknięte lekkim tchnieniem wieczności. Prawie wszystko.

Między jednym przyśnięciem a drugim Kate odwróciła się do mnie i spytała:



**–Alex, on znowu na nas poluje, prawda? Powiedz.  
Nie byłem pewien. Ale liczyłem na to.**

## ROZDZIAŁ 120

### KUTAS – TIK.

Kutas – tik.

Kutas – tak.

Nadal miał obsesję na punkcie Kate McTiernan, tylko że teraz dotyczyła ona kwestii dużo bardziej denerwujących i skomplikowanych niż to, co się stanie z samą panią doktor. Razem z Alexem Crossem uknuła spisek, który zniszczył jego unikatowy twór, jego drogocenne, bardzo osobiste dzieło sztuki, jego życie w dawnym kształcie. Prawie wszystko, co kochał, przestało istnieć albo było w rozsypce. Nastął czas powrotu. Czas, by im pokazać raz na zawsze. Pokazać prawdziwą twarz.

Casanova zdawał sobie sprawę, że nade wszystko brak mu „najlepszego przyjaciela”. Był to również dowód, że jest jednak zdrowy na umyśle. Wprost nie mógł uwierzyć w to, co widzi, gdy Alex Cross zastrzelił Willa Rudolpha na ulicy w Chapel Hill. Rudolph był wart dziesięciu takich Crossów. A teraz nie żyje.

Rudolph był wyjątkowym geniuszem. Prawdziwym Doktorem Jekylllem i Mister Hyde'em. I tylko Casanova potrafił w pełni docenić obie strony jego natury. Pamiętał wszystkie spędzone razem lata; miały już na zawsze pozostać obecne w jego myślach. Obaj umieli zrozumieć, że przyjemność, im bardziej zakazana, tym rozkoszniejsza. To była podstawowa zasada, z której zrodziły się polowania, kolekcjonowanie pięknych dziewcząt i wreszcie długi łańcuch zbrodni. To niewiarygodne, nie zrównane podniecenie wywołane łamaniem uświęconych, społecznych tabu, wprowadzaniem w życie wymyślnych fantazji, było absolutnie nie do odparcia. Dawało niewyobrażalną rozkosz.

Podobnie jak polowania same w sobie: dokonywanie wyboru, obserwacja i w końcu przywłaszczanie sobie najpiękniejszych kobiet łącznie z ich najbardziej osobistymi rzeczami.

Ale Rudolpha już nie ma. Casanova rozumiał, że nęka go nie tylko zwykła samotność, ale przede wszystkim nagły strach przed nią. Czuł się, jakby go przecięto na pół. Musiał odzyskać panowanie nad sobą.

Crossowi należy się oczywiście pewne uznanie. Był o krok od pochwycenia go. Zastanawiał się, czy Cross ma pojęcie jak mały krok. Alex Cross jest nawiedzony – to stanowiło o jego przewadze nad wszystkimi innymi, którzy byli zaangażowani w tej sprawie. Nigdy się nie podda, chyba że po śmierci.

Cross zastawił przeciw na niego tę śliczną pułapkę w Nags Head. Pewnie że tak. Doszedł do wniosku, że Casanova i tak podąży tu za nim i za Kate McTiernan, i uznał, że warto obrócić tę sytuację na swoją korzyść. Warto.

Tej nocy, gdy Casanova dotarł do Outer Banks, księżyc był niemal w pełni. Widział sylwetki dwóch mężczyzn stojących w wysokich, kołyszących się trawach na wydmach. Byli to dwaj agenci FBI przydzieleni do pilnowania Crossa i doktor Kate. Wybrani z wielką starannością.

Mignął w ich stronę latarką, żeby widzieli, że nadchodzi. Tak, wtapiał się w tło doskonale. Ale to tylko część jego geniuszu, mały wycinek jego działań.

**Gdy znalazł się w zasięgu słuchu, zawołał do agentów:**

**–Ej, to tylko ja!**

**Uniósł latarkę i oświetlił sobie twarz. Żeby go zobaczyli, żeby go poznali.**

**Kutas – tik.**

## ROZDZIAŁ 121

Tego ranka na mnie przypadło robienie śniadania. Zdecydowałem się postąpić demokratycznie: poza moim straszliwym serem monterey jack i nieśmiertelnym omletem z cebulką podać Kate ukochane bułeczki z rodzynkami.

Postanowiłem zrobić sobie przebieżkę do maleńkiej i drogiej jak diabli piekarenki w Nags Head i z powrotem. Jogging pomagał mi czasem utrzymywać myśli w należytych porządku.

Biegłem ścieżką wijącą się wśród falujących, wysokich do pasa traw wydmowych. Ścieżka łączyła się z utwardzoną drogą przez mokradła, prowadzącą do miasteczka. Był przepiękny dzień w końcu lata.

Bieg mnie rozluźniał. Moja czujność trochę osłabła i byłbym go prawie nie zauważył.

W trawie, tuż obok ścieżki leżał z rozrzuconymi szeroko rękami mężczyzna o jasnych włosach, ubrany w wiatrówkę i poplamione spodnie khaki. Prawdopodobnie miał złamany kark. Musiał umrzeć stosunkowo niedawno. Gdy badałem mu puls, ciało miał jeszcze ciepłe.

Zabity był agentem FBI. Zawodowcem, którego nie tak łatwo podejść. Przysłano go tu, żeby pilnował Kate i mnie, i pomógł w zastawieniu pułapki na Casanovę. Cały plan wymyślił Kyle Craig, ale myśmy go zaakceptowali.

–O cholera jasna, nie! – jęknąłem. Wyciągnąłem pistolet i pobiegłem z powrotem do Kate. Była w straszliwym niebezpieczeństwie. Ja zresztą też.

Usiłowałem wczuć się w tok rozumowania Casanovy. Jaki może być jego kolejny ruch, co jeszcze uczyni? Linie obronne wokół naszego domku zostały w każdym razie przełamane.

Nadal mu się wszystko udaje. Kim on jest, do diabła? Z kim przyszło mi się zmierzyć?

Nie spodziewałem się drugiego ciała i prawie się o nie potknąłem. Ktoś ukrył je w trawie. Drugi agent też był w niebieskiej kurtce. Leżał na plecach, rude włosy miał porządnie przyczesane. Żadnych śladów walki. Martwe oczy ofiary wpatrywały się w jasny krąg słońca na niebie i krążące w górze mewy.

Popędziłem na przelaj przez trawy i pod wiatr, do domku na plaży. Stał cicho i spokojnie, tak jak go zostawiłem.

Byłem niemal pewien, że Casanova jest już w środku. Polował na nas. Nadszedł jego dzień zapłaty. Musiał to rozegrać jak należy. Po swojemu, perfekcyjnie. A może chciał tylko pomścić Rudolpha, wszystko jedno jak?

Trzymając glocka w pogotowiu, wsunąłem się ostrożnie do domku przez tylne drzwi. W dużym pokoju nic się nie poruszało. Słysząc było jedynie pomrukiwanie starej lodówki w kuchni; brzęczała jak rój owadów.

–Kate! – wrzasnąłem ile sił w płucach. – On tu jest! Kate! Kate! On tu jest! Casanova tu jest!

Rzuciłem się przez pokój i na górę do sypialni, wrywając niemal drzwi z zawiasów.

Nie było jej tam.

Nie było jej w sypialni, choć zostawiłem ją w łóżku, zaledwie parę minut temu. Wyskoczyłem na korytarz. Nagle otworzyły się drzwi szafy. Wysunęła się z nich ręka i chwyciła mnie za ubranie.

Obróciłem się gwałtownie w prawo.

To była Kate. W jej oczach spostrzegłem zdecydowanie i autentyczną nienawiść. Ani śladu lęku. Położyła palec na ustach.

–Cii, cii – szepnęła. – Ze mną okay, Alex.

–Ze mną też. Na razie.

Zaczęliśmy się skradać w stronę kuchni, gdzie stał telefon. Musiałem wezwać policję z Cape Hatteras. Oni już dadzą znać Kyle'owi i FBI.

W wąskim korytarzyku było dość ciemno i nie zauważyłem błysku metalu... A potem było za późno. Przeszył mnie ostry ból, gdy podłużny nabój wbił mi się w lewą pierś.

Strzelał w serce. Z doskonałym wyczuciem. Z ostatniego cudu techniki – pistoletu obezwładniającego marki tensor.

Moim ciałem wstrząsnął potężny elektryczny szok. Serce zaczęło trzepotać. Poczulem woń własnej przypalanej skóry.

Nie wiem, jak to zrobiłem, ale rzuciłem się na niego. To właśnie problem z tymi ogłuszaczami, nawet z takim tensorem na osiemdziesiąt tysięcy woltów. Nie zawsze potrafią obezwładnić dużą osobę. Szczególnie oszalałą, z poczuciem misji.

Ale sił mi pozostało niewiele. Nie dość na Casanovę. Zwinny i silny morderca uchylił się i rąbnął mnie potężnie w kark. Potem jeszcze raz, aż padłem na kolana.

Dziś był bez maski.

Uniosłem wzrok ku jego twarzy. Miał teraz lekki zarost, jak Harrison Ford w pierwszych scenach „Ściganego”. Brązowe włosy zaczesane do tyłu, dłuższe niż zwykle i nieco potargane. Zaczął się trochę zapuszczać. Czy opłakiwał w ten sposób przyjaciela?

Bez maski. Chciał, bym zobaczył, kim jest. I tak już zrujnowałem jego grę.

Oto Casanova. Nareszcie. Z Daveyem Sikesem trafiłem prawie w dziesiątkę. Cały czas byłem przekonany, że musi to być ktoś związany z policją w Durham. I z pierwszym dochodzeniem w sprawie „złotej pary”. Udało mu się zatrzeć wszystkie ślady. Miał takie alibi, że po prostu nie mógł w żadnym razie być mordercą.

Spoglądałem w pozbawioną emocji twarz detektywa Nicka Ruskina. Ruskin to Casanova. Ruskin jest tą bestią.

–Zawsze robię to, na co mi przyjdzie ochota! Nie zapominaj o tym, Cross – odezwał się do mnie Ruskin. Tak perfekcyjny w swym rzemiośle. Wpasowywał się wszędzie, stąpił doskonale z otoczeniem, wykorzystując najlepszy kamuflaż z możliwych – zawód policjanta. Miejscowa gwiazda, bohater całego miasta. Poza wszelkim podejrzeniem.

Leżałem obezwładniony nabojem z tensora, a Ruskin zbliżał się do Kate.

–Tęskniłem za tobą Kate. A ty za mną? – roześmiał się swobodnie. Ale w oczach miał obłęd. Już przekroczył granicę. Czy dlatego, że jego „bliźniak” nie żył?

–No więc jak, tęskniłaś? – powtórzył podchodząc ku niej z paraliżującym

pistoletem w ręce.

Kate nie odpowiedziała na pytanie. Zamiast tego ruszyła na Casanovę. Czekala długo na tę chwilę.

Błyskawiczny kopniak w prawe ramię Casanovy wyrzucił tensora z wyciągniętej ręki Nicka Ruskina. Kop był mistrzowski, bezbłędnie wykonany. Trzaśnij go jeszcze raz, a potem zwiewaj, chciałem krzyknąć do Kate.

Ale nie mogłem mówić. Ani w ogóle wydobyć z siebie głosu. Udało mi się jedynie podźwignąć na łokciu.

Kate tymczasem fruwała – jak podczas ćwiczeń na plaży. Casanova był wielkim i silnym mężczyzną ale siła Kate płynęła z wściekłości nie mniejszej niż jego. Jak przyjdzie, będzie zadyma, powiedziała przecież pewnego razu.

Była nieuchwytna jak cień; wojownik doskonały. Doskonalszy niż sądziłem.

Nie widziałem kolejnego ciosu. Zasłaniało mi ciało Ruskina. Ujrzałem tylko, jak jego głowa odskakuje gwałtownie w bok, a długie włosy rozsypują się na wszystkie strony. Nogi się pod nim ugięły. Przyłożyła mu.

Kate wykonała obrót i uderzyła go jeszcze raz. Szybki jak błyskawica cios dosięgnął lewej strony jego twarzy. Miałem ochotę bić brawo. Jednak ten cios go nie powstrzymał. Ruskin był nieustępliwy. Ale ona też.

Zrobił wypad w przód i znowu oberwał. Lewy policzek jakby mu wpadł do środka. To był mecz do jednej bramki.

Trafiła go pięścią w nos i padł na ziemię. Jęczał głośno. Został pokonany; już nie miał się podnieść. Kate zwyciężyła.

Serce łomotało mi w piersi. Ujrzałem, jak Ruskin sięga do kabury na łydce. Casanova nie zamierzał dać się pokonać kobiecie ani nikomu innemu.

Pistolet pojawił się w jego ręce jakby za sprawą magicznej sztuczki. Półautomatyczny smith wesson. Zmienia reguły w trakcie walki.

–Nieeee! – wrzasnęła Kate.

–Hej, dupku – wydobyłem z siebie chrapliwy szept. Ja też zmieniałem reguły.

Casanova odwrócił się. Zobaczył mnie i skierował pistolet w moją stronę. Trzymałem glocka obiema rękami. Trząsałem się cały, ale udało mi się usiąść. Opróżniłem w niego cały magazynek. Przebij go kołkiem osinowym. Właśnie przebiłem.

Casanova poleciał do tyłu i wyrznął w ścianę. Jego ciało zmieniło się w bezwładną masę. Nogi już nie pracowały. Ogarniała go drętwota. Na twarzy malowało się przerażenie. Uświadomił sobie, że jednak jest ludzką istotą.

Przewrócił oczami; zdawało się, że wpadły pod czaszkę. Widać było tylko białka. Wierzgnął kilka razy. Potem przestał. Casanovę spotkała nagła śmierć na podłodze plażowego domku.

Wstałem, choć nogi miałem jak z waty. Stwierdziłem, że jestem zlany potem. Lodowato zimnym. Ohydny. Powlokłem się ku Kate i padliśmy sobie w objęcia, na długo. Drżeliśmy jeszcze oboje ze strachu, ale i z poczucia triumfu. Zwyciężyliśmy.

–Strasznie go nienawidziłam – szepnęła Kate. – Przedtem w ogóle nie rozumiałam tego słowa.

**Zadzwońem na policję w Cape Hatteras. Potem do FBI i do Nany i dzieci w Waszyngtonie. To był koniec.**

## ROZDZIAŁ 122

Siedziałem na znajomej, starej werandzie mego ukochanego domu w Waszyngtonie. Popijaliśmy z Sampsonem zimne piwo.

Nadeszła jesień i w powietrzu czuło się pierwszy chłód nadciągającej zimy. Nasi ukochani i zniechęceni Redskins pojechali już na obóz treningowy; Orioles znów wypadli z finału. „I tak to leci”, jak przeczytałem w jakiejś książce Kurta Vonneguta, jeszcze w czasach studenckich, kiedy mnie brały takie rzeczy.

Widziałem dzieci w dużym pokoju. Siedziały na kanapie i oglądały „Piękną i Bestię” po raz sto dwudziesty ósmy. Nie miałem nic przeciwko temu. To dobra, sugestywna bajka i nie traci przy powtórkach. Jutro pewnie puszczą znów „Aladyna”, mojego ulubionego.

–Dowiedziałem się dziś, że w D.C. pracuje trzy razy więcej policjantów niż przeciętnie w kraju – oznajmił Sampson.

–No tak, ale mamy dwadzieścia razy tyle przestępców; Nie na darmo jesteśmy miastem stołecznym – odparłem. – Jak powiedział któryś z byłych burmistrzów „Jeśli pominąć morderstwa, Waszyngton ma najniższy wskaźnik przestępczości w kraju”.

Sampson parsknął śmiechem. Ja też. Życie powoli wracało do normy.

–Z tobą w porządku? – spytał Sampson po chwili. Nie zadał jeszcze tego pytania od chwili mego powrotu z Południa, z Outer Banks – „letnich wakacji” jak to nazywałem.

–Jak najbardziej. Jestem twardy, zajebisty glina tak samo jak ty.

–Jesteś śmierdzący, zakłamanym palant, Alex. I to do kwadratu.

–To też. Wiadomo nie od dziś – przyznałem się do wpadki. – Zadałem ci, cholera, poważne pytanie – nie ustępowałem. Przyglądał mi się znad ciemnych okularów chłodnym, badawczym wzrokiem. Przypominał trochę Hurricane Cartera, kiedy ten jeszcze boksował. – Przecież za nią tęsknisz, facet.

–Pewnie, że tęsknię. Jak wszyscy diabli. Ale powiedziałem ci, że ze mną w porządku. Nigdy nie przyjaźniłem się w taki sposób z kobietą. A ty?

–Też nie. Nie tak. Ale zdajesz sobie sprawę, że oboje jesteście bardzo dziwni? – kręcił głową i nie wiedział, jak do mnie podejść. Ja też nie wiedziałem.

–Ona chce podjąć praktykę lekarską tam, gdzie się wychowała. Obiecała rodzinie. I ma zamiar tym się zająć. Ja muszę siedzieć tutaj. Przypilnować, żebyś wyszedł na ludzi. Tak postanowiłem. Tak postanowiliśmy razem w Nags Headi. I to jest w porządku.

–Aha.

–Jest w porządku, John. Zdecydowaliśmy o tym wspólnie. Sampson sączył w zamyśleniu piwo, jak to mamy w zwyczaju my, twardziele.

Bujał się na fotelu i spoglądał na mnie podejrzliwie znad butelki. „Doglądał mnie można by powiedzieć.

Później zostałem na werandzie sam.

Grałem na pianinie „Judgment Day”, a potem „God Bless the Child”. Znowu rozmyślałem o Kate i drażliwym temacie straty. Większość ludzi jakoś sobie z tym radzi. Uczymy się wszyscy coraz lepiej.



**Kate opowiedziała mi w Nags Head coś, co zrobiło na mnie wrażenie. Umiała wspaniale opowiadać.**

**Kiedy miała dwadzieścia lat, dowiedziała się, że jej ojciec bywa w jakiejś spelunie przy granicy z Kentucky. Pojechała tam któregoś wieczoru. A nie widziała już ojca od szesnastu lat. Siedziała w podłej, cuchnącej knajpie i przyglądała mu się przez jakieś pół godziny. Zbrzydziło ją to, co ujrzała. I w końcu wyszła z baru nie zamieniając z własnym ojcem słowa, nie podchodząc w ogóle do niego, nie dając mu znaku, że jest jego córką. Po prostu stamtąd wyszła.**

**Strasznie była twarda. Tylko dzięki temu przetrwała te wszystkie śmierci w rodzinie. I najpewniej temu też zawdzięczała swą ucieczkę z katowni Casanovy – jako jedyna.**

**Przypomniałem sobie moment, w którym powiedziała: tylko ta jedna noc Alex. Noc, której żadne z nas nigdy nie zapomni. Ja nie zapomniałem. Miałem nadzieję, że ona też.**

**Wyglądając przez okno werandy w ciemność nie mogłem pozbyć się nieprzyjemnego uczucia ze ktoś mnie obserwuje. Rozwiązałem ten problem jak na detektywa – doktora psychologii przystało. Przestałem się gapić w to zakichane okno.**

**Ale wiedziałem, że oni wszyscy tam są.**

**I znają mój adres.**

**W końcu powlokłem się spać. I ledwie zacząłem przysypiać, usłyszałem jakieś stuki. Głośne pukanie. Uporczywy hałas. Kłopoty. Chwyciłem służbowy pistolet i pośpieszyłem na dół, skąd dobiegały te stuki.**

**Zerknąłem na zegarek. Wpół do czwartej. Godzina samobójców. Kłopoty. Za kuchennymi drzwiami czał się Sampson. To on hałasował. Przekręciłem zamek, zdjąłem łańcuch i otworzyłem.**

**–Mamy morderstwo – oznajmił mój partner. – Mówię ci, Alex, sam miód.**

**This file was created with BookDesigner program**

**bookdesigner@the-ebook.org**

**2010-11-07**

**LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/**